

Wstęp

Wybór tematu pracy nie był przypadkowy czy bezinteresowny. Historia podziemnego ruchu wydawniczego lat osiemdziesiątych odbywała się w mojej obecności i przy moim udziale. Jako referent, w Redakcji Wydawnictw KUL, odpowiedzialny między innymi za kontakty z cenzurą, doświadczyłam działania tej instytucji. Z moim udziałem odbywało się też zakładanie związku zawodowego „Solidarność” na KUL-u, gdyż redaktor naczelny RW KUL, Norbert Wojciechowski, był aktywnym działaczem związku zarówno w KUL, jak i w Zarządzie Regionu. Po wprowadzeniu stanu wojennego, razem z mężem Andrzejem staraliśmy się kolportować gazety związkowe i wspierać składkami i datkami działalność podziemną. Kiedy Andrzej Peciak, Tomasz Pietrasiewicz i Paweł Bryłowski postanowili założyć niezależne wydawnictwo FIS, wiele zebrań i narad odbywało się w naszym mieszkaniu przy ul. Łabędziej, przy moim udziale (co i tak, przy mieszkaniu o powierzchni 36 m, dzielonym z dorastającym synem, było nieuniknione) i głose doradczym.

Ponieważ nikt, jak dotąd, nie podjął się opisanego niezależnego ruchu wydawniczego w Lublinie stało przede mną zadanie, co najmniej, ryzykowne. Ponieważ strona „solidarnościowa”, ze względów bezpieczeństwa, nie wytwarzała prawie żadnych dokumentów, jedynym sposobem było zebranie relacji od uczestników tego ruchu, chociaż upłynęło już 14 lat od „okrągłego stołu” i pamięć zaczyna zawodzić wiele osób z tego kręgu. Kilka osób odmówiło złożenia relacji, kierując się lękami lub z powodu rozgoryczenia obecną sytuacją w Polsce, były też przypadki, że osoby wcześniej umówione rezygnowały, bez podania powodu, że złożenia relacji. Udało mi się zdobyć 16 relacji uczestników podziemnego ruchu wydawniczego i jedną relację, p. Jana Magierskiego, przygotowaną wcześniej dla Ośrodka Karta. Wszystkie relacje zostały zamieszczone na końcu pracy, w formie Aneksu. Uznałam, że ich lektura jest tak interesująca, że warto je czytelnikowi pracy udostępnić. Relacje te nie zostały poddane redakcji, uznałam, że ich forma świadczy o charakterze i cechach osobistych ludzi, którzy uczestniczyli w podziemnej działalności wydawniczej. W Oddziale Lubelskim IPN przejrzałam kilkanaście tysięcy stron akt jawnych Służby Bezpieczeństwa i notowałam każdy ślad dotyczący ruchu wydawniczego - zestawienie zespołów tych akt jest dołączone do niniejszej pracy.

Obydwa te elementy - relacje i akta IPN, pozwoliły na zbudowanie obrazu podziemnego ruchu wydawniczego w Lublinie. Była to mozolna „układanka”, oparta na założeniu, żeby łączyć ze sobą tylko elementy, co do których była pewność, że dotyczą tej samej sprawy czy osób. Dlatego w tekście pracy domniemania czy brak pewności są wyraźnie zaakcentowane.

Z zakresu pracy wyłączone zostało wydawnictwo „Spotkania” i będące jego częścią, wydawnictwo „Vademecum”. Uznałam, że, obydwie te wydawnictwa powinny doczekać się szerokiej i kompetentnej monografii, ze względu na dorobek, zasługi i

zasięg ich oddziaływania, poprzedzonej szeroką kwerendą badawczą materiałów Instytutu Pamięci Narodowej, Ośrodka Karta i innych instytucji archiwalnych. W roku 1998 p. Dorota Grzechocińska obroniła, w Akademii Teologii Katolickiej, pracę magisterską pt. „Kwartalnik „Spotkania” 1977-1988. Redakcja, środowisko, program ideowy”, także wiadomo mi, że w roku bieżącym, student z KUL obronił pracę dotyczącą „Spotkań”.

Do niniejszej pracy zostało dołączone zestawienie publikacji podziemnych wydanych w Lublinie w latach 1980-1989, sporządzone na podstawie „Bibliografii podziemnych druków zwartych z lat 1976-1989”, opracowanej przez Grażynę Federowicz, Krystynę Gromadzińską i Marię Kaczyńską, wydanej nakładem Biblioteki Narodowej w Warszawie w 1995 roku. Zostały w nim zestawione wszystkie publikacje, które ukazały się w latach 1980-1989 w Lublinie, a do których dotarł zespół przygotowujący publikację, zainteresowany czytelnik może w tym zestawieniu odnaleźć także publikacje książkowe Biblioteki Spotkań czy wydawnictwa Vademecum oraz innych wydawnictw lubelskich, co do których brak materiałów nie pozwolił na stworzenie samodzielnej monografii.

Ponieważ nie miałam dostępu do dostatecznie wiarygodnych materiałów na temat pomocy z Zachodu dla wydawnictw podziemnych, czy to w postaci dostaw urządzeń i materiałów, czy dotacji pieniężnych, a ich wkład w działalność podziemia wydawniczego w Lublinie, według relacji wydawców podziemnych z Lublina, nie był znaczący – zrezygnowałam z opracowania tego zagadnienia, przestając na przytoczeniu wzmianek odnotowanych w relacjach.

Najważniejsze publikacje wykorzystane do powstania pracy to dwie bibliografie. Wspomniana wcześniej „Bibliografia podziemnych druków zwartych...” oraz książka Józefy Kamińskiej (właśc. W. i W. Chojnacy) „Bibliografia publikacji podziemnych w Polsce 13 XII 1981 – VI 1986”, która ukazała się w 1988 roku w Paryżu nakładem Editions Spotkania. Obie te prace pozwoliły na weryfikację tytułów z dorobku oficyn wydawniczych, a także na sporządzenie listy publikacji, kiedy informacje zawarte z relacjach były niewystarczające. Dla weryfikacji tytułów czasopism nieodzowna okazała się „Bibliografia prasy opozycyjnej w PRL do wprowadzenia stanu wojennego” Adama Konderaka, wydana nakładem Wydawnictwa UMCS w Lublinie w 1998 r. Jedyna duża monografia dotycząca podziemnego ruchu wydawniczego powstała we Wrocławiu, jest to praca Szczepana Rudki „Poza cenzurą. Wrocławska prasa bezdebitowa 1973-1989” (Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa – Wrocław 2001). Monografia ta dotyczy wydawnictw prasowych, niemniej daje szeroki obraz uwarunkowań towarzyszących całemu podziemnemu ruchowi wydawniczemu. Dwutomowa publikacja „Opozycja w PRL. Słownik biograficzny 1956-89” pod redakcją Jana Skórzyńskiego, wydana w Warszawie w 2000 r., nakładem Ośrodka KARTA, stanowi źródło wiedzy zarówno o uczestnikach podziemia, jak i ich poglądach. Podobnie pomocne były książki: „Kto był kim w drugim obiegu? Słownik pseudonimów pisarz i dziennikarzy 1976-1989”, pod redakcją Dobrosławy Świerczyńskiej (wydany przez Wydawnictwo IBL PAN w Warszawie w 1995 r.) oraz „Leksykon opozycji politycznej 1976-1989” Dariusza Cecudy (wydany przez wydawnictwa „Bis” i „Trust” w Warszawie w 1989 r.). Dla odtworzenia sytuacji politycznej i społecznej w latach 80.tych nieodzowne okazały się: trzutomowa praca zbiorowa pod redakcją Pawła Machcewicza „Polska 1986-1989: koniec systemu. Materiały międzynarodowej konferencji. Miedzeszyn, 21-23 października 1999” (Wyd.

Trio Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk, Warszawa 2002), praca Krzysztofa Łabędzia „Spory wokół zagadnień programowych w publikacjach opozycji politycznej w Polsce w latach 1981-1989” (Wyd. Księgarnia Akademicka, Kraków 1997), a także „Konspira. Rzecz o podziemnej „Solidarności”” Macieja Łopińskiego, Marcina Moskita i Mariusza Wilka (Modem Sp. z o. o. Oficyna Wydawnicza Polski Dom Wydawniczy sp. z o. o., Gdańsk – Warszawa 1989) oraz szereg innych publikacji, których zestawienie zostało dołączone do tej pracy. Praca została skonstruowana przy zachowaniu chronologii pojawiania się książkowych wydawnictw niezależnych w Lublinie. Rozdział I ma za zadanie uzmysłowić czytelnikowi konieczność przybrania takiej formy protestu przeciwko systemowi i przybliżyć wydarzenia i uwarunkowania, które doprowadziły do powstania niezależnego od państwa obiegu informacji. Rozdziały II – VI charakteryzują poszczególne wydawnictwa, które udało mi się zidentyfikować w stopniu umożliwiającym sporządzenie ich przybliżonej monografii. Pierwsze jest wydawnictwo Biblioteka Informatora, które powstało najwcześniej, w 1983 roku (Rozdział II), i z którego powodu od 1983 roku rozpoczęłam charakteryzowanie podziemnego ruchu wydawniczego w tej pracy. W rozdziale VI omówione są wydawnictwa: Respublica, które powstało we wrześniu 1986 r. i Oficyna im. Józefa Makiewicza, którą powołano do życia w roku 1987. Rozdział VII poświęcony jest innym wydawnictwom, o których moja wiedza nie była na tyle duża, żeby móc dokonać szerszej charakterystyki. Ciekawe wydały mi się, znalezione podczas kwerendy w IPN, materiały Służby Bezpieczeństwa dotyczące zmagania z podziemiem w Lublinie, w tym z podziemiem wydawniczym, dlatego temu tematowi poświęcony został rozdział VIII pracy. W rozdziale IX starałam się dokonać porównania działalności wydawnictw lubelskich między sobą i porównać je z wydawnictwami wrocławskimi i krajowymi, chociaż były to możliwości niewielkie, ze względu na brak publikacji, które by ten temat ujmowały całościowo.

Zdaję sobie sprawę, że praca ta nie wyczerpuje tematu niezależnych wydawnictw książkowych w Lublinie. W IPN udostępniane są coraz to nowe akta, które mogą przynieść weryfikację, a może i zmianę zapisanych tu faktów, mam nadzieję, że stanie się ona początkiem dalszych badań i opisywania całej działalności podziemia lat 80.tych w Lublinie.

Bardzo dziękuję za wsparcie swoją wiedzą i doświadczeniem oraz pomoc panu profesorowi Januszowi Wronie, pod którego kierunkiem powstała ta praca. Wielkie słowa podziękowania należą się też osobom, które poświęciły swój czas na złożenie relacji i zainteresowanie postępami w powstawaniu opracowania, a także pracownikom Oddziału Lubelskiego IPN, którzy cierpliwie przygotowywali akta, które musiałam przejrzeć. Dziękuję też mojemu mężowi Andrzejowi Peciakowi.

I. Geneza wydawnictw niezależnych - środowisko uniwersyteckie i studenckie miasta

Dla zrozumienia fenomenu powstania wydawnictw niezależnych w Polsce lat. 70.tych i ich wzrostu ich liczby w latach 80.tych, warto przytoczyć tu, zastosowaną przez Jacka Kuronia, definicję systemu, który zapewniał partii komunistycznej niepodzielne rządy w niesuwerennym państwie, jakim była PRL. Kuroń upatrywał podstawowych cech systemu komunistycznego w trzech monopolach - monopolu decyzji, organizacji i informacji.

Powstanie w 1976 roku, po protestach w Radomiu i Ursusie - Komitetu Obrony Robotników złamało po raz pierwszy monopol organizacji, powstała struktura organizacyjnie i ideologicznie niezależna od systemu. Wydawanie prasy KOR-owskiej złamało monopol informacji.

Andrzej Paczkowski celnie charakteryzuje, za Stanisławem Siekierskim, przesłanki, które umożliwiły powstanie drugiego obiegu wydawniczego. Zostały spełnione trzy warunki: zaistnienie oczekiwań społecznych na „wolne słowo”, powstanie opozycyjnie nastawionych organizacji, z których wyłonili się inicjatorzy-wydawcy (i które zapewniły kolportaż) oraz obniżenie poziomu represji.

Właśnie w Lublinie, w 1976 r., środowisko Koła Naukowego Historyków KUL - Bogdan Borsewicz, Piotr Jegliński, Janusz Krupski, Maciej Sobieraj i Jan Stepek, dzięki powielaczowi sprowadzonemu z inicjatywy Piotra Jeglińskiego z Francji, rozpoczęło niezależną od władz działalność poligraficzną - najpierw drukowano pierwsze numery „Komunikatów KOR” i „Biuletynu Informacyjnego KOR”. Od jesieni środowisko to zaczęło wydawać własne pismo - „Spotkania - Niezależne Pismo Młodych Katolików”. Służba Bezpieczeństwa miała swoją diagnozę i opinię na temat tego środowiska, którą warto w tym miejscu, w obszernym fragmencie przytoczyć: „Początki kształtowania istniejącej obecnie w województwie lubelskim sytuacji w przedmiocie działania grup antysocjalistycznych sięgają roku 1972. W tym to roku rozpoczął w Lublinie działalność ks. Marian Wiśniewski (o. Ludwik), aktywizując pracę w prowadzonym przez siebie ośrodku duszpasterstwa przy kościele Dominikanów w Lublinie. Poprzez organizowanie różnego rodzaju pogadanek i prelekcji z udziałem osób reprezentujących wrogie poglądy, pozyskiwanie coraz szerszego grona uczestników i aktywu DA [Duszpasterstwo Akademickie - E.P] oraz wpajanie im różnymi sposobami wrogich poglądów doprowadziło w efekcie do ukształtowania się skonsolidowanej wewnętrznie i wychowanej w duchu antysocjalistycznym grupy młodzieży skupionej wokół ośrodka.(...) Propagowanie założeń ideowych KOR-u oraz wydawanych materiałów propagandowych (komunikaty), zbieranie podpisów pod petycjami w sprawie wydarzeń czerwcowych, zbieranie datków na pomoc materialną "ofiaram represji" stanowiły kolejny etap działalności tworzącej się w Lublinie grupy antysocjalistycznej. Odmienny charakter posiada działalność antysocjalistyczna grupy studentów skupionych wokół duszpasterstwa akademickiego, nielegalnego czasopisma pod nazwą „Spotkania” (...) Mimo, iż w lubelskim środowisku akademickim nie powstał dotychczas tzw. SKS [Studencki Komitet Solidarnościowy,

M. Piłka, L. Moczulski podejmowali próby utworzenia w Lublinie takiego Komitetu - E.P.]), nie prowadzą działalności „latające uniwersytety” i „towarzystwo kursów naukowych” niemniej notujemy takie fakty negatywnej działalności jak:

- kolportaż bezdebitowej literatury wydawanej przez ugrupowania antysocjalistyczne w kraju oraz materiałów przemyconych z Zachodu;
- angażowanie się poszczególnych studentów oraz niektórych osób spośród kadry naukowo-dydaktycznej w działalność antysocjalistyczną;
- nadal notujemy różnego rodzaju próby inspirowania do utworzenia SKS-u. (...)

Powstanie NSZZ „Solidarność” w roku 1980 poszerzyło sferę wolności w dziedzinie organizacji, a pojawiające się masowo wydawnictwa związkowe poszerzyły sferę wolności w dziedzinie informacji.

Ważnym strażnikiem monopolu PRL w dziedzinie informacji była cenzura, którą państwo komunistyczne wprowadziło już w 1944 roku, i która trwała aż do roku 1990. W czasie, gdy powstawała prasa KOR-owska, do Szwecji uciekł Stefan Strzyżewski, cenzor z Krakowa, który wywiózł i opublikował tajne dokumenty cenzury, pokazujące kulisy jej działania. „Czarna księga cenzury PRL” zawierała nie tylko ingerencje cenzorskie w teksty, ale także zapisy dotyczące konkretnych autorów, tematów, nazwiska, których nie wolno było publikować. W latach 80.tych funkcjonowała cenzura prewencyjna, to znaczy tekst był pierwszy raz czytany w oddziale wojewódzkim [np. Delegatura w Lublinie lub Okręgowy Urząd Kontroli Publikacji i Widowisk w Lublinie - E.P.] Głównego Urzędu Kontroli Publikacji i Widowisk, gdzie składało się dwa egzemplarze publikacji przewidzianej do druku - czego autorka miała okazję doświadczyć osobiście, gdyż przez wiele lat, jako pracownica wydawnictwa uniwersyteckiego Redakcja Wydawnictw KUL, była odpowiedzialna za kontakty z cenzurą - pracownicy wydawnictwa uważali, że jeden egzemplarz czytany jest w Lublinie, a drugi, równolegle, w jakimś innym mieście w Polsce, trudno ustalić czy było to domniemanie prawdziwe. Na przeczytanym przez cenzora egzemplarzu otrzymywało się zgodę na druk - cenzurowane były nie tylko książki, ale też akcydensy - zaproszenia, zawiadomienia, dyplomy i inne druki użytkowe. Jeżeli cenzura miała zastrzeżenia, co do informacji podanej w publikacji lub sformułowania wypowiedzi, stosowała ingerencję w tekst - to znaczy proszono do urzędu redaktora naczelnego, który miał usunąć inkryminowany tekst (przynieść nazajutrz zapis tej samej strony bez tekstu, który nie został zaakceptowany przez cenzurę), w maszynopisie nie pozostawał żaden ślad po zmianach cenzorskich. Drugim etapem było uzyskanie zgody na rozpowszechnianie, otrzymywało się ją na pierwszym, kompletnym egzemplarzu publikacji, wtedy można było przekazać publikację do dystrybucji. Szczepan Rudka wspomina o elementach represyjności w cenzurze z tych lat, co miałyby polegać na niedopuszczeniu do rozpowszechniania publikacji, która uzyskała zgodę na druk, autorka nie spotkała się z taką praktyką.

W wyniku porozumień sierpniowych 1980 r. między władzą a „Solidarnością”, powstała nowa ustawa dotycząca cenzury, uchwalona przez Sejm 31 lipca 1981 r., która przyniosła zmiany w jej stosowaniu - przestały podlegać kontroli wstępnej, między innymi, publikacje naukowe do 100 egz., np. rozprawy habilitacyjne. Ustawa zapewniała o wolności słowa i druku w publikacjach i widowiskach z zastrzeżeniem, że nie mogą one godzić w niepodległość lub integralność terytorialną PRL, nawoływać do obalenia, lżyć, wyszydzać lub poniżać konstytucyjny ustrój PRL, godzić

w konstytucyjne zasady jej polityki zagranicznej i jej sojusze, uprawiać propagandy wojennej, ujawniać wiadomości stanowiące tajemnicę państwową, gospodarczą, służbową dotyczącą obronności i Sił Zbrojnych, nawoływać do popełnienia przestępstwa lub je pochwalać, ujawniać bez zgody stron zainteresowanych wiadomości z postępowania przygotowawczego oraz rozpowszechniać wiadomości z rozprawy sądowej prowadzonej z wyłączeniem jawności, naruszać uczuć religijnych i uczuć osób niewierzących, propagować dyskryminacji narodowościowej i rasowej, propagować treści szkodliwych obyczajowo, a w szczególności alkoholizmu, narkomanii, okrucieństwa i pornografii. Zupełną nowością była możliwość wpisywania w miejsce ingerencji cenzorskich tekstu: „Ustawa o kontroli publikacji i widowisk z dnia ...”, co powodowało, że ingerencja cenzury w tekst stawała się jawna. Ustawa uniemożliwiała ustanawianie zakazu publikacji i widowisk określonych autorów [tzw. zapisu na nazwisko - E.P.] i zakazywała stosowania wytycznych w sprawie sposobu przedstawiania wydarzeń, działalności instytucji i poszczególnych osób. Umożliwiała zaskarżenie zakazu publikacji do Naczelnego Sądu Administracyjnego. W czasie stanu wojennego zawieszono funkcjonowanie ustawy „Dekretem o stanie wojennym”, który praktycznie przywrócił sytuację sprzed jej obowiązywania. Chociaż stosowano zaznaczanie ingerencji cenzorskich wpisem: „Dekret o stanie wojennym...”. Po zniesieniu stanu wojennego, 21 lipca 1983 r., ponownie zaczęła obowiązywać ustawa z 1981 r., ale już 28 lipca 1983 r. znowelizowano ją i wprowadzono cenzurowanie publikacji placówek naukowych i druków wewnątrzorganizacyjnych, zabroniono publikowania wiadomości mogących grozić bezpieczeństwu i obronności państwa oraz stanowiących przestępstwo - bez sprecyzowania, jakie to mogłyby być wiadomości. W takim kształcie ustawa przetrwała aż do obrad „okrągłego stołu”, kiedy to 29 maja 1989 r. uchwalono jej zmianę. Całkowite zniesienie cenzury nastąpiło 6 czerwca 1990 r., kiedy to weszła w życie „Ustawa z dnia 11 kwietnia 1990 r. o uchyleniu ustawy o kontroli publikacji i widowisk, zniesieniu organów tej kontroli oraz zmianie ustawy Prawo prasowe, Dz. U. Nr 29, poz. 173 (Dz. U. Nr 29, poz. 173)

Największą zmianą, jaka przyniósł Sierpień 1980 r., było powstanie prasy związkowej, przede wszystkim zakładowej, pozostającej poza cenzorską kontrolą w wyniku, czego władze zostały zmuszone do rzetelniejszego informowania społeczeństwa, gdyż nieprawdziwe informacje były natychmiast weryfikowane w solidarnościowych gazetkach. Już na początku roku 1980 pojawiły się w zakładach pracy Lubelszczyzny - ELTOR, DOKP, Dom Książki, Liceum im. S. Staszica, Zespół Szkół Zawodowych - ulotki nawołujące do bojkotowania wyborów do Sejmu PRL i wojewódzkich rad narodowych [wybory odbyły się 23 marca 1980 r. - E.P], a w sierpniu w WSK Świdnik, odezwa wykonana na powielaczu, nawołująca do poparcia robotników Wybrzeża i ręcznie przepisywane kartki z postulatami Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Gdańsku - to był początek gazetek wydawanych przez robotników. Już w lutym 1981 r. „Solidarność” w Spółdzielni Inwalidów „Zjednoczenie” w Lublinie, wydała samodzielnie informator na wypadek powszechnego strajku okupacyjnego. W tym samym czasie trwały rokowania w sprawie kolportażu prasy związkowej poprzez ogólnopolską sieć kolportażową „Ruch”. Związek mógł zastosować nową formę presji na władzę - naciski poprzez swoich członków w zakładach pracy, polegające na przetrzymywaniu gazet partyjnych w ekspedycji i kolportażu, niedopuszczenie ich do dystrybucji, w proteście przeciw odmowie kolportowania prasy związkowej przez „Ruch”. „Solidarność”

starła się doprowadzić do zamieszczania komunikatów Związku w oficjalnych dziennikach i na antenie radia i telewizji. Batalia o to trwała nieustannie i toczona była bezskutecznie, gdyż 17 listopada 1981 r. Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego rozwiesił w mieście plakat o treści „Zejdziemy z murów, gdy wejdziemy na anteny radia i telewizji. Wykorzystywano do szybkiego przepływu informacji związkowej telexy będące poza kontrolą władz. Zarządzeniem Ministra Łączności taki telex umieszczono w pomieszczeniu lubelskiego okręgu Komisji Koordynacyjnej Łączności NSZZ „Solidarność”, a także miały miejsce przypadki udostępnienia tych urządzeń przez same dyrekcje zakładów, tak było np. w PP. „Polmozbyt”, gdzie oprócz telexu udostępniono związkowcom dodatkowo kopiarkę. Prowadzono politykę faktów dokonanych, jeśli idzie o druk czasopism związkowych. Po odmowie wydrukowania w Lubelskich Zakładach Graficznych (LZGraf) miesięcznika regionalnego „Miesiące” ukazującego się w nakładzie 10.000 egz. i drukowanego wcześniej w drukarniach KUL i UMCS, poprzedzonej rozmowami pomiędzy przedstawicielami Regionu a dyrekcją LZGraf w Urzędzie Wojewódzkim, SB odnotowuje fakty drukowania czasopism bez zgody władz: 15 października 1981 r. wydrukowano 3000 egz. biuletynu „Azymut” Krajowej Rady Sekcji Pracowników Geodezji NSZZ „Solidarność” w zakładzie poligraficznym Wojewódzkiego Biura Geodezji w Lublinie, a 28 października 1981 r. wydrukowano bez zgody cenzury w zakładzie poligraficznym przy ul. Przemysłowej w Lublinie, podlegającym LZGraf - 10.000 egz. pisma Niezależnego Ruchu Harcerskiego „Związek”. Wprowadzenie stanu wojennego, w zamierzeniach jego twórców, miało przede wszystkim na celu zlikwidowanie niezależnego związku zawodowego (przywrócenie monopolu organizacji), ale doprowadziło również do likwidacji, niezależnego od systemu, obiegu informacji -internowano pracowników redakcji, zlikwidowano drukarnie i skonfiskowano cały sprzęt poligraficzny. W wielu zakładach udało się ukryć sprzęt poligraficzny i papier np. w LZNS, SB z Komisji Zakładowej „Solidarności” przejęła tylko kilka książek, podobnie było w wielu zakładach. W siedzibach NZS UMCS i Politechniki Lubelskiej znaleziono tylko bezwartościowe papiery. Natomiast wielkie były straty Komisji Zakładowej WSK Świdnik, co warto przytoczyć w całości: „Spis przedmiotów i dokumentów dotyczących działalności Komisji Zakładowej i Regionalnego Komitetu Strajkowego NSZZ „Solidarność” - WSK Świdnik, zdeponowanych w Komendzie Wojewódzkiej MO w Lublinie przy ul. Narutowicza (pokój 77). Spisu dokonali: por. A. Lipiński i ppor. J. Bochniarz z KWMO w Lublinie w dniach: 30 grudnia 1981 r. - 4 stycznia 1982 r.

Maszyna do pisania Olympia - 1 szt.

Maszyna do pisania „Predom Łucznicz” 1 szt.

Urządzenia do powielania - 3 szt.

Wałki do rozprowadzania farby 3 szt.

Opakowanie niekompletne matryc kolodionowych prod. kraj. - 18

Dwa niekompl. opak. matryc poligraf. „Istotnic Armer”

Dwa niekompl. opak. matryc poligr. prod. chińskiej

Cztery opak. matryc uszkodz.”.

SB miała dobre informacje na temat urządzeń znajdujących się w posiadaniu komisji zakładowych „Solidarności”, gdyż np. ukrycie powielacza będącego własnością Komisji Zakładowej węzła PKP Lublin, było przedmiotem sprawy operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Poligrafia”. Nie ustalono osób, którego tego dokonały ani nie znaleziono miejsca ukrycia urządzenia, wobec czego sprawę

umorzono. Powielacz „cyklos”, który, prawdopodobnie w czasie strajku, studenci zabrali z siedziby Rady Uczelnianej SZSP w UMCS, także był przedmiotem podjętych przez SB czynności wyjaśniających. „Zdobycze” przekazywano do urzędów lub pozostawiano do dyspozycji WUSW w Lublinie. Powielacze zabrane z siedziby Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego” mieszczącej się przy ul. Królewskiej 3 przekazano do Wydziału Budżetowo-Gospodarczego Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, były to:

„Powielacz elektryczny Rotaprint nr 38287

Powielacz elektryczny Rotaprint nr 27124

Powielacz elektryczno-ręczny „Gestetner” 366 nr 26629

Powielacz JAPY firmy Monillage

Powielacz spirytusowy PS 55 – 2 szt.

Powielacz spirytusowy Rally 379 nr 57037

Pokwitował w im. UW Stanisław Siemionow Kierownik Oddziału Gospodarczego”.

Niektóre przedmioty zostawiano w WUSW, np. do powielarni WUSW trafił 10.litrowy pojemnik farby drukarskiej, tekturowe pudełko zawierające 9 półlitrowych puszek barwników drukarskich, dwulitrowa puszka farby drukarskiej; taśmy magnetofonowe i szpulowe przekazano do Wydziału Śledczego WUSW, do wydziałów WUSW przekazywano też maszyny do pisania zabrane z Zarządu Regionu przy ul. Królewskiej.

Tym sposobem próbowano odzyskać utracony monopol informacji, ale po doświadczeniach Sierpnia 80 nie było to już możliwe. Ambicje społeczeństwa do traktowania go, jako równoprawnego partnera w sprawowaniu władzy rozbudziły się do tego stopnia, że nawet państwo totalitarne nie było w stanie nad tym zapanować.

Konieczność przetrwania niezależnej prasy i wydawnictw widzieli wszyscy czołowi przywódcy polskiego podziemia lat 80.tych, w wydanej w Editions Spotkania w 1984 r., a mającej liczne przedruki w kraju w 1985 roku, „Konspirze. Rzecz o podziemnej „Solidarności”, omawiającej podziemną działalność związku po wprowadzeniu stanu wojennego, Władysław Frasyniuk, działacz z Wrocławia, pisał:“(…) Nasza koncepcja była najprostsza (...) Wymagała, aby poprzez prasę, ulotki, wydawnictwa kształtować świadomość polityczną i gospodarczą oraz nastroje w zakładach pracy, natomiast Bogdan Borusewicz, działający w tym czasie w Gdańsku uważał, że: „(...) Od początku „wojny” działaczy nurtowała świadomość, że trzeba docierać do ludzi, informować ich i organizować (...) Dlatego uruchamiano redakcje, drukarnie, kolportaż (...)”.

W Lublinie, w latach 80.tych funkcjonowało pięć wyższych uczelni: Katolicki Uniwersytet Lubelski, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej, Akademia Rolnicza, Akademia Medyczna i Politechnika Lubelska. Wydaje się, iż można przyjąć tezę, że istnienie w Lublinie dużego ośrodka akademickiego zadecydowało o prowadzeniu niezależnej działalności wydawniczej na tak dużą skalę.

Jak już wspomniano, najwcześniej działalność wydawniczą podjęło środowisko KUL-owskie w osobach Bogdana Borusewicza, Piotra Jeglińskiego, Janusza Krupskiego, Maciej Sobieraja i Jana Stepka czyli „Spotkania”. Dołączali do nich ludzie przychodzący na studia w KUL i absolwenci KUL, którzy chcieli współpracować przy wydawaniu pisma niezależnego, jak Zygmunt Kozicki, Marek Gorliński, Janusz Bazydło, Krzysztof Wasilewski, ale także inne osoby, jak Jan Magierski, które chciały

włączyć się w podziemne wydawanie i kolportaż wydawnictw. Zygmunt Kozicki i Krzysztof Wasilewski założyli potem własne niezależne wydawnictwa książkowe.

Jan Magierski umiejętności nabyte przy druku „Spotkań” wykorzystał potem w 1980 r. w Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim (MKZ) „Solidarności” organizując druk materiałów solidarnościowych a następnie w swojej uczelni, Akademii Rolniczej, gdzie zebrano się grono osób, spośród których można było zorganizować (po wprowadzeniu stanu wojennego i „wpadce” pierwszej redakcji) redakcję, druk i kolportaż „Informatora” NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni”. Należeli do nich: Krzysztof Grudzień, Wanda Baj, Ewa Różycka, Grażyna Ziółkowska, Jan Pleszczyński - jego żona Barbara pracowała w tym czasie w Politechnice Lubelskiej, absolwent AR Wojciech Guz i wielu jego kolegów z uczelni poznanych w Niezależnym Zrzeszeniu Studentów (NZS). Spośród pracowników i absolwentów UMCS wiele osób angażowało się w działalność związkową w NSZZ „Solidarność”, a potem służyło swoją pomocą podziemnym wydawnictwom. Często były to artykuły czy felietony pisane do „Informatora”, należeli do nich pracownicy naukowcy Radosław Drwal i Zdzisław Kowalski, podpisujący swoje teksty „BB” (co tłumaczyło się „Bij Bolszewika”). Inny pracownik UMCS - Waław Wasilewski był kolporterem „górnego piętra” i dotknęły go poważne represje po „wpadce”, co zostanie omówione szczegółowo w dalszej części tej pracy. Absolwentami UMCS są Paweł Bryłowski, Tomasz Pietrasiewicz, Andrzej Peciak - założyciele wydawnictwa Fundusz Inicjatyw Społecznych, a także Paweł Skokowski, który zaangażował się w działalność Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość”, stworzył Oddział Lubelski tej partii i wydawnictwo drukujące miesięcznik „Niepodległość” i pozycje książkowe.

Z Instytutu Medycyny Wsi - jednostki badawczej zajmującej się diagnozowaniem i leczeniem chorób dotyczących środowiska wiejskiego - wywodzą się Józef Krzyżanowski i Franciszek Bujak. Krzyżanowski był przedstawicielem podziemnego Zarządu Regionu w redakcji „Informatora” i sam pisywał teksty do tego pisma. Franciszek Bujak był kolporterem „górnego piętra” i razem z Waławem Wasilewskim był aresztowany za kolportaż podziemnych wydawnictw.

Studenci z Niezależnego Zrzeszenia Studentów UMCS mają swój wielki wkład w podziemny ruch wydawniczy w Lublinie, im należy zawdzięczać wydawanie pierwszego biuletynu po wprowadzeniu stanu wojennego i spacyfikowaniu strajków w dużych zakładach pracy Lubelszczyzny po 13 grudnia 1981 r.. W czasie strajków wychodziły, co prawda biuletyny, ale miały ograniczony zasięg i dotyczyły przede wszystkim sytuacji strajkowych z tychże zakładach. Krzysztof Hariasz, Arkadiusz Kutkowski, Emil Warda, Wiesław Ruchlicki, Wiktor Tomasz Grudzień i inne osoby, ich koleżanki i koledzy z NZS, kontynuowali działalność wydawniczą i informacyjną Regionu w sytuacji, gdy większość działaczy była internowana lub ukrywała się.

II. Biblioteka Informatora (Wydawnictwo Niezależne „BIN”)

II.1 Początki - „Informator NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni”

Biblioteka Informatora była prawdopodobnie pierwszą niezależną oficyną wydawniczą powstałą w Lublinie (rok powstania 1983), chociaż trudno wyznaczyć pierwszeństwo pomiędzy nią, a Wydawnictwem Arkadiusza Kutkowskiego.

Ze względu na to, że Wydawnictwo Biblioteka Informatora było częścią „Informatora NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni” i stanowiło jego dopełnienie, zagadnienia dotyczące środków technicznych i kolportażu „Informatora”, dotyczą jednocześnie wydawnictwa „Biblioteka Informatora”. Przyczyna jego powstania była wręcz prozaiczna - posiadanie „wolnych mocy przerobowych” w druku.

II.1a „Informator” studencki - Krzysztofa Hariasza, Arkadiusza Kutkowskiego, Emila Wardy i Wiesława Ruchlickiego

Powstanie samego „Informatora” było spontaniczną odpowiedzią na wprowadzenie stanu wojennego i nie było uzgodnione z Zarządem Regionu Środkowo-Wschodniego, bo nie było nawet możliwości pytania kogokolwiek o zgodę, niektórzy działacze zostali internowani, inni schronili się w strajkujących dużych zakładach pracy.

Czterej studenci: Arkadiusz Kutkowski, Emil Warda, Wiesław Ruchlicki i Krzysztof Hariasz postanowili wydawać biuletyn regionalny, początkowo na ramce sporządzonej domowym sposobem, a potem na powielaczu będącym własnością NZS, wyniesionym ze strajku, który miał miejsce na UMCS 13 i 14 grudnia, po wprowadzeniu stanu wojennego. Pierwsze trzy numery „Informatora” zostały wydrukowane, prawdopodobnie, na stacji wynajmowanej przez studentów, potem powielacz został umieszczony w domu państwa Grudniów przy ul. Findera 15 (obecnie Północna 131) i tam odbywał się druk „Informatora” aż do numeru 13; 10 numerów wydanych przez studentów i 3 numery po ich „wpadce”, po 16 lutego 1982 roku.

Ruchlicki, Hariasz i Warda byli wcześniej znani Służbie Bezpieczeństwa.

10 maja 1977 roku zarejestrowany został w Wydziale III KWMO w Lublinie Emil Warda, w ramach sprawy operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Niepewni”, chodziło o podpisanie przez niego petycji w sprawie wydarzeń czerwcowych w Radomiu, w 1976 roku, złożonej do Sejmu PRL poprzez o. J.Salija.

Wiesław Ruchlicki został zarejestrowany do nr 24361 dnia 18.08.1979 r. przez Wydział III KWMO, jako tzw. figurant sprawy operacyjnego sprawdzenia o kryptonimie „Filozof” „ze względu na kolportaż nielegalnego czasopisma wydawanego w kraju. Nawiązał kontakt z osobami zajmującymi się kolportażem czasopisma PLUS [właśc. Puls - E.P.], biuletynu KSS KOR oraz Niezależnej Oficyny Wydawniczej”. W przypadku Ruchlickiego intuicja Służby Bezpieczeństwa okazała się dobra, gdyż po zwolnieniu z

internowania oświadczył, że „nie może zagwarantować, iż po zwolnieniu z internowania nie będzie prowadził działalności sprzecznej z przepisami dot. stanu wojennego i kk [kodeksu karnego - E.P]. Dodał, że w określonych przypadkach działalność taka w jego mniemaniu może być uzasadniona a nawet konieczna. Wypowiedzi [jego]na ten temat sytuacji społeczno-politycznej w kraju sprowadzały się do tego, że jak długo będzie funkcjonował ustrój socjalistyczny w Polsce, tak długo będą powtarzać się kryzysy”.

Sprawie dotyczącej Krzysztofa Hariasza nadano kryptonim „Kudłacz”, przypuszczalnie, z powodu noszenia przez niego w tym czasie, długich włosów i brody. Został zarejestrowany już 4.02.1980 r. „ze względu na propagowanie wrogich poglądów i działalność skierowaną przeciwko linii politycznej partii”. Z materiałów SB wynika, że Hariasz był z pewnością na listach osób do internowania, gdyż 21.12.1981 r. wysłano szyfrogram do Naczelnika Wydz. III KWMO w Rzeszowie o poszukiwaniu Krzysztofa Hariasza, który może ukrywać się u rodziny w Kolbuszowej.

„Informator” był obecny zarówno w Lublinie, jak i w Świdniku: SB raportuje „31.12.1981 r., w kościele przy ul. Dąbrowskiego, nn. osobnik pozostawił około 500 „Informatorów Regionu Środkowo-Wschodniego „S” numer noworoczny datowany 1.01.1982 r. Informator ten został wykonany maszyną do pisania na papierze formatu A-4 zawierał (...) apel o konsolidację społeczeństwa w aktualnej sytuacji i przeciwstawienie się terrorowi władz”; w Świdniku ujawniono 4 egz. „Informatora” nr 4, w Okręgowym Przedsiębiorstwie Przemysłu Mięsnego w Lublinie kolportowany był „Informator nr 8, natomiast nr 8 i 9 kolportowano w WSK Świdnik.

„Wpadka” pierwszej ekipy „Informatora”, była przypadkowa. Po wydrukowaniu dziesiątego numeru, postanowiono to uczcić, 16 lutego 1982 r. Pech chciał, że właścicielem domu przy ul. Ofelii 16 w Lublinie (wynajęta stancja), był ojciec zwykłego przestępcy kryminalnego i to u niego miało odbyć się przeszukanie, a tu „znaleźli czterech owłosionych, brodatych facetów, niektórych jeszcze w okularach”. SB informuje: „(...) W toku przeszukania zakwestionowano materiały świadczące o prowadzeniu przez w/w nielegalnej działalności po 13 grudnia 1981 r., są to biuletyny NZS-u Uczelni Lubelskich z lutego 1982 roku oraz nielegalne biuletyny „Solidarności”, a także matryce i farba do powielaczy”, 19 lutego wszyscy czterej zostali internowani. Sprawę prowadziła Wojskowa Prokuratura Garnizonowa w Lublinie, wszyscy czterej studenci odmówili składania zeznań, niestety w trakcie przeszukania, zakwestionowano maszynę do pisania należącą do Krzysztofa Hariasza.. Porównanie czcionki z tej maszyny ze znalezionymi egzemplarzami gazetek, pozwoliło Prokuraturze na postawienie zarzutu Krzysztofowi Hariaszowi . „(...) W toku śledztwa nie uzyskano dowodów pozwalających na sprecyzowanie działalności każdego z podejrzanych i przypisanie im konkretnych czynów. (...) z tych względów śledztwo p-ko Józefowi (Emilowi) Wardzie, Arkadiuszowi Kutkowskiemu, Wiesławowi Ruchlickiemu (...) należało umorzyć wobec dostatecznych dowodów winy”.

Krzysztof Hariasz został skazany, 13 maja 1982 r., przez Wojskowy Sąd Garnizonowy, na 1 rok i 3 miesiące pozbawienia wolności, przepadek maszyny do pisania, matryc, farby drukarskiej i papieru.

Wiesław Ruchlicki i Emil Warda zostali zwolnieni z internowania prawdopodobnie w

połowie października 1982 r., na co wskazuje fakt, że zgłosili się 21.10.1982 r. do KWMO w Lublinie i przeprowadzono z nimi rozmowy ostrzegawcze. Krzysztof Hariasz i Emil Warda zdecydowali się na emigrację z Polski, Hariasz do USA, co do Wardy nie ma określonego kraju emigracji. Arkadiusz Kutkowski i Wiesław Ruchlicki powrócili do działalności wydawniczej, chociaż już nie brali udziału w pracach ekipy „Informatora NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego.

II.1.b „Informator” Jana Magierskiego, Wojciech Guza i innych

Na wiadomość o „wpadce”, 16 lutego 1982 r., studenckiego „Informatora” Jan Magierski, Jan Pleszczyński i Krzysztof Grudzień, działacze „Solidarności” z Akademii Rolniczej w Lublinie, postanowili „dać osłonę” zdekonspirowanym studentom i kontynuować wydawanie „Informatora”, żeby stworzyć wrażenie, że SB aresztowała niewłaściwych ludzi.. Wszyscy trzej już po 13 grudnia postanowili działać w ruchu wydawniczym, myśleli o wydawnictwie książkowym. W związku z tym Jan Magierski skontaktował się z jednym z przedstawicieli działającego w podziemiu Związku, który to działacz zasugerował utworzenie podziemnego biuletynu związkowego. Sugestia ta i „wpadka” studenckiego „Informatora” zadecydowała o zmianie planów.

Jan Pleszczyński, Krzysztof Grudzień i dwie redaktorki z Wydawnictwa AR – Wanda Baj i Ewa Różycka, weszli w skład redakcji. Pod koniec roku 1982 do redakcji dołączył Józef Krzyżanowski, jako formalny przedstawiciel podziemnego Zarządu Regionu. Po odejściu Wandy Baj i Ewy Różyckiej do redakcji dołączyły Barbara Pleszczyńska i Grażyna Ziółkowska i ten skład dotrwał aż do końca, do 1989 roku. Sama redakcja nie miała nigdy „wpadki”, ale aresztowana została osoba użyczająca swojego mieszkania na przygotowywanie matryc.. W dniu przeszukania, 19.04.1984 r., nie znaleziono w mieszkaniu Ewy (Jadwigi) Stobnickiej, zapisanych matryc, wobec czego nie połączono jej osoby z „Informatorem”, zabrano natomiast maszynę do pisania marki IBM bez głowic i 9 kaset z taśmami do tej maszyny. Ostatecznie nie przedstawiono jej zarzutów i w lipcu 1984 r. została zwolniona na mocy amnestii.

Organizowaniem druku i kolportażu zajął się Jan Magierski. Cała struktura została zorganizowana na nowo, na początku była tylko redakcja i Jan Magierski - jako wydawca - zajmował się łamaniem, drukiem i przekazywaniem do kolportażu. Było to niestety uciążliwe, zbyt wiele obowiązków spoczywało na jednej osobie.

Działalność Jana Magierskiego, człowieka-instytucji, solidnego, niezawodnego, obowiązkowego, wielkiego patrioty, wymaga osobnego opracowania. Wiktor Tomasz Grudzień pisze o nim „(...) Pan Jan to poważna firma, uważam, że numer jeden w lubelskiej konspiracji, człowiek niezmiernie poważny i powszechnie szanowany”. Sposób zorganizowania przez niego całej struktury podziemnej minimalizował ryzyko „wpadki”. Polegał na tym, że tylko Jan Magierski miał kontakt ze wszystkimi ogniwami - redakcją, drukarnią, kolportażem, żadne z ogniw nie miało bezpośredniego kontaktu pomiędzy sobą, była to struktura „piętrowa”, tak było przynajmniej do roku 1988. Jan Magierski odbierał makietę z redakcji i przekazywał do drukarni bądź sam drukował pismo, potem oddawał cały nakład do kolportażu, do kolporterów „górnego piętra”, którzy rozrzucali nakład do kilku punktów odbioru/skrzynek w mieście. Stamtąd kolporterzy niższych pięter dzielili nakład na

części, pomiędzy siebie, i tak, aż do pojedynczego odbiorcy, z użyciem skrytek i hasel. Przy takim systemie najbardziej narażony na represje był sam Jan Magierski. W razie „wpadki” ryzykowały, co najwyżej, dwie osoby i jeśli nie były „gadatliwe” czy strachliwe, konsekwencje karne nie dotyczyły innych uczestników podziemia. Kłopotem mogło być przeorganizowanie struktury po „wpadce”, znalezienie nowych ludzi i skrzynek kontaktowych.

Wygląda na to, że nawet sam Jan Magierski, mimo ustalenia i przestrzegania ścisłych zasad konspiracji, nie mógł oprzeć się upodobaniu do „bibuły”. SB raportuje: „(...) W dniu 3.07.br. [1984 - E.P.] Wydział III realizując przedsięwzięcia w ramach prowadzonej sprawy operacyjnego rozpracowania dokonał przeszukań u następujących osób: Jan Magierski - pracownik naukowy Akademii Rolniczej w Lublinie, zam. Lublin, ul. Pozytywistów 3/45, u którego zakwestionowano 26 różnego rodzaju nielegalnych pozycji, [nie sposób dzisiaj stwierdzić czy były to publikacje prasowe czy książkowe - E.P.] (...) Zakwestionowane materiały u wyżej wymienionych osób nie dały podstaw do wszczęcia postępowania przygotowawczego”.

Pod koniec roku 1982 Jan Magierski skontaktował się z Wojciechem Guzem, świeżym absolwentem Akademii Rolniczej i przeszkolił go w druku na sicie.

Guz przed wprowadzeniem stanu wojennego był szefem NZS w AR, a potem uczestniczył w reaktywowaniu międzyuczelnianych struktur NZS i utworzeniu Międzyuczelnianego Komitetu Oporu NZS Uczelni Lubelskich (MKO NZS UL). Studenci wydawali wówczas pisemko „Biuletyn Informacyjny NZS Uczelni Lubelskich”, początkowo na ramce i sicie, potem na ręcznym powielaczu białkowym, a w połowie 1982 r. otrzymali białkowy powielacz elektryczny marki gestetner, który, jak pisze W. Guz w swojej relacji „służył bardzo długo, potem również „Informatorowi”, „Spotkaniom””. Służba Bezpieczeństwa dokonała nawet przeszukań u kilku członków MKO NZS UL 16 lutego 1983 roku. Znalaziono wtedy papier, farby, matryce, negatywy. Sytuacja mogła się wydawać groźna, gdyż, jak pisano w raporcie SB: „ (...) Osoby, u których ujawniono większą ilość papieru oraz farbę drukarską zeznały, że dysponentem tych materiałów jest ob. Wojciech Guz. Natomiast sam Guz stwierdził, że materiały te otrzymał od bliżej nieznanego mu „Janusza”, który prosił o ich przechowanie i miał się po nie zgłosić w odpowiednim czasie. Jest to oczywiste kłamstwo, brak było jednak możliwości udowodnienia w/w mówienia nieprawdy. W tej sytuacji w związku z upływem 48 godzin od chwili zatrzymania ob. Guz zwolniony został do domu”. Od początku roku 1983 W. Guz rozpoczął próby druku na sicie dla „Informatora”.

Trudno w tej chwili ustalić, od kiedy zaczęła funkcjonować druga drukarnia zorganizowana dzięki Markowi Gorlińskiemu w domu jego kolegi Janusza Rucińskiego na ul. Nowogrodzkiej 27. Zajmował się nią Andrzej W, który odmówił nagrania relacji. Z jego opowiadania wynikało, że Waław Wasilewski, aresztowany za kolportaż 13 maja 1985 r., odbierał cały nakład „Informatora” od niego. czyli, że drukarnia na Nowogrodzkiej 27 musiała już wtedy istnieć. Według Gorlińskiego drukarnia ta miała maszynę offsetową i w tym miejscu istniała przez 3 lata.. Pracowali w niej Janusz Ruciński, Bernard Nowak, Lech Klimkowski [nie udało się uzyskać o tej osobie bliższych informacji - E.P.] i Andrzej W. Oprócz druku „Informatora” i „Biuletynu FSC”, redagowanego przez Bernarda Nowaka, drukowano też książki, zarówno dla

„Biblioteki Informatora”, jak i innych niezależnych wydawnictw lubelskich, były to zlecenia, za które otrzymywano pieniądze, co było ważne, gdyż praca odbywała się często w nocy, przez pięć lub sześć dni w tygodniu. Bernard Nowak prowadził też kolportaż niezależnych wydawnictw przywożonych, jak wspomina z Krakowa i Szczecina, ale Służba Bezpieczeństwa sporządziła jego „Charakterystykę”, w której: „występuje jako łącznik nielegalnej prasy pomiędzy Warszawą a Lublinem.

Była też trzecia drukarnia, z powielaczem czeskim „Cyklos” na ul. Króla Leszczyńskiego, w której drukowali, wg Wiktora Tomasza Grudnia, między innymi Grzegorz Linkowski i jego siostra Ewa Kuźma, prowadzona przez Daniela Siustę. Niestety nie radzono sobie ani z drukiem, ani z organizacją pracy, a powielacz prawdopodobnie technicznie się zużył. Brali klisze sitodrukowe do każdego numeru „Informatora”, nie drukowali go jednak, a nie chcieli się do tego przyznać. Wpadli w końcu 22.09.1982 r. z wydrukiem i „rozpiską” kolporterską, co spowodowało konieczność przebudowy części struktury kolportażu. Oczywiście drukowano nie tylko „Informator”, ale i gazetki fabryczne, gazetki studenckie, gazetki dla rolników redagowane od początku, żeby, jak pisze Jan Magierski, „zostawić ludziom nadzieję, że choć w postaci pojedynczych kartek, ale te gazetki jeszcze się ukazują”.. Wojciech Guz podaje, że jedną z pierwszych prac w druku, firmowanych przez Związek, była mutacja lubelska „Tygodnika Wojennego”, potem lubelska mutacja „Tygodnika Mazowsze”, a także wspomina druk „Biuletynów FSC” i „Solidarności Nauczycielskiej”. Od maja 1982 r. zaczęło wychodzić pismo „Miesięcznik. Opinie, komentarze, analizy (Niezależne pismo) NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni, Lublin”, które miało odpowiadać na zapotrzebowanie środowisk niezależnych na wydawanie czasopisma ambitnego, redagowanego siłami miejscowymi, także uniwersyteckimi, dotyczącego spraw lokalnych i będącego następcą legalnie wydawanych przez Region Środkowo-Wschodni, przed stanem wojennym, „Miesiące”.

Opinię o różnorodności publikacji wykonywanych w jednej drukarni możemy wyrobić sobie na podstawie „znaleziska” SB z listopada 1987 r.: „W Zalewie Zemborzyckim w Lublinie [sztuczny akwen usytuowany na obrzeżach miasta - E.P] ujawniono i zabezpieczono torbę z tkaniny z metalowymi matrycami służącymi do druku nielegalnych wydawnictw tj.:

- Informator „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni Lublin od nr 93-111,
- „Kontra” nr 1 - pismo Niezależnej Rady Oporu,
- „Ziarno” - pismo „Solidarności” Rolników Indywidualnych - Zamość 85.01.31
- „Kierunek” - pismo Komitetu Porozumienia Międzyzakładowego „S” nr 31 z 1983.12.12
- „Miesięcznik” - opinie, komentarze, analizy - pismo „Solidarności” Regionu Środkowo-Wschodniego od nr 15 do 18 z 1984 r.
- Ulotek sygnowanych przez TZR „S” Lublin i Liberalno-Demokratyczną Partię „Niepodległość” Oddział Lublin.

Nie sposób dzisiaj dojść, kto i dlaczego wrzucił torbę z matrycami i do Zalewu Zemborzyckiego.

„Informator” kolportowany był bezpłatnie, poprzez kolportaż wpływały dobrowolne wpłaty czytelników, kwitowane w każdym numerze gazety. Nie płacono też honorariów autorskich, chociaż, w ostatnich latach, gdy dla niektórych osób stanowiło to źródło utrzymania, płacono im za teksty. Kiedy działalność wydawnicza i

drukarska środowiska „Informatora” rozwinęła się, płacono także za druk, gdyż zajęć było tak dużo, że wykluczały możliwość pracy zarobkowej, Wojciech Guz podaje, że za druk „Tygodnika Wojennego” w 1983 roku, ekipa drukująca otrzymywała pieniądze ze środków związkowych. Także, kiedy zaczęto drukować książki [czyli przypuszczalnie także od roku 1983 – E.P.] były już pieniądze, którymi płacono drukarzom za druk, zwracano koszty benzyny i można było kupować papier. „Informator” ukazywał się w nakładzie do 8.000 egz. i, periodycznie, powiększał swoją objętość.

O dyscyplinie finansowej w „Informatorze” niech świadczy fakt, że po wyborach 4 czerwca 1989 roku, zaoszczędzone pieniądze w złotówkach, które po wymianie na walutę (w celu uniknięcia skutków panującej wówczas inflacji) wynosiły: 3175 dolarów USA, 165 dolarów kanadyjskich, 165 marek RFN, 4 bony PeKaO [1 bon PeKaO zastępował 1 dolara USA w obrocie wewnętrznym – E.P.], przekazano je Fundacji „Solidarności” Regionu Środkowo-Wschodniego. Następnego dnia ktoś dokonał włamania do kasy i pieniądze zostały skradzione. Z niezapisanych relacji uczestników „Informatora” wynika, że wiedziano, kto to zrobił, ale ponieważ nie można było tego udowodnić, zrezygnowano z dochodzeń. Papier, w początkowym okresie, kupowano w niewielkich ilościach, w sklepach i otrzymywano go poprzez kanały kolportażu, od odbiorców pisma. Każdy kolporter miał obowiązek pozyskiwania papieru w biurach i zakładach pracy. Członkowie „Solidarności” w Lubelskim Przedsiębiorstwie Produkcji Betonów „Prefabet” w Lublinie zgromadzili 770 ryz papieru w formie A-2, można przypuszczać, że z myślą o przekazaniu go na cele drukowania w podziemiu.

Trudno ustalić, od kiedy, Wojciech Guz podaje, że w połowie lat osiemdziesiątych, utworzył się „czarny rynek” papieru i on sam kupował ogromne ilości z hurtowni w Zamościu. Bernard Nowak wspomina, że drukarnia prowadzona przez Andrzeja W. korzystała z papieru organizowanego przez W. Guza. W 1985 roku SB sporządziła informację o ilościach papieru wprowadzonych na rynek lubelski przez Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Handlu Wewnętrznego w Lublinie, przytoczę tylko niektóre liczby, gdyż można przypuszczać, że spora część tych dostaw trafiała do drukarni podziemnych:

„[do]sklepów prowadzących sprzedaż pozarynkową [przedsiębiorstwa – E.P.] i rynekową [dostarczono] łącznie:

- papieru kserograficznego – 56, 1 t (w tym Lublin 43,2 t)
- papieru powielaczowego – 4,8 t (w tym Lublin 2,4 t)
- papieru piśmiennego – 94,0 t (w tym Lublin 60,1 t)”

Do tego dochodziły dostawy papieru przychodzące z pominięciem hurtowni, np. do FSC 768 ryz papieru ksero A-4 i 256 ryz papieru ksero A-3, do WSK Świdnik 256 ryz papieru ksero A-4 i 128 ryz papieru A-3, Zakłady Metalurgiczne „Ursus” 512 ryz papieru ksero A-4, Studencka Spółdzielnia Pracy „Juwentus” – 512 ryz papieru A-4, LSS „Społem” w Lublinie 720 ryz papieru powielaczowego A-4. W informacji tej położono szczególny nacisk, na to, że WPHW w Lublinie nie rozprowadza papieru do drukowania. Przeprowadzono kontrole w sklepach, w wyniku których stwierdzano poważne uchybienia w prowadzeniu rejestracji sprzedaży kalki hektograficznej i matryc, brak zamówień i upoważnień do odbioru papieru, sprzedaż papieru bez zamówień, dopisywanie przez zaopatrzeniowców na zamówieniach innych

asortymentów papieru, realizowanie zamówień niepodpisanych przez osoby upoważnione i nieposiadających pieczętek, niesprawdzanie dowodów osobistych osób dokonujących zakupu papieru. Zalecono ściślejsze kontrolowanie sklepów papierniczych i spowodowanie kontroli wykorzystania papieru w dużych instytucjach.

Jan Magierski pisze o Andrzeju Kaczyńskim z Warszawy, który organizował ogromne ilości papieru dla podziemia, że nazywano go Mafiozo Papierozo. Informacje dotyczące Andrzeja Kaczyńskiego znalazły się w aktach sprawy operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Sieć”, dotyczących „prowadzenia nielegalnej propagandy politycznej w środowisku UMCS”, którą objęci byli: Jadwiga Mizińska, Sabina Magierska [żona Jana Magierskiego - E.P], Zygmunt Kozicki, Anna Łukowska i Bogusława Kaczyńska - żona Andrzeja Kaczyńskiego. W związku z jej osobą napisano o Andrzeju Kaczyńskim, że w latach 1982-1987 zajmował się kolportażem oraz przerzutem literatury bezdebitowej z terytorium Francji do Polski. W lipcu 1986 roku Urząd Celny Szczecin zakwestionował w opakowaniach proszku do prania i artykułach spożywczych 42 pozycje bezdebitowe. Pracował w Warszawie w redakcji czasopisma „Tygodnik Katolicki”. 25 kwietnia 1987 r. dokonano przeszukania w mieszkaniu Kaczyńskich, w czasie którego znaleziono książki, broszury, informatory sygnowane przez „Solidarność”. Bogusławę Kaczyńską uznano winną posiadania literatury bezdebitowej w celu rozpowszechniania i została, przez Kolegium ds. Wykroczeń przy Prezydencie miasta Lublina, ukarana grzywną w wysokości 50.000 zł bez zamiany na areszt. Niewiele wiadomo o farbie, J. Magierski wspomina o przychodzącej przez kolportaż, która rzadko nadawała się do potrzeb druku w warunkach podziemnych, stosowano wynalazek prof. Adama Kerstena, mieszania farby z, popularną wtedy, pastą do prania „Komfort, co pozwalało zmienić parametry farby i zwiększyć, dzięki tej domieszce jej ilość. Dzięki temu prof. Kersten zyskał przydomek „Lord Komfort”. Intensywność zapachu pasty „Komfort” w trakcie lektury „bibuły” mogła przyprawić o zawrót głowy. Warszawskim wynalazkiem do druku na powielaczu, była mieszanka farby offsetowej z pokostem lnianym i olejem, koniecznie, słonecznikowym, gdyż domieszka oleju rzepakowego czy sojowego powodowała rozlewanie się farby i nieczytelność druku. Mieszanka była sporządzana w mikserze domowym i przecierana przez sito. Przypuszczalnie w pożądane rodzaje farby zaopatrywano się także na „czarnym rynku”.

Pierwsze druki w latach 1983-84 wykonywane były techniką sitodrukową, która ustąpiła miejsca powielaczom białkowym, najpierw czeski cyklos, a potem angielski gestetner, który miał naklejkę „Dar z Francji dla młodych katolików”. Około roku 1986 sprowadzono offset, uratowany z Zarządy Regionu i przechowywany pod słomą. W 1987 roku, za pośrednictwem Wojciecha Samolińskiego przyszła ze Szwecji amerykańska maszyna offsetowa AB-Dick.

Jednak nie druk był najważniejszy w tym czasie, np. urządzenie do sitodruku można było wykonać sposobem domowym, ale wprowadzenie komputera, który pozwalał na wykonanie składu dowolnie małymi literami, a przy tym czytelnego, był to krok milowy w produkcji „bibuły”.

Bardzo intrygujące wydaje się śledztwo z 9 sierpnia 1982 r., dotyczące ukrytego 14 grudnia 1981 r. powielacza Komisji Zakładowej Przedsiębiorstwa „Polmozbyt”, który, jakoby miał być wykorzystywany do produkcji biuletynów „Solidarności” Regionu Środkowo-Wschodniego [SB często podawało nazwę „Informatora”, jako

biuletyn - E.P.]. SB prowadziła w związku z tym, jakieś rozmowy, w trakcie których uzyskano informacje wskazujące na miejsce przechowywania powielacza i sugestie, co do miejsca jego ukrycia [nasuwa się wniosek, że były to po prostu donosy ze strony pracowników Przedsiębiorstwa „Polmozbyt” - E.P.]. 9 sierpnia 1982 roku zatrzymano i osadzono w areszcie Jerzego Leziaka, pracownika tego przedsiębiorstwa. Najprawdopodobniej powielacza nie znaleziono i Jerzy Leziak został, zamiast za powielacz, skazany za kolportaż podziemnych wydawnictw, tym bardziej, że nieco wcześniej, 15 lipca 1982 r. aresztowany z podejrzeniem o kolportaż, został pracownik tego samego przedsiębiorstwa Witold Robak, którego sprawa zostanie omówiona w dalszej części pracy Potwierdzeniem dla teorii o donosie ze strony kolegów Leziaka jest informacja SB mówiąca, że Leziak „(...) Podejrzany jest o to, że w okresie po 13 XII 1981 r. będąc członkiem zawieszzonego NSZZ „Solidarność” nie zaprzestał działalności, lecz ją kontynuował w ten sposób, że gromadził, rozpowszechniał biuletyny i informatory Regionu Środkowo-Wschodniego. Zarzuty oparto na zeznaniach świadków, którzy potwierdzili kolportaż na terenie zakładu oraz to, iż zlecał innym osobom przewożenie powielacza [podkreślenie moje - E.P.]. Podejrzany nie przyznał się do popełnienia zarzucanego mu czynu”. Nie udało się dotrzeć do informacji, co do dalszych losów Jerzego Leziaka. „Wpadka” nie ominęła, niestety, transportu z Belgii do Lublina, powielacza elektrycznego „gestetner-466”. Według Jana Magierskiego transport ten był „namierzony” już w Belgii przez agentów tam działających. 21.08.1983 roku transport zawierający: powielacz elektryczny „gestetner-466”, 20 puszek farby drukarskiej o poj. 1 l każda, dwie role papieru do matryc, trzy ryzy papieru do pisania na maszynie, dwie ryzy papieru przebitkowego i 3 flakoniki z korektorem, dotarł do Lublina i został rozładowany na posesji przy ul. Ogrodowej 12-14, należącej do Kurii Biskupiej w Lublinie, administrowanej przez ks. Jerzego Ważnego. Po odjechaniu cudzoziemców dokonano przeszukania na tejże posesji i u kilku innych osób. 23 sierpnia 1983 roku SB informuje, że: „(...) Wydział Śledczy WUSW w Lublinie w dniu dzisiejszym wystąpił do Prokuratury z wnioskiem o wszczęcie śledztwa w trybie zwykłym i przedstawienie zarzutów usiłowania popełnienia występku określonego w art. 271 § 1 kk i zastosowania aresztu tymczasowego wobec: Jerzego Ważnego ks. z Lublina oraz Stanisława Machnika. Zebrane w sprawie materiały jednoznacznie wskazują, że zorganizowali nielegalny punkt poligraficzny z zamiarem drukowania i kolportowania nielegalnych wydawnictw godzących w podstawy PRL. W stosunku do Stanisława Machnika Prokurator zastosował areszt tymczasowy, natomiast wobec ks. Jerzego Ważnego decyzja zostanie podjęta w dniu dzisiejszym”. Ks. Jerzy Ważny został 23.08.1983 r. zwolniony do domu, a 24 sierpnia 1983 r. nastąpiła w jego sprawie interwencja Wikariusza Generalnego Kurii Biskupiej w Lublinie ks. Mieczysława Bochyńskiego u Dyrektora Wydziału ds. Wyznań. Ks. Bochyński twierdził, że ks. J. Ważny nie był zorientowany, że przejął urządzenie poligraficzne i wobec Dyrektora Wydziału ds. Wyznań zganił przyjmowanie przez ks. Ważnego nieznannej przesyłki. Ostatecznie zarzuty przedstawiono Stanisławowi Machnikowi, Włodzimierzowi Blajerskiemu i ks. Jerzemu Ważnemu, ale potem, jak informuje SB: „(...) Postępowanie wobec J. Ważnego umorzono w dniu 28.04.1984 r. wobec braku dostatecznych dowodów winy”.

Śledztwo w sprawie Machnika i Blajerskiego dołączono do śledztwa, które prowadzono przeciwko nim, jako członkom Tymczasowego Zarządu Regionu (TZR) Regionalnej Komisji Koordynacyjnej NSZZ „S” w Lublinie. 14 lipca 1984 r. śledztwo to

zostało zamknięte, a materiały postępowania wraz z aktem oskarżenia skierowano do Sądu Wojewódzkiego w Lublinie.

Aktem oskarżenia objęto ostatecznie 7 osób: Stanisława Machnika za przejęcie powielacza „gestetner-466”, Włodzimierza Blajerskiego, za działalność w lubelskim podziemiu „Solidarności”, Janusza Mazurka za redagowanie ulotek „Solidarności” i kierowanie wczasami dla internowanych w Kazimierzu Dolnym, Krzysztofa Stanowskiego za członkostwo w Tymczasowym Zarządzie Regionu, kierowanie sprawami finansowymi i szkolenie młodzieży, Annę Meszyńską za to, że była łączniczką między członkami TZR i organizowała lokale na posiedzenia TZR i dla poligrafii, Sławomira Kozłowskiego za organizację wczasów dla internowanych i zbieranie materiałów do ankiety o „zdecydowanie antysocjalistycznym charakterze” i Pawła Frąka za to, że „był głównym koordynatorem kolportażu prasy związkowej podziemnych struktur „Solidarności”. Na mocy amnestii, 25 lipca 1984 roku zwolniono z aresztu Machnika, Mazurka i Blajerskiego, 26 lipca – Meszyńską, Stanowskiego i Kozłowskiego. Miejsca, w których ustawiano powielacze, to dowód na nieskrępowaną fantazję. Jan Magierski złamał „spotkaniową” regułę druku „w chacie za wsią”. Umieszczał powielacze (są to dość głośne urządzenia elektryczne), tam gdzie hałasu albo nie było słyhać, czyli w domkach jednorodzinnych, lub łączył się z innymi hałasami, w blokach i dużych kamienicach (np. w licznie zasiedlonej kamienicy przy ul. Lubartowskiej). Miało to jeszcze jedną zaletę – wchodzący czy wychodzący człowiek z paczką lub torbą, w dużym zbiorowisku ludzkim nie budził podejrzeń. Wojciech Guz miał, przejściowo, powielacz umieszczony w maszynowni windy. Miejsc, w których odbywał się druk nie sposób już dziś ustalić, było ich tak wiele, że sami drukarze ich nie pamiętają. Wojciech Guz pisze ciepło o ludziach, którzy udostępniali swoje domy na podziemne drukarnie „(...) były takie lokale, gdzie siedzieliśmy nawet rok, wielu oddanych bezimiennych ludzi, którym nikt do dzisiaj nie podziękował służyło nam bezinteresowną pomocą (m.in. u państwa Pukosów na Świcie [dzielnica Lublina – E.P.], pani Capały na ul. Kossaka).

Kolportaż, jak już wspomniano wcześniej, miał strukturę szczeblową, minimalizującą ryzyko. Kolporter otrzymywał od Jana Magierskiego informację o możliwości odbioru nakładu „Informatora” i miejscu, w którym miał spotkać się z dostawcą, zawsze było to miejsce „gdzieś w mieście”. Od dostawcy otrzymywał „towar” szybko przeładowywany z samochodu do samochodu i adresy, na które należało zawieźć przesyłkę. Franciszek Bujak relacjonuje, że odjeżdżał z miejsca odbioru, zatrzymywał się dalej, zapoznawał z adresami i ustalał sobie trasę, którą miał pokonać. Kolportaż zajmował mu jeden wieczór, najczęściej był to poniedziałek. Oprócz prasy, kolportowane były wydawnictwa książkowe z całej Polski lub nawet z zagranicy. Procedura była dość bezpieczna, niemniej zdarzały się „wpadki” i te pomniejsze w zakładach pracy i wielka Franciszka Bujaka i Wacława Wasilewskiego.

Lata 1982 i 1983 charakteryzowały się większą aktywnością Służby Bezpieczeństwa w tropieniu niezależnej działalności wydawniczej, zapał ten opadł po amnestii 22 lipca 1984 roku i nigdy nie powrócił do dawnej intensywności. W „Informacjach sytuacyjnych” SB z lat 1982 i 1983, niemal codziennie notowane są ujawnienia ulotek, gazetek, biuletynów.

Ta gorliwość, a także sprytne umieszczanie przez SB w zakładach pracy tajnych współpracowników, owocowało licznymi, w tych latach, rewizjami i aresztowaniami. Wspomniana wcześniej sprawa Witolda Robaka z Przedsiębiorstwa „Polmozbyt” była

o tyle poważna, że w trakcie przeszukania u niego znaleziono, jak pisze SB: „Schemat organizacyjny sieci kolporterów oraz wykaz zakładów, do których dostarczane są nielegalne wydawnictwa „S””. Połączenie sprawy W. Robaka, z także wcześniej wspomnianą, sprawą powielacza ukrywanego przez Jerzego Leziaka, dało Służbie Bezpieczeństwa asumpt do stworzenia własnej teorii organizacji działalności wydawniczo-poligraficznej podziemia, którą sformułowano w „Informacji sytuacyjnej z 9 sierpnia 1982 r. „(...) Uzyskane informacje wskazują również na możliwość powstania na terenie m. Lublina nielegalnych wykonawczo-kolportażowych grup „S” o dzielnicowej strukturze zadaniowej. Grupy te o liczebności 3 do 4 osób działają mają na zasadzie głębokiej konspiracji (bez wzajemnych powiązań personalno-zadaniowych) i realizować zadania programowe z „S”, począwszy od wykonawstwa do kolportażu wrogich ulotek, napisów i wydawnictw „S”. Analiza ta była prawdziwa tylko w niewielkiej części, przeceniano liczebność struktur podziemnych, wyciągano zbyt daleko idące wnioski, i możliwe, że temu należy przypisywać niepowodzenia SB w walce z niezależnym ruchem wydawniczym. 30 sierpnia 1982 r. u Bogdana Wójcickiego „ujawniono i zlikwidowano nielegalny punkt poligraficzny” - znaleziono u niego dziecinną drukarenkę, „Informatory Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność” [nie podano ilości - E.P.], schematy urządzeń elektrycznych, materiały żrące i dymne oraz pisane odręcznie „Wyroki śmierci sądu polowego Polskiej Organizacji Narodowo-Wyzwoleńczej”. Postanowiono to wykorzystać w mediach [nie zostało ustalone czy do tego doszło - E.P.]. Rozprawa odbyła się 21 kwietnia 1983 r. w Sądzie Rejonowym w Lublinie, który, na szczęście, nie potraktował dziecinnej drukarenki, jako urządzenia poligraficznego, i Wójcicki odpowiadał za gromadzenie, przechowywanie i rozpowszechnianie druków sygnowanych przez „Solidarność” oraz uczestnictwo w zebraniach Związku, ale zapadł, i tak, surowy wyrok - 1 rok pozbawienia wolności.

Z Lubelskiej Fabryki Wag, 29 września 1982 r., zatrzymany został Jerzy Miąc. W jego mieszkaniu i pomieszczeniach służbowych znaleziono kilkadziesiąt pozycji niezależnych wydawnictw, farbę drukarską, chemikalia poligraficzne. Razem z nim aresztowano Jerzego Grodeckiego z Zakładów Metalurgicznych w Lublinie za kolportaż i rozpowszechnianie wydawnictw solidarnościowych. Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego Oddział Zamiejscowy w Lublinie wymierzył, na mocy Dekretu o stanie wojennym, za działalność w NSZZ „Solidarność” poprzez kolportowanie i rozpowszechnianie jego wydawnictw: Jerzemu Miącowi karę 2 lat pozbawienia wolności w zawieszeniu na 5 lat i grzywnę w wysokości 100 tys. złotych, i oddał go pod dozór kuratora sądowego. Jerzemu Grodeckiemu karę 3 lat pozbawienia wolności, 65 tys. zł grzywny i oddał go pod dozór kuratora sądowego [wynika z tego, że nie była to kara bezwzględnego pozbawienia wolności, tylko też kara z jakimś okresem zawieszenia, sądząc po kurateli sądowej, którą otrzymał również Grodecki - E.P.] i Andrzeja Wołodkiewicza [nie był wcześniej wymieniany w dostępnych mi dokumentach - E.P.] na 1 rok pozbawienia wolności w zawieszeniu na 2 lata i 35 tys. zł grzywny.

„Wpadka” w Kombinacie Maszyn Rolniczych „Agromet” w Lublinie nastąpiła 19 października 1982 r. Znaleziono pojedyncze egzemplarze „Informatory” czasopisma studenckiego „Enklawa” i 20 egz. kalki matrycowej. Ustalono i aresztowano osoby zajmujące się kolportażem: Henryk Prucnal, Lucjan Cebula, Mieczysław Borkowski, Marek Gieroba i Krzysztof Styliński. 21.10.1982 r. Gieroba,

Cebula, Borkowski i Prucnal zostali aresztowani. Dopiero 21 lipca 1983 r. uchylono wobec nich areszt tymczasowy, przesiedzieli 9 miesięcy. Na podstawie amnestii z 22 lipca 1984 r. Sąd Rejonowy w Lublinie umorzył wobec nich postępowanie.

Rok 1984 zaznaczył się jednym poważniejszym aresztowaniem, 28 czerwca dokonano 4 przeszukań, w wyniku, których znaleziono i zakwestionowano 173 wydawnictwa w postaci informatorów i biuletynów i 47 wydawnictw broszurowych, zatrzymano na 48 godzin Ryszarda Hordejuka z KUL i Annę Truskolaską, pracownicę Biblioteki Uniwersyteckiej KUL. Anna Truskolaska, która pracowała w wypożyczalni Biblioteki Uniwersyteckiej KUL prowadziła tam punkt kolportażu prasy i książek, a także rodzaj biura informacji. Wielu studentów i księży z całej Polski przywoziło prasę i informacje, które Truskolaska opracowywała, m. in. dla potrzeb „Informatora”. „Wielka wpadka” Wacława Wasilewskiego i Franciszka Bujaka poprzedzona była „wpadką” członków Podziemnej Komisji Zakładowej FSC przed Bożym Narodzeniem 1984 r.

Franciszek Bujak był kolporterem „górnego piętra” od 1983 roku, jak pisze sam o sobie, był „kolporterem hurtowym”, odbierał 100-150 kg „Informatora”, który dostarczał do dużych lubelskich zakładów pracy: FSC, Fabryki Maszyn Rolniczych „Agromet”, Lubelskich Zakładów Naprawy Samochodów, Przedsiębiorstwa Zielarskiego „Herbapol”, a także na KUL i UMCS, do Kraśnika, Zamościa, Chełma i Tomaszowa Lubelskiego.

W Podziemnej Komisji Zakładowej FSC, która prowadziła też kolportaż „Informatora” i „Biuletynu FSC”, był konfident. Potwierdzeniem tego faktu mogą być adnotacje w „Informacjach sytuacyjnych” SB. Przy prawie każdym nowo pojawiającym się numerze „Informatora” była informacja o przejęciu jego egzemplarza z FSC. Informację o donosicielu w FSC podaje też w swojej relacji Marek Gorliński, pisze, że miał kontakt z pracownikiem FSC, który mieszkał na Tatarach [dzielnica Lublina - E.P.], który później okazał się „wtyczką”.

Jak wcześniej wspomniano, dostarczaniem gazet do FSC zajmował się Franciszek Bujak. Od początku 1985 r. poddano go intensywnej inwigilacji i musiał zawiesić od maja 1985 r. wykonywanie kolportażu, jego zadania przejął Wacław Wasilewski. Jan Magierski relacjonuje, że „wpadka” Wacława Wasilewskiego nastąpiła na skutek donosu męża kobiety odbierającej gazety do kolportażu, nie ma na to dostatecznych dowodów w dokumentach SB, ale możliwe, że tak było. Wacława Wasilewskiego zatrzymano przy wejściu do mieszkania Grażyny i Andrzeja Grądzielewskich, 13 maja 1985 r.

Grądzielewska była pracownicą Lubelskich zakładów Naprawy Samochodów, oświadczyła, że odbierała „Informatory” na hasło, w swoim mieszkaniu, od nieznanego sobie mężczyzny i zostawiała w pracy, na swoim wydziale, w toalecie. Przy Wacławie Wasilewskim znaleziono, wg informacji SB, 4.050 egz. „Informatora NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni”, 14 egz. broszury pt. „Rozmowy polskie latem 1983 r.”, 1 egz. czasopisma „Spotkania” z 1980 r., 20 egz. „Biuletynu Informacyjnego Kolejarzy „Solidarność” nr 16, Lublin, kwiecień 1985 r. i inne, pojedyncze egzemplarze prasy i ulotek. 14 maja 1985 r. Prokurator Rejonowy dla m. Lublina zastosował wobec Wasilewskiego areszt tymczasowy na 3 miesiące. Dokonano licznych przeszukań, przede wszystkim wśród pracowników Lubelskich Zakładów Naprawy Samochodów. Na podstawie dostępnych materiałów nie można w chwili obecnej jednoznacznie stwierdzić, kto w trakcie śledztwa podał nazwiska osób

odbierających prasę do kolportażu.

Z relacji Jana Magierskiego wynika, że „wpadka” Franciszka Bujaka była wynikiem tego, że w podziemiu nie zorientowano się, w którym punkcie kolportażu miała miejsce „wpadka” Wasilewskiego i poszedł tam Bujak, który także „wpadł”. Trudno przyjąć tę tezę, gdyż jedną „wpadkę” od drugiej dzieliły prawie dwa miesiące (Wasilewski - 13 maja 85 r., Bujak 11 lipca 85 r.). Sam Franciszek Bujak relacjonuje, że zatrzymano go we własnym mieszkaniu, przy ul. Glinianej, po rewizji, w czasie której niczego nie znaleziono, a mimo to przewieziono go do Komendy Wojewódzkiej Milicji, a potem do aresztu na ul. Północną. Prokurator Rejonowy dla m. Lublina zastosował wobec niego areszt na okres 3 miesięcy i przewieziono go do zakładu karnego na ul. Południową w Lublinie. Potwierdzeniem tej tezy może być informacja SB z 12 lipca 1985 r.: „W dniu 11 bm. Franciszkowi Bujakowi, adiunktowi Instytutu Medycyny Wsi w Lublinie przedstawiono zarzuty z art. 45 ustawy z dnia 26.01.1984 r. - prawo prasowe (Dz. U. Nr 5 z 7.02.1984 r.) i art. 282a § 1 kk w związku z art. 10 § 2 kk. Wymieniony podejrzany jest o to, że od jesieni 1983 r. do kwietnia 1985 r. rozpowszechniał bez wymaganego zezwolenia pisma sygnowane przez b. NSZZ „S” mające na celu wywołanie niepokoju publicznego. Zarzut został w wysokim stopniu uprawdopodobniony zebraniem materiałem dowodowym w sprawie, a zwłaszcza podmówieniami innych współpodejrzanych [podkreślenie moje - E.P] F. Bujak do zarzutów nie przyznał się i odmówił składania wyjaśnień. Wobec Bujaka Prokurator Rejonowy w Lublinie zastosował areszt tymczasowy na okres 3 miesięcy”. Już 22 maja 1985 r. zebrała się Rada Wydziału Biologii i Nauk o Ziemi UMCS i podjęła uchwałę postulującą zwolnienie z aresztu śledczego dr. Wacława Wasilewskiego, który był pracownikiem tegoż Wydziału. Poręczenie społeczne przyjął na siebie dziekan Wydziału prof. dr hab. Eugeniusz Gąsior. Interwencję w sprawie Franciszka Bujaka podjęła prof. dr hab. Halina Koźniewska - dyrektor Instytutu Neurochirurgii Akademii Medycznej w Lublinie, w tym czasie członek Rady Państwa.

Służba Bezpieczeństwa i Prokuratura Rejonowa dla m. Lublina były tą sprawą żywo zainteresowane, prowadził ją prokurator Lucjan Bluj. Rozprawa przeciwko Wasilewskiemu i Bujakowi miała odbyć się 19 września 1985 r. w Sądzie Rejonowym w Lublinie, ale została odroczone bez podania terminu następnej, powodem było nie dowiezienie z aresztu współoskarżonego Franciszka Bujaka, co oznaczało przedłużenie obu aresztu, co najmniej do momentu wyznaczenia następnego terminu rozprawy. Ponadto prokurator wniósł odwołanie od decyzji Sądu Rejonowego w Lublinie o uchylenie wobec Franciszka Bujaka aresztu tymczasowego. Zwolnienie Bujaka z aresztu nastąpiło dopiero 19 listopada 1985 r. w ramach „stosowania indywidualnych aktów łaski wobec osób aresztowanych za przestępstwa przeciwko państwu”. Żona F. Bujaka spodziewała się piątego dziecka.

Ostatecznie rozprawa w Sądzie Rejonowym w Lublinie odbyła się 27 grudnia 1985 r., poprzedzona zmianą sędziego prowadzącego rozprawę. Sędzia Michalski, który wcześniej wniósł o uchylenie aresztu wobec F. Bujaka została zastąpiony przez młodego sędziego z Białej Podlaskiej. Sąd, uznając winę obydwu, skazał Wacława Wasilewskiego na dwa lata pozbawienia wolności i przepadek samochodu osobowego fiat 126 p, zaś Franciszka Bujaka na dwa lata pozbawienia wolności, w zawieszeniu na 4 lata. Co prawda, w informacji dotyczącej sytuacji społeczno-politycznej, SB pisano, że „(...) Rozprawa przebiegała bez zakłóceń. Uczestniczyło w niej ok. 80 osób

w tym m.in. amnestionowani aktywni działacze byłej „S” jak Blajerski Włodzimierz, Mazurek Janusz”, lecz w aktach sprawy Wacława Wasilewskiego znajduje się adnotacja: „(...) rozprawa przeciwko W. Wasilewskiemu i F. Bujakowi przed sądem I instancji była zabezpieczona nieprawidłowo, czego efektem była obecność na niej niektórych działaczy podziemnych struktur „S”, przekazanie kwiatów oskarżonym i ich pozdrawianie”. Było to poważne uchybienie, tym bardziej, że 29.04.1986 r. Sąd Wojewódzki w Lublinie uchylił wyrok Sądu Rejonowego, uzasadniając uchylenie uchybieniami proceduralnymi i przekazał sprawę do ponownego rozpoznania przez sąd I instancji. Za poręczeniem rektora UMCS, 29 kwietnia 1986 r., Wacław Wasilewski opuścił areszt.

SB zabezpieczyła się przed zapadnięciem „niewłaściwego” wyroku – miał miejsce „fakt osobistego konsultowania rozstrzygnięcia rewizyjnego sprawy przez Z-cę Szefa WUSW płk mgr A. Chochorowskiego z Prezesem Sądu Wojewódzkiego w Lublinie mgr Z. Markowskim. Przygotowano także „Plan przedsięwzięć operacyjnych mających na celu zabezpieczenie rozprawy rewizyjnej W. Wasilewskiego i F. Bujaka – przed Sądem Rejonowym w Lublinie”, który przewidywał przeprowadzenie rozmowy z Prezesem Sądu Wojewódzkiego, której celem miało być uzyskanie „właściwego składu orzekającego (zarówno sędziego, jak i ławników) oraz uczulenie prowadzącego rozprawę sędziego (sędziego Mieczysława Matwiejczuk – czł. PZPR) na możliwe negatywne zachowania oskarżonych i publiczności, które winno być zdecydowanie przecinane. (...) Zabezpieczyć właściwy skład publiczności w trakcie rozprawy poprzez wprowadzenie na salę rozpraw:

- emerytów MO,
- działaczy PZPR (w porozumieniu z KM PZPR,
- funkcjonariuszy SB, nieznanym członkom opozycji (Wydz. „C”, Wydz. Paszportów) oraz wyeliminować nagrywanie rozprawy”. Czynności te miał wykonać por. Z. Myszala, w terminie do 2 czerwca 1986 r.

Na podstawie ustawy amnestyjnej, uchwalonej przez Sejm 17 lipca 1986 roku umorzono postępowanie przeciwko Franciszkowi Bujakowi i Wacławowi Wasilewskiemu, jednocześnie orzeczono przepadek samochodu fiat 126 p oraz zakwestionowanych czasopism i książek.

Warto jeszcze wspomnieć o „opiece”, jaką otoczył, Prokurator Rejonowy dla m. Lublina pracowników Lubelskich Zakładów Naprawy Samochodów, po odkryciu faktu kolportażu przez wielu z nich niezależnych czasopism i książek. Informacja SB w tej sprawie zostanie przytoczona w całości: „(...) W związku z realizacją przedsięwzięć operacyjnych w sprawie operacyjnego rozpracowania krypt. „Konspiratorzy” dot. konspiracyjnej działalności [,] w dniu 1985-07-18 w godz. 14.00-15.00 na terenie Lubelskich Zakładów Naprawy Samochodów z naszej inspiracji odbyło się spotkanie Prokuratora Rejonowego dla m. Lublina z 17 pracownikami tego przedsiębiorstwa, podejrzanymi o kontynuowanie nielegalnej działalności w ramach konspiracyjnych struktur b. „Solidarności”. Ponadto w spotkaniu brali udział przedstawiciele WUSW w Lublinie oraz aktyw polityczno-administracyjny LZNS. W czasie spotkania zostały omówione przepisy karne, ze szczególnym uwzględnieniem regulacji prawnych (...) dot. nielegalnej działalności a także faktów przestępczej działalności tego typu dot. pracowników LZNS, zatrzymanych lub aresztowanych z tego powodu. Poinformowano również uczestników spotkania, że w dniu 1985-07-24 mogą oni indywidualnie rozmawiać z przedstawicielami Prokuratury i WUSW, którzy będą do ich dyspozycji w

godz. 12.00-16.00". Żaden z pracowników nie skorzystał z oferty.

„Informator” był obecny właściwie wszędzie. Już 3 marca 1982 r. w dzielnicy Lublina, Tatary, znaleziono „Informator” nr 11 datowany na 23 lutego 1982 r. (pierwszy numer po „wpadce” 16.02.1982 r.). Jednym ze sposobów na kolportaż „Informatora”, było rozkładanie go w przedziałach pociągów dalekobieżnych. Pojawienie się każdego kolejnego numeru było odnotowywane przez Służbę Bezpieczeństwa. Do 1989 roku ukazało się 180 numerów „Informatora”, ostatni, 180 numer ukazał się z datą 24 kwietnia 1989 r., po ponownej rejestracji „Solidarności” mającej miejsce 17 kwietnia 1989 r, jego następcą został „Biuletyn „Solidarności” Region Środkowo-Wschodni”.

„Informator Regionu Środkowo-Wschodniego” był nieustannie przedmiotem wielkiego zainteresowania ze strony Służby Bezpieczeństwa, w „Informacjach sytuacyjnych”, co jakiś czas, pojawia się notatka: „(...) W dalszym ciągu prowadzone są działania operacyjno-śledcze zmierzające do ustalenia kolporterów i wykonawców „Informatora””. W 1987 roku przeprowadzono analizę dotychczasowych działań zmierzających do zlikwidowania wydawnictwa. Ujawniono w niej posiadanie czterech tajnych współpracowników, korzystając z ich informacji wykonano szereg przeszukań. Egzemplarze czasopisma poddawane były badaniom w Zakładzie Kryminalistyki KGMO w Wydziale Badań Dokumentów w Warszawie. Zarządzeniem Szefa WUSW w Lublinie powołano specjalną Grupę Operacyjno-Śledczą WUSW w Lublinie, które działania miały zmierzać do „ustalenia miejsca druku „Informatora” oraz pociągnięcia do odpowiedzialności karnej osób związanych z jego wydawnictwem”. Celnie, działania SB, spointował Jan Magierski „(...) z ich profesjonalizmu nigdy nic nie wynikało”.

II.2 Powstanie Biblioteki Informatora - powody powstania, obsada personalna

Posiadanie „mocy przerobowych” pomiędzy drukiem poszczególnych numerów „Informatorów” nie było jedyną przyczyną powstania wydawnictwa Biblioteka Informatora, chciano wydawać publikacje dające szybki dochód, co pozwoliłoby na swobodne wydawanie „Informatora” i „Miesięcznika” – tym pomysłem było wydawanie książek. O doborze tytułów decydowali Jan Magierski i Wojciech Guz, i to oni byli głównymi osobami w wydawnictwie książkowym. Obsługa takiego przedsięwzięcia, ze względu na stopień komplikacji – duże ilości papieru do zadrukowania, arkuszy do zebrania w książkę, konieczność oprawy – wymagała zaangażowania większej liczby osób. Wojciech Guz relacjonuje, że współpracowali z nim koledzy z dawnego NZS: Andrzej Gwóźdź, Grzegorz Biolik, Beata Grzesik, a także Jacek Grzemski i Wiesław Ruchlicki. Jednak, osobą najbardziej zaangażowaną, według Jana Magierskiego „prowadzącą wydawnictwo” – był Wojciech Guz, który „z pozycji na pozycję usamodzielniał się”.

II.3 Środki techniczne, zdobywanie środków na działalność wydawniczą, kolportaż

Biblioteka Informatora nie miała własnych maszyn, korzystała z maszyn, papieru, farb i innych środków należących do „Informatora”. Książki były drukowane początkowo na powielaczach, a od 1986 r. na maszynie offsetowej. Pierwszą książką wydrukowaną na offsecie była „Anatomia smaku” Jacka Żakowskiego, wydana wspólnie z wydawnictwem Fundusz Inicjatyw Społecznych.

Mechanizm finansowania był prosty, było ogromne zapotrzebowanie na literaturę niezależną, wystarczyło zainwestować w druk jednej publikacji, aby po rozkolportowaniu uzyskać środki na następną. Wydawnictwo Biblioteka Informatora rozpoczęło swoją działalność w 1983 r., od broszury z rysunkami satyrycznymi Andrzeja Mleczki, do których dołączono rysunki Piotra Chomy, kolegi W. Guza z NZS, zatytułowanej „Junta juje”. „Bibliografia publikacji podziemnych w Polsce” Józefy Kamińskiej odnotowuje cztery wydania książeczki o tym tytule – warszawskie, jako pierwsze w 1982 r., krakowskie, jako drugie w 1983 r., gdańskie, jako trzecie, także w 1983 r. i wrocławskie, bez podania kolejności wydania, w tym samym, 1983 roku, lubelskiego wśród nich, niestety, nie ma.

Kolportaż publikacji Biblioteki Informatora odbywał się głównie kanałami kolportowania „Informatora”, którego sposób rozprowadzania został omówiony w rozdziale II.1.b. tej pracy. O jego skuteczności może świadczyć fakt, że w trakcie różnych rewizji Służba Bezpieczeństwa znajdowała egzemplarze książek Biblioteki Informatora. Kilka przykładów: już 20 grudnia 1983 r. w trakcie przeszukania w Puławach znaleziono m.in. 3 egz. broszury „Mały konspirator”, w kwietniu 1984 r., w trakcie przeszukania u Janusza Łotwińskiego znaleziono „Wezwania, przesłuchania, rewizje w świetle prawa”, 3 maja 1984 r. w LZNS – A. Steinsbergowa „Widziane z ławy obrończej”, 20 lutego 1985 r., u Krystyny Skoczylas, laborantki w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym w Lublinie znaleziono 22 egz. broszury „Mały konspirator” i 400 egz. różnych czasopism Regionu Środkowo-Wschodniego, w ilości 1-60 egz. każdego numeru [wydaje się, że można wnioskować z tego faktu, iż była kolporterem „niższego piętra” – E.P.]. W 1987 roku, na zlecenie Podsekretarza Stanu w MSW, sporządzano miesięczne zestawienia zakwestionowanych wydawnictw, w zestawieniu za marzec 1987 r. figurują: Maria Byrska „Ucieczka z zesłania” i „Sprawozdanie cenzora WL”.

Wszystkie te działania okazały się bezowocne, po wygranych przez „Solidarność”, wyborach 4 czerwca 1989 r. SB raportowała „(...) Ożywiony ruch notuje się w pobliżu siedziby Komitetu Obywatelskiego „S” w Lublinie, gdzie prowadzi się punkt kolportażu oficjalnej prasy „S”, wydawnictw drugiego obiegu oraz znaczków i różnych bibelotów z napisem „Solidarność”.

II.4. Dorobek wydawnictwa

Nakładem Wydawnictwa Biblioteka Informatora ukazało się 17 publikacji, których zestawienie przytaczam w całości za Wojciechem Guzem [w nawiasach daty wydania – E.P.]

1. Program NSZZ „Solidarność” uchwalony przez I Krajowy Zjazd Delegatów (1983),
2. Mały Konspirator. Poradnik dla dorosłych i młodzieży (1983),
3. Wezwania, przesłuchania i rewizje w świetle prawa (1983),

4. Aniela Steinsbergowa: Widziane z ławy obrończej (1984),
5. Marian Brandys. Z dwóch stron drzwi. Twardy człowiek (1984),
6. Franciszek Witkowski. Wspomnienia 1939-1942 (1984),
7. Prawda i wspólnota drogą do wyzwolenia narodu. (T. Mazowiecki, K. Dziewanowski, J. Strzelecki, J. Ambroziak, St. Opiela SJ, ks. J. Tischner). (1985),
8. Mieczysław Szerer. Memoriał w sprawie odpowiedzialności za łamanie praworządności w sądownictwie wojskowym (ze wstępem A. Steinsbergowej) (1985),
9. Józef Mackiewicz. Zbrodnia w dolinie rzeki Drawy (1986),
10. Jacek Żakowski, Anatomia smaku czyli o losach „Tygodnika Powszechnego” 1953-1956, Lublin 1986,
11. Sprawozdanie cenzora WL, Lublin 1986
12. Maria Byrska. Ucieczka z zesłania. Lublin 1987
13. Ojczyzna ma. Zbiór pieśni patriotycznych. Lublin 1987
14. Płk Ryszard Kukliński: Uczestniczyłem w przygotowaniu wprowadzenia stanu wojennego (1987)
15. Władysław Anders, Bez ostatniego rozdziału, Cz. I i II. Lublin 1988
16. Gustaw Herling-Grudziński, Inny świat
17. Wojciech Wasiutyński. Źródła niepodległości. Lublin 1988 (wspólnie z Biblioteką „Polityki Polskiej”)

Następca „Informatora NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni” - „Biuletyn „Solidarności” Region Środkowo-Wschodni” zamieścił serię artykułów, będących krótkimi monografiami niektórych niezależnych oficyn wydawniczych. W numerze 12 z 2 sierpnia 1989 r. zamieszczono monografię wydawnictwa Biblioteka Informatora, pióra Andrzeja Peciaka, w której autor dokonał celnego podziału dorobku wydawnictwa na trzy grupy publikacji: 1. dokumenty, 2. relacje i wspomnienia świadków historii, 3. pozycje użytkowe (śpiewniki, poradniki). Wszystkie te rodzaje publikacji wynikały ze świadomie przyjętego profilu wydawniczego firmy i trafiały w zapotrzebowanie czytelników korzystających z niezależnej literatury.

III. Wydawnictwo Arkadiusza Kutkowskiego i Dariusza Dybciaka - Aut 82 vel XXX

Arkadiusz Kutkowski opuścił obóz dla internowanych, prawdopodobnie, tak, jak Warda i Ruchlicki, w połowie października 1982 r., ponieważ pochodzi z Radomia, lubelska Służba Bezpieczeństwa nie odnotowała faktu przeprowadzenia z nim rozmowy ostrzegawczej po zwolnieniu z internowania (por. rozdz. II.1.a). Natomiast w grudniu 1982 r. został wezwany na rozmowę do lubelskiego SB przez słynnego Karpowa [nikt nie wie czy tak się naprawdę nazywał - E.P] i namawiany do współpracy, której odmówił.

III.1 Geneza, uczestnicy

Na początku roku 1983 r. Kutkowski powrócił na studia w UMCS, bo, mimo, że ukończył prawo, studiował drugi kierunek - filozofię i socjologię. Nie miał wątpliwości, co do tego, że powinien powrócić do działalności podziemnej - wybór padł na drukowanie książek. Nie chodziło o stworzenie wydawnictwa, co mogło ułatwić inwigilację Służbie Bezpieczeństwa, jak relacjonuje A. Kutkowski, ale o to, by ukazywała się niezależna literatura. W „Bibliografii publikacji podziemnych w Polsce 13 XII 1981 - VI 1986” Józefy Kamińskiej książki tego wydawnictwa sygnowane są nazwą „Aut 82” lub „XXX”.

Działalność rozpoczął wspólnie z Dariuszem Dybciakiem, kolegą z prawa, który miał duński powielacz (A. Kutkowski nie przypomina sobie skąd Dybciak miał powielacz). Pomagały im koleżanki - studentki zamieszkałe w akademiku: Joanna Borys [obecnie żona A. Kutkowskiego - E.P], Łucja Kwiatkowska [zmarła żona W. T. Grudnia - E.P.], Anna Rzepniewska, Joanna Marczevska z mężem, Barbara Sidor oraz Białorusinka - Elżbieta Maksymiuk. Nazwisk wielu osób wspomagających działalność wydawniczą A. Kutkowski nie mógł sobie przypomnieć.

III.3. Maszyny, miejsca druku, papier, farby, finansowanie

Początkowo książki drukowano na wspomnianym, duńskim powielaczu Dariusza Dybciaka. Powielacz ten sprawiał wiele kłopotów, psuł się, a nie można było zdobyć do niego części zamiennych. Każda awaria powodowała niszczenie matryc do druku, które należało sporządzać od nowa. A. Kutkowski wspomina, że przy awarii taśmy łączącej wały powielacza, musiał zdemolować pamiątkowy zegar, żeby z jego sprężyny zrobić potrzebną część.

Powielacz przenoszono z miejsca na miejsce. Przy jednej z książek wędrował po Lublinie - z miejsce usytuowanego aż za dzielnicą Czechów [najdalej na północ wysunięta dzielnica Lublina - E.P.], do dzielnicy Abramowice [dzielnica Lublina wysunięta najdalej na południe - E.P], żeby w końcu trafić do miejscowości Brody Małe koło Szczepieszyna, gdzie ktoś, z Dolnego Śląska, odziedziczył gospodarstwo

po dziadkach i pozwolił na jego terenie ustawić powielacz.

Od 1984 roku A. Kutkowski nawiązał kontakt z drukarnią Spółdzielni „Opakowanie” w Radomiu i tam, nielegalnie, na II zmianie, pracownicy drukowali książki dla jego wydawnictwa.

Mimo kontaktu z profesjonalną drukarnią, duński powielacz był w dalszym ciągu wykorzystywany do druku „Biuletynu Informacyjnego Kolejarzy „Solidarność””, w którego redagowanie i druk A. Kutkowski zaangażował się w 1983 r. Współpracował najpierw z Kazimierzem Iwaszką, przywódcą strajku kolejarzy z 1980 r., a potem ze Zdzisławem Koguciakiem. Kolejarze zbierali informacje, które Kutkowski redagował, przepisywał na matryce i dawał do druku, do Dariusza Dybciaka. Ostatni numer „Biuletynu” ukazał się w 1990 roku, redakcja nie ujawniła się.

Papier skupowany był w sklepach, na początku w Lublinie, a potem także w Kraśniku, Puławach i Lubartowie. Były obawy przed kontrolami samochodów wjeżdżających do Lublina, ale wybór bocznych dróg pozwalał na ominięcie niebezpieczeństwa.

Z relacji Arkadiusza Kutkowskiego wynika, że wydawanie książek w tym czasie nie było zbyt kosztowne. Można przypuszczać, że po zainwestowaniu w materiały produkcyjne do pierwszej książki, tak, jak w innych wydawnictwach, pieniądze przychodzące z kolportażu finansowały edycje następnych publikacji. Pieniądze były tematem wstydliwym i nikt nie chciał przyznać, że praca przy druku czy zbieraniu arkuszy jest ciężka i powinna być wynagradzana. Po wydrukowaniu kolejnej pozycji, osoby przy niej pracujące, otrzymywały po kilka lub kilkanaście książek, które mogły sprzedać na własne konto. A. Kutkowski wspomina, że zajmował się także kolportażem książek do i z Wrocławia, postanowił zrobić kiedyś podliczenia, które potem przeraziły go, gdyż zdał sobie sprawę, że byłby to świetny dowód dla Służby Bezpieczeństwa.

III.3 Kolportaż

Kolportaż nie stanowił problemu, gdyż wśród studentów istniała rozgałęziona siatka kolporterska. Kłopot stanowiło odbieranie należności, zdarzało się wielu nieuczciwych ludzi, którzy nie zwracali pieniędzy za książki. Kutkowski wspomina, że studentki, które kolportowały książki miały ciągły debet. Kiedy ukazywała się kolejna publikacja także im dawano po kilka lub kilkanaście książek, żeby mogły ten debet wyrównać. Jak już wspomniano, A. Kutkowski kolportował książki do i z Wrocławia (miał kontakt ze środowiskiem wrocławskiej Akademii Wychowania Fizycznego, wydawano tam pismo „Obecność”), a także, do i z Radomia, do i z Warszawy. W kolportażu uczestniczył także Piotr Mordel, współpracownik A. Kutkowskiego i D. Dybciaka, który miał w domu małą pracownię introligatorską, ale też projektował okładki.

III.4 Dorobek wydawnictwa

W roku 1986 wydawnictwo zakończyło działalność, A. Kutkowski relacjonuje: „(...) Pod koniec lat osiemdziesiątych byliśmy znużeni. Widać było, że są środowiska, które produkują książki profesjonalnie i nie było motywacji”. Wydaje się, że o ostatecznym zamknięciu działalności przesądziła nieudana edycja „Opowiadań” Sławomira Mrożka (część druga). Książka była wydrukowana niestarannie, na arkuszach były białe plamy i A. Kutkowski nie zapłacił za druk pracownikom Spółdzielni „Opakowanie”. W latach 1983-1986 ukazały się:

1. Gustaw Herling-Grudziński. Pamiętnik pisany nocą (właśc. Dziennik pisany nocą),
2. Krystyna Kersten. Historia polityczna Polski,
3. Polska rok 1956
4. George Orwell, Folwark zwierzęcy
5. Sławomir Mrożek, Opowiadania
6. Piotr Woźniak, Zapluty karzeł reakcji
7. Sławomir Mrożek, Opowiadania (część druga).

Wyszły jeszcze dwie książki sygnowane przez wydawnictwo Aut 82, jedna wydana w 1982 roku jest to: Stanisław Barańczak, Ja wiem, że to niesłuszne” i druga w 1983 roku: Peter Berger, Mit socjalistyczny, Alain Besancon. Sowiecka teraźniejszość i rosyjska przeszłość. Książki te wspomina w swojej relacji Bernard Nowak, jako drukowane przy udziale dwóch prawników z UMCS. Możliwe, że jednym z tych studentów był Dariusz Dybciak, który w ten sposób zainaugurował swoje wydawnictwo, a potem dołączył do niego Arkadiusz Kutkowski, który wcześniej był internowany. Nie ma, co do tego pewności, chociaż charakterystyczna nazwa wydawnictwa wskazuje, że mogło tak być.

Z drukiem każdej z książek wiązały się niespodziewane przygody czy utrudnienia. Przy druku „Dziennika pisanego nocą” Gustawa Herlinga-Grudzińskiego zlecono komuś przygotowanie okładki, wielkie było zdumienie, gdy okazało się, że widnieje na niej tytuł „Pamiętnik pisany nocą”, szkoda było pracy i materiałów, więc książka wyszła pod takim tytułem. Służba Bezpieczeństwa notuje, że była kolportowana w Międzyuczelnianej Bibliotece w Lublinie już 18 stycznia 1983 r. oraz 29 stycznia w Narzędziowni FSC. Fakt kolportażu w Bibliotece Międzyuczelnianej został odnotowany w „Wykazie faktów negatywnej działalności w 1983 r. na terenie woj. lubelskiego”. Książka Krystyny Kersten „Historia polityczna Polski” była właśnie tą, której druk przysporzył kłopotów ze względu na liczne awarie powielacza, a potem „wędrował” po mieście, aby zakończyć się w miejscowości Brody Małe. Do wszelkiego transportu używany był mały fiat Kutkowskiego, którego numer rejestracyjny – RAA 7815, ze względu na „zasługi” samochodu, właściciel dobrze zapamiętał. Sama publikacja została ujęta w grudniu 1987 r. w „Wykazie nielegalnych wydawnictw przejętych w m-cu listopadzie na terenie woj. lubelskiego”.

Zbiór esejów „Polska rok 1956”, po doświadczeniach z drukiem Kerstenowej, wydrukowany był w kamienicy dziadka A. Kutkowskiego, w Zwoleniu przy Placu Kochanowskiego 26. Druk wykonywał Dariusz Dybciak. Gotowy wydruk przywieziono do Lublina, gdzie książkę zebrano i zszyto. Przy druku było dużo odrzutów papieru, babcia ze Zwolenia [żona dziadka – E.P] paliła długi czas tym papierem w piecach.

„Folwark zwierzęcy” G. Orwella był już drukowany techniką offsetową w drukarni

Spółdzielni „Opakowanie” w Radomiu. Kontakt z zaopatrzeniowcem Spółdzielni, Wiesławem Dyznarowskim, miał na celu zapewnienie dostaw farby do powielacza. Po pewnym czasie Kutkowski zapytał Dyznarowskiego o możliwości druku, ten, co prawda, początkowo przeraził się druku tak dużej rzeczy, jak książka, ale nie odmówił współpracy. Kutkowski przywoził do drukarni oryginalną książkę, która była fotografowana i robiono blachę [formę do druku - E.P]. Druk odbywał się na drugiej zmianie, kiedy w drukarni było niewielu pracowników dozoru technicznego. Kłopot był z wywiezieniem zadrukowanych arkuszy, gdyż Spółdzielnia „Opakowanie” miała siedzibę przy ul. Żeromskiego w Radomiu, był to deptak, zamknięty dla ruchu drogowego, często obstawiony był przez milicję, gdyż wielu kierowców usiłowało mimo wszystko tam wjechać. Dyznarowski „żukiem” wywoził arkusze z zakładu, by na pobliskiej ul. Witosza przeładować nakład do samochodu Kutkowskiego (Kutkowskiemu pomagał Wiesław Ruchlicki).

W 1985 roku zostały wydane „Opowiadania” S. Mrożka i, z inicjatywy Wiesława Ruchlickiego „Zapluty karzeł reakcji” Piotra Woźniaka.

Nieudany druk drugiej części opowiadań S. Mrożka w 1986 r., ale także podjęcie pracy zawodowej w radomskim „Radoskórze” przez A. Kutkowskiego - a co za tym idzie, dysponowanie mniejszą ilością czasu i ograniczenie kontaktów z kolegami z Lublina - spowodowało, że Arkadiusz Kutkowski zrezygnował w 1986 r. z dalszej działalności wydawniczej.

IV. Fundusz Inicjatyw Społecznych

Powstanie Funduszu Inicjatyw Społecznych jest dobrze udokumentowane, gdyż grupa powołująca do życia FIS rozesała do prasy podziemnej komunikat o utworzeniu, w marcu 1985 r. w Lublinie, Funduszu Inicjatyw Społecznych, obejmującego swoim działaniem Region Środkowo-Wschodni.

IV.1 Początki, uczestnicy

Wszyscy trzej założyciele – Paweł Bryłowski, Tomasz Pietrasiewicz i Andrzej Peciak, byli wcześniej zaangażowani w ruch niezależny.

Paweł Bryłowski rozpoczął studia prawnicze w Uniwersytecie Marii Curie-Skłodowskiej na jesieni 1967 roku, protesty studenckie z marca 1968 r. zastały go na pierwszym roku studiów. Był świadkiem represji wobec studentów, a potem przymusowych wyjazdów emigracyjnych wielu swoich kolegów i pracowników naukowych lubelskich uczelni.

W latach 70-tych w środowisku akademickim Lublina, powstały teatry studenckie, takie jak: Grupa Chwilowa, Teatr Provisorium, Scena 6. Było to środowisko kontestujące rzeczywistość PRL lat 70.tych. O tym, jak groźne dla systemu było to środowisko, świadczy notatka Służby Bezpieczeństwa sporządzona 24 kwietnia 1978 r. przed mającymi się odbyć Konfrontacjami Młodego Teatru, zostanie tutaj zacytowana w obszernych fragmentach: „W dniach 27-30.04.1978 r. odbędą się w Lublinie Konfrontacje Młodego Teatru stanowiące przegląd – festiwal teatrów studenckich wielu ośrodków akademickich w kraju: Warszawy, Krakowa, Wrocławia, Łodzi, Poznania, Torunia i Lublina.(...) W związku z tym, że istnieje możliwość iż zarówno spektakle konkursowe jak i programy przedstawiane podczas imprez towarzyszących mogą być wykorzystane do propagowania negatywnych pod względem politycznym treści podjęto czynności sprawdzające w tym zakresie. Uzyskane dane wskazują na to, że Teatr „8 Dnia” z Poznania wystawi w Lublinie spektakl pt. „Przecena dla wszystkich” – będący paszkwilem o zdecydowanie antysocjalistycznej treści. Zespół ten aktywnie współpracuje z S. Barańczakiem i A. Michnikiem a podczas swoich wyjazdów pełni rolę kuriera – kolportera literatury i wydawnictw bezdebitowych. (...) Nie uzyskały zgody GUKPPIW w Lublinie na wystawienie swoich spektakli Lubelskie teatry studenckie UMCS a mianowicie „Lepsza przemiana materii” i „Pokaz” Grupy Chwilowej kierownikiem której jest Krzysztof Borowiec, spektakl „Nasza niedziela” teatru „Provisorium” kier. Janusz Opryński student filologii polskiej UMCS oraz spektakl pt. „Odwyk” teatru „Scena 6” którego kierownikiem jest Henryk Kowalczyk – student IV r. historii. Kierownicy tych zespołów zdając sobie sprawę z tego, że proponowane spektakle ze względu na negatywne treści polityczno-społeczne mogą być odrzucone przez organizatorów „Konfrontacji” i GUKPPIW w Lublinie, scenariusze złożyli do oceny dopiero dnia 21.04.1978 r. by w ten sposób wymusić zatwierdzenie swoich programów. Ze względu jednak na wrogi i tendencyjny stosunek do wielu zagadnień z życia społeczno-politycznego w kraju jawnie odzwierciedlający się w spektaklach decyzją GUKPPIW w Lublinie nie mogą być one wystawione podczas „Konfrontacji” nawet w

trakcie tzw. „imprez zamkniętych”.

Brat Pawła Bryłowskiego, Jan Bryłowski, był aktorem w teatrze Grupa Chwilowa. Jego kolegą z tego samego teatru był Tomasz Pietrasiewicz. Andrzej Peciak był kolegą Pietrasiewicza ze szkoły podstawowej.

Wydarzenia czerwcowe 1976 r. w Radomiu i Ursusie oraz powstanie Komitetu Obrony Robotników (KOR) po tych wydarzeniach, spowodowały włączenie się środowiska teatrów alternatywnych w kolportaż prasy KOR-owskiej, drukowanej w Lublinie przez środowisko „Spotkań” (zob. rozdz. I).

Tomasz Pietrasiewicz włączył się aktywnie w kolportaż prasy KOR-owskiej w 1977 roku, w rok później dołączył do niego Andrzej Peciak. Paweł Bryłowski, za sprawą swojego brata Jana, rozpoczął kolportaż publikacji KOR i „Spotkań” w latach 1978-79. Wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 r. niczego nie zmieniło, jeśli idzie o działalność Bryłowskiego, Pietrasiewicza i Peciaka.

Paweł Bryłowski był na listach do internowania w Chełmie, gdyż tam, w jednym z przedsiębiorstw, gdzie pracował, jako radca prawny, był przewodniczącym „Solidarności”. Ponieważ pracował w Chełmie, a mieszkał w Lublinie nie zdołano go aresztować 13 grudnia. Cudem uratował się od „wpadki” wróciwszy do zakładu pracy w Chełmie, i po tym fakcie przez krótki czas się ukrywał. Po powrocie do domu dostał wezwanie do stawienia się w jednostce wojskowej, gdyż jako absolwent UMCS był oficerem rezerwy [absolwenci niektórych kierunków studiów w uczelniach państwowych odbywali roczną służbę w Szkołach Oficerów Rezerwy tzw. SOR - E.P.]. W pierwszej chwili odmówił pójścia do wojska, ale zrezygnował z oporu i został skierowany na poligon wojskowy w Lipie. Kiedy przyjechał do domu na przepustkę, SB usiłowała przeprowadzić w jego mieszkaniu rewizję, przed którą uratował go wiszący na krześle mundur i odmowa dopuszczenia do rewizji bez obecności oficera wojska.

P. Bryłowski zajmował się kolportażem „Informatora NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni” i dostarczaniem matryc do jego druku oraz kolportażem książek z i do Warszawy.

U A. Peciaka i T. Pietrasiewicza odbyły się przeszukania w związku z podejrzeniem o kolportaż wydawnictw solidarnościowych. Po przeszukaniu, 12 kwietnia 1983 r., Andrzej Peciak został zatrzymany na 48 godzin i przeprowadzono z nim rozmowę ostrzegawczą. Tomaszowi Pietrasiewiczowi prokurator przedstawił zarzut: „o to, że w dniu 6 bm. [6 lutego 1982 r. - E. P.] w Lublinie w celu rozpowszechniania przenoślił pisma ulotne zawierające treści poniżające i wyszydzające naczelne organy [pisownia oryginalna - E.P.] PRL”. Od zarzutów odstąpiono z braku dostatecznych dowodów winy, jak pamięta T. Pietrasiewicz [wyjaśnił to w późniejszej rozmowie z autorką - E.P.].

Powód powstania wydawnictwa dobrze określa pogląd Andrzeja Peciaka, zamieszczony w jego relacji:“(…) w pewnym momencie doszliśmy do wniosku, że możemy nie tylko kolportować czyjeś rzeczy, ale samemu być wydawcą”. Podobnie uważał Tomasz Pietrasiewicz: „warto samemu założyć wydawnictwo i mieć wpływ na to, co się wydaje”. Paweł Bryłowski relacjonuje: „powodem najważniejszym

oczywiście było przyczynienie się do oporu w stosunku do systemu panującego w Polsce. [Chociaż] Żadne z nas nie wierzyło, że doczekamy momentu, że będziemy żyli w wolnej Polsce”.

IV. 2 Oryginalny pomysł na wydawnictwo, fundacje FIS, kontakty zagraniczne

Nazwa: Fundusz Inicjatyw Społecznych, nie była przypadkowa, mieściła w sobie nie tylko formułę wydawnictwa, ale i instytucji zajmującej się wspieraniem inicjatyw niezależnych, bez względu na poglądy polityczne – prasę podziemną w Regionie („Solidarność Nauczycielska”, „Solidarność Walcząca. Lublin”, „Informator „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni”, „Grot”, „Roztocze”), Wakacje z Bogiem [wypoczynek wakacyjny dla dzieci działaczy „Solidarności” z Regionu Środkowo-Wschodniego – E.P.], ale też prasę spoza Regionu, jak „Karta”, „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”, „Tygodnik Mazowsze”. Paweł Bryłowski pamięta dotację, przekazaną przez Zarząd Regionu, Janowi Wojcieszczukowi za opracowanie dotyczące ideowych założeń „Solidarności” i za wykłady prowadzone przez niego i kolegów w ramach Wszechnicy Związkowej. Pieniądze do Warszawy przykazywano przez Bogusławę i Andrzeja Kaczyńskich (patrz rozdz. II.1.b).

Pomysłem na zdobycie kapitału startowego było wydawanie znaczków pocztowych, które cieszyły się ogromnym powodzeniem i przynosiły największy obrót. Dotacja polegała na przekazaniu dotowanym instytucjom połowy lub 2/3 nakładu [A. Peciak nie pamięta tego dokładnie – E.P.] do samodzielnego kolportażu. Obdarowana instytucja potwierdzała w czasopiśmie, umówionym hasłem, odbiór znaczków, była wtedy pewność, że dotarły one w odpowiednie ręce.

W roku 1985 wydano serię czteroznaczkową „Polskie Lato 1980-1985”, która otrzymała nagrodę w dziedzinie kultury, podziemnej Komisji Krajowej „Solidarności”. W tym samym, 1985 roku ukazała się kolejna dwuznaczkowa, dwujęzyczna seria, „Solidarność z Walczącym Afganistanem”, z okazji szóstej rocznicy inwazji ZSRR na Afganistan, z której część nakładu została przekazana do organizacji afgańskich na Zachodzie i podobno wspomogła zakup broni, a także reprodukowana była w angielskim tygodniku Time.

Z okazji 40-lecia Instytutu Literackiego w Paryżu wydano serię 7 znaczków z głównymi postaciami tej zasłużonej dla emigracji polskiej instytucji. Połowa nakładu została wysłana Jerzemu Giedroycowi, co zaowocowało zaproszeniem i wieloletnią współpracą i przyjaźnią z mieszkańcami Maison Lafitte [miejsce pod Paryżem, gdzie mieści się siedziba Instytutu Literackiego w Paryżu – E.P.]

Z okazji III pielgrzymki Jana Pawła II do Polski w 1987 r., w czasie której Papież złożył wizytę w Lublinie, wydrukowano serię składającą się z dwóch znaczków. Ostatnia seria została wydana w roku 1988, nosiła tytuł „Pamięci żołnierzy Okręgu Lubelskiego AK” i upamiętniała skazane na zapomnienie przez system postacie lubelskich dowódców AK, takich jak np. Hieronim Dekutowski pseudonim „Zapora”.

Znaczki drukowane były w profesjonalnych drukarniach w Warszawie, niektóre były nawet ząbkowane, brakowało tylko kleju, miały nakład do 10.000 egz. Projektantem graficznym wszystkich serii był nieżyjący już plastyk lubelski,

współpracownik FIS, Jerzy Lakutowicz.

SB w 1987 r. odnotowała pojawienie się w Lublinie znaczków z serii „afgańskiej” oraz „papieskiej” i związanej z paryską „Kulturą”.

W 1986 r. Andrzej Peciak i Tomasz Pietrasiewicz zostali zaproszeni przez redaktora Jerzego Giedroycia na stypendium do Paryża, co pozwoliło im na nawiązanie kontaktów z Instytutem Literackim i dostęp do całego dorobku literatury emigracyjnej. W Paryżu spotkali się również z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, z którym wcześniejsze kontakty miał Tomasz Pietrasiewicz. Herling był inspiratorem i ojcem duchowym wielu przedsięwzięć wydawniczych FIS-u. Pobyt w stolicy Francji zaowocował również nawiązaniem stałych kontaktów z Mirosławem Chojeckim redaktorem naczelnym, wychodzącego w Paryżu, miesięcznika „Kontakt”. Bardzo owocne było również spotkanie z Jakubem Karpińskim i Ireną Lasotą, Peciak odnowił także swoje dawne kontakty z Piotrem Jeglińskim i Janem Stepkiem oraz ich współpracownikami z paryskich Spotkań.

IV.3 Finanse

Znaczki i pierwsza publikacja, „Donosy” Sławomira Mrożka [nie miała sygnatury wydawcy – E.P.], pozwoliły sfinansować następne publikacje. Pieniądze uzyskiwano też z rabatów ze sprzedaży cudzych książek [szczegółowo zostanie to omówione w rozdziale o kolportażu – E.P.]. Otrzymywano także dotacje z Warszawy – przez warszawskie kontakty T. Pietrasiewicza od Zygmunta Marzysa ze Szwajcarii [nie udało się ustalić ściślejszych informacji dotyczących jego osoby – E.P.] – 500 dolarów. Paweł Bryłowski, przez Andrzeja Kaczyńskiego (por. rozdział II.1.b.) otrzymał pieniądze pochodzące z funduszy amerykańskich związków zawodowych – 1000 dolarów, które zostały przeznaczone na zakup maszyny offsetowej. Niewielkie sumy pieniężne (100 lub 200 dolarów) FIS otrzymywał od Jerzego Giedroycia, Ireny Lasoty i Jakuba Karpińskiego, Mirosława Chojeckiego.

V.4 Maszyny, papier, farby, miejsca i techniki druku

Pierwszą publikację – „Donosy” Mrożka – na sicie drukował osobiście Tomasz Pietrasiewicz, z pomocą Jerzego Lakutowicza. Po południu szykowano sita w mieszkaniu Pawła Borucha na Starym Mieście, a od rana odbywał się druk, na działce u Jerzego Lakutowicza. Było to tak ciężkie doświadczenie, że nigdy potem pracy w tej technice nie powtórzono. Zlecano drukowanie – głównie na sicie, gdyż około 1985 roku wytworzyła się luka, jeśli idzie o sprzęt do drukowania. Powielacze sprzed stanu wojennego, wydobyte z różnych miejsc ukrycia, zużyły się technicznie, jedyną dostępną technologią stał się sitodruk. Większość książek FIS-u w latach 1985-1987 drukowana jest tą techniką, głównie w drukarni, która mieściła się w domu państwa Grudniów (por. rozdz. II.1.a). A. Peciak wspomina, że wydrukowano którąś z książek na offsecie w Radomiu, w czym pośredniczył Arkadiusz Kutkowski.

W 1987 roku, za pieniądze otrzymane poprzez Andrzeja Kaczyńskiego, zakupiono w Warszawie maszynę offsetową. Paweł Bryłowski z Tomaszem Pietrasiewiczem przywieźli ją do Lublina. Najpierw w Warszawie, do pociągu, przewieziono ją, rozmontowaną, w „maluchu” Jana Bryłowskiego, potem jechała w wagonie bagażowym pociągu, a w Lublinie przewieziono ją żukiem do domu Grudniów i tam zainstalowano.

Dom państwa Grudniów przez całe lata osiemdziesiąte, za wyjątkiem krótkich okresów, mieścił drukarnię i skupiał wokół siebie osoby zajmujące się podziemnym drukarstwem. Krzysztof Grudzień, jak wspomniano wcześniej, był redaktorem „Informatora”, przez jakiś czas, koordynował też pracę jednej z drukarni wykonujących to pismo (por. rozdz. II.1.b). Jego brat, Wiktor Tomasz Grudzień był aktywnym działaczem NZS w czasie studiów, poznał tam E. Wardę, W. Ruchlickiego, A. Kutkowskiego, K. Hariasza, D. Dybciaka, W. Haleya. Naukę drukowania na powielaczu rozpoczął w czasie strajku studenckiego, jesienią 1981 roku, w Zakładzie Edytorstwa Kontrowersyjnego „Chatka Żaka”, doświadczalną publikacją był „Człowiek zbuntowany” Alberta Camusa”. Potem w domu Grudniów był drukowany „Informator” zarówno „studencki” (por. rozdz. II.1.a), jak i 3 numery – 11, 12, 13, które ukazały się po „wpadce” studentów. U Grudniów instalowano także, od czasu do czasu, powielacze, które przenoszono, dla bezpieczeństwa, z miejsca na miejsce. Tak było z powielaczem, który przywiózł w 1986 roku z Paryża, od Mirosława Chojeckiego, Bernard Nowak. Powielacz ten, gestetner 104, użytkował Wiesław Haley. W. T. Grudzień wspomina współpracę z Haleyem przy druku dwóch numerów „Spotkań”.

FIS, po pierwszej publikacji, zaczął zlecać wykonywanie swoich książek W. T. Grudniowi i W. Ruchlickiemu, którzy druk na sicie wykonywali w domu tego pierwszego. Współpraca układała się owocnie, dlatego członkowie FIS maszynę offsetową Roneo Vickers postanowili ustawić właśnie u Grudniów.

Wiktor Tomasz Grudzień zajmował się aktywnie kolportażem, początkowo „Informatora”, potem także książek napływających kanałami „Informatora” i przez studentki – także żonę W. T. Grudnia – Łucję – z Warszawy, poprzez Wacława Wasilewskiego z Krakowa. Kiedy wprowadzono do jego domu maszynę postanowił zupełnie zrezygnować z kolportażu.

Wiktor Tomasz Grudzień i Wiesław Ruchlicki zostali dołączeni do ekipy Funduszu Inicjatyw Społecznych.

Farby i papier „organizował” głównie Andrzej Peciak, pracownik Redakcji Wydawnictw KUL, w drukarni KUL -odkupywał od pracowników drukarni wynoszone przez nich materiały. Paweł Bryłowski objeżdżał dodatkowo małe miejscowości, gdzie papieru nikt nie kupował i brał ze sklepu całą dostawę.

Fundusz Wydawnictw Niezależnych, istniejący od 1985 r., złożony z największych oficyn warszawskich (NOWA, WSKoS, Krąg, Przedświt, CDN, Oficyna Literacka), ustanowił na początku 1987 roku Konsorcjum Wydawnicze, celem ułatwienia przepływu dofinansowania do innych regionów Polski. Koordynatorem Konsorcjum na Region Środkowo-Wschodni, został, z rekomendacji Włodzimierza Blajerskiego i Wacława Cholewińskiego – szefa warszawskiej oficyny wydawniczej „Przedświt” - Andrzej Peciak. Dzięki niemu drukarnie regionalne wzbogaciły się o papier, materiały

poligraficzne i drobne maszyny. Uczestnicy FIS-u z pomocy skorzystali tylko raz, otrzymali z Konsorcjum Wydawniczego gilotynę do cięcia papieru i książek

IV.5. Kolportaż

Każdy z uczestników FIS-u miał doświadczenie kolporterskie. P. Bryłowski regularnie jeździł, co drugi tydzień, do Warszawy, woził tam papier na potrzeby drukarni warszawskich, a przywoził do Lublina książki wydawnictw warszawskich, wrocławskich, gdańskich i krakowskich. Rabaty ze sprzedaży tych książek zasilaly budżet FIS-u. Swoje książki „wrzucał” do punktów kolportażu w Puławach, Zamościu, Lubartowie, Chełmie i Krasnymstawie. T. Pietrasiewicz i A. Peciak mieli swoje kontakty w Lublinie przez Z. Kozickiego i P. Skokowskiego (ich działalność zostanie omówiona w dalszej części pracy, a także przez osoby pracujące na KUL-u i zajmujące się działalnością podziemną – Macieja Sobieraja i Wojciecha Samolińskiego – obu związanych ze „Spotkaniem” oraz Andrzeja Zegzdryna, Elżbietę Struś i Annę Truskolaską.

Andrzej Peciak uznaje kolportaż, w tamtych czasach, za łatwy, gdyż wystarczyło, aby każdy z uczestników FIS-u miał 5 kontaktów i „wrzucenie” po 50 egz. książki dawało rozproszanie całego nakładu. Sam A. Peciak rozwoził książki do Puław, Stalowej Woli, Poniatowej, Komarowa, Świdnika - przy okazji wykładów z historii, które prowadził w ramach Wszechnicy Związkowej.

Książki i znaczki brano raz w miesiącu i skrupulatnie się rozliczano. Paweł Bryłowski gromadził wszystkie potwierdzenia i dokumenty finansowe „na czas wolności”, żeby się rozliczyć. Działalność podziemna została zakończona „na niewielkim plusie”, co pozwoliło na założenie w roku 1989 legalnego Wydawnictwa FIS spółka z ograniczoną odpowiedzialnością.

Służba Bezpieczeństwa odnotowywała pojawianie się publikacji FIS w Lublinie. W kwietniu 1987 r. znaleziono „Anatomie smaku” Jacka Żakowskiego (wydanie wspólne z Biblioteką Informatora), natomiast w lipcu 1987 r. „Oblicza Rosji” i poezje A. Galicza „Kocham was, ludzie”. Te same publikacje przejęto w listopadzie 1987 r.

IV.6 Dorobek wydawnictwa

W FIS starano się drukować przede wszystkim rzeczy oryginalne, rządziej wykonywać przedruki książek emigracyjnych. Tomasz Pietrasiewicz miał dobre rozeznanie z literaturze i autorach emigracyjnych, i najczęściej to on proponował tytuły do wydania. Włączali się do tego A. Peciak i P. Bryłowski z propozycjami według swoich zainteresowań czytelniczych. Podsuwali oni także pomysły na wydanie wartościowych publikacji innym wydawcom niezależnym, zainicjowali utworzenie „Biblioteki Literatury Emigracyjnej”, w jej ramach ukazały się trzy publikacje: w 1986 r.: Galina Sieriebriakowa, Huragan – nakładem Wydawnictwa „Vademecum”, w 1987 r.: Czesław Straszewicz, Turyści z bocianich gniazd – nakładem Wydawnictwa Niezależnego CiS, w 1988 r.: Zygmunt Haupt, Pierścień z

papieru – nakładem Wydawnictwa Respublica.

Nakładem Wydawnictwa Fundusz Inicjatyw Społecznych ukazały się [daty wydania w nawiasach – E.P]:

1. Sławomir Mrozek, Donosy (1985)
2. Ernest Skalski, Jałta 40 lat później, wydanie wspólne z Wydawnictwem Vademecum (1985),
3. Aleksander Galicz, Kocham was, ludzie (1986),
4. Jacek Żakowski, Anatomia smaku czyli o losach Tygodnika Powszechnego, wydanie wspólne z Biblioteką Informatora (1986),
5. Oblicza Rosji (1987),
6. Bohumil Hrabal, Obsługiwałem angielskiego króla (1988),
7. Leo Lipski, Opowiadania (1988),
8. Ephraim Kishon, Wybór opowiadań (1988),
9. Jan Kowalski (właśc. Jan Zieliński), Leksykon polskiej literatury emigracyjnej (1989),
10. Napaść sowiecka 1939 r. (przedruk bez zaznaczenia wydawcy krajowego) (1989)
11. Leszek Moczulski, Wojna polska. Rozgrywka dyplomatyczna w przededniu wojny i działania obronne we wrześniu-październiku 1939 r. (1990)

Jak wspomniano wcześniej, ambicją Funduszu Inicjatyw Społecznych było wydawanie tekstów wcześniej nie publikowanych, do takich należały: E. Skalski „Jałta 40 lat później”, „Anatomia smaku...” Jacka Żakowskiego, praca zbiorowa „Oblicza Rosji”, wybór wierszy Galicza „Kocham was, ludzie”, „Opowiadania” Leo Lipskiego, powieść B. Hrabala „Obsługiwałem angielskiego króla” czy dowcipne opowiadania E. Kishona, a także „Leksykon polskiej literatury emigracyjnej”, który, wydany w 1990 roku w legalnym FIS-ie, sprzedał się w ciągu 3 miesięcy w nakładzie 20.000 egz..

V. Wolna Spółka Wydawnicza (vel Radiator, Medium, Reset, Komitywa) (1986)

Krzysztof Wasilewski, założyciel Wolnej Spółki Wydawniczej, postanowił zażartować sobie ze Służby Bezpieczeństwa i nadawać swojemu wydawnictwu coraz to nowe nazwy - „Gdzieś w Polsce” - ponieważ ze względu na przyjęty system pracy książki były przygotowywane w Lublinie, drukowane we Wrocławiu, a potem wykańczane znowu w Lublinie, „Reset”, w rozumieniu, że książka została jeszcze raz złożona, „Komitywa” dla uczczenia zespołów, które pracowały przy książkach, „Medium”, rozumiany jako środek przekazu, „Radiator” czyli coś, co promieniuje. Dodawano do tego skrót: WSW, co było oficjalnym skrótem Wojskowych Służb Wewnętrznych, a u Wasilewskiego oznaczało: Wolna Spółka Wydawnicza. Mnożenie nazw wydawnictwa miało na celu utrudnienie pracy Służbie Bezpieczeństwa, która musiała rozpocząć tyle spraw, ile nowych wydawnictw się pojawiało.

V.1 Geneza, uczestnicy, finansowanie

W latach 70. tych K. Wasilewski był uczestnikiem lubelskich „Spotkań”, a od 1980 r. pracował, jako redaktor wydawnictw NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Za „kontynuację działalności związkowej”, czyli wydawanie prasy w czasie strajków w dużych zakładach pracy po wprowadzeniu stanu wojennego był aresztowany, latem 1982 roku został zwolniony z więzienia. Z takim życiorysem nie miał szans na otrzymanie pracy, wobec czego wznowił kontakty ze „Spotkaniami”, przygotowując się jednocześnie do własnej działalności.

Założenie było proste - stworzenie spółki rodzinnej, co gwarantowało bezpieczeństwo poczynań. Drugim uczestnikiem WSW została żona - Jolanta Wasilewska. Przy pracach wymagających większej liczby ludzi zatrudniano przyjaciół, rzadko na dłużej, najczęściej do jednego projektu, jak pisze Krzysztof Wasilewski. Postanowiono wydawać głównie książki historyczne, dbając przy tym o zgodę autorów (jeśli było to możliwe), co było nowością w tamtych czasach. Wybór tytułów był po trosze spontaniczny, a częściowo inspirowany przez Jana Stepka, kolegę ze „Spotkań” przebywającego na emigracji w Paryżu.

Początkowo wydawano znaczki, pocztówki i ulotki, żeby zdobyć kapitał na większe przedsięwzięcie. K. Wasilewski pamięta znaczki z Piłsudskim projektowane przez wspomnianego już Jerzego Lakutowicza oraz pomoc przy przedsięwzięciach innych uczestników niezależnego ruchu wydawniczego. Właściwa działalność Wolnej Spółki Wydawniczej rozpoczęła się pod koniec 1985 lub na początku 1986 roku, jak relacjonuje Krzysztof Wasilewski.

W finansowanie publikacji angażowano własne środki, które po opłaceniu wszystkich kosztów nie przynosiły zysku, ale pozwalały utrzymać rodzinę.

Wielką pomocą była jednorazowa pożyczka z Funduszu Wydawnictw Niezależnych (równowartość rocznej pensji, jak podaje K. Wasilewski), która pozwoliła na uruchomienie większej ilości przedsięwzięć wydawniczych i utrzymanie cen na

niskim poziomie. Pożyczka ta została przez Konsorcjum Wydawnicze, zarządzające Funduszem, umorzona.

V.2 Papier, druk, oprawa

Papier Wasilewscy skupowali, tak jak wszyscy, w małych miasteczkach i wsiach, gdzie nie było zapotrzebowania na taki artykuł. Drukarz wykonywał książki, albo na dostarczonych arkuszach, zwykle w formacie A-4, lub też zamieniał w drukarni na potrzebny format.

Druk odbywał się zupełnie inaczej niż w pozostałych wydawnictwach podziemnych, zlecano jego wykonanie w profesjonalnej drukarni we Wrocławiu. Drukarz nie zgadza się do dziś na ujawnienie swojego nazwiska, ani drukarni, w której się to odbywało. W Lublinie przygotowywano makietę książki, to znaczy najczęściej rozbierano książkę na strony, dodawano ilustracje, własne strony tytułowe, postowie lub wstęp i przewożono gotową makietę do Wrocławia, do fotografowania i druku offsetowego, co gwarantowało wysoką jakość wydruków. Po otrzymaniu informacji o zakończeniu druku, K. Wasilewski jechał do Wrocławia, odbierał nakład, który transportował taksówką na dworzec kolejowy i tam nadawał, jako przesyłkę kolejową na adres swój lub uprzedzonych, zaprzyjaźnionych osób. Przesyłki kolejowe miały tę przewagę nad pocztowymi, że nie sprawdzano ich zawartości, zadowolając się informacją wypisaną na paczce (na poczcie, przez długi czas był obowiązek pakowania paczek w obecności urzędniczki, która w ten sposób znała zawartość przesyłki). Dla potrzeb transportu arkuszy wymyślono nieistniejącą substancję budowlaną o nazwie „gipsol”, która nigdy nie zawiodła nadawcy.

Była obawa przed inwigilacją odbioru przesyłki w Lublinie, ale Wasilewscy mieli opracowany system polegający na tym, że w pierwszym samochodzie jechała niepewnie żona, czym ściągająca na siebie uwagę ewentualnych milicjantów, a w drugim spokojnie przejeżdżał K. Wasilewski, sposób ten pozwalał na bezpieczny transport paczek z arkuszami.

Na składanie arkuszy w książki i oprawę wynajęto specjalne mieszkanie - pracownię artystyczną na ul. Lwowskiej, która umiejscowiona była na piątym piętrze, co było uciążliwe ze względu na wnoszenie i znoszenie dużych ilości papieru, ale jako mieszkanie artystyczne miało zalety, ponieważ nikt z sąsiadów nie dziwił się przychodzącym ludziom ani hałasom.

Jak już wspomniano, nie zatrudniano na stałe osób do pomocy przy pracach intrologatorskich, zapraszano coraz to inne, zaprzyjaźnione, zaufane osoby, którym płacono za pracę. O uczestnictwie w przedsięwzięciach wydawniczych Krzysztofa Wasilewskiego wspominają w swoich relacjach Wiktor Tomasz Grudzień i Bernard Nowak.

Sami - Jolanta i Krzysztof Wasilewscy, choć jako byli współpracownicy „Spotkań” mogli znaleźć się w kręgu zainteresowania Służby Bezpieczeństwa, żadnych przykrości nie doświadczyli. Represje dotknęły Piotra Mordela, który był na dłużej związany z Wasilewskimi, i którego umiejętności intrologatorskie Krzysztof Wasilewski bardzo sobie cenił.

Piotr Mordel, inżynier-elektryk, absolwent Politechniki Lubelskiej, prowadził w swoim mieszkaniu przy ul. Krańcowej 76b/77 regularną pracownię introligatorską. 20 listopada 1987 r. dokonano przeszukania w jego mieszkaniu, w czasie którego znaleziono urządzenia i materiały introligatorskie oraz 3000 egz. literatury bezdebitowej, przygotowanej do oprawy. „Znalezisko” było poważne: gilotyny introligatorskie, prasy, zszywacz elektryczny, kleje, papier, tektura, płótno introligatorskie, a przede wszystkim duże ilości arkuszy książek przygotowanych do oprawy. 575 egz. „Wojny polsko-sowieckiej” Wolnej Spółki Wydawniczej, 168 egz. książki „Sow-schow” dla „Spotkań”, 52 egz. pozycji „Niebo nowe, ziemia nowa” sygnowane przez oficynę „Medium”. P. Mordel wyjaśnił, że od wiosny 1987 r. zajmował się oprawą na zlecenie i odmówił składania jakichkolwiek wyjaśnień, co do osób, od których owe zlecenia otrzymywał.

Postanowiono skierować przeciwko niemu wniosek do kolegium ds. wykroczeń, w trybie zwykłym oraz rozpatrywana była możliwość skierowania materiałów do Izby Skarbowej celem ukarania P. Mordela za prowadzenie działalności zarobkowej bez zezwolenia i opodatkowania.

Tak łagodne potraktowanie, Piotr Mordel może zawdzięczać poważnemu złagodzeniu nękania działalności opozycyjnej, jakie miało miejsce po amnestii z 17 lipca 1986 r.

Rejonowe Kolegium ds. Wykroczeń rozpatrzyło sprawę P. Mordela 11.01.1988 r. o to, że „w swoim miejscu zamieszkania w Lublinie, sporządzał bez wymaganego zezwolenia znaczne ilości broszur i książek nieposiadających debitu komunikacyjnego, celem ich rozpowszechniania, tj o wykroczenie z art. 52a § 1 pkt 1 kw [Kodeks Wykroczeń – E.P]. Wymieniony został uznany winnym zarzucanego mu wykroczenia i na mocy cytowanego przepisu ukarany grzywną w wysokości 50.000 zł, bez zamiany na areszt i przypadkiem zakwestionowanych przedmiotów. Rozprawa odbyła się bez zakłóceń, pod nieobecność obwinionego, który odmówił przyjęcia wezwania na rozprawę”. P. Mordel odwołał się od wyroku Rejonowego Kolegium ds. Wykroczeń, ale Kolegium ds. Wykroczeń przy Wojewodzie Lubelskim, jako II instancja, utrzymało wyrok Kolegium Rejonowego w mocy. Piotr Mordel po tych przykrościach emigrował na stałe do Berlina Zachodniego. Wydarzenie to nie miało żadnych reperkusji dla Wasilewskich, nawet nie byli przesłuchiwanymi przez Służbę Bezpieczeństwa, choć podobno w trakcie przesłuchania dopytywano się o nich P. Mordela.

V. 3 Kolportaż

Kolportażem zajmował się osobiście Krzysztof Wasilewski. Książki dostarczał głównie do mieszkań lubelskich opozycjonistów: państwa Winiarskich, Hołdów, Bazydłów, do Andrzeja Paluchowskiego, ówczesnego dyrektora Biblioteki Uniwersyteckiej KUL, a także woził do Warszawy, w ramach współpracy z Konsorcjum Wydawniczym.

Także Służba Bezpieczeństwa odnajdywała w ramach swojej działalności egzemplarze publikacji Wolnej Spółki Wydawniczej (Medium, Reset, Komitywa, Radiator). Pojedynczy egzemplarz książki J. Nowaka-Jeziorańskiego – 16 listopada 87 r., ale też większe ilości, także w listopadzie 1987 r.: 75 egz. „Wojny

polsko-sowieckiej 1939 r.” i 7 egz. „Wojny w eterze”.

V. 4 Dorobek wydawnictwa

Na dorobek wydawnictwa składają się:

1. Stefan Korboński, Polskie państwo podziemne: przewodnik po podziemiu z lat 1939-1945, Wyd. Radiator, Lublin 1986,
2. Zbigniew Błażyński, „Mówi Józef Światło, słowo wstępne Jan Nowak, Wyd. Komitywa, Lublin 1986,
3. Tadeusz Żenczykowski, Dwa komitety 1920, 1944: Polska w planach Lenina i Stalina: szkic historyczny, Wyd. Komitywa, Lublin 1986,
4. Żydzi, jako polski problem (aut. Jakub Karpiński, częściowo tł. z ang.), Wyd. Komitywa, Lublin 1987,
5. Jan Nowak-Jeziorański, Wojna w eterze: wspomnienia, t. 1: 1948-1956, Wyd. Komitywa, Lublin 1987,
6. Karol Liszewski [pseud.], Ryszard Szawłowski, Wojna polsko-sowiecka 1939 roku, Wyd. Komitywa, Lublin 1987,
7. Karol Liszewski [pseud.], Ryszard Szawłowski, Wojna polsko-sowiecka 1939 roku, cz. 2 + mapy, Wyd. Komitywa, Lublin 1987,
8. Michał Tymowski, Jan Kieniewicz, Jerzy Holzer, Historia Polski, Wyd. Medium, Lublin 1987,
9. Raymond Aron, Isaiah Berlin, Hannah Arendt. Trzy głosy o wolności, Wyd. Komitywa we współpr. z wyd. CDN z Warszawy, Lublin 1987,
10. Raymond Aron, Isaiah Berlin, Hannah Arendt. Trzy głosy o wolności, Wyd. Komitywa- siedziba wydawcy „Gdzieś w Polsce”, we współpr. z wyd. CDN z Warszawy, Lublin 1987,
11. Stanisław Buczyński, Jan Poczek. I miłość i przymierze: Janowi Pawłowi II chłopci polscy, Wydawnictwo Wiejskie im. Wincentego Witosa, współpr. Wyd. Komitywa, Lublin 1987,
12. Waclaw Iwaniuk, Kartagina i inne wiersze, Wyd. Komitywa, Lublin 1987,
13. Niebo nowe, ziemia nowa. Wyd. Medium. Lublin 1987
14. Jerzy Kosiński, Stopnie, Wolna Spółka Wydawnicza, Lublin 1988,
15. Jerzy Kosiński, Stopnie, Wolna Spółka Wydawnicza, Lublin 1989.

Książki Wolnej Spółki Wydawniczej odznaczają się wielką starannością wydania, nawet, jak na dzisiejsze czasy. Dbano nie tylko o jakość wydania, ale też o przestrzeganie uczciwych reguł na rynku autorskim, pytano autorów o zgodę na wydanie. Jan Nowak Jeziorański wzruszony takim postępowaniem, nie dość, że udzielił zgody na przedruk swojej „Wojny w eterze”, to przesłał 100 dolarów na sfinansowanie jej druku.

Odważnym krokiem było pierwsze polskie tłumaczenie „Stopni”(Steps) Jerzego Kosińskiego. Krzysztof Wasilewski wspólnie ze swoim kolegą, anglistą dokonywali tłumaczenia i redakcji całego tekstu. Zgodę autora otrzymano za pośrednictwem Mirosława Chojeckiego z paryskiego „Kontakt”, w „Kontakcie” wykonano też skład

komputerowy książki. Jerzemu Kosińskiemu wysłano kilka paczek książek do Nowego Jorku.

Tomik poezji Wacława Iwaniuka „Kartagina i inne wiersze” wykonano w technice typograficznej, okładkę zrobiono z papieru pakowego, na którym odcisnięto prawdziwe liście z Parku Saskiego w Lublinie. Jest wykonana tak pięknie, że nawet dzisiaj budzi podziw. Dla tego tomiku Krzysztof Wasilewski założył stronę internetową w ramach stron Biblioteki Uniwersyteckiej KUL (www.bukul.lublin.pl/wystawy/vitamutatur/2001/iwaniuk/wiersze/kartagi).

VI. Wydawnictwo Respublica i Oficyna im. Józefa Mackiewicza

Najważniejszą osobą, inspiratorem obu tych wydawnictw był Zygmunt Kozicki, jedna z najbarwniejszych postaci podziemnego ruchu wydawniczego w Lublinie lat 80.tych.

W roku 1977 rozpoczął studia na bibliotekoznawstwie i informacji naukowej w UMCS, a ponieważ jego siostra studiowała w tym czasie na KUL, po roku studiowania przeniósł się na II rok historii w KUL. Przez Wojciecha Samolińskiego i Krzysztofa Żurawskiego związał się ze „Spotkaniami”, uczestniczył w druku i kolportażu pisma. W roku 1981 pracował w drukarni zarządu regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność”, gdzie poznał technikę sitodruku.

13 grudnia 1981 roku został internowany, a zwolniono go 15 listopada 1982 r. Po zwolnieniu z internowania powrócił do działalności w „Spotkaniach” organizując druk kwartalnika i książek.

Organizacja druku od początku sprawiała uczestnikom „Spotkań” wiele trudności. Jan Magierski wspomina, że w po roku 1978 pracował przy druku kwartalnika. Styl pracy był dość uciążliwy, gdyż powielacz umieszczano w odległych chałupach wiejskich i należało dowieźć tam maszynę, papier, chemikalia, i potem to wszystko, najczęściej autobusem, wytransportować do Lublina. Brał udział w druku odbywającym się w chałupie chłopskiej pod Izbicą, która stała oddalona od innych zabudowań. W chałupie spał chłop z dziećmi, kwiliły pisklęta, a obok odbywał się druk „Spotkań”. Potem na drukarnię dla „Spotkań” Marek Gorliński użyczył domu swojej babci w miejscowości Chmiel pod Lublinem. Drukowano tam w 1983 lub 1984 r. „Lenina w Zurichu” Aleksandra Sołżenicyna. Omal nie sprzedano domu razem z podziemnymi książkami. Nie zdążono odebrać nakładu i kiedy przyszła komisja z gminy, aby dokonać przejęcia nieruchomości, w pokoju pod kocami, leżało 2000 egz. nielegalnych książek. Jeden z urzędników uchylił koc i zobaczył je. Spodziewano się jakichś przykrości, Marek Gorliński, Wiesław Haley i Wiktor Tomasz Grudzień pośpiesznie przywieźli książki do Lublina. Urzędnik z gminy okazał się człowiekiem przyzwoitym, żadnych reperkusji jego odkrycia nie było. Cały nakład został przywieziony nocą na stację do Zygmunta Kozickiego i ten, razem z kolegą - Jackiem Grzemskim, w nocy, na strasznym mrozie, roznosili w plecakach, do różnych ludzi, części nakładu, żeby jak najmniej zostawiać w jednym miejscu.

Wszystkie tego rodzaju kłopoty z umieszczeniem powielacza i organizacją drukarni przyczyniły się do tego, że Zygmunt Kozicki wymyślił dla „Spotkań” miejsce na stałą drukarnię, którą należało sobie wybudować. Podzielił się pomysłem z Januszem Krupskim i Januszem Bazydło, którzy uzyskali obietnicę sfinansowania inwestycji przez Piotra Jeglińskiego przebywającego w Paryżu.

Kolega Z. Kozickiego, Jerzy Lewczyński, miał dużą działkę z sadem przy ul. Nałęczowskiej w Lublinie, na której stał tylko niewielki dom z pustaków. Ten domek służył już wcześniej za drukarnię dla wydawnictwa Vademecum. Jerzy Lewczyński zgodził się na wykopanie obok domu dołu głębokiego na 3 m, 4 m szerokiego i 4,5 m długiego i na wybudowanie w nim drukarni. Kopaniem zajęli się Z. Kozicki, W. T. Grudzień, J. Grzemski, W. Ruchlicki, brat Zygmunta Kozickiego Piotr i jego szwagier Mariusz Szyszko. Zakupiono drut zbrojeniowy, opłacano wywózkę urobku, ponieważ początkowo wysypywano ziemię na stok obok domu i pierwszy poważniejszy deszcz

zmył to prosto na jezdnię ul. Nałęczowskiej, co spowodowało zagrożenie dla ruchu drogowego i skończyło się skierowaniem sprawy do kolegium i grzywną. Pracowano przez całe wakacje 1986 roku, ale okazało się, że skończyły się pieniądze, „Spotkania” odstąpiły od planowanej budowy drukarni. Z. Kozicki czuł się odpowiedzialny za to przedsięwzięcie, przed domem Lewczyńskiego wykopano olbrzymią dziurę, do domu wchodziło się po desce, co skończyło się fatalnie dla jednego z kolegów J. Lewczyńskiego – wpadł do dołu i złamał nogę. Lewczyński znalazł go dopiero rano, wyciągnął po drabinie na powierzchnię i musiał wynieść go do ulicy, żeby mogło go zabrać pogotowie. Kozicki długi czas unikał spotkania z Lewczyńskim, ale kiedy przypadkowo natknął się na niego na ulicy, okazało się, że wykop przydał mu się na przechowalnię owoców.

Ta przykra sytuacja przesądziła o odejściu Z. Kozickiego ze „Spotkań”, razem z nim odeszli – jego brat Piotr Kozicki i szwagier Mariusz Szyszko.

VI.1 Geneza, uczestnicy, finansowanie

Postanowiono założyć własne wydawnictwo, najlepszym pomysłem była firma rodzinna, gdyż zmniejszało to ryzyko dekonspiracji. We wrześniu 1986 r. powstało wydawnictwo Respublica, którego członkami stali się: Zygmunt Kozicki, Piotr Kozicki, Jadwiga Kozicka [siostra Z. i P. Kozickich – E.P], jej mąż - Mariusz Szyszko i jego brat Grzegorz Szyszko.

W 1987 r. powołano do życia Oficynę im. Józefa Mackiewicza, która funkcjonowała równolegle z Respublicą, a miała za zadanie propagowanie prozy i poglądów politycznych Józefa Mackiewicza.

Po śmierci Józefa Mackiewicza, wdowa po nim – Barbara Toporska, ogłosiła w „Kulturze” paryskiej z marca 1985 r. „Oświadczenie”, które pozwoli sobie przytoczyć w dużym fragmencie: „Zgodnie z wolą zmarłego Józefa Mackiewicza upoważnia się wszelkie nielegalne wydawnictwa w PRL do przedrukowywania jego książek, pod zasadniczym warunkiem niedokonywania żadnych skrótów, adiustacji, ani też opatrywania ich wstępami, komentarzami itp. Właściwym miejscem dla krytyki literackiej i politycznej są łamy czasopism. Zgodnie z wolą zmarłego Józefa Mackiewicza zabrania się natomiast jakichkolwiek przedruków, nawet bez skrótów i zmian, wydawnictwom legalnym, jednoznacznie reżymowym, czy tylko koncesjonowanym, ale zależnym od bieżącej polityki wydawniczej komunistycznych władz. (...) Józef Mackiewicz był człowiekiem skromnym. Józef Mackiewicz był w poglądach bezkompromisowy. Uważał, że jedyne godne miejsce dla emigranta politycznego w kraju rządzonego przez wroga jest więzienie. Co go, na szczęście, ominęło”, a więc działalność oficyny jego nazwanej jego imieniem, była jak najbardziej uprawniona. Oficyna ta była głęboko zakonspirowana, nawet w kontaktach kolporterskich nie przyznawano się, kto stoi za działalnością tego wydawnictwa.

W 1998 roku powołano do życia jeszcze jedno wydawnictwo – Wydawnictwo Prasowe Respublica, będące firmą usługową. Wykonywano druk na zlecenie, jeżeli, jak pisze Z. Kozicki „nie kłóciło się to z naszymi poglądami”.

Sam Zygmunt Kozicki relacjonuje, że oficyny nie miały wielkiego zadęcia ideowego, postanowiono wydawać trochę historii, publicystyki politycznej i trochę literatury.

Pierwsza publikacja, sfinansowana ze środków własnych pozwoliła dokonać inwestycji w papier, ramki i sita do druku, aparat fotograficzny. Otrzymano też dotację z Funduszu Wydawnictw Niezależnych rozdzielanego przez Konsorcjum Wydawnicze.

Osobną dotację otrzymano dla Oficyny im. Józefa Mackiewicza.

VI.2 Papier, farby, miejsca i techniki druku

Doświadczenie w sitodruku zdobyte przez Z. Kozickiego w czasie pracy w Zarządzie Regionu zostało wykorzystane w działalności nowych wydawnictw, udoskonalono technologię wytwarzania farby z pasty „komfort” i otrzymano farbę szybkoschnącą i nierozmazującą się pod palcami, podobno niektóre książki drukowane przez zespół Kozickiego bibliografie zakwalifikowały, jako drukowane techniką offsetową. Sitodruk oprócz tego, że był technologią tanią, ramki można było wykonać sposobem domowym, miał jeszcze tę zaletę, że druk odbywał się cicho.

Wynajęto „kawalerkę” przy ul. Poniatowskiego 22A, na IV piętrze – w pokoju odbywał się druk, a w łazience naświetlanie. Z mieszkaniem tym wiąże się bardzo ciekawa historia – w trakcie druku wykonywanego przez Z. Kozickiego i jego siostrę Jadwigę (w 1987 lub 1988 roku) usłyszano natarczywe pukanie do drzwi. Kiedy Z. Kozicki zdecydował się otworzyć, okazało się, że to ekipa, która miała zamontować w tym domu zbiorczą antenę telewizyjną. Na pytanie, dlaczego nie zrobiono tego, kiedy blok oddawano do użytku, padła odpowiedź, że na II piętrze mieszka generał milicji Bernard Naręgowski, były komendant MO i miał w tym mieszkaniu urządzenia do nasłuchu, które antena mogła zakłócać. Wiadomość ta nie spowodowała zmiany lokalu na druk.

Farba sitodrukowa, jak wspomiano wcześniej, była łatwo dostępna, gdyż składała się z farby plakatowej, dostępnej w sklepach papierniczych i pasty do prania. Chemiczne domieszki, które ulepszały jej jakość zdobywano w miejscach, do których kolportowano książki, najczęściej w UMCS. Istniał też „czarny rynek”, czyli pracownicy zakładów, którzy kradli materiały i można je było od nich odkupić. Z. Kozicki miał jeszcze jedno źródło dostępu do materiałów poligraficznych. Kiedy był internowany, ktoś podał na Zachód jego adres. Pan Andre Caron z Saint Genevieve des Bois pod Paryżem, który kilka razy przyjeżdżał w latach 1983-1991 do Polski z transportami medykamentów dla dzieci z ramienia Towarzystwa św. Wincentego a Paulo, dostarczał Kozickiemu najpierw artykuły spożywcze, a potem materiały poligraficzne. Z Konsorcjum Wydawniczego oba wydawnictwa otrzymały gilotynę walizkową.

Papier zdobywano na różne sposoby, najczęściej kupując w sklepach papierniczych jedna czy dwie ryzy. Ekspedientki były obdarowywane czekoladą, żeby zapamiętały potrzebującego papieru na przyszłość. Czasami przy zakupie żądano dowodu osobistego lub tylko nazwiska – podawano wtedy fikcyjne. W sklepie przy ul.

Grażyny, obok którego spacerował Kozicki ze swoimi dziećmi, które w tym czasie były małe, były częste dostawy papieru, podjeżdżał więc tam kilkakrotnie wózkiem, a potem małymi partiami prznosił papier o drukarni. W końcowym okresie, w jednej z księgarni zakupiono tysiąc ryz, ryzyko było już wtedy niewielkie. Pewnym źródłem była Redakcja Wydawnictw KUL, gdzie redaktor naczelny Norbert Wojciechowski zawsze poratował potrzebujących kilkoma ryzami papieru. Z. Kozicki wspomina, że miał torbę monterską, która nie rzucała się w oczy, a mieściła dwie ryzy papieru.

VI. 3 Kontakty zagraniczne

Oprócz wspomnianego Andre Caron, który wspomagał oba wydawnictwa dostawami materiałów poligraficznych, i który, za działalność na rzecz lubelskich placówek służby zdrowia, otrzymał w 1991 roku Honorowe Obywatelstwo miasta Lublina, w 1987 roku Mariusz Szyszko wyjechał, dla nawiązania kontaktów z emigracją, do Paryża. Spotkał się tam z Jerzym Giedroyciem, Niną Karsov i Mirosławem Chojeckim, redaktorem naczelnym paryskiego „Kontaktu”. Zaowocowało to możliwością dokonywania przedruków z kwartalnika „Kontakt” w wyborze dokonywanym przez Respublicę, która zagwarantowała minimalny nakład w wysokości 500 egz., zwykle jednak drukowano ponad 1000 egz.

VI. 4 Kolportaż

Sam Zygmunt Kozicki w swojej relacji niewiele mówi o kolportażu wydawnictw, z pojedynczych wzmianek wynika, że każdy z członków zespołu miał swoje kanały kolportażowe. Autorka pamięta charakterystyczną postać w wełnianym, ręcznie robionym swetrze, z torbą monterską na ramieniu – Zygmunt Kozicki był niemal wszędzie.

Żadne represje nie dotknęły działalności wydawnictw Respublica i Oficyna Józefa Mackiewicza, jednakże Służba Bezpieczeństwa znała Z. Kozickiego – w założonej 24.05.1986 r. sprawie operacyjnego rozpracowania o kryptonimie „Sieć” był jednym z tzw. figurantów, obok Jadwigi Mizińskiej, Sabiny Magierskiej [żona Jana Magierskiego – E.P], Anny Łukowskiej i Bogusławy Kaczyńskiej. Sprawa dotyczyła, jak napisano, „prowadzenia nielegalnej propagandy politycznej w środowisku UMCS w Lublinie”. Zygmunt Kozicki był w tym czasie pracownikiem Księgarni Naukowej ORPAN (Ośrodek Rozpowszechniania Wydawnictw Polskiej Akademii Nauk), razem z nim pracowała Anna Łukowska. Bogusława Kaczyńska, Sabina Magierska i Jadwiga Mizińska były pracownicami naukowymi UMCS. Mizińska i Łukowska były podejrzane o kolportaż nielegalnych wydawnictw, Zygmunt Kozicki, były internowany, o współudział w kolportażu nielegalnej literatury w środowisku UMCS, Sabina Magierska, była internowana za udział w strajku na UMCS i działalność w strukturach „Solidarności” w stanie wojennym – za „udział w organizowaniu sieci kolporterów i kolportażu na UMCS” oraz „koordynowanie i inspirowanie do prowadzenia nielegalnej działalności studentów i naukowców”. Bogusławę Kaczyńską podejrzewano o prowadzenie nielegalnego kolportażu pism i wydawnictw bezdebitowych i zaangażowanie w kolportaż na UMCS, dodatkowo obciążał ją „kontakt z ob.

francuskim, który pocztą na adres zamieszkania przesyła literaturę bezdebitową w postaci książek wydawanych w Anglii, USA, RFN, Francji”, jak pisano. Z Mizińską, Magierską i Łukowską przeprowadzone zostały rozmowy ujawniające, prawdopodobnie we wrześniu 1986 r., po amnestii z 17 lipca 1986 r., - nie skorzystały z ujawnienia, gdyż, jak oświadczyły, nie popełniły przestępstwa, zostały wobec tego ostrzeżone przed podejmowaniem dalszych działań.

W trakcie przeszukania u Kaczyńskiej znaleziono 369 książek i broszur wydawanych w latach 1986-87, skierowano sprawę do kolegium i została ukarana grzywną w wysokości 50.000 zł (por. rozdz. II.1.b). Co do Kozickiego, co prawda charakteryzowanego, jako jeden z najbardziej aktywnych członków „Spotkań” i osobę utrzymującą kontakty z działaczami KOR, nie zdołano jednak ani wykonać przeszukania, ani przeprowadzić rozmowy ujawniającej czy ostrzegawczej, gdyż w tym czasie przeprowadzał się ze stacji na stację i SB nie mogła go odnaleźć.

SB odnotowywała pojawianie się książek wydawnictw Respublica i Oficyna im. Józefa Mackiewicza. W marcu 1987 r. na terenie woj. Lubelskiego zakwestionowano 1 egz. „Zwycięstwa prowokacji” J. Mackiewicza (Oficyna im. Józefa Mackiewicza). W listopadzie 1987 r. znaleziono po 1 egz. „W cieniu krzyża” J. Mackiewicza i „Jakiej prawicy Polacy [nie] potrzebują” B. Wildsteina (obie z Oficyny im. J. Mackiewicza).

VI. 5 Dorobek wydawnictwa Respublica

Lista publikacji wydanych przez wydawnictwo Respublica została zestawiona na podstawie relacji Zygmunta Kozickiego oraz „Bibliografii podziemnych druków zwartych z lat 1976-1989”. Zygmunt Kozicki podaje, że Respublica wydała około 40 tytułów książek.

1. Władysław Bartoszewski, Na czym polega socjalizm, Lublin 1986,
2. Michał Heller, Aleksander Niekricz, Utopia u władzy, Lublin 1986,
3. Czesław Leopold, Krzysztof Lechicki [pseud.], (właśc. Arkadiusz Rybicki, Antoni Wręga). Więźniowie polityczni w Polsce: 1945-1956, Lublin 1986,
4. Michael Charlton. O źródłach zimnej wojny, Lublin 1987,
5. Kontakt 87, wybór artykułów z numerów 1-2, 3, Lublin 1987,
6. Kontakt 87, wybór artykułów z numerów 4, 5, 6, Lublin 1987,
7. Artykuły usunięte przez cenzurę ze „Znaku” nr 367 z czerwca 1985 r., Lublin 1988,
8. Polityka i świat, red. I. Lasota, Lublin 1988,
9. Michał Heller, Aleksander Niekricz, Utopia u władzy, Lublin 1988,
10. Michał Heller, Technika władzy, Lublin 1988,
11. Zygmunt Haupt, Pierścień z papieru, Lublin 1988,
12. Jakub Karpiński, Tatarnictwo nizinne, Lublin 1988,
13. Stanisław Bieniasz. Ostry dyżur, Warszawa (właśc. Lublin) 1988,
14. Witold Grotowicz, Gorbazm, Lublin 1989,
15. Witold Gombrowicz, Varia, cz. 1, Lublin 1989,
16. Witold Gombrowicz, Varia, cz. 2, Lublin 1989,
17. Witold Gombrowicz, Varia, cz. 3, Lublin 1989,
18. Wiaczesław Czernowił, Borys Penson, Dialog za drutem kolczastym, Lublin

1989,

19. Isaac Beshevis Singer. Ostatni demon, Lublin 1989,

20. Włodzimierz Wojnowicz. Opowiadania, Lublin 1989.

Pierwszą wydana książką była „Na czym polega socjalizm” Władysława Bartoszewskiego. „Utopię u władzy” Hellera i Niekricza, która w oryginale jest książką dwutomową, a każdy z tomów ma objętość ponad 200 stron, wydano w pięciu zeszytach (w proporcji 1:1), w nakładzie 2700 egz., na to przedsięwzięcie zużyto setki ryz papieru.

VI. 6 Dorobek Oficyny im. Józefa Mackiewicza

Zestawienie publikacji Oficyny zostało przygotowane na podstawie relacji Zygmunta Kozickiego oraz” Bibliografii podziemnych druków zwartych z lat 1976-1989”. Zygmunt Kozicki podaje, że w Oficynie im. Józefa Mackiewicza ukazało się około 20 publikacji.

1. Józef Mackiewicz. W cieniu krzyża: kabel Opatrzności, Lublin 1987,
2. Józef Mackiewicz. Zwycięstwo prowokacji, Lublin 1987,
3. Nina Karsov, Szymon Szechter. Nie kocha się pomników. Cz. 1-2, Lublin 1987,
4. Szymon Szechter. Szechterezada, Lublin 1987,
5. Bronisław Wildstein. Jakiej prawicy Polacy potrzebują, Lublin 1987,
6. Józef Mackiewicz. „mówi Rozgłośnia Polska radia Wolna Europa”, Lublin 1988,
7. Józef Mackiewicz, Barbara Toporska. Droga pani, Lublin 1988,
8. Myślenie polityczne w cieniu Józefa Mackiewicza, Lublin 1988,
9. Michał Spis. Trzeba głośno mówić czyli o Józefie Mackiewiczu piórem antykomunisty, Lublin 1989.
10. Nieładnie, nieładnie panie Surdykowski, po prostu obrzydliwie, Lublin 1988.

Z popularnością wydawniczą w końcu lat 80.tych Józefa Mackiewicza, wiąże się zabawne wydarzenie z historii Oficyny im. Józefa Mackiewicza. Zainteresował się tą popularnością, dawniej - reżimowy, a po stanie wojennym - współpracujący z prasą niezależną, dziennikarz Jerzy Surdykowski, który ubolewał nad częstym wydawaniem w podziemiu prozy Mackiewicza, podczas kiedy inni, wielcy pisarze emigracyjni nie mogą doczekać się publikacji, a Mackiewicz sieje nienawiść i nietolerancję. Artykuł okraszony był nieścistymi cytatami z Mackiewicza i przeinaczeniami jego wypowiedzi - swój głos w tej sprawie zamieścił na łamach „Krytyki” redagowanej przez Adama Michnika.

Na łamach „Kultury Niezależnej” odpowiedzieli mu Jacek Trznadel, Kazimierz Orłoś i, ukryty pod jakimś pseudonimem, Włodzimierz Bolecki, który zatytułował swój artykuł „Nieładnie, nieładnie panie Surdykowski” i spointował go „Nieładnie, nieładnie panie Surdykowski, po prostu obrzydliwie”. Pointa ta stała się tytułem dla książki Oficyny im. Józefa Mackiewicza zawierającej artykuł Surdykowskiego i repliki

Trznadla, Orłosia i Boleckiego, wydanej w nakładzie 2000 egz.

W jednej z gazet podziemnych, w 1988 roku, Surdykowski poskarżył się, że Oficyna im. J. Mackiewicza przytacza polemiki z nim bez przytoczenia jego artykułu – co było nieprawdą – a na dokładkę taką nierzetelną publikację finansuje Fundusz Wydawnictw Niezależnych. Był to czas, kiedy Z. Kozicki jeździł do Konsorcjum Wydawniczego, gdzie spotykał się z Wacławem Cholewińskim, który przydzielał pieniądze z Funduszu Wydawnictw Niezależnych dla Regionu Środkowo-Wschodniego. Cholewiński miał wtedy ideę, żeby pieniądze były wydawane na publikacje pisarzy mieszkających w kraju. Książeczka „Nieładnie, nieładnie...” została wydana z tych właśnie funduszy i opatrzona stosowną o tym adnotacją. Z. Kozicki wiedział, że po tej publikacji, na książki wydawane przez Oficynę im. Józefa Mackiewicza, żadnych pieniędzy już nie dostanie.

VII. Inne wydawnictwa

VII.1. Wydawnictwo Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość”

Wydawnictwo Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość” zostało umieszczone pośród innych wydawnictw, gdyż było to wydawnictwo powołane do drukowania, przede wszystkim, lubelskiej mutacji miesięcznika „Niepodległość” Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość” (LDP”N”), książki były tylko dodatkiem do zasadniczej działalności.

VII.1.a Program polityczny LDP”N”, początki Oddziału Lubelskiego LDP”N”, uczestnicy

Organizatorem lubelskiej grupy LDP”N” był Paweł Skokowski, który w 1983 roku, przypadkowo, spotkał w Warszawie późniejszych założycieli LDP”N”. Grupa wydająca pismo „Niepodległość” i określająca się, już 1983 roku, jako Organizacja „Niepodległość”, dążyła do wyartykułowania programów politycznych i utworzenia wokół tych programów partii politycznych. Głównymi założeniami LDP”N” było oderwanie się Polski od Związku Radzieckiego i wyzwolenie się spod jego wpływów, wprowadzenie w Polsce gospodarki rynkowej i oderwanie się Ukrainy od Związku Radzieckiego, jako jednego z warunków niepodległości Polski, a także przyłączenie się Polski do bloku państw zachodnich i do NATO. Jak relacjonuje P. Skokowski, były to na owe czasy poglądy kuriozalne, i powodujące, że środowisko LDP”N” uznawano za sterowane przez „ubecję”, warszawską [właśc. „esbecję” - Służbę Bezpieczeństwa - E.P.], było to tezy zbyt radykalne, ale Skokowskiemu odpowiadały.

Na początek P. Skokowski miał się zająć organizacją Lubelskiego Oddziału LDP”N” i kolportażem miesięcznika, a w późniejszych planach drukiem pisma na potrzeby lokalne. Z Warszawy przychodziły gotowe materiały [matryce tekstów - E.P.], a druk był wykonywany w Lublinie. Pismo miało objętość do 30 stron formatu A-4 i nakład do 3000 egz. P. Skokowski pisze, że samodzielne drukowanie rozpoczął w końcu 1983 lub na początku 1984 roku.

Oprócz P. Skokowskiego Oddział Lubelski LDP”N” stanowili: Krzysztof Wróblewski, Hubert Pietras, Zbigniew Krawczyk, państwo Czubkowie (małżeństwo) i ich koleżanka Renata [nazwisko nie zostało ustalone - E.P.].

Służba Bezpieczeństwa notuje jeszcze dwie osoby - członków LDP”N” - Helena Ciechomska, główna księgowa w Wytwórni Urządzeń Komunalnych w Lublinie, według SB, miałaby być członkiem LDP”N” od 1985 r., za sprawą swojej siostry będącej działaczką LDP”N” w Warszawie. SB uważała, że Ciechomska jest łączniczką LDP”N” pomiędzy Lublinem i Warszawą i prowadzi kolportaż wydawnictw. Wojciech Bogaczyk, student KUL, znany był wcześniej SB, jako działacz NZS, w 1981 r. delegat na II Krajowy Zjazd NZS we Wrocławiu. Odnotowano także jego działalność w duszpasterstwie akademickim kierowanym przez O. Ludwika Wiśniewskiego w

Kościele Ojców Dominikanów w Lublinie, sygnatariusz petycji kierowanych do Sejmu PRL, Episkopatu Polski i samorządu szkół wyższych. Jako przewodniczący Tymczasowego Samorządu Studentów KUL (TSS KUL) w latach 1984-85, podpisał apel członków TSS KUL przeciw wyborom, który to apel został odczytany w Radio France International 11.10.1985 r. W roku 1986 jest notowany, jako aktywny działacz LDP"N", zauważono także jego kontakty z oddziałami w Gdańsku i Warszawie i częste wyjazdy do Francji. W marcu 1987 r., z jego, między innymi, inspiracji przystąpiono do reaktywacji NZS.

VII.1.b Technika druku, materiały

Drukowano tylko techniką sitodruku, która była cicha, tania i nie wymagała odizolowanego miejsca. Najczęściej były to lokale w blokach, gdzie noszenie paczek, wchodzenie i wychodzenia ludzi nie budziło podejrzeń, jednakże miejsca, w których odbywało się drukowanie, dla bezpieczeństwa, często zmieniano.

W technice sitodruku przeszkolił Pawła Skokowskiego Wojciech Guz, Skokowski szkolił potem następnych, zapewniało to bezpieczeństwo i anonimowość osoby W. Guza wobec innych członków LDP"N".

Najważniejszym materiałem było sito, które zdobywano na czarnym rynku, z przemytu, albo prywatnymi kontaktami. Czasami sito i gumę na rakle otrzymywano także z Regionu, gdyż drukarnia LDP"N" świadczyła wiele usług, między innymi drukowano „Informator”. Organizowano dwa stanowiska sitodrukowe równoległe, jedna ekipa wносиła papier, a inna wynosiła zadrukowane arkusze. Przy takiej organizacji druk odbywał się szybko i bezpiecznie. Farbę sporządzano z farby plakatowej i pasty „komfort”, precedzono tę substancję przez damską pończochę, gdyż pasta miała grudki, które zatykały sito. Papier zdobywano przez kontakty w sklepach papierniczych, czasami W. Guz „płacił” LDP"N” papierem za wykonaną pracę.

VII.1.c Finanse, kontakty zagraniczne

Na początku działalności Paweł Skokowski finansował wszystko z prywatnych pieniędzy, wspomina, że po dwóch latach otrzymał z Centrali [prawdopodobnie z Warszawy - E.P.] 100 dolarów. Obowiązywała zasada, że trzeba sprzedać czasopismo w takiej cenie, żeby móc potem kupić sito, farby i papier.

W 1989 r. P. Skokowski wyjechał do Paryża i poprzez mieszkających tam ludzi z „Niepodległości” nawiązał kontakt z Mirosławem Chojeckim. Na prośbę o pieniądze i sprzęt - Skokowski „upatrzył” sobie maszynę offsetową za 15.000 dolarów i zorganizował kanał przemytu do Polski - otrzymał odpowiedź, że może otrzymać trochę „bibuły” i ewentualnie papier. P. Skokowski uważa, że nie otrzymał tych pieniędzy, gdyż znajdował się po „innej stronie” sceny politycznej. Píše też, że przy okazji tego samego wyjazdu miał propozycję zorganizowania w Polsce, przy dofinansowaniu w wysokości 500.000 dolarów ze strony zachodniej, dziennika

prawicowego. Po powrocie do Lublina usiłował zebrać grupę osób, która podjęłaby się redakcji pisma i wspólnej odpowiedzialności za wydatkowanie dotacji – nie znalazł chętnych.

Efekty w postaci dofinansowania i, co za tym idzie, zmiany miejsca LDP" N" na scenie politycznej w perspektywie 2-3 lat [nie wiadomo, od kiedy należałoby datować ten postęp – E. P.] mogły, według P. Skokowskiego, przynieść też kontakty nawiązane ze Zbigniewem Brzezińskim w USA.

VII.1.d Represje

Drukarnie, dzięki dobrej konspiracji, nigdy nie miały „wpadki”. Aresztowany został natomiast sam Paweł Skokowski. Transportując 8 grudnia 1985 r., wynajętą taksówką, „bibułę” [nie ustalono, jaki rodzaj „bibuły” był transportowany – E.P.] do Warszawy, trafił w miejscowości Wiązowna pod Warszawą, na rutynowy patrol milicji. Jak sam relacjonuje, milicjanci spodziewali się znaleźć w samochodzie „rąbankę” [części tuszy wieprzowej – E.P.], gdyż był to okres przedświąteczny, niedzielny poranek, kiedy to dostawcy mięsa wozili je do Warszawy. Natomiast milicja znalazła podziemne druki. Skokowski ponadto, miał przy sobie receptę wystawioną przez swojego współpracownika, lekarza Krzysztofa Wróblewskiego.

Służba Bezpieczeństwa w tym samym dniu dokonała przeszukań w mieszkaniu taksówkarza, który wiozł P. Skokowskiego – Henryka Tylca, napisano, że znaleziono „69 egz. nielegalnych pozycji, w tym 59 ulotek formatu A-6, sygnowanych przez TZR NSZZ „S” Regionu Środkowo-Wschodniego, Liberalno-Demokratyczną Partię „Niepodległość” Oddział Lublin i „Solidarność Walczącą” Oddział Lublin, traktujących o 1 i 3 maja”.

Nazajutrz, 9 grudnia 1985 r., SB dokonała przeszukania u Krzysztofa Wróblewskiego i w „ramach działań operacyjno-procesowych wobec nielegalnych struktur sfery nadbudowy (...) w czasie przeszukania ujawniono i zakwestionowano: 20 szt. pociętych klisz wywołanych negatywów o wym. 9x6 cm oraz 3 klisze zawierające 27 klatek z tekstem „Miesięcznika politycznego Liberalno-Demokratycznej Partii Niepodległość maj-czerwiec-lipiec nr 41/42/43 bez okładki, maszyna do pisania marki Orga-Privat, 4 ryzy papieru maszynowego, 23 egz. nielegalnych wydawnictw książkowych i broszurowych, 52 egz. nielegalnych wydawnictw w postaci biuletynów i informatorów, 45 znaczków tzw. „Poczty Solidarność”, 98 egz. różnych opracowań z wrogimi tekstami, 19 kart zawierających odręczne zapiski. K. Wróblewski został zatrzymany do dyspozycji Prokuratora Rejonowego m. Lublina. Działania wobec w/w oraz innych osób podejrzanych o udział w wydawaniu i kolportażu nielegalnych wydawnictw są kontynuowane”.

Paweł Skokowski był sądzony w Sadzie Rejonowym w Otwocku, relacjonuje, że przesiedział w więzieniu, w Białoleścu, 9 miesięcy. Autorka nie zdołała ustalić, jaki wyrok zapadł w tej sprawie, można się domyślać, że został zwolniony wyniku amnestii 17 lipca 1986 r.

Pierwsza rozprawa przeciwko Krzysztofowi Wróblewskiemu odbyła się 15 maja 1986 r. W toku rozprawy, zarówno oskarżyciel, jak i adwokat Wróblewskiego, wnieśli o odroczenie rozprawy i przesłuchanie w charakterze świadka P. Skokowskiego.

Adwokat wniósł także wniosek o uchylenie aresztu wobec K. Wróblewskiego. Nie udało się ustalić czy areszt wobec K. Wróblewskiego został uchylony, natomiast po amnestii 17 lipca 1986 r., umorzono postępowanie wobec niego. SB przyjęła od niego „oświadczenie o nie powróceniu na drogę przestępstwa”.

VII.1.e Dorobek wydawnictwa, kolportaż

Nie udało się ustalić ile numerów miesięcznika „Niepodległość” wyszło w Lublinie, ani w jakim okresie wychodził. „Bibliografia publikacji poziomych w Polsce 13 XII 1981 - VI 1986” J. Kamińskiej odnotowuje numer z listopada 1985 r. i podaje, że w 1985 r., jako ostatni wyszedł nr 2 z grudnia, można się domyślać, że oba te numery zostały wydane w Lublinie, gdyż sygnowane są przez Wydawnictwo Antyk (Anty-K), które w Lublinie działało. W kwietniu SB przejęła nr 3 z lutego 1986 r., sygnowany także przez wydawnictwo Antyk

Jeśli idzie o druk książek, to P. Skokowski wspomina w swojej relacji o jednej książce: „Historia Związku Radzieckiego” Michała Hellera i Aleksandra Niekricza. Służba Bezpieczeństwa odnotowała jej przejęcie z UMCS między 16 a 18 czerwca 1987 r. Przy pomocy „Bibliografii publikacji podziemnych w Polsce 13 XII 1981 - VI 1986” J. Kamińskiej, udało się ustalić jeszcze jedną: Łukasz Jodko „Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej”.

Oprócz miesięcznika „Niepodległość” i publikacji książkowych, drukowano na zlecenie inne czasopisma. Jak wspomniano wcześniej, czasami drukarnia LDP „N” wykonywała druk „Informatora”. Około roku 1984 zaczęto drukować kwartalnik redagowany przez Bronisława Komorowskiego „ABC - Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne”, było to pismo historyczno-teoretyczne propagujące uzyskanie samodzielności politycznej tego makroregionu.

W 1985 r. P. Skokowski próbował stworzyć pismo regionalne o nazwie „Gazeta Polityczna” miała to być jednokartkówka zawierająca wiadomości regionalne i umożliwiająca przedstawicielom różnych opcji politycznych dyskusję na temat przyszłości Polski. Skokowski uważa, że porażka tego pisma była spowodowana tym, iż ludzie nie mieli na ten temat żadnych poglądów. „Wpadka” w Wiązownej i aresztowanie Skokowskiego przerwały dalsze prace nad gazetką.

Kolportaż odbywał się w ramach sieci niezależnych kolporterów, nie tylko kanałami Regionu, i na zasadzie osobistych „wejść” do różnych środowisk. Pięć różnych numerów pisma „Niepodległość” z roku 1986, znalezionych w kwietniu 1987 r., umieściła w swoim zestawieniu z 5.05.1987 r. Służba Bezpieczeństwa.

W listopadzie 1989 roku Służba Bezpieczeństwa sporządziła „Informację dot. struktur pozaparlamentarnych funkcjonujących na terenie województwa lubelskiego”, którą otrzymali: Zastępca Szefa SB MSW, Naczelnik Wydziału Studiów i Analiz WUSW Lublin i Wydział „C” WUSW w Lublinie. Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość” zaliczona została do struktur, które funkcjonowały na terenie Lublina w poprzednich latach, SB napisało o niej: „(...) działała na terenie woj. lubelskiego od kwietnia 1985 r. Głównym założeniem programowym była walka o niepodległość Polski; całkowitą niezależność od ZSRR. Działała w środowiskach robotniczych,

studenckich i młodszej kadry naukowej. Od 1987 r. LDP"Ń" nie prowadzi działalności na terenie m. Lublina". Chyba była to ocena pochopna, zważywszy na to, że jeszcze w 1989 roku Skokowski wyjeżdżał do Paryża w sprawach LDP"Ń".

Po wyjściu z więzienia, w 1986 roku, Paweł Skokowski dokonał bilansu swego życia – nie miał rodziny, mieszkania, pracy, ani majątku. Uważał, że przyszedł czas tworzenia poważnych, działających legalnie, partii politycznych, a człowiek nieposiadający zaplecza finansowego, jest w polityce, łatwy do manipulowania, jak pisze, „okrągły stół” potwierdził te jego obawy i zdecydował o odejściu z polityki..

VII.2. Wydawnictwo Antyk

Wydawnictwo „Antyk” zasługuje na uwagę ze względu na dość dużą liczbę publikacji wydanych w latach osiemdziesiątych, po ich zróżnicowaniu tematycznym trudno zorientować się, jaki był klucz doboru tytułów.

Z informacji uzyskanych od Zygmunta Kozickiego wynika, że w wydawnictwie tym działał, między innymi Marcin Dybowski, który do dnia dzisiejszego prowadzi w Warszawie wydawnictwo o tej samej nazwie. Niestety, próśby o wypowiedź dotyczącą działalności wydawnictwa „Antyk” w latach osiemdziesiątych, kierowane e-mailem na adres Marcin Dybowski, nie przyniosły skutku. W tej sytuacji można tylko przytoczyć „Informację sytuacyjną” Służby Bezpieczeństwa z 11 lipca 1987 r., a dotyczącą zatrzymania Marcina Dybowskiego: „W dniu dzisiejszym o godz. 1.30 funkcjonariusze Kompanii Patrolowej RUSW w Lublinie zatrzymali: Dybowski Marcin s. Janusza i Aliny z d. Kowalska, lat 25, studenta IV roku Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, zam. na stałe Komorów ul. Klonowa, który w samochodzie marki Volkswagen nr rej. WUF 0296 (stanowiącym własność Andrzeja Senatorskiego Warszawa ul. Bruna 12/25) przewoził: 13 ram do sitodruku, 16 ryz papieru, ok. 1 kg farby drukarskiej, 7 butelek po 1/2 l denaturatu, 702 klisze celuloidowe z naniesionymi tekstami nielegalnych wydawnictw, kilkaset kart maszynopisów z tekstami nielegalnych wydawnictw np. „Antyk” i „Wywiad z kursem”, 69 egz. różnych nielegalnych wydawnictw, 1600 egz. imitacji znaczków „Poczta Polska”, 143 egz. znaczków i 1010 egz. bloczków znaczków „Poczta Solidarność” oraz „Poczta NZS”, 270 egz. plaketek „3 wizyta papieża – Solidarność zwycięży”, 2 obcinarki-gilotyny fotograficzne. W/wym. przesłuchano w charakterze sprawcy wykroczenia (odmówił składania jakichkolwiek wyjaśnień) i osadzono w areszcie RUSW w Lublinie. Przeciwko M. Dybowskiemu skierowany zostanie w trybie zwykłym wniosek o ukaranie przez Kolegium ds. Wykroczeń z art. 52a § 1 pkt 1 KW oraz przepadek zakwestionowanych przedmiotów i samochodu”. 20 lipca 1987 r. Kolegium orzekło wobec M. Dybowskiego karę grzywny w wysokości 50 tys. zł oraz przepadek samochodu marki Volkswagen i zakwestionowanych przedmiotów.

Wykaz publikacji wydawnictwa Antyk został ustalony na podstawie „Bibliografii podziemnych druków zwartych z lat 1976-1989”.

1. Łukasz Jodko (właśc. Jerzy Łojek). Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej, Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość”. Antyk.

Lublin 1985,

2. Zbigniew Markowski. Od realizmu do zwątpienia: pięć szkiców z najnowszej historii Czechosłowacji, Biblioteka ABC, Lublin 1986,

3. Jadwiga Malkiewiczowa. Wspomnienia więzienne. Biblioteka „Antyk”, Lublin 1987,

Służba Bezpieczeństwa odnotowała 18 maja 1987 r., że: „16 maja ze środowiska studenckiego UMCS przejęto operacyjnie”, egzemplarz, między innymi, tego tytułu.

4. Alain Besancon. Nacjonalizm i bolszewizm w ZSRR, Biblioteka Konserwatysty, Lublin 1988,

5. Innocenty Maria Bocheński. Marksizm-leninizm: nauka czy wiara. Nakł. Piotra Surazyńskiego, Lublin 1988,

6. Innocenty Maria Bocheński. Marksizm-leninizm: nauka czy wiara. Wyd. 2, Lublin 1988,

7. Graham David, Clarke Peter. Śmierć socjalizmu. Biblioteka Konserwatysty. Nakł. Piotra Surazyńskiego. Lublin 1988,

8. Innocenty Maria Bocheński. Katastrofa pacyfizmu. Nakł. Piotra Surazyńskiego, Lublin 1989,

9. Abdurachman Avtorchanov. Od Andropowa do Gorabaczowa, Lublin 1989,

10. Friedrich August von Hayek. Wielka utopia. Wolność ekonomiczna i rząd reprezentatywny. Biblioteka Konserwatysty. Nakł. Piotra Surazyńskiego. Lublin 1989,

11. Andrzej Słowakiewicz. Koncepcje programowe Polskiego Stronnictwa Ludowego w latach 1945-1947. Nakł. Autora. Biblioteka Antyku. Lublin 1989,

12. Smuta najnowszych czasów czyli Zdziwiające przypadki Wani Czmotanowa, Biblioteka Antyku. Lublin 1989.

VII.3 Wydawnictwo CiS

Jedynie informacje, jakie udało się zdobyć o wydawnictwie CiS, to - od Andrzeja Peciaka, że rozwiązaniem skrótu nazwy jest „Czyn i Słowo”, natomiast Zygmunt Kozicki dodał, że było to wydawnictwo prowadzone przez studentów, którzy po ukończeniu studiów rozjechali się każdy w swoją stronę.

Dorobek wydawnictwa CiS został ustalony na podstawie „Bibliografii podziemnych druków zwartych z lat 1976-1989”.

1. Jan Ciechanowski. O genezie i upadku II Rzeczypospolitej. Lublin 1986
2. Jacek Kuroń. Polityka i odpowiedzialność. Lublin 1986
3. Kazimierz Pużak. Wspomnienia 1939-1945. Lublin 1987
4. Czesław Straszewicz. Turyści z bocianich gniazd. Lublin 1987
5. Tadeusz Żenczykowski. Samotny bój Warszawy. Lublin 1987
6. Marek Hłasko, Sowa córka piekarza. Utwory Niewybrane. 6. Lublin 1988

VII. 4 Pozostałe wydawnictwa

Publikacje z lat 1980-1989, takich lubelskich wydawnictw, jak: „Siglum”, drukarnia „Ścigana”, Lubelskie Wydawnictwo NZS, Drukarnia Polowa KOS 44 WL, która w latach 1982-1987 wydała 7 zeszytów „Śpiewnika z wojny polsko-jaruzelskiej” a także innych wydawnictw lubelskich, które nie mieściły się w ramach tego opracowania zostały zestawione w Aneksie nr 2, umieszczonym na końcu pracy. Podstawą zestawienia była „Bibliografia podziemnych druków zwartych z lat 1976-1989”. Oczywiście jest, że nie do wszystkich publikacji z lat 80.tych mógł dotrzeć zespół przygotowujący tę bibliografię.

Pojawienie się niektórych z tych publikacji w Lublinie zostało zarejestrowane przez SB, np. w kwietniu 1983 r. broszury „Komunizm - widmo i walka” drukarni „Ścigana”, w marcu 1988 r. książki Zbigniewa Brzezińskiego „Przyszłość Jałty” (Lublin 1987) wydawnictwa „Siglum”, a 15 czerwca 1989 r., odnotowano sprzedaż książki M. W. Aleksandra „Agentura” (Lublin 1988), wydanej przez Wydawnictwo Lubelskie NZS, przed siedzibą Komitetu Obywatelskiego w Lublinie [Komitet Obywatelski mieścił się przy ul. Krakowskie Przedmieście 64 - E.P.].

VIII. Działania SB zmierzające do zwalczania niezależnej działalności wydawniczej

Służba Bezpieczeństwa podejmowała szereg działań mających na celu zwalczanie działalności niezależnej, w tym także wydawniczej, o represjach dotyczących uczestników poszczególnych wydawnictw wspomniano w poprzednich rozdziałach pracy. Przedstawione poniżej przedsięwzięcia SB mają na celu ujawnienie skali, na jaką usiłowano prowadzić penetrację podziemnych struktur wydawniczych.

W 1982 roku prowadzono, jak napisano, działania „profilaktyczno-represyjne” lub „represyjno-profilaktyczne”, można się domyślać, że odbywało się to systemem akcyjnym, gdyż, np. 26 sierpnia 1982 r. dokonano 19 przeszukań pomieszczeń, podczas których zakwestionowano kilkadziesiąt publikacji podziemnych, natomiast następnego dnia, 27 sierpnia tego samego roku, dokonano 26 przeszukań i znaleziono kilkanaście egzemplarzy „literatury bezdebitowej”. Natomiast od 26 października do 4 listopada 1982 r. przeprowadzono 48 rozmów ostrzegawczych, 30 przeszukań pomieszczeń, założono 10 spraw operacyjnych, zastosowano areszty wobec 2 osób, znaleziono 150 egz. pism bezdebitowych oraz urządzenia do powielania [nie udało się ustalić, o jakie urządzenia chodziło – E.P.]

Początek 1983 roku przyniósł próbę podsumowania przez SB swojej działalności, poczynając od stanu wojennego, dotyczących wszystkich przejawów „wpływu na postawy społeczeństwa, zwłaszcza klasy robotniczej, tzw. podziemia politycznego i antysocjalistycznej propagandy”. Dokonano oceny, że „działalność ta występowała w sposób szczególnie widoczny w poprzednim okresie (1981-82), natomiast obecnie [luty 1983 r. – E.P] nasilenie inicjatyw o charakterze wrogim i antysocjalistycznym wyraźnie zmalało” i podsumowano przeprowadzone działania: „internowano 222 osoby, przeprowadzono ok. 3,5 tysiąca rozmów profilaktyczno-ostrzegawczych (...), podejmowano różnorodne działania wobec 32 osób ukrywających się [można się domyślać, że w celu ustalenia miejsca ich pobytu – E.P.], zlikwidowano 28 nielegalne organizacje i grupy o charakterze antysocjalistycznym [tak w tekście – E.P.], wśród których siedem działało w środowisku młodzieżowym”. Z przedsięwzięć dotyczących działalności wydawniczej SB rejestruje dalsze działania: „ujawniono i zlikwidowano 17 punktów produkcji nielegalnej literatury oraz przejęto 72 urządzenia poligraficzne [zestawienie to obejmuje prawdopodobnie urządzenia przejęte w zakładach pracy, w nocy z 13 na 14 grudnia 1981 r. i po rozbiciu strajków przeciwko stanowi wojennemu – E.P.], przejęto 30 tys. ulotek, ok. 12 tys. egzemplarzy biuletynów, komunikatów i innych wrogich pism oraz zlikwidowano ponad 500 napisów o treści antysocjalistycznej i antypaństwowej, (...) za udział w nielegalnych zgromadzeniach sporządzono wobec ok. 150 osób wnioski do kolegium i osoby te zostały ukarane”. Została też dokonana przez SB ocena zagrożenia związanego z wydawaniem niezależnych pism: „(...) Prowadzono na dość dużą skalę antysocjalistyczną propagandę w wydawanych nielegalnie pismach oraz poprzez akcje ulotkowe i malowanie wrogich napisów”, „(...) wydawane (...) biuletyny i informatory posiadają ograniczony zasięg oddziaływania w środowisku robotniczym”.

Mimo bagatelizowania wpływu podziemnej prasy na społeczeństwo, prowadzono przez cały czas działania „profilaktyczno-represyjne”. 11-12 kwietnia 1983 r. w

ramach takich działań przejęto kilkadziesiąt „Informatorów”, 34 broszury, 4 maszyny do pisania, 5 ryz papieru maszynowego, 27 arkuszy kalki maszynowej i inne drobne wydawnictwa – uznano, że są to „materiały w postaci nielegalnych wydawnictw oraz środki do ich sporządzania”. 25 i 26 kwietnia dokonano 10 rewizji na terenie Lublina, Puław i Świdnika. Wyniki całej akcji prowadzonej w kwietniu 1983 r. podsumowano w „Ocenie stanu bezpieczeństwa i porządku publicznego na terenie województwa lubelskiego w miesiącu kwietniu 1983 roku”, efekt 41 przeszukań i 71 rozmów profilaktycznych, był mizerny i listy zatrzymanych przedmiotów nie warto tu przytaczać. Podobnym efektem skończyło się 14 przeszukań odbytych w ramach operacji „Zorza” prowadzonej w dniach 12-16 czerwca 1983 r. w związku ze zbliżającą się wizytą Papieża [Jan Paweł II odwiedził Polskę w dniach 16-23 czerwca 1983 r., - [E.P.]. SB przeprowadziła wtedy przeszukania „u osób podejrzanych o kolportaż wrogiej literatury lub podejmowanie inicjatyw obliczonych na zakłócenie toku wizyty papieża w kraju”. Jedynymi poważnymi „zdobyczami” będącymi wynikiem rewizji, jakich dokonano 27 października 1983 r. były pojedyncze egzemplarze „Informatora”, gumowa pałka milicyjna i $\frac{3}{4}$ l bimbru.

Kolejna fala przeszukań miała miejsce wiosną 1984 r., gdyż SB informuje, że "(...) W dniu 5 bm. (5 marca 1984 r. – E.P.) zgodnie z planem działań od 5 do 9 bm. [5-9 marca 1984 r. – E.P.] Służba Bezpieczeństwa w Lublinie zrealizowała czynności zmierzające do likwidacji podziemnych struktur „Solidarności” działających na terenie województwa lubelskiego, przy podsumowaniu efektów przeszukań podano, że w trakcie 33 przeszukań znaleziono 292 egzemplarze literatury bezdebitowej i udzielono informacji dodatkowej, że w styczniu i lutym [1984 r. – E.P.] przeprowadzono łącznie 133 rozmowy operacyjne i dokonano 105 przeszukań. Ostateczne rezultaty zostały, 1 maja 1984 r., przesłane do MSW, warto w tym miejscu, niektóre osiągnięcia, przytoczyć: „(...) W nawiązaniu do szyfrogramu nr 18016/173 z 30.04.1984 r. podaję, jak niżej:

1. Liczba ujawnionych i zlikwidowanych nielegalnych grup i organizacji – 0
2. Liczba zlikwidowanych punktów poligraficznych – 0
3. Liczba skonfiskowanego sprzętu poligraficznego – 1
Maszyna elektroniczna IBM wraz z 9 kasetami z taśmami do niej [chodzi o maszynę skonfiskowaną u Ewy Stobnickiej, por. rozdz. II.1.b]
4. Liczba skonfiskowanych urządzeń radionadawczych w dniu 28.04.1984 r. o godz. 21.53 w czasie nadawania audycji „Radio Solidarność Świdnik zapowiedziało, że w dniu 1 maja 1984 r. o godz. 10.00 nada audycję. W wyniku prowadzonego nasłuchu przy udziale Biura RKW Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zapowiedzianej audycji „Radio Solidarność Świdnik” nie nadało
5. Liczba skonfiskowanych urządzeń rozgłaszających – 0
6. Liczba osób, przeciwko którym wszczęto postępowanie karne – 3
(w tym aresztowani tymczasowo 2)
7. Liczba ustalonych sprawców aktów terroru politycznego w tym niszczenie pomników i dekoracji 1-majowych – 5
8. Liczba przeprowadzonych rozmów profilaktyczno-ostrzegawczych – 51
9. Liczba przeprowadzonych przeszukań – 18
10. Ilość zatrzymań profilaktycznych – 10”.

Zważywszy na liczbę i różnorodność podjętych działań, rezultaty były znikome. Rok 1985 rozpoczęto rewizjami w dniach 1-27 lutego, w czasie których zabrano 911 podziemnych wydawnictw – biuletyny, informatory, broszury i 1 powielacz

spirytusowy [autorka nie natrafiła na dokumenty wskazujące, skąd zabrano ten powielacz, ani w czym był posiadaniu – E.P].

Dowodem na wielką determinację SB w poszukiwaniu podziemnych drukarni były przeszukania przeprowadzone od sierpnia do października 1985 r., co było związane z mającymi się odbyć 13 października 1985 r. wyborami parlamentarnymi. „Solidarność” wzywała do bojkotu wyborów, pojawiły się ulotki antywyborcze w ogromnych ilościach. SB odnotowała „315 faktów kolportażu ulotek w 52 rodzajach, których łącznie 25409 egz. zabezpieczono i przejęto w fazie wstępnego kolportażu nie dopuszczając do ich dalszego rozpowszechniania”. Z pewnością SB przejęła tylko niewielką część ulotek, nie sposób ustalić ile ich mogło być w sumie. Obok tych działań przeprowadzono: „przeszukania mające na celu likwidację nielegalnych punktów poligraficznych, wydawnictw, systemów ich kolportażu”. SB uznała, że poprzez te działania „(...) Wpływy opozycji w poważnym stopniu zostały ograniczone”. Działania mające na celu likwidację bazy poligraficznej „Solidarności” były prowadzone na szeroką skalę, za przykład może służyć sierpień 1985 r., kiedy to 7 sierpnia dokonano 4 przeszukań, a w czasie do 12 sierpnia 85 r. dokonano łącznie 21 przeszukań, w czasie których znaleziono 150 egz. biuletynów i informatorów i 100 broszur oraz dokonano analizy 12 spraw ewidencji operacyjnej dotyczących podziemnej poligrafii.

Po wyborach Służba Bezpieczeństwa dokonała podsumowania działań, podejmowanych razem z Milicją Obywatelską, i ich rezultatów. W „Informacji sytuacyjnej” z 13 października podano:

- „1. Ilość przeprowadzonych rozmów profilaktycznych – 403
2. Ilość przeprowadzonych rozmów ostrzegawczych – 242
3. Ilość przeprowadzonych przeszukań – 112 – podczas przeszukań zakwestionowano łącznie 1056 egz. różnych nielegalnych wydawnictw (ulotek, biuletynów, informatorów itp.)
4. Ilość zlikwidowanych nielegalnych grup – 0
5. Ilość zlikwidowanych punktów poligraficznych – 0
6. Ilość wydawnictw antywyborczych (ulotek, biuletynów) zabezpieczonych w trakcie działań operacyjnych i patrolowo-penetracyjnych – 26.306 egz.
7. Ilość zatrzymanych osób podejrzanych o działalność antywyborczą – 1”

Dane te mówią same za siebie, o proporcjach między włożoną „pracą” a jej efektami. Kwiecień 1986 r. był miesiącem, w którym Służba Bezpieczeństwa skupiła się na działaniach „mających na celu likwidację bazy poligraficzno-kolportażowej konspiracyjnych struktur „Solidarności””, co oznaczało dokonanie 11 rewizji - 9 kwietnia, kiedy to znaleziono 319 egz. podziemnych wydawnictw z lat 1985-86, zarówno z Lublina, jak i z terenu całego kraju oraz 14 rewizji - 23 i 24 kwietnia, w trakcie których przejęto 68 egz. biuletynów i informatorów, 18 broszur i 1 książkę.

W 1987 roku zdarzyła się „wpadka” przypadkowa, kiedy przy okazji działań milicyjnych o kryptonimie „Paser” [prawdopodobnie chodziło o akcję wymierzoną w osoby popełniające przestępstwa kryminalne, dlatego akcję prowadziła milicja – E.P]. 10 marca 1987 r. przeszukano mieszkanie Józefa Bociana, podczas którego znaleziono 4 ramki do sitodruku, siatkę nylonową do ramki sitodrukowej, farbę

drukarską, 73 klisze z tekstami do druku, 59 egz. różnych wydawnictw. Józef Bocian oświadczył, że przedmioty te należą do jego syna Tomasza, ucznia studium policealnego. Tomasz Bocian, natomiast, oświadczył, że torbę z tymi przedmiotami znalazł. Skierowano wniosek do kolegium, które ukarało Tomasza Bociana, 12 marca 1987 r., karą grzywny w wysokości 40.000 zł i przepadkiem znalezionych przez milicję przedmiotów.

Z pewnością, miejsce miały i inne działania Służby Bezpieczeństwa skierowane przeciwko niezależnej działalności wydawniczej w Lublinie, nie zostały one jednak odnotowane w dostępnych autorce aktach IPN.

Analiza, nawet niepełnych i wrywkowych, informacji znalezionych przez autorkę w trakcie kwerendy archiwalnej w IPN Oddział Lublin, a także relacji uczestników niezależnego ruchu wydawniczego w Lublinie, pozwala na sformułowanie ostrożnej oceny dotyczącej działań Służby Bezpieczeństwa w rozpoznaniu, utrudnianiu funkcjonowania i likwidacji tego ruchu. Na podstawie analizowanych materiałów odnosi się wrażenie, że działania SB w większości przypadków miały charakter dorywczy i akcyjny. Aresztowania i zatrzymania były często przypadkowe, a śledztwa nie doprowadzały ani do wykrycia sieci kolportażu, ani kanałów zaopatrzenia czy miejsc druku. Śledztwa miały charakter cząstkowy i kończyły się zatrzymaniem pojedynczej osoby, a nie prowadziły do wykrycia struktur. Zadziwiają szczegółowe informacje dotyczące pojedynczych incydentów, czy zatrzymań, które nie znalazły w SB opracowania syntetycznego, umożliwiającego zrozumienie mechanizmów działania środowisk i przedsięwzięć niezależnych.

Można odnieść wrażenie, że osoby zwalczające niezależny ruch wydawniczy nie wiedziały nawet, jak wygląda proces produkcyjny prasy czy książek - najczulszym i najniebezpieczniejszym momentem podziemnego cyklu wydawniczego był druk i przekazanie nakładu do kolportażu. W Lublinie nie zlikwidowano żadnej drukarni, ani w trakcie instalacji, ani w trakcie jej pracy. Niewykorzystanym przez SB sposobem rozpoznania i rozpracowania środowiska opozycyjnego w Lublinie były więzy rodzinne i przyjaźnie.

Zakończenie

Do prowadzenia podziemnej działalności wydawniczej jej uczestnicy nie szukali specjalnych uzasadnień. Oczywiście było, że jeśli istnieje cenzura, czyli izoluje się społeczeństwo od informacji, przeinacza się fakty historyczne, to jest to wystarczający powód by prowadzić niezależną politykę wydawniczą, tak było w przypadku działalności wszystkich wydawnictw niezależnych. Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość” niezależna prasa czy wydawnictwa książkowe dawały możliwość głoszenia programu partii.

Wybór tytułów dyktowały osobiste zainteresowania lub podpowiedzi kolegów zorientowanych w literaturze, najczęściej były to utwory polskich pisarzy tworzących na emigracji, bo te wydawano najchętniej. Sporadycznie zdarzało się, że wydawcy wybierali literaturę, którą sami przygotowywali do druku – do takich przypadków należały tłumaczenia na język polski literatury obcej, jak w wydawnictwie FIS, powieści B. Hrabala „Obsługiwałem angielskiego króla” czy w Wolnej Spółce Wydawniczej – „Stopnie” Jerzego Kosińskiego. Najrzadziej miało miejsce wydawanie zamówionych dzieł – wydawnictwo FIS poprosiło Jana Zielińskiego o napisanie kompendium zawierającego około 100 haseł – nazwisk pisarzy polskich na emigracji i tytułów czasopism wychodzących poza granicami kraju. Książka ta wyszła pod tytułem „Leksykon polskiej literatury emigracyjnej”, dla bezpieczeństwa autor Jan Zieliński użył pseudonimu „Jan Kowalski”.

W wydawanie inwestowano początkowo własne pieniądze, które po kilku edycjach się zwracały i przynosiły przychód umożliwiający inwestowanie w kolejne książki. W wydawnictwie „Biblioteka Informatora” dochody z książek miały pokrywać koszty związane z drukiem czasopisma „Informator” rozdawanego nieodpłatnie. W „Informatorze” trzymano dyscyplinę finansową i wygospodarowane środki przekazano w 1989 roku Fundacji „Solidarności” Regionu Środkowo-Wschodniego.

W wypadku Wolnej Spółki Wydawniczej oraz wydawnictwa Respublica i Oficyna im. Józefa Mackiewicza, które były spółkami rodzinnymi, przychody z druku książek pozwalały, co prawda bez większego zysku, ale utrzymać się rodzinie. Fundusz Inicjatyw Społecznych postawił sobie za cel dotowanie czasopism i inicjatyw niezależnych w Regionie i poza nim. W początkowym okresie udało się realizować tę ideę, ale w miarę rozwoju działalności wydawniczej, było coraz mniej pieniędzy na dofinansowania.

W Funduszu Inicjatyw Społecznych skrupulatnie rozliczano finanse, nie pobierano żadnych wynagrodzeń, by w wolnej Polsce rozliczyć się z całej działalności. Wszyscy wydawcy wspominają o otrzymywaniu dofinansowania z Funduszu Wydawnictw Niezależnych, którego rozdzielnictwem zajmowało się Konsorcjum Wydawnicze, ale nikt nie uznał, że była to pomoc znacząca. A. Peciak uważa, że w Warszawie dało się odczuć, że są tam wielkie pieniądze, to, co robiono dla regionów, to była raczej asekuracja, że jakiegokolwiek pomocy udziela się prowincji. Do Lublina trafiały farby, papier, siatka do sitodruku, niewielkie maszyny poligraficzne, np. gilotyna walizkowa dla FIS, czy wydawnictw Zygmunta Kozickiego. Wolna Spółka Wydawnicza otrzymała znaczącą, wg K. Wasilewskiego, pożyczkę, ale miała to być pożyczka zwrotna,

dopiero później umorzono jej spłatę.

To, że w Warszawie dysponowano dużymi środkami na działalność wydawniczą widać po różnicy w ilościach publikacji wydawanych w stolicy w stosunku do innych miast w kraju. Można to zauważyć przeglądając jakąkolwiek bibliografię dotyczącą omawianego okresu, w Warszawie ukazywało się kilkakrotnie więcej książek niż nawet w Krakowie, Gdańsku, czy Wrocławiu.

Druk odbywał się w trzech technikach: powielaczowej, sitodrukowej i offsetowej. W początkowym okresie, do roku 1985, funkcjonowały powielacze zdobyte w rozmaity sposób, ukryte w czasie strajków studenckich, w czasie strajków w zakładach pracy (zob. rozdz. II.1.b). Kiedy te zużyły się technicznie, a nie było możliwości zakupienia nowych, nastąpiła era sitodruku, prostej techniki, gdzie urządzenia do drukowania można było wykonać sposobem domowym. Wydawnictwo LDP"Ń", które w roku 1985 rozpoczęło działalność stosowało tę technikę do końca swojej działalności. Wydawnictwa Zygmunta Kozickiego doszły do takiej perfekcji w sitodruku, że bibliografie podobno kwalifikują ich publikacje, jako drukowane techniką offsetową. Trzy wydawnictwa drukowały prawie wyłącznie techniką offsetową. Wydawnictwo Arkadiusza Kutkowskiego, który w 1984 r. nawiązał kontakt z drukarnią w Radomiu (por. rozdz. III.2) i tam drukował arkusze książek, natomiast oprawę wykonywał w Lublinie. Wolna Spółka Wydawnicza od początku zlecała druk książek w technice offsetowej drukarni we Wrocławiu i podobnie, jak Kutkowski, w Lublinie wykonywała zbieranie arkuszy i oprawę introligatorską. Wydawnictwo FIS, które po pierwszej próbie samodzielnego drukowania, zlecało wykonanie książek, najpierw w technice sitodrukowej, a potem zakupiło własną maszynę offsetową.

Materiały farby i papier wszyscy wydawcy zdobywali podobnie, co się dało, kupowano w sklepach, resztę zdobywano na tzw. czarnym rynku, czyli od pracowników, którzy kradli farby, papier, chemikalia poligraficzne w swoich zakładach pracy. Farby przychodziły czasami z Zachodu w puszkach oznaczonych, jako konserwy warzywne czy owocowe.

Na miejsca druku wybierano, mieszkania w blokach, jeśli była to technika sitodrukowa lub prace związane z oprawą. Powielacz czy maszyna offsetowa musiały być ustawione w domku jednorodzinnym, gdyż powodowały spory hałas.

Kolportaż wykonywali wszyscy dla wszystkich, poza kanałem kolportażowym „Informatora”, odbywał się na zasadzie kontaktów towarzyskich – znajomych w biurach, na uczelniach, prywatnych znajomych. Środowisko, które zajmowało się wykonywaniem podziemnych druków nie było duże, właściwie wszyscy się znali. Często, po dziś dzień, zadają sobie pytanie, dlaczego w Lublinie było tak mało poważnych represji w stosunku do działaczy podziemnego ruchu wydawniczego – czy z powodu lenistwa, czy braku inteligencji ze strony Służby Bezpieczeństwa. Dobrze ujął to w swojej wypowiedzi Z. Kozicki: „(...) Zastanawialiśmy się potem czy oni to wiedzieli i nie reagowali, czy też byliśmy tak dobrymi konspiratorami (...) a może ocenili, że nie jesteśmy tak groźni dla socjalizmu (...) Nie ma takiej konspiracji, której nie można by namierzyć, gdyby się wtedy nie lenili pewnie by mogli sobie z nami bez trudu poradzić”. Nie ma możliwości porównania działalności podziemnych wydawnictw książkowych Lublina z innymi miastami w Polsce. Żadne z nich nie doczekało się jeszcze monografii niezależnego ruchu wydawniczego. Jedynie we Wrocławiu, została wydana praca autorstwa Szczepana Rudki „Poza cenzurą.

Wrocławska prasa bezdebitowa 1973-1989". Nie można na jej podstawie, dokonać porównania dorobku wydawniczego ze względu na różnice w działalności wydawnictw prasowych (we Wrocławiu) i wydawnictw książkowych (w Lublinie). Możliwe jest, natomiast, porównanie strony technicznej, to znaczy warunków i sposobów druku, zdobywania materiałów czy sposobów kolportażu.

Lokale na druk były znajdowane według podobnych kryteriów, zarówno we Wrocławiu, jak i w Lublinie – jeśli był to sitodruk wystarczyło do tego celu mieszkanie w bloku, redakcja „Biuletynu Dolnośląskiego” w nrze 3-4 (1979) zamieściła nawet ogłoszenie, które warto zacytować „Cicho, czysto i bezpiecznie, możemy drukować (...) w Twojej kuchni”, natomiast druk offsetowy czy powielaczowy wymagał lokalu w domku jednorodzinnym lub poza miastem. Ciekawym wynalazkiem wrocławskim było wynajmowanie dwóch piwnic w tym samym bloku, kiedy wchodziła SB właściciel mieszkania prowadził funkcjonariuszy do „czystej” piwnicy, podczas kiedy w drugiej znajdowała się drukarnia, opierało się to na zasadzie, że do jednego mieszkania należy tylko jedna piwnica. Po pewnym czasie SB zorientowała się w tym procederze i kontrolowała wszystkie piwnice w bloku.

Farby, papier, chemikalia poligraficzne, także zdobywano w podobny sposób. Papier poprzez skupowanie, za pośrednictwem różnych osób w sklepach, przez apele w prasie o wynoszenie papieru z zakładów pracy, ale we Wrocławiu także w wyniku brawurowych akcji. Na przykład za pomocą sfałszowanych dokumentów, któraś z podziemnych firm wydawniczych Wrocławia dokonała zakupu wprost w zakładach papierniczych w Kwidzynie, zapasu papieru pozwalającego na pracę przez wiele lat.

Dzięki bliskości granic z Czechosłowacją i NRD do Wrocławia trafiały przemycane stamtąd materiały w postaci np. matryc i farby drukarskiej, a także papieru, co w Lublinie miało miejsce rzadko.

Techniki druku, to znaczy sitodruk, druk na różnego rodzaju powielaczach i maszynach offsetowych był w obu miastach taki sam.

We Wrocławiu, oprócz, metody przyjętej w Lublinie kolportażu „piętrowego” zwanego przez S. Rudkę scentralizowanym, stosowano kolportaż zdecentralizowany, polegający na uruchomieniu skrzynek w miejscach, do których dostęp miało wiele osób. Wrocław dotknęło bardzo wiele wpadek kolporterów, których przykłady podaje Sz. Rudka w swojej książce.

Przed wprowadzeniem stanu wojennego działacze „Solidarności” z Wrocławia P. Bednarz, J. Pionior i T. Surowiec zdążyli pobrać z banku kwotę 80 mln zł, które stanowiły kapitał dla dalszej działalności związku i finansowania, przynajmniej w okresie początkowym, ruchu wydawniczego. Lublin nie miał takiej możliwości, większość inicjatyw wydawniczych było finansowanych z prywatnych środków. We Wrocławiu, podobnie, jak w Lublinie korzystano także z dotacji Funduszu Wydawnictw Niezależnych, którego większość środków pochodziła z Zachodu, zarówno od europejskich, jak i amerykańskich central związkowych oraz instytucji polskich funkcjonujących wcześniej na Zachodzie lub powstałych po wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Sz. Rudka podaje, że do maja 1987 r. Fundusz udzielił pomocy 48 oficynom wrocławskim. Nie ma opracowania takich danych w stosunku do oficyń lubelskich.

Nie ma sposobu na porównanie rozmiaru represji dotyczących podziemny ruch wydawniczy w obu miastach, Sz. Rudka przedstawia represje, jakie dotknęły wydawców i drukarzy prasy, korzystając przy tym z akt sądów i prokuratury, represje były bardzo liczne i dotkliwe. Służba Bezpieczeństwa posuwała się nawet do bicia działaczy opozycji podczas śledztwa. W Lublinie nie miało to miejsca, poza groźbami lub obietnicami „dania w mordę” ze strony funkcjonariuszy.

Mimo całej skromności możliwości technicznych i finansowych, lubelski ruch wydawniczy, przynajmniej, jeśli idzie o publikacje książkowe, miał zupełnie dobrą pozycję w skali kraju. Lektura „Bibliografii publikacji podziemnych w Polsce 13 XII 1981 – VI 1986” J. Kamińskiej i „Bibliografii podziemnych druków zwartych 1976-1989” pozwala na dokonanie małej statystyki i stwierdzenie, że lubelskie podziemne wydawnictwa książkowe, pod względem liczby wydanych publikacji, mogą uplasować się na piątym miejscu w kraju, po takich potentatach, jak Warszawa, Kraków, Wrocław i Gdańsk.

Aneks 1

Janusz Bazydło

„Spotkania”

Relacja z 25.01.2003 r.

(zapis nieautoryzowany)

Początkiem lubelskim była próba kolportażu odbitek fotograficznych niektórych publikacji „Kultury”, czym zajmował się między innymi Bogdan Borusewicz, było to przed rokiem 1976. My wystartowaliśmy z pomysłem na „Spotkania” realnie w październiku 1976, natomiast intensywne rozmowy trwały od wiosny 1976 roku, w gronie takich osób, jak Zdzisław Szpakowski, O. Ludwik Wiśniewski, pośrednio Piotr Jegliński w Paryżu, Adam Stanowski. Z racji profesji, którą wtedy wykonywałem i z racji potrzeb, które się uzewnętrzniły, chociażby w próbie nieudolnego technicznie, fotografowania kart „Roku 1984” Orwella, naturalne było w tej sytuacji myślenie o książkach, które się potem złożyły na Bibliotekę Spotkań. Impuls ku temu przyszedł skądinąd, w naszym kręgu znajdował się wtedy Bogdan Madej, który otworzył u Giedroycia cykl „Bez cenzury”, gdzie wyszedł tom jego opowiadań. U nas zaś otworzył serię Biblioteki Spotkań taką specyficzną publikacją o charakterze politycznego eseju pt. „Polska w orbicie Związku Radzieckiego”, mając nadzieję, że zechce to przedrukować Giedroyc w Paryżu, z czym wiązał się dla niego, jak się można domyślać po czasie, prestiż, a może także jakieś pieniądze. Madej był osobą niezwykle kontrowersyjną, ale był odważny, stać go było na to, żeby dać nazwisko w publikacji, która się ukazała w „Kulturze” paryskiej, a wielu innych „mężów pióra” nigdy się na to nie zdobyło. To świadczy o tym, że tego byłego członka i działacza partyjnego, redaktora „Kameny” i prasy partyjnej, stać było na bardzo wiele. Rozstanie Bogdana z nami potwierdza, że była to osoba kontrowersyjna, odbyło się w sposób nieprzyjazny, po publikacji i szerokim rozpowszechnieniu takiego memorandum na temat „Spotkań”, które rozesłał i dostało się w ręce bezpieki. Niemniej, jego pierwsza publikacja dała pomysł na ciąg dalszy.

Potem potoczyło się to na różne sposoby, każdy z nas wносił swoje doświadczenie i kontakty, w sumie tych publikacji jest kilkadziesiąt, niektóre ukazały się tylko w Lublinie, niektóre w Lublinie i w Paryżu, inne tylko w Paryżu. Do tego worka o nazwie Biblioteka Spotkań każdy z nas – mam na myśli środowisko lubelskie, a także krakowskie i warszawskie, które tworzyły „Spotkania” – każdy wrzucał, co chciał. Historii poszczególnych publikacji nie pamiętam, bo nie zajmowałem się tym szczegółowo, cieszyłem się z każdej publikacji Biblioteki Spotkań. Pamiętam, jeszcze w latach siedemdziesiątych, kilkakrotne wizyty u Woźniaka w Gliwicach, żołnierza Armii Krajowej, i publikację jego dużej książki „Zapluty karzeł reakcji”. Była to jedna z naszych pierwszych publikacji.

Kontrowersje do dzisiaj wzbudza praca Ewy Kurek-Lesik czy Marii Byrskiej, opublikowana najpierw pod nazwiskiem Byrska, potem zaś Kurek-Lesik. Wkład Ewy Kurek-Lesik w powstanie tej publikacji był walny, a nawet znaczący, bez niej nie byłoby publikacji. Były to nagrane na taśmę wspomnienia młodej Polki, która w roku 1940 albo 1941 znalazła się w Kazachstanie i przez całą Rosję podróżowała z małym dzieckiem. Powróciła na tereny Puszczy Białowieskiej, wtedy znajdujące się pod

okupacją. Potem praca zakonniczy uwikłanej w sprawy internowanego księdza Wyszyńskiego, też z poręki Ewy Lesik. Potem ciąg książek dotyczących historii z okresu II wojny światowej. Dalej się nie zapuszczaliśmy poza jakimiś historycznymi esejami, jak Deptułowej, ale te uwikłane były w pedagogiczne i patriotyczne „sosy” i miały swoje odniesienie do współczesności.

W roku 1980 razem z Piotrem pracowaliśmy nad książką Tischnera w Rzymie, spodziewając się, że zostanie prymasem, co się nie dokonało, ale wydrukowaliśmy jego książeczkę pt. „Kościół – lewica – dialog”. W międzyczasie książka zapomniana, która kiedyś będzie z pewnością ważnym źródłem do dziejów Kościoła w PRL i do dziejów Kościoła powszechnego – książka Adama Bonieckiego, wtedy jeszcze redaktora „Tygodnika Powszechnego”, o technicznym tytule „Budowa kościołów w Diecezji Przemyskiej”.

„Spotkania” i Editions Spotkania, to było w gruncie rzeczy jedno wydawnictwo, oczywiście Editions Spotkania miało francuską osobowość prawną. Ubolewałem, że „Spotkania”, które się ukazywały w kraju, początkowo miały swój przedruk w Paryżu, a przedruki skończyły się na numerze, który przyniósł ważne wtedy materiały dotyczące spraw polsko-żydowskich stosunków. Można by z tego wyciągać różnego rodzaju wnioski nie tyle na temat potencjalnego antysemityzmu Piotra, ile rachunku Piotra, że ta publikacja może mu się nie opłacić w wymiarze finansowych zapomóg, na które liczył, choć mogło mu to otworzyć drogę do innych środowisk.

Wszystkie pozycje, które ukazały się tutaj w Bibliotece Spotkań zostały przedrukowane w Paryżu. Ubolewam, że „Spotkania”, które uważam za własne dziecko, od drugiego numeru, bo je robiłem, nie ukazywały się już potem w Paryżu, a byłoby to ważne. Przedłużeniem była lektura w Radiu Wolna Europa, a potem w okresie przed i po „Solidarności” w radiowęzłach studenckich. Zwłaszcza, że nasi liderzy walk spod znaku różnego rodzaju lewic, wydawali „Krytykę” w Kraju, a na Zachodzie ukazywał się „Puls” i sporo publikacji wychodzących z tego kręgu myślenia.

Potem przyszły rzeczy duże, jak trzy potężne tomy „Dokumentów grudniowych”, nad którymi pracował Krupski w Gdańsku. To kilka lat jego życia, on kierował Komisją Historyczną „Solidarności” w Gdańsku, miał zespół kilku ludzi, którzy gromadzili materiały do Grudnia 70. roku i to ukazało się w przejrzystej szacie edytorskiej w Kraju, a miało swój przedruk w wielkim tomie, który się ukazał w Paryżu. Służyły one potem, jako podstawa źródłowa we wszystkich procesach politycznych, jakie miały miejsce w polskim Sejmie, w związku z oskarżeniami przeciw Jaruzelskiemu i Kiszczakowi dotyczącymi Grudnia 70. roku.

Muszę tu uwiecznić pewną przygodę, mianowicie, kiedyś w trakcie rozmowy z prof. Jackiem Woźniakowskim dowiedziałem się, że ma kłopoty z wydaniem tomu homilii księdza Tokarczuka, ja bardzo się tym zainteresowałem. Ku mojemu zdumieniu, za dwa tygodnie otrzymałem od Profesora maszynopis tej pracy, zbierającej homilie Tokarczuka z ostatniego okresu czasu. Cenzura kwestionowała poszczególne fragmenty, jak i tytuł pracy „Wytrwać i zwyciężyć”. Było to już po stanie wojennym. Dałem maszynopis Januszowi i ku mojemu zdumieniu, jakieś półtora miesiąca potem dostaliśmy kilka tysięcy egzemplarzy, sprawnie zrobionych, homilii biskupa Tokarczuka. Zaraz potem przedrukował je Piotr w Paryżu, a niedługo potem ukazała

się ocenzurowana wersja. Książka, która nie miała prawa się ukazać, w ciągu pół roku ukazała się w trzech wydaniach. Po latach, w lubelskiej części procesu Piotrowskiego, w czasie kuluarowych spotkań z naszymi „opiekunami” z SB, dowiedzieliśmy się, że niesłusznie przypisujemy sobie niektóre edycje. Książeczkę Tokarczuka zrobiła dla nas Rakowiecka, po to, żeby uwiarygodnić agentkę Elżbietę Nalewczyńską. To, na szczęście, jeszcze nie był ten poziom, gdy stosowano fałszywki. Priorytet w postaci uwiarygodnienia wziął górę. Tym sposobem jedna z publikacji Biblioteki Spotkań powstała przy współpracy z panami z Rakowieckiej. W czasie wydarzeń marcowych 68 roku z powodu brody miałem wiele przygód, noszenie brody w tym czasie wywoływało sensację. Wiążą się z tym różne historie: w Poznaniu, mała dziewczynka idąca z matką pytała – czy to Żyd. W oczekiwaniu na pociąg do Warszawy, siedziałem na dworcu w Katowicach i czytałem gazetę, nagle widzę wokół mnie wianuszek nóg, podniosłem wzrok do góry – stali naokoło mnie i patrzyli na człowieka z brodą.

Miałem piękną przygodę z SB-ecją, w 1968 roku byłem szefem Rady Uczelnianej ZSP. 8 marca byłem w Warszawie razem z szefem ówczesnej Rady Naczelnej Zrzeszenia i sekretarzem Podstawowej Organizacji Partyjnej Stanisławem Cioskiem w sprawie ogólnopolskiego sympozjum polonistów, które miało się odbyć na KUL-u. Oni chcieli się upewnić czy wszystko będzie jak trzeba. Chwilę pogadaliśmy, a potem poszedłem na Krakowskie Przedmieście i ganiałem się z tymi milicjantami. Wróciłem do Lublina. Ale wcześniej miałem taki epizod: wypłem wódkę nic nie jedząc i szedłem po następną butelkę, sklep był w Alejach Racławickich. Nijak nie mogłem wejść do sklepu, zamuliło mnie kompletnie. Przyjechała milicja i zabrali mnie do izby wytrzeźwień. Wstyd mi było, przyjaźniłem się z ówczesnymi rektorami. Poszedłem do Andrzeja Szpringera, późniejszego I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR, on obiecał mi to załatwić. Dostałem z SB telefon czy jestem zainteresowany tą sprawą, na co odpowiedziałem, że tak – dostałem zaproszenie na spotkanie. Miało ono miejsce po 8 marca w Komendzie. Dostałem kartkę z zestawem tematów do opracowania niespiesznie, za dwa tygodnie i wtedy moja sprawa miała być zapomniana. Nie wiedziałem, co mam zrobić, postanowiłem zmienić temat rozmowy. Spytałem czy wiedzą, co się dzieje w Warszawie, oni stężeli na twarzach spoważnieli i spytali czy chcę ich jeszcze straszyć i... poszedłem siedzieć.

W areszcie natychmiast mnie ostrzygli, w mieście często o tym się mówiło – ostrzygli, nie ostrzygli. Strzyżenie wyglądało niezbyt śmiesznie. Siedziałem na kwarantannie, po wyroku, powiedziałem, że nie dam się ostrzyc, przyszło czterech i zaczęli mnie strzyc. Byłem już miesiąc po wyroku, zarośnięty i ten facet ostrzygł mi najpierw pół głowy. Obok byli kryminaliści i dziwiłem się, że się nie śmieją. Zachowali powagę w obliczu takiego nieszczęścia. Potem internowanie było dla mnie czymś niezrozumiałym, wielu Polaków było na Syberii, w więzieniach Gestapo, ja dostałem białą pościel, ręcznik. Niektórzy wychodzili z internowania pokaleczeni, były przypadki, znam taki przypadek z Krasnegostawu, samobójstw, a dla mnie to były wczasy w mieście, w ciągu kilku miesięcy pobytu w Kranymstawie przeczytałem 100 książek.

Potem miałem liczne odmowy paszportowe, po staraniach, nieżyjącej już, prof. Koźniewskiej i przy pomocy innych osób wyjechałem na stypendium do Niemiec w 1977 roku, wtedy widziałem się po raz pierwszy z Nowakiem-Jeziorańskim, byłem

krótko w Paryżu u Giedroycia. Wróciłem po pierwszym numerze „Spotkań” w październiku. Nie powiem, że się nie bałem. Miałem do czynienia głównie z ludźmi piszącymi. Rzadko spotykałem takich, którzy się bali, w sposób naturalny dokonywała się tutaj selekcja. Czesław Bloch, którego poprosiłem kiedyś o recenzję książki o Popielu, on tę książkę wziął i po kilku dniach mi oddał bez słowa.

Były inne przykre sytuacje, kiedy leżałem w szpitalu w Łomży, gdzie pracowała moja matka, ilekroć kładli mnie do łóżka, to jeden z lekarzy natychmiast dzwonił na SB.

Mój tryb życia był taki, że do południa i wczesnym popołudniem pracowałem w Bibliotece, gdzie łatwo się było ze mną skontaktować, a po obiedzie przyjmowałem interesantów na dziedzińcu KUL. Szanowałem strach rektorów.

Każdy z nas był źródłem informacji, tak się składało, że tę informację trzeba było powtarzać wielu ludziom. Kontakty były w gruncie rzeczy jawne, bo trudno było to ukryć. Same „Spotkania” budziły różne kontrowersje, co oczywiste władz, a z ich strony obawy, bo musieli się tłumaczyć. Oczywiście makiawelicznie często. Znam taki epizod, kiedy przybywającą do Watykanu delegację KUL, Papież przywitał wydaną przez nas książką. W rozmowach z dostojnikami partyjnymi czy z MSW, mówili, że właściwie to nie z KUL-u, absolwenci i już ich nie ma.

Było kilka takich momentów, kiedy nie mogłem złapać oddechu. Kiedyś Kazio Wójcicki przywiózł mi jakąś bibułę czy książki, a widać było, że dom jest otoczony, podjeżdżają jakieś samochody, więc w domyśle – będą zdejmować czy nie będą – co tu robić przypadnie bibuła, cholera. Ewakuowałem się wtedy z domu, a Maryla wyniosła to po zmroku do przyjaciół, jeszcze się na dodatek przewróciła i potłukła.

Stosunkowo szybko i sprawnie zrobiliśmy numer poświęcony Miłoszowi z okazji jego doktoratu honoris causa na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Było to wielkie przeżycie, bo spotkałem Miłosza wcześniej w Paryżu, a z drugiej strony Zygmunt Kozicki i inni chłopcy, stojący na dziedzińcu, a do nich olbrzymie kolejki ludzi chcących kupić „Spotkania”, nawet powszechnie znani i szanowani. Wtedy czuliśmy, że warto było to wszystko robić,

W czasie mojego internowania nasi opiekunowie stawiali propozycje ujawnienia się „Spotkań”, ja tego nie odrzucałem, Janusz Krupski też pewno nie, acz nigdy się na to poważnie nie zaniósł. Po moim wyjściu z internowania w listopadzie 1982 roku, rektor uzgodnił z Kiszczakiem, że albo wyjadę na stypendium za granicę, albo będę siedział u rodziny żony w Zakopanem, wybrałem wariant zakopiański. Krzysztof Kozłowski mnie wtedy zaskoczył, że możemy wydawać „Spotkania” w ramach „Znaku”, była to poważna propozycja, ale się rozeszło po kościach. Ja byłem bardzo pragmatyczny, uważałem, że w takiej czy innej formie utrzymalibyśmy tytuł na rynku, a związek ze „Znakiem”, by przecież nie hańbił. Byłoby to do udźwignięcia dla opinii publicznej, tak jak udźwignęła „Res Publicę”. Po latach można by i to wcale nie szukając na siłę jakiegokolwiek formuły dla tej działalności, oceny tego środowiska, uznać, że było konsekwentnie służebne z racji na powołanie, bo każdy z nas był człowiekiem Uniwersytetu. Ja do tej pory nie jestem związany z żadną partią, Bogdan Borusewicz działał i działa w partii politycznej, reszta zaś jest służebna. Takie były te walory, którymi w czasach sukcesu trudno się chwalić – skromność i służebność. Były próby przeniesienia „Spotkań” na czasy wolności. Inicjatorem takiego pomysłu był

prof. Stefan Sawicki, kiedy był prezesem Towarzystwa Naukowego KUL. Redaktorem naczelnym miał być początkowo prof. Łużny, mówiło się o Łesiowie, padało nazwisko Bogdana Cywińskiego, ja miałem być sekretarzem. Nie udało się to. Pomyślałem, że może lepiej zachować dobrą pamięć o „Spotkaniach”.

„Spotkania” spontanicznie i nieświadomie nawiązywały do paryskiej „Kultury” i tę linię realizowały najlepiej ze wszystkich polskich pism. Znajduje to potwierdzenie w jednym z listów Giedroycia do Nowaka-Jeziorańskiego z roku 1978, gdzie Giedroyc pisze, że jest to najlepsze pismo, ze wszystkich pism opozycyjnych w Kraju, co jest sporym komplementem i co mu pamiętam.

Aneks 2

Paweł Bryłowski

Wydawnictwo FIS

Relacja z 15 grudnia 2002 r.

(zapis nieautoryzowany)

Wydawnictwo nazywało się Fundusz Inicjatyw Społecznych, w skrócie FIS. Co do samej nazwy to nie ma ona związku z mistrzostwami świata w narciarstwie, choć zbieżność słowna jest dość oczywista. Natomiast z nazwy wynika jeden z powodów, dla których założono wydawnictwo, ponieważ w założeniu swoim miało ono dostarczać funduszy dla finansowania lokalnych inicjatyw społecznych dotyczących, nielegalnej wtedy, działalności „Solidarności” oraz innych organizacji niepodległościowych, które założenia przyszłej demokratycznej Polski akceptowały – stąd Fundusz Inicjatyw Społecznych. Założenie dość ambitne, natomiast możliwości działania, jak zwykle w takich okolicznościach, nie największe. Powodem była przede wszystkim chęć działania w sytuacji, kiedy wokół słyszało się i widziało skutki działań różnych grup, różnych organizacji, gdzie często się człowiek domyślał, kto to może być, na każdym kroku było niebezpieczeństwo, że organizacje te były manipulowane, albo wręcz przesiąknięte miejscową agenturą, co się zresztą, z perspektywy czasu, w wielu poważnych, ogólnopolskich organizacjach, poczynawszy od samej „Solidarności” i tej jawnej i tej podziemnej potwierdzało się – zwykła rzecz w państwie totalitarnym. Stąd założenie grupy, w której ludzie znali się, mieli do siebie zaufanie i byli przekonani, że przynajmniej z ich strony nie grozi im niespodzianka tego typu. Natomiast w miarę rozwoju czy organizacyjnego czy to finansowego nieuniknione byłyby niebezpieczne kontakty, ponieważ zakładało się wspomaganie jakichś organizacji.

Ponieważ krąg był spośród osób znających się, albo z takich, od których nie można się spodziewać kłopotów, zakładane było, że ta organizacja potrwa dłużej. Powodem najważniejszym oczywiście było przyczynienie się do oporu w stosunku do systemu panującego w Polsce. Żadne z nas nie wierzyło, że za swojego życia doczekamy momentu, że będziemy żyli w wolnej Polsce. Bardziej spodziewaliśmy się tego, że wcześniej czy później przyjdzie jakiś poważny kłopot. Z dzisiejszego punktu widzenia nasze zachowanie było irracjonalne. Wielu ludzi w tym czasie budowało podstawy, gdzieś na boku, swojego startu do niepodległej Polski, choć oni też nie wierzyli, że będzie ona niepodległa, raczej urządzali się w zastanych warunkach. Wydaje mi się, że mimo naszych irracjonalnych działań, założenia te były potrzebne, było to fragmentem społeczeństwa obywatelskiego. Przy okazji uczyło innego sposobu zdobywania środków materialnych na tę działalność, niż tylko poleganie na państwowych sposobach funkcjonowania gospodarki. Byliśmy jeszcze jedną grupą osób, które chciały coś zrobić.

Poprzez mojego brata Janka byłem zaangażowany w literaturę KOR-owską i w kolportaż „Spotkań” lubelskich. W latach 1978-79 odbierałem prasę i przekazywałem ją znajomym, nie jestem już w stanie tego odtworzyć. Może to było nawet wcześniej, bo po czerwcu 1976 roku czułem się winien, że nic nie mogę zrobić. Miałem małe dziecko. W poczuciu bezsilności podjąłem przynajmniej działania w kolportażu.

Dzisiaj, kiedy czytam te pisma przyznaję, że bardziej odpowiada mi KOR-owskie, choć wtedy bliższe wydawało mi się to drugie. U KOR-owców mniej racji, lecz więcej praktyki, po prawej stronie więcej racji i żadna praktyka.

W ogóle to jestem studentem „marcowym”. Rozpocząłem studia na jesieni 1967 roku, więc w marcu 1968 byłem na pierwszym roku, doświadczyłem ganiania studentów przez milicję i wypędzania z uczelni niektórych pracowników naukowych oraz moich koleżanek kolegów, z których część wyjechała z kraju. To był początek, nie do końca uświadomiony, drogi, na którą się wchodziło. Po skończonych studiach trzeba było sporo czasu, żeby wrócić do aktywnego oporu. Miałem kontakt przez brata, on jest młodszy o 4 lata i był w środowisku osób związanych z podziemnymi wydawnictwami przedsolidarnościowymi. Poza tym był jednym z twórców, animatorów i uczestników teatrów alternatywnych.

Wydawnictwo FIS to oprócz Tomka Pierasiewicza, Andrzeja Peciaka, ciebie i mnie, to Wiesław Ruchlicki, Tomasz i Krzysztof Grudniowie i zmarły Lakutowicz, który w pierwszym okresie drukował razem z nami. Rozpoczęliśmy chyba w roku 1985, w 1984 robiliśmy „odbijanki” na sicie. Mam taką pieczęć, z dużą rączką, przeznaczoną do stemplowania pocztówek w czasie wizyty papieża w Lublinie. Jest gumowa, wielka, drewniana, na obwodzie ma wielkimi literami napis „FIS”, używana była do stemplowania kupionych kart pocztowych. Część kart pocztowych była kupowana z oficjalnego obiegu, a część z jakiegoś nieoficjalnego wydania, przy okazji były naklejane na to nasze znaczki.

Całe przedsięwzięcie wydawnicze było od strony finansowej trudne, bo to, co się zarobiło najczęściej szło na następne wydania, a ponieważ były one coraz ambitniejsze i o większym nakładzie i objętości, coraz więcej kosztowały. Z tego, co pamiętam wypłaciliśmy dwie kwoty, przez Zarząd Regionu, na wsparcie osób, które prowadziły działalność czy potrzebowały pomocy. Jedna z tych transz była dla Janka Wojcieszczuka za opracowanie dotyczące ideowych założeń „Solidarności” i za wykłady prowadzone przez niego i kolegów. Druga transza trafiła do Zarządu Regionu i nie wiem, kto te pieniądze dostał, nie pamiętam też, jakie to były sumy. Przekazywaliśmy pieniądze przez państwa Kaczyńskich, nieżyjącą już Bogusię i jej męża Andrzeja Kaczyńskiego.

W tamtym czasie moją postawę określiłbym, jako zbliżoną do ludzi, których można by nazwać w tej chwili KOR-owcami, nie do końca znając trochę klanowy charakter tego ruchu, otwarty byłem na głoszone przez nich hasła równości, dążenia do demokracji i swobody światopoglądowej. Trochę się obawiałem ludzi, którzy będąc blisko Kościoła robili z tego wyłączny sztandar z obrony interesów Kościoła, miałem wrażenie, że nie całkiem chodzi tu o demokrację, a raczej o inny sposób powrotu do tego, co niosła przed wojną endecja.. Wiem, jakie przed wojną i w czasie niej, straszne rzeczy z tego wynikały i ja się tego boję, do dzisiaj. Jeśli idzie o naszą trójkę, to podejrzewam, że myśleliśmy podobnie. Andrzej był zawodowo związany z instytucją kościelną, nikt nie był wrogo nastawiony, ale rezerwa była, ona była wyczuwalna. Może właśnie to było powodem, że między nami utrzymywała się harmonia we współpracy, nie było nienawiści do jakiegokolwiek ze stron przyszłych skrzydeł politycznych, była rezerwa do potężnych instytucji, jakimi było państwo totalitarne i w gruncie rzeczy feudalny Kościół i pełna świadomość zagrożeń z tamtej

strony, natomiast była wiara, że demokracja sama sobie poradzi poprzez swoje funkcjonowanie i to były podstawy ideowe naszego funkcjonowania. Jeśli chodzi o mnie, to patrzyłem na to praktycznie, zadawałem sobie pytanie, czy my, jako „Solidarność”, traktowana, jako całość i z pełną świadomością istnienia innych grup tzn. KPN-u czy „Spotkań”, jak będzie wyglądał moment, kiedy ci wszyscy ludzie będą sprawowali władzę w mniejszym lub większym zakresie, chciałoby się, żeby to i nas dotyczyło. Wierzyliśmy, że będziemy mieli demokrację, wierzyłem w to, ale myślałem, że broda będzie sięgała do ziemi i będę już, co najwyżej, seniorem wyciągniętym z parku jurajskiego, o ile wcześniej mnie nie dorwą któregoś dnia nad ranem i nie rozliczą z tego, mogło być różnie. Mam wrażenie, że jeśli chodzi o mnie, to musiała być chyba świadomość o tym, co się dzieje ze strony mojego kolegi z roku i jego żony (też z roku), ten facet był oficerem SB w stopniu kapitana, nie mam żadnych dowodów na to, bo on nigdy nawet słowem się nie odezwał. Nawet wtedy, kiedy w 1982 roku przyszli po mnie do domu, miałem ciągle wrażenie, że jest jakaś opieka nade mną, na tej zasadzie, że moje papiery są wsadzone, gdzieś za szafę, albo pod stół, albo gdzieś głęboko do szuflady. Czy to wynikało z lenistwa tej organizacji czy też z tych układów koleżeńskich. Ci ludzie nie byli moimi kolegami w czasie służby w SB, to byli koledzy ze studiów i potem, kiedy pracowali w zwykłych instytucjach. Wiem, że poszli do tej roboty, bo nie mieli ani pieniędzy, ani mieszkania, ani żadnych szans na normalne życie. Chodzi tutaj o Kufla, różne rzeczy o nim opowiadali, że robił i pewnie robił, tylko czy co do każdego robił to samo. Po 1989 roku, kiedy się spotkaliśmy, wcześniej się nie spotykaliśmy, to nawet się słowem nie odezwał na ten temat, choć ja starałem się do tego nawiązać – uciekał od tego. Podejrzewam, że gdybym zaczął mu to przypominać, on musiałby się przyznać do niewykonywania poleceń, a to bractwo się trzyma dość mocno.

Jeśli chodzi o to najście w 1982 roku, to, jeśli ktoś nie wierzy w przeznaczenie, to trzeba sobie przypomnieć. Zaraz na początku stanu wojennego, kiedy jeszcze nie byliśmy tą grupą, roznosiliśmy „Informatör” lubelski i matryce do niego. Przypominam sobie, jak przekazałem matryce mojej koleżance, ona zupełnie nie wiedziała, co niesie i wręcz jawnie to niosła.

Po jakichś dwóch miesiącach, gdy zamieszkałem z powrotem w domu, a nie zgarnęli mnie w pierwszym rzucie, ponieważ byłem szefem „Solidarności” w jednej z instytucji w Chełmie i nie było mnie tu na listach. Przyszli do mnie dopiero później do pracy i wtedy równocześnie po brata do domu rodziców. W poniedziałek lub wtorek byłem jeszcze w pracy. Byłem i nie byłem, miałem umówiony sygnał, że miało być zapalone światło w oknie w pracy, gdyby się coś działo, dyrekcja nie zwracała na to uwagi, wszystko było takie płynne w tych dniach. Któregoś dnia, a moje okno w pracy wychodziło na stronę wejścia do budynku, patrzę a pod oknem jest cała kupa milicji. Miałem szczęście, że SB-ek oficer, który z nimi przyszedł pomylił piętra i poszedł do drugiej instytucji, która zajmowała górne piętro. W tym czasie, kiedy on był na górze, ja założyłem kożuch, to jest straszne uczucie, kiedy wiadomo, że oni stoją pod oknem i przyszli po mnie, dzieli nas tylko mur, a było ich chyba z dziesięciu. Jedno wyjście, kraty w oknach i przez pierwsze minuty nie można nic zrobić, nawet gdyby przyszli i mnie złapali to i tak nie stawiałbym oporu. Potem przyszła refleksja, że jedyny sposób to wyjść obok nich, i wyszedłem. Wszedłem pomiędzy nich, a z nimi stał woźny tej instytucji, nieżyjący już w tej chwili, prosty, porządny facet. Patrzył na mnie, jakby mnie w ogóle nie znał. Rozmawiał z nimi,

rzucił okiem.

Dowodzący nimi sierżant chciał mnie zatrzymać, stanął naprzeciwko mnie, ale ponieważ woźny zachowywał się, jakby mnie nie znał – zrezygnował i milicjanci się rozstąpili. Poszedłem do rodziców, którzy mieszkali na Głębokiej. Otwieram kluczem, a dom jest cały wywrócony do góry nogami. Nie ma rodziców, nie ma nikogo i nie wiadomo, co się stało. Potem się dowiedziałem, że godzinę wcześniej była rewizja, bo przyszli po brata. Wróciłem po jakimś czasie do pracy, nie było sygnału o niebezpieczeństwie, więc wszedłem i mówi mi koleżanka, że zaraz po moim wyjściu, ten SB-ek zszedł z góry. Ponieważ to byli lubelscy milicjanci, którzy dostali polecenie z Chełma znalezienia mnie, a ponieważ nie znaleźli ani mnie ani brata, to dali na jakiś czas spokój.

Mieszkałem w różnych miejscach u różnych ludzi, ale w końcu nie było się u kogo schować. Ludzie zaczęli żyć swoim życiem i chowanie się, bezczynność stały się idiotyczne, więc wróciłem do domu. Po dwóch dnia ktoś zadzwonił do drzwi wieczorem, dzwonił podobnie, jak moja żona Irena i ja automatycznie otworzyłem. Patrę, a tam stoi żołnierz. Przyniósł mi powiastkę, żebym się stawił do sztabu wojskowego na Spadochroniarzy, myślałem, żeby zwać, ale gdzie? Poszedłem tam i powiedziałem, że nie chcę iść do wojska, wywołało to konsternację. Zaczęli mnie przekonywać, okazało się, że wiedzieli, kim jestem, znali moja rodzinę i oni się zaczęli mną martwić. Droczyli się ze mną jakiś czas. W końcu zdecydowałem się pójść. Wysłali mnie na śnieg, do lasu, pod namiot, na poligon w Lipie. Ja byłem oficerem rezerwy, więc niby miałem dowodzić tymi zgarniętymi chłopakami trzymanymi lesie.

Prawdę mówiąc były i ostre ćwiczenia, ale więcej było pijaństwa i głupoty, szkoda o tym opowiadać, choć to ciekawa opowieść na temat mentalności oficerów. Zrobiłem im swoim zachowaniem w tym obozie małą „Solidarność”. Dowodzący, młody jeszcze facet, podpułkownik, gdzieś z Torunia i jego zastępca major mówili, to, jeśli ty jesteś tu z nami na wolności, to, jacy są ci, którzy siedzą we Włodawie.

Wiedziałem, że muszę koniecznie, choć na trochę wrócić do domu i dostałem przepustkę. Przyjechałem po północy do domu, poszedłem spać z obydwoma synami, mały Marcin zaczął wtedy mówić, a o godzinie 6.00 dobijają się do drzwi, żeby mnie zabrać, bo znowu dostali polecenie z Chełma, żeby mnie zabrać. Na krześle wisiał mundur, Marcin tak się przestraszył, że przestał mówić i zaczął się jękać. Było śmiesznie, wiem, że w bibliotece za książkami są „Informatory” z wczorajszą datą, bo Irena je przyniosła. Gdybym nie przyjechał, to by ją zgarnęli, ale ponieważ zobaczyli mundur, to zaczęły się przekomarzania. Powiedziałem, że chciałbym, żeby przyjechał oficer z wojska. SB-ek, gdzieś dzwonił, potem wymyślił, że ja będę wszystko wyjmował, a oni będą tylko patrzeć i ta sobie przeszukają. Wiem, że jak ja cokolwiek wyjmę, to wylecą wszystkie „Informatory”, odmówiłem. W końcu dali się przekonać i poszli. Stąd wnioskuje, że i wtedy i później, ktoś czuwał, żeby te moje papiery nie były wyciągane.

Wydawnictwo FIS prowadziło dwa rodzaje działalności – drukowanie znaczków, które przynosiły największy obrót, co mogło być przeznaczane na finansowanie większych publikacji i wypłaty dla ludzi „Solidarności”. Było 5 serii znaczków.

Pierwsza - powstanie „Solidarności”, gdzie był symboliczny mur, który się coraz bardziej kruszył i w wyłomie daty 1956, 1968, 1970, 1976 i „Solidarność”. Była seria papieska związana z jedną z pielgrzymek, ona była ciekawa, ale format był zmniejszony. Świetna seria przedstawiająca bojowników podziemia antykomunistycznego z okresu okupacji i potem, było w niej użyte zdjęcie Zapory z czapką nasuniętą na oczy, które znalazł gdzieś Andrzej. Czwarta seria to był Afganistan, miało to związek ze śmiercią Zondka i działalnością Radka Sikorskiego. Piąta dotyczyła intelektualistów w opozycji. Projekty znaczków były robione przez Jurka Lakutowicza i dyskutowane przez nas. Nakład znaczków związanych z ludźmi podziemia AK-owskiego i WIN-owskiego, był robiony w Warszawie w roku 1986, w jednej z drukarni, nie pamiętam, w jakiej, ale była to ta sama drukarnia, która robiła „Tygodnik Mazowsze”, a potem „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”. Robione były profesjonalnie, brakowało tylko kleju, niektóre były nawet ząbkowane. Znaczki cieszyły się ogromnym powodzeniem, ludzi cieszyło, że można zrobić normalny znaczek, który można by nakleić na kopertę i wysłać, poczta pewnie by się nie zorientowała.

Zabrałem z Warszawy nakład, jechałem z nim w Lublinie z mieszkania na Głębokiej, koperta ze znaczkami leżała w moim maluchu na przednim siedzeniu, zostałem zatrzymany przez milicję do kontroli. Kazali mi wysiąść z samochodu i weszli do niego, dlaczego nie zwrócili uwagi, na tę kopertę? Dzień wcześniej rozlało mi się na dywanik w samochodzie mleko, nie zdążyłem go sprzątnąć i ono zdążyło już sfermentować. Kiedy milicjant wlał tam i zaczął manipulować przy pedałach, to musiał to poczuć, nie wytrzymał tam długo, puścił mnie i kazał jechać.

Z drukowaniem znaczków w Warszawie było związane pewne tragiczne wydarzenie. Oprócz działalności, o której mówiłem, przez moje ręce i przez ręce kolegów przechodziły również duże ilości innych wydawnictw. Co drugi tydzień miałem kurs na trasie Lublin - Warszawa, przywoziliśmy wydawnictwa warszawskie, wrocławskie, gdańskie i krakowskie, wymieniając się przy okazji na nasze wydawnictwa. Woziłem też papier na potrzeby wydawnictw warszawskich. Czasem były kłopoty z rozliczeniami finansowymi, bo była wymiana towar za towar. Punkt kontaktowy w Warszawie mieścił się na Nowolipkach, na 10 piętrze jednego z wieżowców. Dostałem wiadomość przez telefon (było to w roku 1987), że zdarzyła się rzecz niedobra, ale nie mogli mi powiedzieć, co się dzieje, trzeba natychmiast przyjechać. Okazało się jednym z drukarzy, przy okazji drukującym nasze znaczki, był chłopak, którego wyciągnięto z narkomanii, trochę popijał, życie układało mu się ciężko, potem ciągle ukrywanie się, praca podziemna. W przeddzień mojej wizyty, nie wiadomo czy zachwiał się czy popełnił samobójstwo, w każdym razie wypadł z 10 piętra, zginął na miejscu, spadł na daszek przed wejściem. W mieszkaniu były stery bibuły, półfabrykaty. Mojego brata Janka wzięli na przesłuchanie u przetrzymali 1 dzień. Kiedy przyjechałem bratowa z kolegami zdołała już usunąć najgorsze rzeczy. Na szczęście przyjechała milicja kryminalna i kiedy przyszła obejrzeć mieszkanie po raz drugi, to albo nic nie znalazła, albo udawała, że nic nie ma. Brata wypuszczono. Czekaliśmy na niego pod komisariatem z jego maleńkim synem w wózku, mieliśmy dyżury, raz teściowa, raz żona, a raz ja. Potem trzeba było iść za nim tak, żeby nie zauważono, a jednocześnie, żeby on wiedział, że nie jest zostawiony sam sobie. Niektóre publikacje FIS-u mam jeszcze, ostatnim tytułem, kolportowanym już za wolności była dwutomowa „Wojna polska” Moczulskiego, drukowana była na

maszynie poligraficznej przywiezionej z Warszawy. W sumie wydaliśmy 9 tytułów.

Szukaliśmy tytułów, które się jeszcze nie ukazały, Tomek Pietrasiewicz „wykopywał” te dzieła różnej wielkości, potem rozmawiali z Andrzejem Peciakiem i wspólnie ustalaliśmy, co ma być drukowane. Papier zdobywany był różnie, każdy z nas miał swoje miejsca.

Część pieniędzy to były te zdobywane ze sprzedaży własnych publikacji, z rabatów ze sprzedaży cudzych książek oraz dwa razy otrzymaliśmy spore pieniądze. Były to pieniądze pochodzące z funduszy związków zawodowych amerykańskich. Otrzymywaliśmy je poprzez Andrzeja Kaczyńskiego (obecnie dziennikarz „Rzeczpospolitej”. 1000 dolarów od związków amerykańskich przeznaczaliśmy na maszynę offsetową. Andrzej Kaczyński nam je dał, a potem wziął na zakup maszyny. Przywieźliśmy ją w ten sposób, że w maluchu brata wymontowaliśmy siedzenia, maszynę rozłożyliśmy na części i przewieźliśmy to do pociągu. Kolejarz wiedział, że to jakiś dziwny towar. Maszyna jechała w wagonie pocztowym, a ja w przedziale. W Lublinie umówieni byli koledzy z żukiem, przeładowaliśmy to z pociągu i zawieźliśmy do domu Grudniów, gdzie zostało to zainstalowane. Tę prawdziwą maszynę mieliśmy od roku 1987. Wcześniej drukowaliśmy sami sitodrukiem, albo dawaliśmy do innych drukarni, to znaczy drukowali to Ruchlicki i Grudniowie. Maszyna offsetowa, choć czasem się psuła, była jednak nienajgorsza, druk wychodził dobry.

Miałem kilka osób, w tym zaopatrzeniowców w firmach, którzy mieli dojeżdżać do sklepów. Gdy była dostawa papieru, często w małych miejscowościach, gdzie nikt papieru nie kupował, podjeżdżało się samochodem i wykupywało cały nakład. Większe ilości papieru i farby organizował Andrzej Peciak na KUL-u.

„Wojny polskiej” Moczulskiego wydaliśmy chyba 800 egz., mniejsze publikacje jak wiersze Galicza mogły być nawet w nakładach 2000-3000 egz. Pozostałe wychodziły od 400-600 egz. Niektóre znaczki miały nakład 10.000 egz.

Każdy z nas miał swoje kręgi znajomych kolporterów, ja miałem swoich w Puławach, Zamościu, Lubartowie, Chełmie, Krasnymstawie. Nasze publikacje były rozprowadzane razem z tymi, które przychodziły z zewnątrz. Część rozprowadzałem wśród swoich kolegów z miejsc, w których pracowałem – nieżyjący pan Gruziński, pan Bartecki pracujący obecnie na poczcie, w Chełmie pan Mikus, który był szefem Zarządu Regionu Chełmskiego, i ktoś w Puławach.

Nasze zamierzenia się nie sprawdziły, wpłaty dla innych nie mogły być duże, kiedy przychodziły nowe przedsięwzięcia, to każde z nich było coraz droższe. Z tego, co zostało stworzyliśmy legalne Wydawnictwo FIS. Jeszcze jedna historia wiąże się z moim bratem Jankiem, który mieszka w Warszawie. Przez wiele lat pozostawał bez pracy, na stopie nielegalnej. Na samym początku poszukiwali brata i rozesłali za nim list gończy. W półtora roku po wprowadzeniu stanu wojennego zatrzymano go za sprawą pary staruszków mieszkających na tym samym piętrze w domu, gdzie brat wynajmował mieszkanie na drukarnię. Dziadkowie zobaczyli, że do sąsiedniego mieszkania często wchodzi jakiś ludzie z torbami i zdawało im się, że to jakiś złodziej, dali znać do dzielnicowego. Przyjechali milicjanci i zdębieli, gdy to wszystko zobaczyli, potem tak ich wieźli na komendę, że brat zdołał przez szpary a gaziku wyrzucić papiery, które naprowadzałyby na ślad innych pomagających im osób. W komendzie zorientowali się, że jest rozesłany za nim list gończy i wywieźli go do prokuratury w Otwocku, która go poszukiwała. Tam pani prokurator przesłuchała go i wypuściła. Wcześniej rozmawiałem z nią w sprawie brata i namawiała, żeby brat się

zgłosił, bo znaleźli u niego książki, które miała u siebie w szufladzie. Była to literatura piękna wydana jeszcze za czasów „Solidarności”.

Ważne wydarzenia w FIS-ie to poszczególne tytuły, z których się cieszyliśmy, kiedy dobrze „schodziły”, były dla mnie codziennym emocjonującym wydarzeniem. Byłem radcą prawnym w Lubelskiej Fabryce Wag, przyjętym tam już po stanie wojennym. Dyrektor, który słuchał poleceń z góry, był jednocześnie człowiekiem, który na powrót zatrudnił wszystkich wyrzuconych wcześniej pracowników, był gruncie rzeczy przyzwoity. Zatrudnił i mnie. Na początku odnosił się do mnie entuzjastycznie, bo znał mojego starszego brata, a potem się dowiedział, że ja znam jakichś dziwnych ludzi – miał częste wizyty SB-eków. Kiedyś przyszedł do mnie i powiedział, że będą zakładane związki zawodowe, i że jako radca prawny mam to robić, odmówiłem mu. Przestraszył się i ze dwa dni myślał, czy ma mnie wyrzucić, ale zmniejszył mi etat do połowy i zagroził, że jeśli coś ma mnie doniosą, to będzie musiał mnie wyrzucić. Dogadałem się z facetami z „Solidarności” i do tej fabryki przynosiłem książki i bibułę. Poprzez tę fabrykę miałem kontakt z Lubartowem, z chłopakiem, który potem był radnym w Lubartowie, ale był nawiedzony. Te charaktery z konspiracji potem się nie sprawdzały, ci, co byli świetni w czasach podziemnych, potem okazywali się do niczego warunkach wolności. W LFWag zbierane były składki na „Solidarność”, ode mnie mieli bibułę lubelską i warszawską i do końca nic złego się nie stało. Stamtąd też wykonywałem telefony, których nie mogłem wykonać z domu.

Chłopak imieniem Paweł, który wiózł nasze papiery i czyjeś jeszcze do Warszawy, zdrzemnął się w taksówce, zatrzymał ich patrol drogowy. Złapali go z tymi papierami i zawieźli na miejscowy posterunek, on papiery, wskazujące na konkretne osoby, łącznie ze swoimi notatkami wsunął za szafę na posterunku i znaleźli przy nim tylko wydawnictwa podziemne.

Aneks 3

Franciszek Bujak

„Informator „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni”

Relacja z 6 lutego 2003 r.

(zapis autoryzowany)

Zasadniczo, ja byłem zaangażowany jedynie w kolportaż prasy podziemnej. Do mnie nie należało nic poza tą „działką”; jak tego wymagają zasady konspiracji, nie byłem w nic innego zaangażowany. Kolportowałem Biuletyn Informacyjny „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego, Informator NSZZ „Solidarność” Regionu Środkowo-Wschodniego, oprócz tego Biuletyn Solidarności Nauczycielskiej. Całe nakłady właściwie ja kolportowałem, ponieważ to był hurt. Do tego także dochodziły wydawnictwa książkowe drugiego obiegu z całej Polski lub nawet z zagranicy.

Powodem, dla którego to robiłem, był sprzeciw wobec totalitarnej władzy, cenzury, walka o suwerenność i podmiotowość narodu, tradycje rodzinne.

Zanim zostałem kolporterem udostępniałem drukarzom lokum w sytuacjach awaryjnych (ja w tym czasie z rodziną zmieniałem miejsce pobytu). To było przed 1983 rokiem, zanim wszedłem w kolportaż - jedno wykluczało drugie.

W latach 1983-1985 byłem hurtowym kolporterem. Jeden transport to około 100-150 kg papieru, spakowanego w paczki, z odliczoną ilością egzemplarzy i zaznaczonym adresatem.

Było kilka stałych punktów odbioru FSC, Fabryka Maszyn Rolniczych, KUL, UMCS, LZNS, Herbapol, Kraśnik, Zamość, Chełm, Tomaszów Lub. Dostarczałem „towar” do mieszkań prywatnych, wyjątkowo umawiałem się z odbiorcą „na mieście”.

Z „dostawcą” spotykałem się na umówionym miejscu, przeładowywaliśmy „towar” z samochodu do samochodu, odjeżdżałem, przeglądałem adresy i wyznaczałem sobie trasę. Raz tylko odbierałem towar wprost z drukarni, kiedy mojemu „dostawcy” zepsuł się samochód. Osobą, z którą miałem bezpośredni kontakt był redaktor naczelny „Informatora”; jeśli coś wypadło, to od niego dostawałem informację, skąd mam odebrać „towar”. Drugą osobą był dostawca z drukarni - człowiek, który przywoził towar na umówione miejsce. Z tymi dwoma osobami tylko się kontaktowałem.

„Informator” wychodził dosyć regularnie, co tydzień, najczęściej w poniedziałek i kolportaż zajmował mi jeden wieczór. Moim zadaniem było dostarczyć „towar”, odebrać pieniądze za poprzednią dostawę i przekazać je wyżej. Ja nikogo nie rozliczałem i mnie też nikt nie rozliczał, obowiązywała zasada pełnego zaufania, że nikt nikogo nie oszuka. Finanse nie były w żaden sposób księgowane. Odbierałem też dobrowolne datki na NSZZ „Solidarność”. Problem pojawiał się wówczas, kiedy skrzynka była zamknięta, ktoś nie odebrał towaru. Musiałem to do następnego spotkania jakoś przechować. Jeśli jakaś partia towaru nie została rozprowadzona w ogóle np. „skrzynka” była nieczynna, oddawałem z powrotem do centrali. Nie mogłem tego trzymać w domu, więc miałem skrytki u znajomych „na mieście”, w miejscu pracy.

W roku 1984 tuż przed Bożym Narodzeniem w FSC była duża wpadka, aresztowano członków Podziemnej Komisji Zakładowej, była wśród nich „wtyczka”. Po nowym roku zaczęto mnie delikatnie inwigilować. W maju 1985 roku już nie mogłem się ruszyć, musiałem zawiesić kolportaż. Przejął go ktoś inny – później na sprawie dowiedziałem się, że był to Waław Wasilewski. Po wpadce Wasilewskiego moi „opiekunowie” sądzili, że ja znowu to przejmę, zaczęto mnie ostro inwigilować. Pamiętam jeden moment, niedługo przed aresztowaniem mnie, kiedy sporadycznie rozprawiałem nieduże ilości „bibuły”. Rano jechałem autobusem do pracy, do Instytutu Medycyny Wsi, który miał wtedy siedzibę na ul. Czwartek, widziałem, że jadą za autobusem swoim samochodem, i że w autobusie też są panowie z SB. Wyskoczyłem w ostatniej chwili, tuż przed zamknięciem drzwi. Ci jadący za autobusem już go wyprzedzili, a przebywający w środku nie mogli już wysiąść z autobusu. I wtedy się na mnie zawzięli. Z mieszkania naprzeciwko mojego prowadzili stałą obserwację. Poza domem ciągle miałem towarzystwo brązowego „żuka” blaszaka lub białego „fiata 125p”. Wśród pracowników Instytutu były też tzw. „gumowe uszy”. Instytut Medycyny Wsi uchodził za siedlisko opozycji.

11 lipca 1985 roku o 5.00 rano przyszli pracownicy SB z nakazem rewizji do naszego mieszkania przy ul. Glinianej. Nic nie znaleźli, ale mnie zabrali do Komendy Wojewódzkiej Milicji na ul. Narutowicza 43, skąd przewieźli mnie do aresztu na ul. Północną. Prok. Julian Bluj oskarżył mnie o szerzenie nieprawdziwych, szkodliwych dla ustroju PRL wiadomości, mogących wywołać niepokój społeczny (art. 161 kk) i zastosował 3 miesięczny areszt tymczasowy – przewieziono mnie do zakładu karnego w Lublinie na ul. Południową. W październiku miał się odbyć proces – w areszcie dostałem wezwanie na sprawę do sądu, lecz SB nie dopuściło do przewiezienia mnie do sądu – pretekstem był brak konwoju do przewozu aresztanta. Wobec tego przedłużono mi areszt o następne 3 miesiące. Zorientowałem się, że zmieniono sędziego prowadzącego sprawę. Sędzia Michalski nie dawał rękojmi wyroku po myśli SB. Młody, nowy sędzia, przeniesiony awansem z Białej Podlaskiej, na rozprawie w listopadzie, mimo braku dowodów, skazał mnie na 2 lata pozbawienia wolności, w zawieszeniu na 4 lata. Zawieszenie uzasadniał sytuacją rodzinną – oczekiwaliśmy z żoną 5-tego dziecka. Moją następcę w kolportażu poznałem osobiście na sprawie – dostał 2 lata i przepadek „narzędzia przestępstwa”, czyli „fiata 126 p” (odsiedział do amnestii w 1986 roku). Niedawno dostałem „ułaskawienie” z Sądu Najwyższego z Warszawy.

Aneks 4

Marek Gorliński

Relacja z 5 lutego 2003 r.

(zapis nieautoryzowany)

Wyjechałem w 1976 roku - dzięki pomocy prof. Bendera, ponieważ nie chciano mi dać paszportu - do Londynu do Muzeum Sikorskiego. Wiedziałem, że w Londynie żyje ostatni senator II Rzeczypospolitej pan Płodowski, że może oni mi pomogą w znalezieniu materiałów do pracy magisterskiej. Wybrałem sobie pracę o Walerym Sławku i to, co było wtedy osiągalne, było powielaniem tego samego. Pojechałem do Londynu i trafiłem niezbyt szczęśliwie, bo muzeum było w remoncie. Dowiedziałem się, że studenci mogą pracować w Szwecji, stamtąd pojechałem do Szwecji z nadzieją, że wrócę do Londynu. Obiecali mi w ambasadzie w Kopenhadze, że dadzą mi wrócić do Anglii. W Szwecji dowiedziałem się, że córka pana Świtalskiego udostępniła jego wspomnienia w Archiwum Akt Nowych w Warszawie i że one są udostępniane przez dwa tygodnie i udało mi się. Garlicki, historyk pożał się Boże, i ja, z tego korzystaliśmy. Mówię to po to, żeby zaznaczyć, że same początki podziemnego ruchu wydawniczego działały się poza mną, ponieważ nie było mnie w Polsce.

KOR już się wtedy zawiązał formalnie, natomiast ja z Bogdanem Borusewiczem, Januszem Krupskim, Maciejem Sobierajem, trochę kontestowaliśmy ten system, robiliśmy jakieś naklejki, zwinęli nas kiedyś przy pomniku 3 Maja, takie tam rzeczy.

Moja działalność po przyjeździe zaczęła się od punktu Jamrożka na ul. Hutniczej. Wchodziło się tam od strony pawilonów na ul. Hutniczej, ale dokładnego adresu nie pamiętam. Jamrożek był niewidomy, był u niego punkt kontaktowy, przyjeżdżał i KOR i KPN i Kuronia tam poznałem. Jamrożek zmarł w zapomnieniu w 1986 lub 1987 roku.

Pierwszą rzecz wydrukowałem w 1978 roku ze Stefanem Kucharzewskim. Na ul. Granicznej, w Lubelskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Miejskiego, na piętrze znajdowała się redakcja „Głosu Budowlanych”, gdzie pracowała moja żona i ona skontaktowała mnie z drukarzem. Stefan Kucharzewski, to kawał chłopca - wynosił to, co ja tam zrobiłem. Drukowaliśmy „Historię PZPR-u” Leszka Moczulskiego. Chyba było to w ramach działalności KPN-u.

Kiedy przyjechałem, spotkałem się z Zygmuntem Kozickim, który działał w „Spotkaniach”, znałem też Janusza Bazydłę, był wtedy zaprzyjaźniony z moim starszym bratem, razem studiowali, a potem pracowali w Redakcji Encyklopedii Katolickiej. Znałem tych wszystkich ludzi i łatwo mi było wejść w to środowisko. Kiedy pojawiła się „Solidarność” drukowaliśmy trochę rzeczy z „Solidarności” i trochę ze „Spotkań”. Przed stanem wojennym rzeczy „spotkaniowe” właściwie kolportowałem. Pierwszego dnia po wprowadzeniu stanu wojennego udałem się do Świdnika, gdzie w WSK wydawaliśmy biuletyn wewnętrzny. Była tam Danka Winiarska, Norbert Wojciechowski, Wiesiek Ruchlicki, Michałkiewicz, Bernard Nowak, Jasiek Stepek. Robiłem nasłuch z Wolnej Europy, z Głosu Ameryki i robiliśmy taki biuletyn strajkowy, ku pokrzepieniu serc. Mieliśmy dyskusję, czy podpisywać się pełnymi nazwiskami czy skrótami, zdecydowaliśmy, że, jak kto chce. Niektórych uratowało to przed

internowaniem. Niektórzy byli oczywiście notowani, bez względu na to, jak się podpisali i tak zostali internowani.

Po stanie wojenny, przyszedł do mnie Maciek Sobieraj i spytał czy chcę kontynuować działalność. Dał mi kontakt z Kozickim i Haleym, który jest teraz w Austrii.

Moja działalność to lata 1981 do 1983 może 1984 r. Miałem babcię pod Lublinem w Chmielu, gdzie mieliśmy redakcję i gdzie drukowaliśmy „Lenina w Zurichu” – robiłem to z Haleym. Potem drukowaliśmy u Tomka Grudnia, ale nie pamiętam tytułów, które tam robiliśmy. U Grudniów drukarnia była dosyć długo.

Niezależnie od tego rozprawdzałem „Informator Solidarności”, który brałem z punktu kontaktowego u Marka Łosia, a z „bibułą” jeździłem do Wrocławia, Katowic, Krakowa, a najczęściej do Warszawy. W Warszawie miałem kontakt z wydawnictwem, gdzie my woziliśmy swoją „bibułę” i przywoziliśmy od nich na wymianę.

Była jeszcze drukarnia w Zemborzycach u p. Ewy Kurek-Lesik, to jest moja koleżanka z roku, jeździłem tam kilka razy i potem była tam jakaś wsypa, do dziś nie jest jasne, jakim sposobem się to stało, może było to w roku 1982.

Zorganizowałem też punkt na drukarnię u mojego kolegi Janusza Rucińskiego, na ul. Nowogrodzkiej 27. Jego mama była kuzynką mec. Siły-Nowickiego, zapytałem ją i obydwójce się zgodzili. Może ze 3 lata była u niego drukarnia. W stanie wojennym miał offset, robił na blachach. Robił „Informatory”, książki dla „Solidarności”.

Raz czy dwa, chyba jeszcze u babci, drukowałem „Biuletyn FSC”. Mieliśmy kontakt z pracownikiem FSC, który mieszkał na Tatarach, ale później okazał się wtyczką.

Ostatnia rzecz, jaką drukowałem, to była książka o AK na Zamojszczyźnie, ale to już było na ul. Królewskiej i właściwie prawie legalnie.

U babci w Chmielu zdarzyła się taka sytuacja, że mieliśmy do odbioru cały nakład, między innymi „Lenina w Zurichu”, ze dwa tysiące. Książki były rozłożone w pokoju i przykryte, czekaliśmy na odbiór. Ponieważ sprzedaliśmy ten dom, miała przyjechać komisja z gminy w Bychawie, żeby dokonać odbioru. Mama była sama w domu, jeden z członków komisji podniósł koc i spytał, co to za książki. Na co mama rezolutnie, że syn się już pakuje i to są jego książki. Mama przyjechała do Lublina z płaczem: czy ten urzędnik się zorientował i da komuś znać czy nie? Zrobiłem tutaj szum i jedziemy: Tomek Grudzień, Haley i ja. Oni boją się podjechać pod ten dom, ale ja, jako właściciel musiałem pójść. Na szczęście nikogo nie było. Załadowaliśmy to i przywieźliśmy do Lublina.

Cała moja „bibuła” z tych czasów zaginęła. Kiedy się przeprowadzaliśmy przepadła mi waltornia i spakowana „bibuła”.

Jasiek Stepek przysyłał mi z Francji książeczki-miniaturki w puszkach, na wierzchu był groszek czy marchewka, a pod spodem te książeczki.

Miałem dwie rewizje „dzięki” profesorowi Edwardowi Zwolskiemu. Byłem jego studentem, przyniosłem mu grypsy od Bazydły z internowania, a on nadawał je do „Frankfurter Allgemeine Zeitung” i on mnie tutaj odwiedzał, w 1982, kiedy do mnie przyszedł, to zaraz za nim ubecy. Wchodzili i sprawdzali, czy ja kogoś nie ukrywam.

Ukrywałem u siebie lekarza Stefana Kucharzewskiego, jednego z współzałożycieli

KPN-u, mieszkał u mnie przez miesiąc. Miałem taką przygodę w Krakowie, gdy wysiadałem z dwoma torbami „bibuły” i natychmiast natknąłem się na patrol. Wylegitymowali mnie, a ja miałem pieczętkę z urzędu gminy, że jestem rolnikiem i ta pieczętka wiele razy mnie uratowała. Zapytał mnie, co mam w torbach, ja jeszcze nie zdążyłem mu odpowiedzieć, kiedy on powiedziała - a rolnik, dziękujemy.

Drugi raz wracałem od Bernarda Nowaka, jego żona ma pralnię i zaniósłem przy okazji kożuch do uprania. Włożyłem do torby „bibułę” i przykryłem kożuchem, obowiązywała wtedy godzina policyjna, a myśmy się trochę zagadali, było późno. Zatrzymali mnie przed samym domem na ul. Staszica i spytali, co mam w torbie, odpowiedziałem, że kożuch. Rozpiął torbę, zobaczył kożuch i dalej nie sięgał.

Papier zdobywaliśmy różnymi sposobami, między innymi przez kupowanie. Byłem kiedyś w Lubartowie, spytałem w sklepie czy jest papier maszynowy, ekspedientka odpowiedziała mi, że jest. Spytałem ile tego ma, ale bez względu na to, ile tego jest, ja to wszystko biorę. Ona znieruchomiła i powiedziała, że musi spytać kierownika. Przyszło mi do głowy, że może się coś tutaj dziać, ale wyszła spokojnie i powiedziała, że może sprzedać tylko 10 ryz. Kierownik wyszedł za drzwi i mnie obserwował, ale nic się nie stało. W sklepie na ul. Lipowej mieliśmy znajoma panią, która nam zawsze trochę tego papieru sprzedała. Mieliśmy też takiego faceta w biurówcu na Wieniawskiej, gdzie dzisiaj jest Urząd Miejski, był tam taki pan Bogdan. Czasami, gdy nam na czymś zależało, odbijał nam na ksero i dawał nam dużo papieru. Mieliśmy też starszą panią mieszkającą na ul. Lipowej, która za parę groszy, codziennie obchadzała te sklepy papiernicze i po ryzie ten papier skupowała. Dużo papieru dostawaliśmy też z KUL-u i trochę z UMCS-u.

Zdobywaliśmy też te pasty i farby, bo na początku mieliśmy sito, mój brat ma jeszcze dwa sita nowusieńki, potem dostaliśmy skądś powielacz i sita nie były potrzebne.

Z książek, które robiliśmy najbardziej pamiętam „Lenina w Zurichu” z powodu tej historii, którą opowiadałem. Z Bernardem Nowakiem robiliśmy Mackiewiczza „Zwycięstwo prowokacji”, z początku regularnie drukowaliśmy „Spotkania”. Szczególnie Adam Konderak robił interesującą „Kronikę Kościoła na Wschodzie”.

W tym czasie pracowałem, to znaczy grałem w kościołach na organach, potem uczyłem religii i pomagałem babci w prowadzeniu gospodarstwa. Działalność w podziemiu traktowałem bardzo ideowo, ci, którzy naprawdę nie mieli z czego żyć, dostawali z tej sprzedaży jakieś pieniądze. Miałem z czego żyć, więc nie brałem pieniędzy. Kiedy jechałem w delegację do Krakowa czy Warszawy, to dostawałem na koszty jakieś pieniądze, jeśli chodzi o zarabianie, to nie miałem z tego ani grosza.

Dziękuję Bogu, że byłem zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego w Świdniku, takiej więzi i serdeczności potem nie doznałem i chyba nie doznam. Brak mi solidarności, chęci służenia drugiemu, pomocy. Dzisiaj stała się rzecz straszna, jesteśmy rozbici, a wielokrotnie ludzie nie mają przyjemności się ze sobą spotykać i nie jest to tylko kwestia poglądów. Nie wiem, jak to się stało, zabrakło ideowości, wielu porządnych ludzi jest na marginesie. Mówi się, że rewolucja zjada swoje dzieci, ale niektóre dzieci nieźle na tej rewolucji wyszły.

Aneks 5

Wiktor Tomasz Grudzień
Relacja z 10 grudnia 2002 r.
(zapis autoryzowany)

W 1981 roku studiowałem na I roku Historii w UMCS. Wybrałem Historię na UMCS, nie na KUL tylko z tego powodu, aby uczestniczyć w seminarium prof. Adama Kerstena. Jesienią wybuchł ogólnopolski strajk studencki przeciw bezprawnemu objęciu stanowiska rektora WSI w Radomiu przez prof. Hebdę. Strajk trwał 26 dni a ja byłem w „ekstremie” w Chatce Żaka razem z prof. Kerstenem. Był on jedynym naukowcem o tak znacznej pozycji i tytule, którego pobyt na strajku sobie przypominam.

Wspominam o tych wydarzeniach, dlatego, że nawiązałem tam bardzo pożyteczne znajomości, między innymi z Arkadiuszem Kutkowskim czy Dariuszem Dybciakiem, moim szefem z służby porządkowej strajku.

Po 13 grudnia wielu z nas spotkało się DS „Grześ” i DS. „Femina”, gdzie rozpoczął się strajk w proteście przeciw wprowadzeniu stanu wojennego. Strajk ten trochę się rozlał, trochę go ZOMO rozgoniło następnego dnia. Z uporem przeszliśmy do LZNS-u gdzie zebrały się resztki z rozbitych strajków z całego Lublina i tam protestowaliśmy jeszcze 2 dni do pacyfikacji dokonanej przez ZOMO i LWP.

Znajomości z tych trzech strajków spowodowały, że poznałem ludzi, których spotykałem w różnych sytuacjach przez cały okres mojej działalności w podziemiu. Jeszcze przed Sylwestrem 1981 roku nawiązałem kontakt z Dybciakiem i Kutkowskim. W styczniu 1982 roku okazało się, że jest wydawana podziemna gazeta, „Informator Regionu Środkowo-Wschodniego” i że nie ma gdzie jej robić. Była wydana już w trzech numerach: pierwszy na strajku w LZNS-ie, drugi – nie wiem gdzie – przypuszczam, że na stacji u Hariasza, Kutkowskiego i Ruchlickiego. Mieli stancję chyba w okolicy Al. Kraśnickiej, u człowieka, którego syn był kryminalistą.

Od czwartego numeru „Informator” był robiony u mnie w domu, na ul. Findera 15 (obecnie Północna 131), na powielaczu „Cyklos” produkcji czechosłowackiej. Był to stary powielacz NZS-owski, z Chatki Żaka, na którym robiono „Człowieka zbuntowanego” Camusa. Wydaje mi się, że była to pierwsza książka wydana w Lublinie, w drugim obiegu, akademickim, solidarnościowym. Była składana na strajku, wiele osób nauczyło się drukować na tym Camus-ie. Po rozbiciu strajku powielacz został wyniesiony przez Edmunda Piotrowskiego, działacza NZS-u, i został przez niego zamelinowany. Matryce mieliśmy chińskie, zielone, lepsze od polskich.

Struktury „Solidarności” w regionie zostały kompletnie rozbite. Okazało się, że władze związkowe zupełnie się nie przygotowały na spodziewaną w końcu kontrakcję władzy ludowej. Doszło do tego, że grupa studentów starszych lat, lub, jak Emil Warda tuż po studiach, podjęła próbę robienia „Informatora Regionu Środkowo-Wschodniego” na zasadzie podtrzymania w społeczeństwie świadomości istnienia i kontynuacji Solidarności.

Przyjechał do mojego domu rodzinny wymieniony powielacz, wykopaliśmy

skrytkę pod podłogą piwnicy – skrytka istnieje do tej pory. Najczęściej chowaliśmy tam powielacz razem z papierem i wydrukami. Dostarczono papier, jeszcze z darów, bardzo dobry włoski, nie było żadnych problemów z podajnikiem. Zwykle chłopaki przychodzili we czterech: Arkadiusz Kutkowski, Krzysztof Hariasz, Wiesław Ruchlicki i Emil Warda. Hariasz odpowiadał za redakcję, Ruchlicki za stronę techniczną, a Arek za kolportaż. Ja w tym czasie przyglądałem się i pomagałem jak mogłem, ale nie dawali mi spróbować wydruków, strach było coś zepsuć, trzeba było wszystko szybko zrobić i wychodzić. Staraliśmy się jak najszybciej schować sprzęt i przystąpić do kolportażu. Jeśli dobrze pamiętam robiło się około 1500 egz.. Pierwszy robiony u mnie numer 4, składał się z czterech kartek, bo była duża przerwa między nr 3 a 4, drukowaliśmy 4 stycznia 1982 roku. Druk u mnie odbywał się do 13 numeru.

Wymieniona czwórka była poszukiwana od początku stanu wojennego, gdyż jako działacze NZS-u byli na listach osób do internowania. Wpadli przez przypadek dzięki swojej wspaniałej stacji. Milicja poszukując złodzieja – syna gospodarza stacji zrobiła nalot i znaleźli czterech owłosionych, brodatych facetów niektórych jeszcze w okularach, sprawdziła, że byli na listach do internowania w UMCS i zostali zaaresztowani. Kiedy przejeżdżali „suką” koło mojego domu, Emil Warda zażartował, że mogliby wstąpić do pani Henryki na naleśniki.

Milicja na początku nie miała pojęcia, kogo aresztowała i jaką działalność przerwała. Chłopaki mieli świadomość, że wcześniej czy później wpadną, wiedzieli, że są poszukiwani i że SB wypytuje o nich. Wpadli wszyscy razem, bo nie przestrzegali podstawowych zasad konspiracji, zrobiło im się smutno i postanowili zebrać się na wódeczkę i to w trefnym, jak się to mówiło mieszkaniu.

Możliwość wpadki pierwszego składu „Informatora” była przez nas brana pod uwagę i mój brat Krzysztof Grudzień nawiązał kontakt z Janem Magierskim w celu montowania następnej ekipy, w której z kolei prym wiedli pracownicy naukowci AR. Z chwilą aresztowania chłopaków daliśmy znać p. Janowi Magierskiemu, który znał się na drukowaniu i miał wielką ochotę kontynuowania rozpoczętej działalności podziemnej. Pan Jan to poważna firma, uważam, że numer jeden w lubelskiej konspiracji, człowiek niezmiernie poważny i powszechnie szanowany. Pan Jan zaczął robić „Informatory” dalej i wytrwał do końcowego chyba 180 numeru.

Nie chcąc obciążać chłopaków tym, że po ich aresztowaniu nagle zostało przerwane wydawanie „Informatora”, jeszcze trzy numery były drukowane w moim domu. Po czym pan Jan znalazł jakąś melinę, do tej pory nie wiem gdzie, i zabrał „cyklos”. W moim domu została skrzynka na kolportaż bibuły – D2, ja brałem zwykle 400 egz. „Informatora”, no i matrycowanie. Przychodził Andrzej Pleszczyński lub pani Wanda Baj i na zimnej werandzie, na maszynie, pisali matryce.

Przychodziło trochę bibuły z kraju, z rozdzielnika „Informatora”, jako D2, dostawałem np. „Tygodnik Mazowsze”, przychodziła też lubelska „Solidarność Nauczycielska”, „Grot”, „Biuletyn Kolejarzy”. Robiliśmy też „Biuletyn NZS-u” redagowany i matrycowany przez Dariusza Dybciaka i Wiesława Haleya, którzy zostali na wolności z działaczy NZS-u a ponieważ „cyklos” był z NZS-u, to Jan robił im ten „Biuletyn” oczywiście za darmo.

W tamtych czasach nikt nie śmiał myśleć o pieniądzach czy zwrotach poniesionych kosztów. Wszelką działalność finansowano z własnych prywatnych

środków oraz zbierano dobrowolne wpłaty, co było dokumentowane potwierdzeniami w „Informatorze”. „Biuletynu NZS-u”, gdzie ja pośredniczyłem pomiędzy Dybciakiem i Haleym, a p. Janem Magierskim, wyszło 8 numerów. W tym samym okresie, w roku 1982, robiliśmy „Informator” też na drugiej maszynie tak zwany „Informator B”, na potrzeby np. FSC. Grupa, której przewodziła Joasia Borys, miała też „cyklos”, gdzieś na ul. Króla Leszczyńskiego, obsługiwał go Daniel Siusta. Do tej grupy należał Grzegorz Linkowski i jego siostra Ewa Kuźma.

Dostarczałem im matryce i miałem z ramienia „Informatora” kontrolować ich działalność, ale chyba nie szło mi najlepiej gdyż po mnie przejął to mój brat Krzysztof. Druki tej ekipy niestety były koszarne. Zupełnie nie radzili sobie z organizacją i po kilkunastu numerach umarło to śmiercią naturalną. Nie wiem, co się stało z maszyną, prawdopodobnie się rozlała.

Jesienią 1982 roku władza ludowa dobrała się do mnie i była w moim domu rewizja. Trzech oficerów i jakiś czwarty niezidentyfikowany pod dowództwem kapitana Sacewicza i porucznika Kaczmarczyka. O 6.00 rano wtargnęli do domu i po rewizji powiadomili mnie o wszczęciu sprawy. Maszynę do pisania matryc, matryce, papier za każdym razem chowaliśmy do skrytki, bo mój ojciec, któremu przypomniały się czasy AK, uznał, że bez skrytki pod podłogą nie ma konspiracji. Skrytka okazała się skuteczna, łazili po tym i nie przyszło im do głowy, żeby bardziej tupać po tej podłodze. Znaleźli kilka „Informatorów”, wyrwali kilka kartek z zeszytów do ćwiczeń, gdzie wymalowałem jakąś nową walutę – „jaruzelskie” i jakąś wronę, nazwali to kartkami z treścią antysocjalistyczną i zabrali mnie sobą na przesłuchanie.

Odbyło się według ustalonego szymba - porucznik Kaczmarczyk - dobry wujek, częstujący jabłkami i papierosami, a porucznik lub wtedy już kapitan Karpow - zły wujek. Karpowa rozpoznałem, gdyż wpuszczałem go na strajk studencki w Chatce Żaka, jako studenta Mamonia. Zgłosił się na trzeci dzień i spał na korytarzu, choć nas to dziwiło, bo było dużo miejsca. Widocznie założył sobie punkt obserwacyjny. Opiekował się Wydziałem Humanistycznym, wiadomo było, że UMCS-em zajmował się major Gałązka, jego zastępcą był major Gwiazda. Wszyscy z nas mieli prędzej czy później do czynienia z kapitanem Karpowem. Rozmowy z nim były rzeczowe, gdyż zwracał się do nas per jakiś organie, albo proponował danie w mordę. Jedynie Emil Warda miał z nim jakieś lepsze stosunki - Karpow mówił do niego - panie Emilku, pan taki uprzejmy człowiek, ale ta pańska żona - co za jędza.

Trzymali mnie na SB do wieczora, wzięli odciski palców i próbkę pisma. Była to taka akcja, że wygarnęli wszystkich, którzy byli na strajku w Chatce Żaka funkcyjnymi, chyba się student Mamoń o to postarał. Jednocześnie uderzyli też w środowisko teatrów alternatywnych. W aktach sprawy figurowała ona jako sprawa Skop - Wróbel, których to zacnych ludzi ledwie znałem albo wcale.

Na uczelni rektor, prof. Szymański przeprowadził ze mną ojcowska rozmowę, grożąc relegacją z uczelni. Kiedy prof. Szymański, po wprowadzeniu stanu wojennego przyjął stanowisko rektora UMCS a potem jako bezpartyjny został szefem PRON w Lublinie, przyszedł prof. Kersten i powiedział do nas: proszę panów, właśnie nazwałem mojego byłego przyjaciela, prof. Szamańskiego, ch...m, jeżeli przestanie być rektorem UMCS, ja to odwołam.

Niestety, prof. Kersten w lutym 1982 roku nie wydzierzył przyjemności stanu wojennego i zmarł na serce mając 50 lat.

Po jeszcze jednym przesłuchaniu, sprawa z braku dowodów winy została umorzona. Niewiele z tej fali aresztowań SB-ecy zyskali, co prawda chwilowo zrezygnowaliśmy z matrycowania, ale kolportaż odbywał się po staremu. Praca w „Informatore” była monotonna i ośmielę się powiedzieć ciężka. Przecież wyszło ponad 180 numerów, co tydzień, rzadko, co dwa tygodnie nowy numer. Rozprowadzanie bibuły – poznałem wtedy wielu ludzi, między innymi Pawła Bryłowskiego, któremu też wrzucałem egzemplarze przez Tadeusza Kosińskiego. Po to żeby rozprowadzić 400 egz. trzeba było mieć sporo znajomości i nabiegać się po całym Lublinie. Praca była nużąca, ale urozmaicałem ją sobie działalnością w NZS-ie.

Pan Jan był urodzonym konspiratorem, zresztą miał tradycje rodzinne i stawiał nam stosowne wymagania. Były nawet hasła, mój znajomy Waldemar Robak, któremu wydawało się to śmieszne wymyślił hasło: kanarki zeżarły bociana, odzew – powrót do bazy żółtą drogą. Kolportaż rządził się swoimi prawami. Jeżeli chciałeś być bezpieczny, wystarczyło nie rozszerzać kontaktów poza własne środowisko, w którym wszyscy o wszystkim wiedzieli, co kto robi, ale jeżeli chciałeś więcej kolportować to musiałeś nawiązywać nowe znajomości, a to oznaczało odkrycie się i większe ryzyko.

Jeżeli chodzi o sukcesy SB w walce z podziemiem wydawniczym to większa wpadka miała miejsce na początku 1982 roku, kiedy to Piotr Pleskaczyński wpadł ze swoją drukarnią na Wilczej. SB-cy jego jedyne wypuścili i próbowali oczernić, że to on nadał drukarnię władzy ludowej. Później przypominam sobie wpadkę pracowni gdzie przygotowywano druk (diapozytywy, farby) prowadzonej przez chyba Piotra Wilczyńskiego. Było to tym bardziej ciekawe dla mnie, że SB nakryło go w domu na sąsiedniej posesji.

Było wiele inicjatyw wydawniczych związanych z „Informatorem”: „Miesięcznik”, Biblioteczka Informatora, której pierwszym drukiem był „Statut NSZZ „Solidarność”, „Solidarność Nauczycielska”, „Biuletyn Informacyjny Zarządu Regionu”, który był efemerydą powołaną do istnienia przez region [kilka numerów], ale i tak redagowanych i drukowanych przez zespół „Informatora Solidarności Kolejarzy”, który robił Arkadiusz Kutkowski. Ten ostatni po kilkunastu miesiącach odsiadki, wyjściu z interny, natychmiast złapał kontakty z kolejarzami, z Leszkiem Iwaszko.

Robiliśmy oprócz tego akcje na 3 Maja, 31 Sierpnia, 11 Listopada, Rocznica Katyńska, mobilizowanie społeczeństwa na manifestacje, chodzenie na te manifestacje, no, bo jak się zrobiło ulotki i wezwało ludzi to samemu też trzeba było pójść. Ja sam odprawiłem 26 manifestacji.

Od 1983 roku w naszym środowisku postanowiliśmy wydawać książki, praca przy gazetkach była żmudna, wydawanie książek wydawało nam się nobilitujące, poważniejsze. Kutkowski zaczął robić książki, ukazywały się za każdym razem pod innym wydawnictwem, np., Drukarnia Polowa imieniem... kogoś tam, Radiator, Walentyłowicz, albo XXX. Robił tego dużo różnymi metodami, często na powielaczu, a potem znalazł drukarnię w Radomiu, gdzie drukarze robili to za pieniądze. Wystarczyło dać papier i pieniądze. W roku 1983 spotkałem Wieśka Haleya, który miał dostęp do powielacza „gestetner”, dostał go od Bernarda Nowaka. Haley skończył prawo, był na strajkach w NZS-ie w 1981 r. i razem z Darkiem Dybciakiem robili „Biuletyn NZS-u”, Wiesio pisał matryce, Dybciak przynosił do mnie, ja dawałem Janowi Magierskiemu, a Jan ochrzaniał ich zwrotnie, bo pisali nie zostawiając marginesów, żeby się więcej zmieściło.

Wiesio „położył łapę” na „gestetnerze” i zrobił pierwszą książkę „Lenin w Zurichu”, ja mu pomagałem składać – wydawnictwo nazywało się chyba Ryza. „Gestetner” był przenoszony z miejsca na miejsce, u mnie w domu wydrukowaliśmy chyba ze dwa numery „Spotkań”.

Drukowano „Spotkania” jeszcze w domu letniskowym na Nałęczowskiej, a „Zagadkę śmierci Stalina” Astarchamowa robiliśmy na Kowalskiej, w kamienicy do rozbiórki (istnieje do tej pory), z której miano lada dzień wykwaterować ludzi. Tam pewien pobożny człowiek nazwiska już nie pomnę udostępnił lokal na drukarnię. Tłukliśmy wydruki we dwóch z Wieskiem, a do pomocy przy składaniu kogoś sobie braliśmy. Pamiętam patent na bigowanie okładek widelcem dwuzębnym.

Jednocześnie w połowie lat osiemdziesiątych na moją skrzynkę zaczęły przychodzić książki z Krakowa przez Waława Wasilewskiego, z NZS – książki przywoziły w torbach dziewczyny, między innymi moja nieżyjąca żona – z Warszawy z Nowej, a także kanałami „Informatora”. Zaczęła się era handlu książkami, udzielania rabatów, rozliczeń i bezustannych kłopotów z tym związanych.

Należy wspomnieć, że wszystkie maszyny, oprócz podstawowych prac, wykonywały masę ulotek, odezwo, plakatów okolicznościowych. Niestety maszyny te eksploatowane bez litości przez niefachowy personel miał bardzo ograniczony resurs. Każda naprawa była utrudniona brakiem części i serwisu. Sam pamiętam próbę wytoczenia tłoku podajnika farby do powielacza wiertarką na papierze ściernym. Wiesiek Haley miał, coraz większe problemy z maszyną i kiedy wyładował z tym „gestetnerem” poza Lublinem u Marka Gorlińskiego, tam, w służbie „Spotkań”, maszyna ta odmówiła definitywnie posłuszeństwa.

Przed przyjściem offsetów, około 1985 roku zrobiła się wielka luka sprzętowa, powielacze się wykończyły i musiała nastać epoka sitodruku. „Informator” był również robiony tą techniką przez dwie, trzy ekipy. Jan Pleszczyński, Wojtek Oleksiński i Wiesio Ruchlicki drukowali w tym czasie na sicie. My z Wiesiem Halem wzięliśmy się też za to, przez Ruchlickiego dostaliśmy pierwszą robotę z Wydawnictwa FIS. Nie mogliśmy dobrać emulsji światłoczułej, potem robiliśmy ją sami i jakoś to szło. Kolejarze też musieli siłą rzeczy przejść na sitodruk.

Po erze sitodruku przyszedł czas offsetów. Pierwszy przyszedł do „Informatora” do tej pory nie wiem, kto obsługiwał. Potem FIS w 1987 roku pozyskał z Warszawy starego Roneo Vickersa, który trafił do mnie do domu. Była to maszyna używana, mocno sfatygowana.

Kiedy wprowadziłem na stałe maszynę do domu, postanowiłem skończyć z kolportażem. Od połowy 1987 roku przestałem brać „Informator”, przejął D-2 mój brat Krzysztof. Z ulgą rozstałem się z kolportażem. Książek napływało coraz więcej i w drugiej połowie lat osiemdziesiątych pojawiły się coraz znaczniejsze rozliczenia finansowe. Zdarzało się, że dawało się egzemplarze, a potem nie można było wydobyć ani pieniędzy ani książek. Pojawiły się pierwsze rabaty i prowizje na początku ułamkowe. Jak się pokazały pieniądze to i pojawiły się kłopoty. W pierwszym okresie samemu się dokładało do pracy w podziemiu, a dobrowolne datki solidnie rozliczano. Nie do pomyślenia było otrzymać zwrot za taksówkę czy tym podobne koszty. Był to piękny okres, przejrzystości finansów, nad którymi czuwał w „Informatorze” Andrzej Pleszczyński.

Potem wielu uznało, że można w podziemiu dorobić sobie parę groszy. Doszło do tego, że parę osób nawet zniknęło z pieniędzmi. Z tych powodów nie chciałem już zajmować się kolportażem. Tworzenie książki od podstaw, bycie drukarzem podziemnym, zdecydowanie bardziej mi odpowiadało i imponowało.

W tym okresie Wiesiek Haley na skutek donosu stracił mieszkanie w Hotelu Asystenta i musiał wyjechać z Polski. W ten sposób rozpocząłem druk już jako FIS razem z Wieśkiem Ruchlickim, którego znałem od dawna, od pierwszej ekipy „Informatora”. Przez trzy lata wydawnictwo FIS wydrukowało wiele ciekawych pozycji. Jako czytelnik najbardziej sobie cenię współuczestnictwo w wydaniu Hrabala „Jak obsługiwałem angielskiego króla”. Z kolei jako historyk z wykształcenia „Wojnę polską” Moczulskiego, pierwszy, rzymski numer „Kultury”. Ostatnią rzeczą, jaką drukowałem tuż przed 4 czerwca była „Napaść sowiecka na Polskę”. Na 4 czerwca tłukliśmy mnóstwo ulotek, odezów, portrecików kandydatów.

Papier w początkowym okresie był zbierany, wynoszony z pracy, a potem skupowany. Arek Kutkowski i Joasia Borys organizowali siatkę studentów, którzy skupowali papier, gdzie tylko się dało. Gospodarz każdej skrzynki kolportażu był zobowiązany do zbierania papieru. Niestety była to koszmarna zbieranina, do każdej ryzy należało ustawiać maszyny osobno. Nawet przy sicie, które uchodziło za niewrażliwe na jakość papieru było to uciążliwe. Na początku trafiały się rodziny jak uratowany z NZS-u papier włoski, czasami trafiał fiński. W epoce offsetu mieliśmy już papier cięty z drukarni KUL. Podobnie stamtąd pochodziła farba, zmywacze offsetowe itp. Długie lata załatwiał to Andrzej Peciak.

Jeżeli chodzi o farby, kiedy drukowaliśmy na „gestetnerze” mieliśmy farby z zachodu, w puszkach po pieczarkach. W puszcze znajdował się woreczek z farbą zalany parafiną do wagi, jaką miałyby opakowanie pieczarek z zalewą. Z papierem, jako artykułem strategicznym według władzy ludowej, zawsze były kłopoty. Czasami, jeżeli gdzieś na prowincji znalazło się sklep z papierem, zaraz wyruszała pielgrzymka chłopaków z plecakami, bądź maluchem Wiesia Haleya, bądź to tarpanem mojej rodziny przywoziliśmy to do Lublina. Na małą skalę papier był kupowany i kradziony z drukarni z Lublina, Radomia.

Jeśli idzie o represje, to oprócz rewizji i dwóch przesłuchań, o których mówiłem nic więcej nie było. Raz nastraszyli nas, bo w następnym domu mieszkał człowiek, który robił diapozytywy dla podziemia. SB natrafiło tam na powiększalnik, farby offsetowe. Mój ojciec był święcie przekonany, że pomylili domy i zaraz do nas wróca. Zabawne jest to, że nawet nie wiedzieliśmy o sobie będąc na jednej ulicy.

Mieliśmy kilka wyczynów komandoskich: Arkadiusz Kutkowski poszedł do dyrektora poczty i wyrzucił przez okno w jego gabinecie ulotki – dyrektora na chwilę wywołano z gabinetu. Mój brat Krzysiek, Jan Pleszczyński i ja chcieliśmy wznieść nad miastem flagę „Solidarności” balonem wodorowym, otrzymanym od meteorologów z UMCS-u. Wodór otrzymałem od faceta o posturze senatora rzymskiego po uprzednim wygłoszeniu hasła: zdrowie dla Spartan. Niestety balon zaplątał się z gałęzie. Za drugim razem zamierzaliśmy go puścić z Górek Czechowskich, miał być na uwięzi, ale niestety linka się urwała i poleciał wolno, nikt go nie zauważył.

Aneks 6

Wojciech Guz

Biblioteka Informatora NSZZ „Solidarność” vel Wydawnictwo Niezależne BIN

Relacja z 7.11.2002 r.

(zapis autoryzowany)

Byłem szefem NZS-u na mojej uczelni, Akademii Rolniczej i właściwie geneza mojej przygody z ruchem wydawniczym z tego się wywodzi. Na początku 1982 roku, kiedy byłem studentem V roku i pisałem pracę magisterską, uczestniczyłem w próbie reaktywowania międzyuczelnianych struktur NZS-u. Nazywało się to chyba Międzyuczelniany Komitet Oporu NZS Uczelni lubelskich, w którym byli m.in.: Agnieszka Lekka z KUL-u, Piotrek Walczyk z Politechniki Lubelskiej, z Akademii Medycznej Danka Świercz. Uznaliśmy, że istnieje potrzeba pokazania się na zewnątrz, próbowaliśmy organizować jakieś manifestacje tzw. „miesięcznice” wprowadzenia stanu wojennego – potrzebne były ulotki, kontakty były pozrywane i wyszło na to, że trzeba się samemu nauczyć się drukować i tak się dla mnie to zaczęło. Wydawaliśmy wówczas piśmko – „Biuletyn Informacyjny NZS Uczelni Lubelskich”, było to na przełomie zimy i wiosny 1982 roku, pierwszy numer ukazał się, kiedy wznowiono zajęcia na uczelniach. Zaczęliśmy najprostszą techniką, to znaczy matryce białkowe i ramka, własnoręcznie wykonana. Potem pojawił się ręczny powielacz białkowy, który ktoś rozkręcił do ostatniej śrubki, żeby go ukryć i przechować i który trzeba było złożyć samemu. W połowie 1982 roku pojawił się, choć nie wiem dokładnie skąd, chyba wyniesiony z którejś z uczelni – powielacz białkowy elektryczny „gestetner”, który służył bardzo długo, potem również „Informatorowi”, „Spotkaniom” (było to jedno z pierwszych naszych zleceń „na zewnątrz”). Tak zostałem drukarzem.

Biuletynu NZS wydaliśmy sześć, może siedem numerów, drukowaliśmy ulotki okolicznościowe na miesięcznice stanu wojennego. Okazało się, że jesteśmy jednym z nielicznych środowisk, które ma możliwości druku i zaczęły do nas napływać zlecane prace. W pierwszej połowie 1982 roku środowisko wywodzące się z ROPCziO (ukrywający się wtedy Adam Cichocki) zleciło nam druk broszurki o idei walki bez użycia przemocy (non violence active), było to duże zlecenie, jak na nasze możliwości, kilkanaście stron. Papier był ze starych zapasów – wyniesiony z NZS-u, czy z tego, co ludzie mieli w domach, żadnych zewnętrznych źródeł papieru wtedy jeszcze nie było. Właściwie do końca mniej lub bardziej aktywnie uczestniczyli w tym ludzie ze środowiska NZS-u.

Pod koniec 1982 roku skontaktował się z nami Jan Magierski. Dzięki niemu zostaliśmy przeszkoleni w technice sitodruku, która zrewolucjonizowała druk podziemny, pierwsze próby na sicie miały miejsce pod koniec 1982 lub na początku 1983 roku.

Ja ukończyłem studia i tak się złożyło, że cała ekipa NZS-u to byli ludzie na ostatnich latach i oczywiście wszystko zaczęło się rozłazić. Ja zostałem przy drukarstwie.

Jedną z pierwszych stałych prac firmowanych przez Związek była mutacja lubelska

„Tygodnika Wojennego”, który ukazywał się chyba wcześniej niż „Tygodnik Mazowsze”. W Warszawie wykonywano diapozytywy, które były rozwożone po Polsce. Może kilkanaście, może dwadzieścia numerów „Tygodnika Wojennego” wydrukowaliśmy. Choć był to tygodnik to wychodził czasem nawet częściej, robiliśmy go już na sicie. Potem tym w tym samym systemie drukowaliśmy też lubelską mutację „Tygodnika Mazowsze” (przynajmniej kilka, jeśli nie kilkanaście numerów, różnymi technikami) W tym czasie robiliśmy wiele innych rzeczy zleconych nam przez Jana Magierskiego, np. biuletyny zakładowe (FSC), rolnicze np. „Wieś Solidarna”, ale były to rzeczy pojedyncze, był to rok 1983.

Drugim pismem, które drukowaliśmy dłuższy czas była „Solidarność Nauczycielska”, kolportowana przez ich własne kanały, zajmowali się tym: Grażyna Wójtowicz i Andrzej Sadurski, później Bogdan Wagner. Mieliśmy od nich przez dłuższy czas lokal w Trześniowicach pod Lublinem, udostępniał nam dom wiejski Staszek Żurek, który przedtem wraz z Andrzejem Sadurskim zajmował się drukiem „Nauczycielskiej”.

Nie pamiętam czy wtedy czy rok później zaczęliśmy drukować pierwsze numery „Informatora”, na początku wtedy, gdy ktoś nie mógł wydrukować, potem systematycznie. Pakowaliśmy go potem w małe paczki, według listy z ilością egzemplarzy i specjalnymi kodami, przygotowanej przez Jana Magierskiego. Odbierane było albo przez Jana Magierskiego albo przez kogoś z kolporterów. Szczególnie zasłużonym kolporterem był Franciszek Bujak.

Mieliśmy moce przerobowe w druku pomiędzy pisemkami i powstał pomysł uruchomienia Biblioteki Informatora, czyli wydawnictw zwartych kolportowanych siecią związkową, pierwszą książką był „Program NSZZ „Solidarność” uchwalony przez I Krajowy Zjazd Delegatów”, choć wcześniej, przed Biblioteką Informatora, wydrukowaliśmy taką książeczkę z rysunkami satyrycznymi pod tytułem „Junta juje!”, część rysunków wykonał kolega z NZS-u Piotr Choma, samorodny talent, mający wrodzony dar pointowania rzeczywistości rysunkiem, pozostałe to przedruki rysunków satyrycznych, które ukazywały się wtedy w kraju. Niestety, nie zachował mi się żaden egzemplarz tej książeczki.

Biblioteka Informatora przetrwała do końca 1988 roku, kiedy ukazała się ostatnia książka. Później sygnowaliśmy książki firmą Wydawnictwo Niezależne BIN, ukazało się 17 tytułów:

1. Program NSZZ „Solidarność” uchwalony przez I Krajowy Zjazd Delegatów
2. Mały Konspirator. Poradnik dla dorosłych i młodzieży
3. Wezwania, przesłuchania i rewizje w świetle prawa
4. Aniela Steinsbergowa: Widziane z ławy obrończej
5. Marian Brandys. Z dwóch stron drzwi. Twardy człowiek
6. Franciszek Witkowski. Wspomnienia 1939-1942
7. (T. Mazowiecki, K. Dziewanowski, J. Strzelecki, J. Ambroziak, St. Opiela SJ, ks. J. Tischner) Prawda i wspólnota drogą do wyzwolenia narodu
8. Mieczysław Szerer. Memoriał w sprawie odpowiedzialności za łamanie praworządności w sądownictwie wojskowym (Ze wstępem A. Steinsbergowej)
9. Józef Mackiewicz. Zbrodnia w dolinie rzeki Drawy
10. Jacek Żakowski, Anatomia smaku czyli o losach „Tygodnika Powszechnego” 1953-1956, Lublin 1986

11. Sprawozdanie cenzora WL, Lublin 1986
12. Maria Byrska. Ucieczka z zesłania. Lublin 1987
13. Ojczyzna ma. Zbiór pieśni patriotycznych. Lublin 1987
14. Płk J. Kukliński: Uczestniczyłem w przygotowaniu wprowadzenia stanu wojennego
15. W. Anders, Bez ostatniego rozdziału, Cz. I i II. Lublin 1988
16. G. Herling-Grudziński, Inny świat
17. Wojciech Wasiutyński. Źródła niepodległości. Lublin 1988 (wspólnie z Biblioteką „Polityki Polskiej”) Większość z tych książek to były przedruki rzeczy wydanych na Zachodzie, jak u wszystkich, ale kilka książek, to rzeczy oryginalne. O tym, co się ukaże zwykle decydowaliśmy Jan Magierski i ja. Z tekstów wcześniej niepublikowanych wydawaliśmy Żakowskiego „Anatomia smaku”; Marii Byrskiej „Ucieczka z zesłania”; Franciszka Witkowskiego „Wspomnienia 1939-1942” i referaty Tygodnia Filozoficznego, który odbywał się na KUL-u: „Prawda i wspólnota drogą do wyzwolenia narodu” – spisywane z taśmy magnetofonowej.

Jeśli idzie o technikę w latach 1983-1984 to, to się zmieniało: po sicie wróciliśmy do powielacza białkowego, do którego były matryce wypalane. Offset pojawił się chyba w roku 1986, pierwsza książka wydrukowana tą techniką to Żakowski „Anatomia smaku”. Razem ze mną, na zmianę, drukował kolega z NZS Andrzej Gwóźdź, przez długi okres pracowali z nami – Grzesiek Biolik i Beata Grzesik. Kiedy robiliśmy książkę było mnóstwo roboty i masa ludzi przewijała się wówczas przez drukarnię m.in. Jacek Grzemski, Wiesław Ruchlicki.

Dłuższy czas współpracowałem z Andrzejem W., który także zajmował się drukiem. Działaliśmy w ramach Związku, ale każda z tych grup była na własnym rozrachunku. Zdarzało się tak, że oni coś drukowali, a do nas przywozili do introligatorni. Organizowaliśmy wspólnie papier itp.

Offset, którym wyłącznie dysponowaliśmy, przyszedł chyba ze Szwecji w roku 1987, była to amerykańska maszyna AB-Dick, otrzymaliśmy ją za pośrednictwem Wojtka Samolińskiego.

Prawdziwie wielka rewolucja, w pierwszej połowie lat osiemdziesiątych, to było użycie do składu i wykonania matryc komputera osobistego, z powodu ciągłego deficytu papieru zależało nam na tym, żeby litery były małe a jednocześnie czytelne, żeby dużo tekstu zmieścić na jak najmniejszej powierzchni. Drugie pismo, które drukowaliśmy dłuższy czas „Solidarność Nauczycielska” też była wykonywana tą techniką.

Nakład książek był uzależniony od ilości papieru, próbowaliśmy zrobić przynajmniej 1000 egz., kolportowane były głównie kanałem związkowym, którym kolportowany był „Informator”.

W pierwszym okresie nikt o pieniądze nawet nie pytał, potem, kiedy stało się to tak absorbujące, że ograniczało inne możliwości zarabiania – ukształtowała się zasada płacenia za prace przy druku, najpierw symbolicznie, potem trochę lepiej. Wydawnictwa związkowe były finansowane ze środków związkowych, począwszy od „Tygodnika Wojennego” w 1983 roku. Działo to na zasadach rynkowych, była kwota za zadrukowanie jednej kartki papieru. Natomiast, kiedy pojawiły się książki mogliśmy już środki wygospodarować. Z kolportażu wracały pieniądze i był to już okres, kiedy płaciło się za pracę przy druku, przy zbieraniu, można było kupić papier, benzynę. Było to już poważne przedsiębiorstwo, sporo rzeczy robiliśmy na zlecenie.

Dwutomową „Historię ZSRR” drukowaliśmy dla środowiska partii LDP „Niepodległość”, miałem z nimi kontakt przez Pawła Skokowskiego, drukowaliśmy dla nich też kilka innych rzeczy w różnym okresie. Powstał „czarny rynek” papieru, sprzedawali go magazynierzy. Od połowy lat osiemdziesiątych miałem bardzo dobry kontakt na zakup dużych ilości papieru w hurtowni w Zamościu, gdzie na pewno w sumie kupiliśmy kilka ton papieru, ale też papier spływał kanałami związkowymi, kolporterzy byli zobowiązani, żeby w biurach, w zakładach pracy pozyskiwać papier. Po kilka, kilkanaście ryz papieru przy każdym numerze „Informatora” wracało. Czasami można było kupić papier w sklepie, ale spisywali wtedy nabywcę z dowodu osobistego.

W połowie lat osiemdziesiątych zajmowałem się głównie „Informatorem”, było to bardzo absorbujące, gdyż wychodził nie rzadziej niż raz na dwa tygodnie (częstotliwość się oczywiście zmieniała). Generalnie dążyło się do tego, żeby wychodził co tydzień, niestety to się prawie nigdy nie udawało. Nakłady były spore od 1500 do 8000 egz.

Zmieniliśmy przez te lata kilkanaście lokali, głównie w domkach jednorodzinnych, były takie lokale, gdzie siedzieliśmy nawet rok, wielu oddanych bezimiennych ludzi, którym nikt do dzisiaj nie podziękował służyło nam bezinteresowną pomocą (m.in. u państwa Pukosów na Świecie, pani Capały na Kossaka). Maszyna miała rozmiary dużego telewizora, ważyła kilkadziesiąt kilogramów, oprócz papieru, pozostały sprzęt można było zapakować w dwie duże torby.

Jeśli chodzi o druk to w moich okolicach żadnych wpadek nie było, jeśli idzie o kolportaż było zdecydowanie trudniej. W 1986 roku, kiedy aresztowali Franka Bujaka i Wacława Wasilewskiego, miałem przez kilka miesięcy „ogon”, który towarzyszył mi dzień i noc. Dawało się go gubić, nie musiałem przerywać roboty. Oprócz zatrzymań i rewizji na początku stanu wojennego związanych jeszcze z NZS-em, i chyba w roku 1983 zatrzymaniem związanym z działalnością w MKO, nie dotknęły mnie żadne represje. Jakieś podstawowe zasady konspiracji były przez te lata dość konsekwentnie stosowane, mimo że miałem kontakty pewnie z setką lub dwoma ludźmi zajmującą się „knuciem” większość nie wiedziała, co robię ani ja nie wiedziałem, co oni robią. Dopiero w roku 1988, w okolicach „okrągłego stołu”, kiedy wszyscy poczuliśmy się pewniej zacząłem mieć bezpośrednie kontakty z Andrzejem i Basią Pleszczyńskimi – redakcją „Informatora”. W tym okresie też zdarzało mi się pracować we własnym domu – to był bardzo pracowity czas („Informator” 2 razy w tygodniu, masę ulotek).

Hurtowi kolporterzy związkowi, którzy zajmowali się „Informatorem” to Franciszek Bujak i Wacław Wasilewski, awaryjnie robił to również Jan, Magierski, który z zresztą w lubelskim ruchu był postacią kluczową i bez niego nic by nie było. Hurtowym kolportażem książek zajmowali się m.in. Zygmunt Kozicki (kolporter bibuły ze stażem jeszcze przedsierpniowym), Julian Dziura, który prowadził księgarenkę przy kościele, wiele osób, których nazwisk nigdy nie poznałem.

W końcu lat osiemdziesiątych dostawaliśmy wiele materiałów ze „zrzutu” z Zachodu – matryce, maszynę do wypalania matryc. Miałem różne „techniczne” kontakty z Warszawą: Konradem Bielińskim, Grzegorzem Bogutą, Piotrem Sz wajcerem.

Ostatni epizod związany z drugoobiegową działalnością wydawniczą, w którym uczestniczyłem to przygotowanie i druk Aneksów z materiałami skonfiskowanymi przez cenzurę do legalnego „Biuletynu Solidarności”, który współorganizowałem, po

okrągłym stole, już jako etatowy pracownik TZR „S”.

Aneks 7

Zygmunt Kozicki

Wydawnictwo Respublica i Oficyna im. Józefa Mackiewicza

Relacja z 9 listopada 2002 r.

(zapis autoryzowany)

Wydawnictwo Respublica powstało we wrześniu 1986 roku po odejściu ze „Spotkań” grupy składającej się z Mariusza Szyszko (mój szwagier), jego brata Grzegorza, mojego brata Piotra i mnie. Po przeprowadzeniu rozmów z szefami „Spotkań” Januszem Krupskim i Januszem Bazydło i przekazaniu im powielacza, na którym dotychczas pracowaliśmy, rozstałem się ze „Spotkaniem”, gdyż współpraca przestała nam się układać.

Geneza powstania Oficyny Respublica była następująca:

Trzeba było wynaleźć jakieś nowe miejsce na drukarnię, było to trudne, gdyż ludzie zaczęli się bać, coraz trudniej było o lokal na drukowanie. Wtedy Tomasz Grudzień, Jacek Grzemski, Wiesław Ruchlicki, Piotr, Mariusz i ja wymyśliliśmy, żeby u Jerzego Lewczyńskiego, który przy Nałęczowskiej i miał maleńki domek z pustaków na działce z sadem, (służył mu on za letnią sypialnię, a czasem za sympatyczny lokal, gdy trzeba było coś wypić...), wykopać dość dużą piwnicę i przystosować ją na drukarnię.

W tym domku drukowaliśmy już wcześniej z Wieśkiem Ruchlickim w nowo powstałym (w 1983 roku) Wydawnictwie Vademecum, które założyliśmy po wyjściu z internowania, książkę „Dialog za drutem kolczastym” – Czornowiła i Pensona. (Realizowałem w ten sposób obietnicę złożoną „komunie”, że za każdy tydzień internowania wydrukuję jedną książkę). O genezie wydawnictwa Vademecum powiem później.

Ten lokal już znaleźliśmy, a Jurek zgodził się, że mu obok domu wykopimy dużą „dziurę”, w której zrobimy podziemną drukarnię. Wykopaliśmy dół 3 m głęboki, 4 m szeroki i 4,5 m długi. Na to miały być pieniądze ze „Spotkań”, bo tak było ustalone z szefami: Januszem Krupskim i Januszem Bazydło, oni zaś uzyskali obietnicę Piotra Jeglińskiego z Paryża, że tę inwestycję sfinansuje.

Do pewnego momentu przedsięwzięcie było finansowane przez Spotkania; zakupiliśmy drut zbrojeniowy, opłaciliśmy koszty związane z kopaniem i wywózką „urobku” oraz kolegium, ponieważ glina, którą wykopywaliśmy, była wysypywana na stok przy ul. Nałęczowskiej; jak popadał deszcz to wszystko spłynęło i pół Nałęczowskiej było zapaprane rozmokłą, śliską gliną, myśmy sobie nawet nie zdawali sprawy z tego, co robimy, jakie stwarzamy zagrożenie dla ruchu samochodowego. Przyszedł milicjant do Jurka, skierował sprawę na kolegium, ale nie połapał się, co my tam robimy. Potem, ponieważ zabrakło pieniędzy, robota stanęła. Przez całe wakacje 1986 roku ciężko pracowaliśmy, a potem stop, nie było pieniędzy.

Zdenerwowałem się wtedy, ponieważ to ja byłem niejako promotorem tego przedsięwzięcia. Jurkowi pod chałupą ziała duża dziura, wchodził do domku po desce. Jego kolega złamał tam nogę, w nocy wpadł do wykopu, Jurek znalazł go dopiero rano, musiał taszczyć go po drabinie z tego dołu i donieść do ulicy, żeby go zabrało

pogotowie. Inna rzecz, że wtedy tego popili i Waldek zapomniał o wykopie.

Długi czas unikałem Jurka, bo co ja mu miałem powiedzieć...?! Umowa była taka: wykopiemy, zabetonujemy, zamaskujemy i będzie podziemna drukarnia par excellence... Było mi wobec Jurka głupio, więc go unikałem jak mogłem, aż raz, idąc przez Krakowskie Przedmieście, wlałem po prostu na niego, wychodził z jakiejś bocznej ulicy. Zacząłem się pokrętnie tłumaczyć, „że to... że tamto...” Jurek szybko mnie uspokoił: „Nie martw się stary, zrobiłem z „dziury” przechowalnię i chłodnię na owoce”, jak już wspominałem, na działce Jurka był duży sad.

Ale to było już dużo później. Niepowodzenie z „dziurą” było ostatnią kroplą, która przelała kielich. Odeszliśmy ze „Spotkań”.

Udało się nam wynająć niedrogo na ul. Poniatowskiego 22A, na IV piętrze kawalerkę. Jej właściciel zgodził się dać to mieszkanie na drukarnię. Postanowiliśmy, po odłączeniu się od „Spotkań”, tam drukować. Miałem już pewne doświadczenie sitodrukowe, gdyż w 1981 roku w Zarządzie Regionu na ul. Królewskiej z Andrzejem Mathiaszem, Wieśkiem Ruchlickim, Zenkiem Binkiewiczem, Waldkiem Jaksonem poznaliśmy technikę sitodruku. Jej zaletą było to, że nie wymagała dużo miejsca, była tak cicha, że można było drukować nawet w bloku.

Poznałem wtedy śp. prof. Adama Kerstena, który miał w podziemiu pseudonim „Lord Komfort”, gdyż wymyślił technologię produkcji farby drukarskiej na użytek podziemnej techniki. Sito ma wiele zalet, ale niestety farba schnie wolno i po zadrukowaniu strony, farba przywiera i odbija się na drugiej kartce. Żeby uzyskać szybki efekt schnięcia dodawaliśmy do farby ksylenu, związku bardzo szkodliwego o intensywnym zapachu. Kersten zastąpił oryginalną farbę sitodrukową mieszanką, która składała się z pasty do prania „Komfort” (należało precyzyjnie ją przez pończochę, ponieważ miała grudki, które darty siatkę na sicie) jako nośnika, niewielkiej ilości oleju i najczęściej farby plakatowej. Mariusz opracował taką dobrą recepturę, że mieliśmy farbę szybkoschnącą; nasze książki wydawane w Republice czy też w Oficynie im. Józefa Mackiewicza są odnotowane w bibliograficznych opisach jako książki drukowane techniką offsetową.

Potem znakomita okazała się pasta do prania „Laguna”. Mankamentem używania wynalazku Adama był nietrwały druk (pod wpływem wilgoci rozmazywał się – pasta do prania!), zaletą: dostępność do komponentów i brak podejrzanych zapachów.

Z materiałów profesjonalnych potrzebna nam była emulsja światłoczuła Ulano lub Serikol, (lepiej się pracowało na Ulano) oraz siatka sitodrukowa; był to syntetyczny materiał o bardzo dużej gęstości, który po naciągnięciu na ramki pokrywało się emulsją i po wysuszeniu naświetlało diapozytywy z utrwalonym na nich techniką foto tekstem.

Po naświetleniu ramki i wypłukaniu jej pod wodą, w miejscach gdzie był tekst emulsja była wypłukiwana i tylko w tych miejscach przechodziła na papier farba, jak przez sito. Przeciskało się ją za pomocą rakla, czyli kawałka twardej gumy oprawionej w drewno; jedno przesunięcie raklem po sicie i jest zadrukowana strona, potem następna i następna... Wydrukowaliśmy ok. 40 tytułów w Wydawnictwie Republica i 15-20 w Oficynie im. Józefa Mackiewicza. Były to książki i broszury w nakładzie od 1200 do 2700 egz. W 1988 roku powołaliśmy do życia Wydawnictwo Prasowe Republica będące firmą usługową. Drukowaliśmy na zlecenie, jeśli nie kłóciło się to

z naszymi poglądami. Drukowaliśmy dla Białegostoku „Biuletyn Solidarności”, dla grupy Ukraińców, którzy studiowali, bądź funkcjonowali przy Seminarium Lubelskim, reprint modlitewnika wydanego po ukraińsku w Toronto i jeden numer pisma katolickiego „Swiczado”.

Założenia ideowe były bardzo proste: to, czego komuna zabrania my będziemy drukować. Teraz, jak na to patrzę, to niektórych rzeczy bym dzisiaj nie wydrukował. Drukowaliśmy też takie książki, które równie dobrze mogły wyjść za komuny, np. „Pierścień z papieru” Zygmunta Haupta; z polityką to nie miało nic wspólnego, przepiękna literatura, wspomnienia człowieka z Kresów Wschodnich i nie wiem, dlaczego objęta była zapisem cenzorskim, pewnie autor źle się wyrażał o komunizmie, a może ze względu na tematykę kresową. Naszego wydawnictwa Respublica nie należy mylić z pismem Marcina Króla, który wydawał od 1987 r. legalnie Res Publikę, będącą legalną kontynuacją przedsiernpniowego pisma podziemnego Res Publica.

Postanowiliśmy drukować trochę historii, publicystyki politycznej i trochę literatury. Nie mieliśmy założeń ideowych typu katolickie, narodowe, filo- czy antysemityczne, chodziło o walkę z cenzurą; nie byłem nigdy związany z grupą o jakimś profilu politycznym. Nie mieliśmy aspiracji do tworzenia formacji ideowo - politycznej.

Jako pierwszą wydaliśmy książkę Władysława Bartoszewskiego „Na czym polega socjalizm”. Nasze koronne dzieło „Utopia u władzy” Hellera i Niekricza, wydaliśmy to w 5 zeszytach, w nakładzie 2700 egz. i to na sicie, w proporcji 1:1 (w oryginale jest to dwutomowa książka, każdy z tomów ma ponad 200 stron), poszły na to setki ryz papieru. Jest to jedna z książek, których bym dzisiaj nie wydał; po lekturze dzieł Wiktora Suworowa podzielał Jego pogląd, że ci autorzy pisali bzdury zwłaszcza na temat II wojny światowej.

Gdzieś bodaj w 1987 roku mój szwagier Mariusz pojechał do Paryża, żeby „załapać kontakty”, spotkał się tam z Mirosławem Chojeckim, Niną Karsov, Jerzym Giedroyciem. Dogadał się z Chojeckim, że będziemy robić w Kraju przedruki z „Kontaktu”, było to pismo wydawane w Paryżu przez Mirka. Dał nam wolną rękę w wyborze tekstów, zagwarantowaliśmy druk 500 egz. Z reguły drukowało się trochę ponad 1000 egzemplarzy. Kawalerka, którą wynajmowaliśmy składała się z kuchni, pokoju i łazienki. W pokoju odbywał się druk, a w łazience obróbka techniczna (naświetlanie). Zainwestowaliśmy z pierwszych pieniędzy, które spłynęły z książek i z pieniędzy, które otrzymaliśmy z Funduszu Wydawnictw Niezależnych w nowe ramki do sita, aparat fotograficzny, papier.

Okazało się, że drukarnia znajduje się podobno 2 piętra nad mieszkaniem generała milicji Naręgowskiego. Dowiedzieliśmy się o tym przypadkiem, kiedy przyszła ekipa mająca montować zbiorczą antenę telewizyjną. Drukowałem w tym dniu razem z siostrą, kiedy do drzwi zaczął się ktoś dobijać; długo nie otwieraliśmy, bo to nie był nikt z naszych (każdy miał swój klucz) w końcu dobijanie było tak natarczywe, że postanowiliśmy otworzyć, była to właśnie ekipa od anteny. Powiedziałem, żeby przyszli za godzinę, bo jestem z dziewczyną, potraktowali to ze zrozumieniem. W ciągu tej godziny upchnęliśmy w szafach i tapczanach wszystko, co dało się upchnąć, papier przykryliśmy kocami. Po powrocie ekipy, kiedy spytaliśmy, dlaczego kładą tę antenę tak późno, a nie w momencie, kiedy budowano blok, odpowiedzieli nam, że mieszka tu, dwa piętra niżej generał milicji, właśnie Naręgowski. Miał jakieś

połączenie przez radiostację z Warszawą i zbiorcza antena zakłócałyby mu obiór. Było to gdzieś ok. 87/88 roku.

Zastanawialiśmy się potem czy oni to wiedzieli i nie reagowali, czy też byliśmy tak dobrymi konspiratorami, że nawet w jaskini Iwa mogliśmy umieścić drukarnię, a może ocenili, że nie jesteśmy tak groźni dla socjalizmu, nie wiem. Chciałbym spytać kiedyś jakiegoś esbeka, co nimi powodowało, że jednych łapali, a innych nie. Nie ma takiej konspiracji, której nie można by namierzyć, gdyby się wtedy nie lenili pewnie by mogliby sobie z nami bez trudu poradzić.

Wróć jeszcze na chwilę do sposobów zaopatrywania w materiały poligraficzne. Był czarny rynek, gdzie można było pewne rzeczy kupić, mieliśmy też inne kontakty, coś dostawaliśmy z Brukseli od Milewskiego. Z Funduszu Wydawnictw Niezależnych otrzymaliśmy też gilotynę walizkową. Kiedy byłem internowany w stanie wojennym, ktoś podał mój adres na Zachód. Pan Andre Caron, który mieszkał w Saint Genevieve des Bois pod Paryżem i był zaangażowany w pracę w Towarzystwie Św. Wincentego a Paulo, kiedy otrzymał mój adres, regularnie wysyłał mi różne „łakocie” (kawa, herbata) i artykuły spożywcze. Zorganizował pomoc dla dzieci chorych na cukrzycę dla Częstochowy i Lublina, przywoził dary do Kurii, przyjeżdżał do Polski kilkanaście razy od 1983 do 1991 roku. Raz nawet przywiózł mi 1 litr spirytusu 90-cio procentowego, ale, jak powiedział, nie do spożycia, bo to trucizna. W naiwności swojej pomyślałem, że to francuski odpowiednik denaturatu i część rozdałem, resztę używając do dezynfekcji itp. Dopiero po jakimś czasie zdałem sobie sprawę ze swej głupoty! Kto we Francji skaża spirytus...?! W jakim celu...?! Tego nikt tam nie pije, bo to dla nich rzeczywiście trucizna - 90 procent!!! A przecież wystarczyło tylko rozmaić... Albo nawet i nie... Ech!!!

W 1991 roku w uznaniu zasług, Andre otrzymał Honorowe Obywatelstwo m. Lublina. On również w transportach leków przewoził materiały poligraficzne. I raz spirytus... ale o tym już było.... Potrzebny był też nadmanganian potasu, który dobrze zmywał sito, zdobywałem go od pewnego chemika z UMCS, kolportowałem tam dużo bibuły, a każdy kontakt procentowałem zdobyciami: papierem czy chemikaliami. Papier zdobywaliśmy w różny sposób, jednym z „wejść” była Redakcja Wydawnictw KUL, gdzie redaktorem naczelnym był Norbert Wojciechowski, nigdy nie odmawiał papieru. Miałem torbę monterską, która mieściła 2 ryzy papieru, nie chodziło się z dużymi torbami ani plecakami, musiało być coś wyjątkowego, np. duży rzut papieru w księgarni lub w sklepie papierniczym. Paniom dawało się czekoladę, żeby pamiętały. Były sytuacje, kiedy przy kupnie papieru żądano dowodu osobistego lub nazwiska, ode mnie tylko raz zażądano nazwiska w sklepie w Radawcu, podałem fikcyjne. Kiedy mieszkałem na ul. Wajdeloty, a w pobliżu był sklep na ul. Grażyny, często jeździłem tam z wózkiem, miałem wtedy małe dzieci. Jak był papier to go kupowałem, a potem robiłem kursy ze sklepu do domu, a następnie przenosiłem po troszeczku do drukarni. W końcowym okresie działalności w pewnej księgarni kupiliśmy na raz tysiąc ryz, wtedy już nie było dużego ryzyka, wrzuciliśmy to nocą od razu do drukarni.

Wcześniej drukarnia była u Marka Gorlińskiego, o który mówiliśmy „Organista”, gdyż grał na organach w kościele. Gorliński miał chatę na wsi, gdzie drukował Wiesław Haley z Tomaszem Grudniem, dom został sprzedany, ale został jeszcze

nierozkolportowany nakład; przyszła ekipa z gminy, aby dom odebrać. Jeden z urzędników zobaczył stos przykryty kocem, uchylił koc i ... nic nie powiedział. Nocą Gorliński z Haleym przywieźli mi to na stację żukiem, cały nakład. Jacek Grzemski, który mieszkał w tym samym domu pomógł mi to przerzucić do kolegi na ul. Wrocławską, a potem plecakami, nocą (mróz był okropny) staraliśmy się to rozrzucić w jak najwięcej miejsc. Nic wtedy nie przepadło.

Jeśli idzie o przychody, to myśmy po prostu z tego żyli, był to nasz zawód, resztę inwestowaliśmy w rozwój firmy - w dobry aparat fotograficzny, zestaw powiększalników, mieliśmy fotografa, który dostawał książkę, fotografował, robił diapozytywy i mogliśmy drukować.

Żadne represje nas nie dotknęły, była to firma rodzinna, więc uniknęliśmy przecieków, do dziś nie wiem, czy nas łagodnie traktowali, czy nie mieli o nas pojęcia, choć książki były na rynku, przecież sporo wydawaliśmy.

Wydawnictwo Vademecum

Tuż po moim wyjściu z internowania w 1983 roku (listopad 1983 r.) przyszedł do mnie kolega Zenek z wiadomością, że pewna osoba chce wyłożyć pieniądze na działalność podziemną, ale na pewno nie da na „Spotkania”. Dlatego z Wieskiem, z którym razem siedziałem w Kwidzynie postanowiliśmy powołać Wydawnictwo Vademecum. Załatwiłem mieszkanie u kolegi, który miał domek w okolicach ul. Zemborzyckiej. Otrzymaliśmy 200 dolarów, wydaliśmy broszurę Bukowskiego „Pacyfiści kontra pokój”, antydatowaliśmy to na 1981 rok i żeby „nie było podejrzeń” na Lublin, jako miejsce druku podaliśmy Szczecin. Drugą książkę wydrukowaliśmy u wspomnianego Jerzego na ul. Nałęczowskiej, zanim wykopaliśmy dół. Ponieważ Wyd. Vademecum było w pewnym sensie powiązane ze „Spotkaniami”, a nam nie układała się współpraca z kierownictwem „Spotkań”, więc w kwietniu lub maju 1986 roku w czasie rozmowy mojej i Wiesława Ruchlickiego z Januszem Krupskim, postanowiliśmy, że zamykamy wydawnictwo Vademecum. Wtedy Ruchlicki związał się z Funduszem Inicjatyw Społecznych. O tym więcej powie Wiesiek lub Andrzej. Kiedy firma Respublica była rozkręcona postanowiliśmy ubiegać się w Funduszu Wydawnictw Niezależnych o pieniądze na nowe przedsięwzięcie. Było to już po śmierci Józefa Mackiewicza (zm. w styczniu 1985 r.), a ponieważ jego książki dla nas wiele znaczyły, założyliśmy nową, absolutnie utajnioną Oficynę im. Józefa Mackiewicza. Nawet w naszych kontaktach kolporterskich tego nie zdradzaliśmy, kto stoi za tą nazwą. W latach 1986-1989 Józef Mackiewicz był niesamowicie popularny, jest to jedno z najbardziej wydawanych w tym czasie nazwisk.

Wiązało się z tym wydarzenie anegdotyczne, gdyż zainteresował się tym dawniej dziennikarz reżimowy Surdykowski, w czasie, o którym mówię już wielką opozycja i kandydat do ŚAAM -u (Święty Aeropag Autorytetów Moralnych, krajowych i zagranicznych), który w piśmie A. Michnika „Krytyce” napisał, że jest zdziwiony i zaniepokojony tak częstym wydawaniem Mackiewicza, gdy o wiele lepsi czekają na publikację a Mackiewicz sieje nienawiść i inną nietolerancję podając przy tym poprzekęcane cytaty z Mackiewicza oraz wkładając w jego usta opinie, których Mackiewicz nigdy nie wypowiedział, (typowo bolszewickie zagranie). Odpowiedzieli mu w Kulturze Niezależnej Trznadel, Orłoś i Bolecki, ukryty pod jakimś pseudonimem. Bolecki napisał do „Kultury Niezależnej” artykuł „Nieładnie, nieładnie

panie Surdykowski”, znakomity z anaforycznym zwrotem „nieładnie, nieładnie panie Surdykowski”, i zakończony konkluzją „nieładnie, nieładnie panie Surdykowski, po prostu obrzydliwie”. Ja ten tytuł „kupilem”, wydaliśmy w nakładzie 2000 egz. książeczkę pt. „Nieładnie, nieładnie panie Surdykowski, po prostu obrzydliwie”. cytując artykuł Surdykowskiego i repliki z „KN”. W 1988 roku w jakiejś podziemnej gazecie Surdykowski się wypisuje, że jakaś oficyna Mackiewicza nieuczciwą polemikę przytacza bez opublikowania jego artykułu, a na dodatek finansuje to Fundusz Wydawnictw Niezależnych - po prostu kłamał. W 1989 roku zostało mi tego około 1500 egz. rozdawałem, komu tylko było można, rozsyłałem do bibliotek, żeby Surdykowskiego wprowadzić do literatury.

Dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej KUL, pan Andrzej Paluchowski, dał mi broszurę pod tytułem „Mówi Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa” napisaną przez Józefa Mackiewicza i to wydrukowaliśmy. Jeździłem do Warszawy do Funduszu Wydawnictw Niezależnych i miałem kontakt z Grzegorzem Bogutą, potem w Warszawie nastąpiła regionalizacja i ja spotykałem się z Wacławem Cholewińskim, który miał pomysł, żeby wydawać autorów krajowych, a nie zagranicznych.

Mieliśmy prawo korzystać ze środków z Zachodu przeznaczonych na wydawnictwa niezależne. Wykorzystaliśmy pieniądze właśnie na druk książeczki „Nieładnie, nieładnie panie Surdykowski...” i odnotowaliśmy, że ukazała się dzięki dofinansowaniu Funduszu Wydawnictw Niezależnych, wiedzieliśmy, że odtąd na książki wydawane przez Oficynę im. Józefa Mickiewicza ani grosza nie dostaniemy. „Spotkania”

Mój kontakt ze „Spotkaniami” rozpoczął się w 1977 roku, kiedy zdałem na studia. Studiowałem na bibliotekoznawstwie i informacji naukowej w UMCS. Większość mojej rodziny studiowała na KUL-u, więc miałem powiązania z KUL-em, po roku studiów na UMCS przeszedłem na KUL, na II rok historii. Na UMCS zetknąłem się z bibułą - była to „Opinia” wydawana przez ROPCziO, zajmowali się tym Jurek Adamczuk, Wojtek Górski, Romek Górski. Kiedy przeniósłem się na KUL zetknąłem się z Krzyśkiem Żurawskim, Wojtkiem Samolińskim i Jurkiem (?z Gdańska) związanymi ze „Spotkaniami”, brałem od nich bibułę do kolportowania. Ponieważ miałem znajomości na KUL-u, zapytałem znajomego czy może pomóc znaleźć pomieszczenia. Znajomy pozwolił nam drukować w swoim domku nad jeziorem. Pojechał tam Krzysiek Żurawski, Piotrek (Czarny Piotruś). Następny dom znalazł nam w Urzędowie.

Jeśli idzie o kwartalnik „Spotkania” to w Polsce nie ukazał się potrójny numer poświęcony Grudniowi 70, wydany w Paryżu nr 23-24-25. Było to za duże jak na druk w warunkach krajowych. Były to relacje uczestników i świadków, sczytywane z kasety i przekazane na Zachód. Było zasadą, że wydanie paryskie miało ukazywać się później w stosunku do wydania krajowego (zależało kierownictwu by było to wydanie wtórne do krajowego, przedruk). Czasopismo było wydawane na powielaczu białkowym, a potem termicznym, na którym drukował Jan Magierski. Tak też była wydrukowana encyklika „Redemptor Hominis” (Wykupiciel człowieka) po czesku, tak robiliśmy „eksport rewolucji”.

W Warszawie, w drukarni państwowej w 1981 roku wydrukowaliśmy w podziemiu książkę ks. Bonieckiego „Budowa kościołów w diecezji przemyskiej” relacje zebrane

przez ks. Bonieckiego, jak biskup Tokarczuk nielegalnie budował kościoły. Z KUL-u wyjechały 3 samochody: 1 KUL-owski, syrenką jechał Paweł Drwal i jeszcze jakiś jeden. Na Pradze w miejscu odludnym podjechał samochód, przerzuciliśmy paczki z wydrukami z tego samochodu do naszych samochodów, które ruszyły różnymi trasami do Lublina. Złożyliśmy to wszystko w Konwikcie Księży Studentów na KUL-u, składaliśmy to nocami razem, między innymi z Anią, z moją obecną żoną. Wieczorem przenosiliśmy paczki z wydrukami z Konwiktu do Sali duszpasterstwa akademickiego w pobliskim baraku.

Kiedy rano przychodziły pierwsze grupy modlitewne ok. 6.00 po intronizacji nie było już śladu. Tak to trwało przez kilka dni. Na koniec Waldek obcinał książki na gilotynie, a ja pakowałem w paczki. Nakład tej książki to było ok. 4900 egz.

Po moim wyjściu z internowania (13.12.1981-15.11.1982) kolega zaproponował współpracę z osobą władającą biegle 7 językami, która mogła sporządzić kronikę prześladowania kościoła katolickiego w krajach komunistycznych na podstawie obcojęzycznych czasopism. Adam Konderak, pracownik Biblioteki KUL, miał dostęp do prasy różnojęzycznej i ta osoba, zaproponowana przez kolegę, tłumaczyła te fragmenty z prasy do dyktafonu. Wyszło kilka numerów „Spotkań” (w latach 1984-1986) z tą kroniką, Wolna Europa była zachwycona pomysłem. Obok Nieregularnego Kwartalnika Niezależnego Pisma Młodzieży Katolickiej „Spotkania”, było Wydawnictwo „Spotkania”, które, jak pamiętam funkcjonowało do 1981 roku, do stanu wojennego. W Wydawnictwie „Spotkania” ukazały się: Rozważania o przyczynach wolności i ucisku społecznego; Bogdan Madej, Polska w orbicie Związku Sowieckiego.

Po stanie wojennym powstała „Biblioteka Spotkań”, wydrukowano w niej m. in. „Wspomnienia starobielskie” Czapskiego. Książki były wydawane też w Krakowie (Tischner, Etyka „Solidarności”).

Aneks 8

Janusz Krupski

„Spotkania”

Relacja z 10 stycznia 2003 r.

(zapis nieautoryzowany)

W 1976-77 roku woziliśmy na Zachód w konserwach różne dokumenty - „Komunikaty KOR-u” - konserwy otwieraliśmy, wyciągało się zawartość i upychało dokumenty. W tomie „Ruch oporu” wydanym przed Giedroycia w 1977 roku, złożonym z materiałów 1975-76 roku, większość została wysłana lub przewieziona z Lublina. Częściowo w okładkach książek, nacinaliśmy grube okładki i wkładaliśmy mikrofilmy, najlepszy w tym był Wit Wójtowicz. Szło to normalnie pocztą. Kiedyś, w czasie podróży Wit Wójtowicz był taki podenerwowany, zaczął szukać okularów, tłumaczyć coś nerwowo polskiej celniczce, bałem się, że nas wsypie.

Mieliśmy świetne wydarzenie w Dreźnie. Jechaliśmy z Witem, Piotrem Jeglińskim i Charzewskim do Galerii Drezdeńskiej (gdzie zrodziła się nazwa Nieocenzurowana Oficyna Wydawnicza). Kończył się druk pierwszego numeru „Zapisu”, postanowiliśmy wydawnictwo jakoś nazwać. Stoimy w Dreźnie na przystanku tramwajowym, a dwóch facetów nam się pilnie przygląda. Jak nas ktoś obserwuje, to już jesteśmy „gotowi”, ale gdzie uciekać? Postanowiliśmy wsiąść do pierwszego lepszego tramwaju, żeby się zorientować czy jesteśmy śledzeni. Ci dwaj panowie wsiedli za nami, pomyślałem, że to już koniec tej zabawy. W pewnym momencie podchodzi do mnie jeden z nich, podsuwa mi rękę i mówi „kalco chaczysz?” Szerokie złote obrączki - wyczuli Polaków i chcieli to sprzedać. Przez Drezno jeździł też Zenon Mazurczak, przejechało wówczas dużo książek i dużo sprzętu. Przekazywaliśmy to do NOW-ej, do KOR-u, zaopatrywaliśmy ten ruch w sprzęt. Pierwszy powielacz przywiózł Wit Wójtowicz.

Poznaliśmy się z Bogdanem Borusewiczem i Piotrem Jeglińskim na I roku studiów, w pierwszych dniach studiów szybko się zaprzyjaźniliśmy, a przyjaźń była na gruncie szczerego antykomunizmu. Różne rzeczy robiliśmy po drodze. W 1974 roku zaczęliśmy myśleć o tym, że działalność samokształceniowa czy w duszpasterstwie, to jest za mało. Piotr Jegliński fotografował wcześniej paryską „Kulturę” lubił fotografować i powstawały numery „Kultury” z odbitek fotograficznych. Nieświadomie nas zainspirował wykładami o polskim państwie podziemnym Władysław Bartoszewski, który zachwycał się podziemnym ruchem wydawniczym, a szczególnie zachwalał wolność słowa - żadnej cenzury i wszystko było dozwolone - bardzo nam się to spodobało. Wyszła wtedy książka „W tajnych drukarniach konspiracyjnej Warszawy”. Zaczęliśmy wokół tego krążyć. Mój ojciec był ślusarzem, miał warsztat i sprzęt. Na 3 Maja Bogdan wypatrył na I Armii WP, w budynku narożnym, biura ZSSP, powielacz. Ja miałem sprzęt, chcieliśmy w 1974 roku się tam włamać. Mieliśmy wszystko przygotowane, kupiliśmy linę, zrobiliśmy parę wycieczek do tego budynku, ale zrobiliśmy jeszcze jedną naradę i pomyśleliśmy, że gdybyśmy wpadli, to byłby to czyn kryminalny. Poza tym, że by nas zniszczyli, to i cała sprawa zostałaby zniszczona - odstąpiliśmy od tego. Przyjechali, poznani przez Piotra, jacyś studenci z Francji, których musiałem gościć. Uznaliśmy, że oni nas z zaproszą do Francji na wakacje, trafimy do „Kultury” lub do „Wolnej Europy” i stamtąd uda nam

się coś ściągnąć. Ponieważ w 1973 roku była debata o SZSP, w którą się nieźle zaangażowałem, to nie dostałem paszportu. Piotrek się nie odstaniał i on dostał. Bogdan Borusewicz miał wyrok za marzec 1968 roku, półtora roku przesiedział w więzieniu, więc też nie miał szans.

Uznaliśmy, że ktoś z nas pojedzie na Zachód, przez ośrodki emigracyjne zdobędzie sprzęt, ci, którzy zostaną, będą go uruchamiali. W 1974 roku, pod koniec wakacji Piotrek wyjechał, dotarł do Giedroycia, do Nowaka-Jeziorańskiego, którzy potępili go za ten pomysł, co jest zresztą udokumentowane. Uważali, że utworzenie tego typu działalności jest wyzwaniem rzuconym systemowi; młodych ludzi złapią, zniszczą, więc nie należy się narażać – obydwaj odmówili wsparcia. Piotrek odłożył na maleńki powielacz, kupił go i dał mi sygnał. Sposoby kontaktu były różne, nawet telefonicznie, wtedy rozmawialiśmy o rowerze jego wydajności. Kiedy ktoś jechał lub wracał z Zachodu, prosiło się, żeby przekazał książkę, która się właśnie ukazała. Myślę, że tę formę przesyłki spalił Bogdan, Wit preparował okładki doskonale, a Bogdan, kiedyś pokazał mi egzemplarz kapiący klejem, to kiedyś musiało wpaść. Kupowaliśmy książki z serii „Nike” lub inne ładnie wydane, żeby to dobrze wyglądało.

Kiedy otrzymaliśmy wiadomość o powielaczu, zastanawialiśmy się, jak go tutaj przywieźć. Ponieważ byliśmy wtedy zaangażowani ostro w ruchu studenckim, ja byłem przewodniczącym Komisji Porozumiewawczej Stowarzyszeń Akademickich, organizowaliśmy Kullage's, wtedy poznawaliśmy wielu różnych studentów, którzy niekoniecznie angażowali się politycznie. Wit był zaangażowany w teatrze Leszka Mądzika i powiedział, że wyruszają właśnie do Londynu ze spektaklem, autobusem - cała grupa, dekoracje. Piotrek pojechał do Londynu i przywiózł powielacz, Wit go rozkręcił na parę części i w różnych częściach autobusu umieścił z tymi dekoracjami. Przejechało bez problemu. W marcu 1976 roku mieliśmy pierwszy powielacz, nawet działacze z ROPCzi-a wydający „U progu” mieli powielacz dopiero w czerwcu. Zrobiliśmy na tym powielaczu, ja, Zdzisiek Bradel i jego narzeczona Bożena Balicka. Bożena pisała matryce do „Folwarku zwierzęcego”, matryce były pisane przez taśmę i druk był słabo czytelny, jednak parę egzemplarzy ukazało się w maju.

Potem zrobiliśmy akcję, dowiedzieliśmy się z Paryża od Piotrka, że na początku czerwca ma być Zjazd Młodzieży Demokratycznej Europy. Zmontowaliśmy akcję - sporządziliśmy ulotkę w języku angielskim o więźniach politycznych w Polsce - Morgiewicz, Czumowie - podpisaliśmy ulotkę Młodzieżowy Komitet do Spraw Przestrzegania Konferencji KBWE. We współpracy z późniejszym KOR-em zorganizowaliśmy kilka grup. Umówiliśmy się, że w ciągu minuty, podczas wyjścia zachodnich studentów z Sali Kongresowej nasze grupy podchodzą szybko, wręczają ulotkę i od razu się zmywają. Tak ulotki zostały wręczone. Było to w czasie sesji przedpołudniowej. Po przerwie obiadowej wyszedł student norweski, który zaczął czytać tę ulotkę. Polscy komuniści siedzieli trochę skwaszeni, ale Rosjanie czy DDR-owcy byli wściekli, zarzucono Norwegowi, że przekracza czas, bo każdy miał 3 minuty na wystąpienie, wtedy podszedł student niemiecki i oddał mu swój czas. Szwedzi mieli ze sobą powielacz i powielili to. Efekt tego był taki, że nie doszło do ustalenia komunikatu końcowego, całe zgromadzenie poszło w rozsypkę. Później wykorzystaliśmy powielacz do druku kilku ulotek o sytuacji w Polsce. Później powstał KOR, ja zająłem się uruchamianiem trasy do Drezna i do KOR-u nie wchodziłem, wszedł Bogdan. W sprawach KOR kontaktowałem się z Antonim Macierewiczem,

który dawał nam komunikaty i biuletyny, bo tamci od Kuronia nie chcieli. Później w zimie przyjechał drugi powielacz.

Powiedziałem Piotrowi, że u mnie w domu jest obstawa na okrągło, u mnie nic nie ma prawa się dziać. Wracam kiedyś do domu (mieszkałem u rodziców na Gospodarczej 30) a tu stoi pudło z dużym powielaczem – Wit ochrzcił go Zuzia. Nie miałem gdzie go wstawić, Krzysiek Żurawski i jego siostra Anka (później żona Wojciech Samolińskiego) mieli mały powielacz na stacji, ale gospodyni, kiedy poczuła te zapachy, wyrzuciła ich. To nie była Warszawa, gdzie Kuroń i Michnik mieli olbrzymie mieszkania. Musiałem go przejściowo zabrać do domu. Później ulokowaliśmy go gdzieś w domku jednorodzinny wynajmowanym przez studentów, w jednym pokoiku ulokował się powielacz, a w innym uprawiali konopie, co mogło ściągnąć na głowę milicję.

Zastałem ten duży „prezent” – przywieziony przez jakiegoś człowieka, mającego samochód, za pieniądze. Żeby go ewakuować z domu wymyśliłem dwu - czy trzydniowy wyjazd poza Lublin, żeby odciągnąć od domu zainteresowanie SB-eków. Został przez kolegów zabrany do bloków gdzieś na Czechowie, później już ewidentnie spalony powielacz, ze spalonego mieszkania, ewakuował Janusz Wronikowski.

Wydaliśmy pierwszy numer, 400 egz. „Zapisu”. Kiedy go drukowaliśmy niektórzy zarzucali, że drukujemy pornografię, bo był tam tekst Jacka Bocheńskiego o Neronie, łamali się potem przy drukowaniu tekstów o Żydach. Wywieźliśmy cały nakład do Warszawy. KOR-owcy siedzieli wtedy w więzieniu, była głódówka w Kościele św. Marcina. Kiedy wypuścili KOR-owców, chyba na 22 Lipca, spotkałem się z Antkiem Macierewiczem, który zawiadomił mnie, że będzie się teraz zajmował w KOR-ze innymi sprawami, a ja miałem kontakt z Mirkiem Chojeckim. Chojecki wpadł na pomysł, żeby też coś robić we współpracy z nami. Tworzyliśmy już wówczas środowisko lubelskie, byłem otwarty na nowe pomysły.

Doposażyliśmy ich sprzętem, choć czytałem relację, że chodzili na złom i wyciągali stamtąd powielacze. Umówiliśmy się, że jest to wspólne przedsięwzięcie lubelsko-warszawskie, nie ma jakiejś wyraźnej ideologii. Chojecki zauważył, że oficyna nie może być cenzurowana, cenzuruje się publikację i zaproponował zmianę nazwy na Niezależną Oficynę Wydawniczą, na co przystaliśmy i zaprojektował znaczek. Pierwszy numer był pakowany w teczki, bo nie mieliśmy zszywaczy, miał znaczek, taki ogarek, który narysował Wit. Do drugiego numeru „Zapisu” Chojecki zrobił okładkę metodą fotograficzną. Oprawiliśmy to, było to wspólne dzieło, my zrobiliśmy środek, a on okładki. „Zapis” nam się nie bardzo podobał. Dyskutowaliśmy z Adamem Stanowskim, że właściwie nasze środowisko stać na wydawanie własnego pisma. Środowiska KIK-u, Znaku ciągle się z cenzurą użerały i Stanowski mówił, że oni myślą, żeby zrobić niezależne pismo. My to zrobiliśmy, kiedy szedł drugi numer „Zapisu” to już robiliśmy „Spotkania”. Powiedziałem Mirkowi Chojeckiemu, że mamy już swoje pismo środowiskowe, katolickie. Miał zastrzeżenia, że to pismo ideowe, a my umawialiśmy się, że oficyna będzie otwarta i uzgodniliśmy, że nie będziemy dawać znaczka NOW-ej. W listopadzie, datowany październik, wydaliśmy pierwszy numer „Spotkań”, a robiliśmy już trzeci numer „Zapisu”. Równocześnie Mirek wydał „Myśli o działaniu” Kuronia, która była rzeczą bezideową, czysta literatura.

W 1977 roku bezpieka na nas ostro wsiadła i myślę, że postanowili to środowisko zniszczyć, za dużo się działo w małym środowisku, gnębili nas, była rewizja u Szaciłowskiego. Powielacz wstawiliśmy do akademika na Sławińskiego, gdyby to wpadło to rektor pewnie by mnie na kawałki pokroił. Trzeci numer „Zapisu” był wymęczony. Koledzy już kończą druk, a tu dostają ten numer zrobiony w Warszawie na offsecie, bez naszej wiedzy. Zostawiliśmy im tę NOW-ą, zajęliśmy się „Spotkaniami”.

Po wydaniu pierwszego czy drugiego numeru poznaliśmy Bogdana Madeja, który był byłym partyjnym literatem, krążył wokół nas, bardzo go to interesowało. Ustaliliśmy, że będzie nam pisał takie teksty - co prawda do Kościoła się wtedy nie przyznawał, poszukiwał, ale, że ten Kościół ma coś wspólnego humanistami, więc miały powstawać takie teksty w duchu humanistycznym, na przykład fragment Ewangelii i coś z literatury, ale nie podpisał nazwiskiem, bo do pisma katolickiego nie będzie nazwiskiem podpisywał. Męczył się na dziełem życia, miał to być artykuł o Związku Radzieckim, ale potem ten artykuł mu się rozrastał. W dużej mierze na podstawie jakiegoś angielskiego sowietologa napisał pracę, której cechą było to, że była mocno antyradziecka. Powstało tego dwieście kilkadziesiąt stron, do „Spotkań” tego nie można było włożyć i tak powstał pierwszy numer Biblioteki Spotkań „Polska w orbicie Związku Radzieckiego” (koniec 1977, początek 1978 roku), był bardzo z tej książki zadowolony. Przez tę książkę, później skończyły się stosunki z Bogdanem Madejem.

Doszło do awantury, bo Bogdan chciał, żeby tę książkę wydać mu na Zachodzie. Ja tę książkę zawiozłem do Warszawy, on też się tam kontaktował, głównie z Woroszylskim, wprowadziliśmy go do PEN Clubu przez Bartoszewskiego. Kuroń i Michnik ciągle mówili, że jeszcze tej książki nie przeczytali, oni się po prostu od tej książki wyślizgnęli, to zaczęło Bogdana denerwować, na Zachodzie była to rzecz wtórna, co innego jak się taka książka ukaże w drugim obiegu w kraju. Bogdan się wściekł i postanowił tę swoją frustrację przelać na papier, zapowiadał mi, że nam jeszcze pokaże. Kiedyś na spotkaniu u Wronikowskich, gdzieś w końcu 1978 roku, wyciągnął taki tekst i zaczyna czytać, że związał się, miał nadzieję, a to jest środowisko klerykalne, które udaje, że prowadzi dialog, ale to rzeczywiście pod wpływami kruchty, antysemitki, a udaje, że się z Żydami przyjaźni. Kiedy przeczytał, uznałem potraktowanie nas w ten sposób za koniec znajomości i nie podjąłem dyskusji nad tym tekstem. Do jego śmierci nie kontaktowałem się z nim. Myślę, że podpuszczali go trochę w Warszawie, ale gdy my z nim zerwaliśmy, to i w Warszawie przestano się z nim kolegować. Wszyscy wiedzieli, co się stało, rozmawiałem o tym z Giedroyciem, ale on miał o tego stosunek pragmatyczny, uznała, że jest to jego autor i nie chciał w te sprawy wchodzić. Jako drugą rzecz w Bibliotece Spotkań, zrobiliśmy we współpracy z bpem Tokarczukiem - zresztą Tokarczuk dał nam swój tekst „Perspektywy rozwoju Kościoła w Polsce” do piątego numeru „Spotkań” - pracę ks. Bonieckiego „Budowa kościołów w Diecezji Przemyskiej” i później poszła seria książek Biblioteki Spotkań. Właściwie na początku nie myśleliśmy działalności książkowej, a to wyrosło z tego artykułu, który tak „puchł” Madejowi. Mieszkaliśmy niedaleko od siebie, lubiłem tam chodzić na dyskusje, bo on lubił dyskutować, pił kawę, herbatę, palił papierosy i dyskutowaliśmy bez końca. Ciekawe, co bezpieka o tym myślała, taki konflikt, a to było „na widelcu”.

Robiliśmy już pismo, a nie było nazwy. Wiedzieliśmy, że to ma być pismo katolickie, ale takie pismo dialogowe i jak to nazwać. Zrobiliśmy naradę z udziałem Bradela i Krzyśka Paczuskiego, u mnie w mieszkaniu, ja miałem taki błysk - „Spotkania”, oni zaczęli dyskutować, ale zostaliśmy przy nazwie „Spotkania”, ona najlepiej oddawała ideę. Spotkania - to jest coś takiego niedokończzonego, to charakteryzowało naszą grupę. Ci w Warszawie od razu wszystko wiedzieli najlepiej innych pouczali, mieli swoje ideologie, a to Dmowskiego, a to Piłsudskiego, a my pochodziliśmy ze środowiska mniejszościowo inteligenckiego, my się uczyliśmy, chcieliśmy się spotykać i poszukiwać. Nazwa „Spotkania” trochę oddawała tę ideę, że my się z czymś spotykamy sami i wokół tego budowaliśmy. Ta nazwa powstała w 1977 roku w październiku. Dodaliśmy podtytuł Niezależne Pismo Młodych Katolików tu był pewien problem. Wielkim problemem na KUL-u było to, że z jednej strony było się, jak u Pana Boga za piecem, bo bezpieka samego KUL-u wtedy nie szarpała, przecież u Janusza Bazydły w redakcji Encyklopedii Katolickiej całe nasze archiwum się mieściło. Pewien numer „Spotkań” był wydrukowany w konwikcie księży studentów, schowany został w podziemiach uniwersytetu w Kole Polonistów, to było zrobione na powielaczu, cuchnęło denaturatem i bezpieka już się wokół tego kręciła. Ubecy przyszli do rektora, awanturowałem się z Krąpcem strasznie.

Profesor Zgorzelski, który był wtedy dziekanem Wydziału Humanistycznego, wysłał nam czujki, że trzeba się liczyć, że będzie bezpieka. Szybko, chyba na ich oczach, to wynieśliśmy. Do Koła Polonistów wkroczył Norbert Wojciechowski z SB-ekami i stwierdzili, że tam nic nie ma. Z Konwiktem była taka historia, że kiedyś wychodziłem i zauważyłem, że ktoś mnie fotografuje z Konwiktu. Od razu wskoczyłem na górę, namierzyłem pokój, był zamknięty i od razu poszedłem do przełożonego Konwiktu. Później była taka historia, to był rok 1979 albo 1980 - miałem kolegę Andrzeja Nastulę, który miał żonę Anię. Była w ciąży, studiowała na Polonistyce i miała sesję egzaminacyjną letnią i gospodarze wyrzucili ich ze stacji, a z mieszkaniem było ciężko. Miałem kontakty z administracją KUL-owską, Ania Truskolaska wymyśliła, że jest sesja i pokoje gościnne w Konwikcie są wolne, a ona to załatwi. Dowiedział się o tym Krąpiec i mówi - tam zaraz Krupski wstawi powielacz, ja się o tym dowiedziałem, coś tam powiedziałem, a doszło to do Krąpca. On Anię Truskolaską wywalił, wcześniej była kierowniczką jakiegoś referatu administracyjnego, ale nie bezlitośnie, Paluchowski przygarnął ją do Biblioteki Uniwersyteckiej. Później wszedłem w konflikt z częścią środowiska KUL-owskiego. Kiedy powiedziałem siostrze zakonnej, że demoralizuje młodzież, to już była totalna wojna z częścią środowiska, już byłem masonem. Założenia ideowe i programowe - ładny tekst napisał Jan Stepek o „Spotkaniach” w piśmie „Strych”. Wojciech Chudy, u którego składaliśmy parę numerów po stanie wojennym, napisał duży tekst.

Finansowanie wyglądało w ten sposób, ponieważ nie było skąd brać pieniędzy, „rozbiłem” moją książeczkę mieszkaniową, po prostu wybierałem po kawałku. Piotrek kupił ze swoich pieniędzy powielacz, a na papier musiałem wyłożyć pierwsze pieniądze, bo nie było. Później, kiedy zrobiliśmy pierwszy numer „Zapisu” przekazaliśmy go KOR-owi, oni rozdawali, sprzedawali - nie dostaliśmy za to ani grosza. Natomiast jeden z powielaczy farbowych, który ściągnęliśmy, przekazałem Antoniemu Macierewiczowi i on mi za to wręczył 600 dolarów. 500 dolarów odesłałem Piotrkowi, a 100 dolarów zostawiłem na papier. Przez to „rozbiecie”

książeczki nie miałem później mieszkania, dopiero, kiedy miałem szóste dziecko miałem własne mieszkanie.

Pierwsze wsparcie dostaliśmy od O. Ludwika Wiśniewskiego, dał je ze swoich przychodów. Kiedy robiliśmy druki KOR-owskie dostaliśmy, jakieś pieniądze. Oni potem napisali, o co miałem pretensje, że jest to wspomaganie „Spotkań”. Później pieniądze dał ks. bp Antoni Tokarczuk, to była znaczna kwota. Później właściwie dostawaliśmy pieniądze z Paryża, przez Piotrka. Kiedy ukazał się numer „Spotkań” w Paryżu, w formie książkowej, finansowanie szło w dużej mierze z Paryża. Piotrek zbierał, rywalizując z KOR-em, kilka razy dał nam pieniądze Stefan Kisielewski, Giedroyc wspomagał Piotrka. Piotrek był przedstawicielem „Spotkań” na Zachodzie. Kiedy spotykałem się w Paryżu ze Stefan Kisielewskim, on wychodził gdzieś do drugiego pokoju, wracał i mówił - no to masz! Jakieś 100, 200 dolarów. Czy CIA płaciło to nie wiem, oni wykupywali nakłady, które szły później do bibliotek czy do rozdawnictwa. Pieniądze, które uruchomiły NOW-ą, powstały z prywatnych, KUL-owskich pieniędzy studenckich.

Z nikim nie rozmawialiśmy, kilka omówionych osób coś robiło i dopiero komuś się dawało do ręki gotowy druk. W naszym środowisku, z ludzi niezwiązanych z naszą działalnością, wiedział coś Adam Stanowski, O. Ludwik Wiśniewski, Szpakowski, Andrzej Paluchowski - oni nie mieli pieniędzy. Po okresie pionierskim, byliśmy utrzymywani za pośrednictwem Piotrka. Kilka osób, między innymi ja, mieliśmy coś w rodzaju stypendium - 30 dolarów miesięcznie. Mieliśmy dzięki temu swobodę. Bogdan Madej dostał ode mnie 100 dolarów. Przyjechali do mnie dziennikarze z BBC i zaprosiłem też Bogdana Madeja na rozmowę-wywiad, zostawili mi 100 dolarów. To było po napisaniu książki przez Madeja i dałem mu te 100 dolarów, to były wtedy potężne pieniądze.

Kiedy jeździłem do Warszawy do KOR-owców, do ich wielkich mieszkań, to porównywałem robienie czegoś w Warszawie - salon Walendowskich, mieszkanie Kuronia, Michnika, i ludzi z naszego środowiska - Wronikowcy mieli maleńkie mieszkanie, Bazydło przez wiele lat w akademiku KUL-owskim na Sławińskiego, ja u rodziców. Ja byłem jedynym Lublinianinem z maleńkim pokojem i tu opozycja powstawała w takich warunkach.

Aneks 9

Arkadiusz Kutkowski
Wydawnictwo Aut 82 vel XXX
Relacja z 14 marca 2003 r.
(zapis autoryzowany)

Wszystko zaczęło się w grudniu 1981 roku, po strajkach. Byłem w Komitecie Strajkowym. Nie był to jakiś wybitny strajk, bardzo szybko nas rozgoniono. Z akademików przeszliśmy do zakładów, które szybko spacyfikowano. Po wprowadzeniu stanu wojennego mieliśmy sygnały, że jesteśmy „namierzeni”, ukrywaliśmy się.

Nikt nie mógł się pogodzić z tym, co się stało. Ja osobiście miałem dodatkowo rozterki, czy Komitet Strajkowy UMCS nie zachował się „zbyt miękko” podczas strajku: sam głosowałem za rozwiązaniem go po otrzymaniu wiadomości, że może nastąpić pacyfikacja przez ZOMO. Potem jako członkowie Komitetu wyszliśmy z LZNS przed atakiem milicji, bo przyszła wiadomość, iż SB na nas poluje. Część strajkujących studentów miała chyba o to pretensje. Coś więc trzeba było robić. Nie przyszło nam do głowy, żeby strzelać do milicjantów, a organizować następne strajki czy demonstracje było za wcześnie. Spontanicznie zrodził się pomysł, że wydajemy biuletyn. Skrzyknęliśmy się we czterech: ja, Wiesiek Ruchlicki, Emil Warda i Krzysiek Hariasz, znałem ich z Teatru Provisorium. Postanowiliśmy wydawać biuletyn regionalny. Nie przyszło nam do głowy, by pytać kogokolwiek o zgodę i o to, czy wolno posługiwać się szyldem Zarządu Regionu Środkowo-Wschodniego.

Pierwszy numer „Informatora „Solidarności” Regionu Środkowo-Wschodniego” był wydany domowym sposobem, sporządziliśmy matrycę, Emil Warda, który miał duży talent techniczny, skombinował wałek i ramkę, do której przyczepił matrycę białkową. Nie pamiętam, jaka była zawartość tego numeru, pewnie jakiś apel i informacje z obozu internowanych. Powieliliśmy go w nakładzie 1000 egz., jakość była kiepska, nie wszystko dało się czytać, ale coś powstało. Pierwszy numer, o ile pamiętam, był jeszcze przed nowym rokiem, albo tuż po Nowym Roku. Później, chyba Emil Warda i Wiesiek Ruchlicki, wykombinowali powielacz, który później znalazł się u Tomka Grudnia, jestem prawie pewien, że był to NZS-owski powielacz, ukryty po strajku. Mając ten powielacz, zapas matryc białkowych i niewielki zapas papieru mogliśmy coś robić. Organizacji, jako takiej, nie było, wszyscy zajmowali się wszystkim. Chodzili po znajomych, dowiadywali się, co się dzieje. Mieliśmy kontakt z jakimiś ludźmi, którzy z kolei mieli kontakt z internowanymi. Pierwsze informacje, z tego, co pamiętam, to były informacje z obozu dla internowanych. Jak im tam jest, jakie są warunki. Podejrzewam, że było w tym dużo przesady, ale takie były czasy. Później udało mi się zorganizować kontakt z zakładami lubelskimi – z FSC i ze Świdnikiem, także z kolejarzami. Odbywało się to na tej zasadzie, że oni dawali nam papier i informacje, a w zamian dostawali pakiety bibuły. Ja prowadziłem kolportaż dla zakładów przemysłowych i dla kolejarzy, a także dla środowiska uczelnianego.

Jeżeli chodzi o druk, robiliśmy wszystko razem, ale osobą, która miała tutaj najwięcej do powiedzenia był Emil Warda. Emil miał talent techniczny, lubił, kiedy mu się ten powielacz kręcił, zresztą był to bardzo przyjemny widok.

Udało nam się zrobić dziesięć numerów. Nikt nie protestował, nikt nie pytał skąd się wzięliśmy. Wszyscy sądzili pewnie, że jest to tajna struktura Zarządu Regionu, która wydaje „Informator”. Nikomu nie przyszło do głowy, że to czterech studentów i pewnie bezpieka była też nieźle zdezorientowana. Pod koniec wpadliśmy na pomysł, żeby wydawać biuletyn NZS-u. Stroną redakcyjną zajął się Krzysiek Hariasz, oprócz informacji było tam coś w rodzaju małej publicystyki.

Pamiętam, że pod koniec stycznia 1982 roku zaczęło być gorąco. Mieszkałem z Andrzejem Mathiaszem na ul. Górnej. Pewnego dnia wpadła tam bezpieka i zabrali go. Umówiliśmy się, że jeżeli coś takiego się stanie, to jego dziewczyna zdejmie kwiatek z okna, jak w Klossie. Wcześniej nie zwracałem na to uwagi, czułem się bezpiecznie, ale tego dnia, kiedy szedłem, zobaczyłem, że nie ma kwiatka, nie poszedłem tam i okazuje się, że dobrze, bo akurat nastąpiła wpadka.

Postanowiliśmy wtedy przenieść się na stację, na Węglin. Na drugi dzień po wydrukowaniu biuletynu, a był to fajny biuletyn, bo miał cztery strony, dobrze wydrukowany, udało się go w większości rozkolportować. Główna robota była wykonana, następny dopiero za tydzień, więc mieliśmy trochę czasu i zrobiliśmy sobie małe przyjęcie i skończyło się, jak się skończyło. Wylądowaliśmy w ośrodku dla internowanych. Idąc za radą życzliwego pana pułkownika z prokuratury wojskowej, zresztą byliśmy wcześniej umówieni, że odmówimy składania wyjaśnień, były samouczki, jak postępować z bezpieką, byłem studentem prawa, więc to wiedziałem. Nie było potrzeby się z nimi kłócić. Postępowanie w trybie doraźnym zostało umorzone, nie pamiętam już, z jakiego powodu. Myślę, że zasadniczym powodem było to, że nie mieli poważniejszych „kwitów” na nas. Zarzut niestety dostał Krzysiek Hariasz, a to, dlatego, że maszyna, na której były wykonywane matryce należała do niego. Zbadali kształt czcionki w maszynie i porównali z drukiem. Krzysiek dostał 1 rok do odsiadki. Na początku zabrali nas do Włodawy, a potem zostaliśmy przewiezieni do Lublina na ul. Południową i stamtąd Krzyśka zabrali na proces karny. Natomiast my we trzech z Emilem Wardą i Wieśkiem Ruchlickim byliśmy internowani i trwało to, chyba do połowy listopada. Odsiadkę kończyliśmy w Kwidzynie. Wtedy generał Jaruzelski wypuszczał studentów, więc i nas wypuścił.

Spokój był chyba trzy czy cztery miesiące. Potem wróciłem na uczelnię, bo studiowałem drugi kierunek, filozofię i socjologię na UMCS-ie, ale studenci się buntowali i człowiek, siłą rzeczy, się w ten bunt włączył.

Co robić? Jakąś tam wszechnicę? Moja obecna żona Joanna, mieszkała z koleżankami w akademiku, ja waletowałem w tym akademiku. Na początku 1983 roku, w styczniu lub lutym, powstał pomysł, żeby zacząć wydawać książki. Osobą, dzięki której możliwe było zorganizowanie tego, był Dariusz Dybciak. Był podobnie, jak ja, studentem prawa, a jego ojciec był naczelnikiem gminy w Łukowie. Darek był w posiadaniu powielacza, nigdy nie dowiadywałem się, skąd go miał. Był to duński powielacz, który sprawiał wiele kłopotów. Start był niefortunny, postanowiliśmy wydrukować jeden z fragmentów „Dziennika pisanego nocą” G. Herlinga-Grudzińskiego, przygotowaliśmy matryce, natomiast okładkę miał zrobić ktoś inny. Przygotowaliśmy broszurki, patrzymy na okładkę, a tam jest tytuł „Pamiętnik pisany nocą”. Cóż zostało wydrukowane, więc trzeba tak rozkolportować, szkoda wysiłku i papieru. Nie pamiętam, jakim wydawnictwem było to sygnowane. Nie było naszym zamierzeniem stworzyć wydawnictwo. Nawet chodziło mi po głowie,

że nie warto zakładać wydawnictwa, bo ułatwia się zadanie bezpiec. Ważne, żeby ukazywały się książki.

Później była przymiarka do dużo ambitniejszego zadania. Postanowiliśmy wydrukować Krystyny Kersten „Historię polityczną Polski”, która liczyła ponad 200 stron. Postanowiliśmy rozrobić na powielaczu białkowym, napisaliśmy matryce. Pamiętam, że na tyle się przyłożyliśmy, że marginesy były nie tylko z lewej, ale i z prawej strony. Robiliśmy to na maszynie z długim wałkiem, przeliczało się ilość znaków w wersie i tak przepisywało matryce, żeby marginesy były z obu stron. Dziewczyny się postarały się i przygotowały matryce bardzo starannie. Książka drukowana była w kilku miejscach. Powielacz zaczął bardzo szybko szwankować, stalowa taśma, łącząca wały, zepsuła się nam bardzo szybko. Próbowaliśmy zastąpić ją zwykłą blachą, ale ta, po kilku obrotach pękała. Próbowaliśmy zastosować blachę z innego powielacza, ale nie pasowała. Prosimy o pomoc, poprzez działaczy „Solidarności” w dużych zakładach przemysłowych, kombinowali nam różne warianty, z różnej blachy i nic. Zakładało się matrycę białkową, wylatywało kilka kartek i w tym momencie taśma strzelała i matryca psuła się, trzeba było ją od nowa przepisywać. Znalazłem w końcu wyjście, w starym zegarze trafiłem na sprężynę z bardzo grubej, hartowanej blachy. Zdemolowałem swój zegar, dałem do FSC, tam chłopcy nawiercili otwory i wreszcie zaczęło to działać. Kerstenową drukowaliśmy w czterech lub pięciu miejscach. Gdzieś na północy Lublina, za Czechowem u jakiejś dziewczyny. W Abramowicach, u studentów prawa, których rodzice byli prokuratorami. W końcu wylądowała w miejscowości Brody Małe, pod Szczeczeszynom. Chłopak, pochodzący z Dolnego Śląska, odziedziczył po dziadkach gospodarstwo. Przenosiliśmy z miejsca na miejsce powielacz, papier, tekturę, było to ogromnie kłopotliwe. Używałem do tego celu swojego „małego fiata”, był to chyba najbardziej zasłużony „mały fiat” w historii lubelskiej „Solidarności”, pamiętam numer rejestracyjny RAA 7815.

Trzeba było kupować papier, nie było z nim większego problemu. Razem z obecną żoną Joanną jeździliśmy po Lublinie i wykupywaliśmy papier, gdzie się da. Pod koniec jeździliśmy do Kraśnika, Puław, Lubartowa. Co prawda panie w sklepach chciały jakieś pozwolenie, ale, jak się poprosiło, to i tak dawały, podobnie było z benzyną. Problem był z wwiezieniem do Lublina, bo milicja stała, wybierało się boczne drogi. Szczęśliwie, ani razu nie udało się im nas złapać. W końcu cały „majdan” z Kerstenową wywieźliśmy pod Szczeczeszyn i udało się sfinalizować druk tej książki. Dwa tygodnie później zapukała do tego chłopaka milicja, ale okazało się, że to historia kryminalna, poszukiwali producentów bimbru w tej okolicy. Przypomina sobie, że ten chłopak miał na imię Robert. Był na tyle sprytny, że nie od razu im otworzył, tylnym wyjściem wyniósł powielacz i ukrył go.

Potem wszystko z powrotem przewieźliśmy do Lublina, do chłopaków z rodziny prokuratorskiej i tam odbywała się cała obróbka, czyli składanie, zszywanie. Udało się nam wykombinować bardzo dobry zszywacz z długimi, tapicerskim zszywkami. W tamtej robocie najważniejsze były takie szczegóły techniczne. Na okładkę wykombinowaliśmy szablon z kawałka tektury, mój brat cioteczny zaprojektował okładkę do tej książki i przy pomocy szablonu robiło się okładki, było to bardzo pracochłonne. Wydaliśmy tego ponad 1000 egz. (może 1500 egz.). Osobami, które pomagały przy pracy była moja obecna żona Joanna Borys, Łucja Kwiatkowska

(zmarła żona Tomka Grudnia), Anna Rzepniewska, Majka Żytniak i przez pewien czas Białorusinka, Elka Maksymiuk. Trochę się też udzielała Basia Sidor, wnuczka słynnego partyzanta AL-owskiego spod Parczewa, także Aśka Marczevska i jej mąż, bodaj Piotr (obecnie mieszkają prawdopodobnie w Lubartowie). Zaczęliśmy robotę w marcu czy kwietniu, a skończyliśmy w lecie. Z kolportażem nie było żadnego problemu. Wśród studentów była dobrze zorganizowana siatka kolporterska. Złapałem kontakt ze środowiskiem wrocławskiego AWF-u, wydawali czasopismo „Obecność”, na dużo wyższym poziomie edytorskim, robili druk offsetowy. 200 czy 300 egz. tej Kersten zawiozłem do Wrocławia osobiście.

Następną książką był zbiór esejów historycznych dotyczących 1956 roku, nazywało się to „Polska rok 1956”. Tutaj już poszliśmy po rozum do głowy, nie robiliśmy tego w Lublinie, tylko wywieźliśmy cały „majdan” do mego dziadka w Zwoleniu. Dziadek miał kamienicę w Zwoleniu przy Placu Kochanowskiego 26, troszkę się bał, ale w końcu udało się go przekonać. Wygospodarowaliśmy sobie pokój, przywieźliśmy powielacz, cały papier, okładki. Darek Dybciak w Zwoleniu został i od początku do końca to wydrukował. Ja wpadałem od czasu do czasu z Lublina, żeby zapytać czy czegoś mu nie trzeba. Poszło bardzo sprawnie, całość znów wróciła do Lublina i została zebrana i zszyta. Kolportaż robili studenci Wydziału Humanistycznego UMCS, Przemek i Leszek, nazwisk niestety nie pamiętam. Z ludźmi z KUL kontaktów prawie nie było. Raz, że tworzyli zupełnie inne środowisko, pełne bardzo nadętej frazeologii politycznej, co mnie bardzo drażniło, a po drugie, KUL-owców uważaliśmy trochę za nieudaczników. KUL, który uchodził za opozycyjną uczelnię, a nie potrafił zorganizować samodzielnego strajku.

Później pamiętam przypadek takiego chłopaka - nazywał się bodaj Cichocki - który był dla symboliczny. Chłopak ów jeszcze w styczniu 1982 r. próbował zorganizować konspirację. Rozmawiał nawet ze mną na ten temat. Pokazywał rozrysowany schemat organizacyjny, oczywiście „trójkowy”, wzorowany na AK czy WiN. Tylko wpisać nazwiska i organizacja gotowa. Pewnego dnia bezpieka go wygarnęła, schemat znalazła, i był dowód działalności antypaństwowej. Chłopak miał jeden z pierwszych procesów w stanie wojennym i to w trybie doraźnym. Spotkałem go w obozie internowanych, sam się pukał w głowę nad własną głupotą. Mieliśmy kompleks ludzi z KUL-u, oni naczytali się książek o Armii Krajowej i robią konspirację dla konspiracji. My woleliśmy konkretną robotę. Dziś nie wiem, czy są to sprawiedliwe sądy, ale wtedy tak myślałem. Trzeba dodać, że robiliśmy to wszystko na zasadach towarzyskich, bywało bardzo przyjemnie, udawało się jakieś piwko załatwić, imprezy. Z jednej strony konspira, z drugiej życie towarzyskie, każdy etap trzeba było uczcić. Nie wiązało się to z jakimiś wielkimi zasadami konspiracji. Wydrukowaliśmy, no to pomażemy po murach przeciwko Jaruzelskiemu. Robiło się szybko szablony, ot wpadło coś do głowy.

Kiedy ta pierwsza książka tak dała nam w kość, włączyłem się w wydawanie „Biuletynu Informacyjnego Kolejarzy”. Poznaliśmy Kazika Iwaszkę, przywódcę strajku z 1980 roku, jego brat był znanym działaczem studenckim i przez niego się znaleźliśmy, ale także z internowania. Kazik przyszedł do mnie pewnego dnia, żebym pomógł im wydać biuletyn. Ja im to zredagowałem, przepisałem na matrycę i Darek Dybciak im to wydrukował. Później zamiast Iwaszki kontaktował się z nami Zdzisiek Koguciak i on to ciągnął do 1990 roku. Bardzo solidny i uczciwy chłopak. Spotykaliśmy się

początkowo w barze niedaleko dworca PKP, potem u mnie w mieszkaniu. On mi dostarczał informacje, a ja to wszystko redagowałem, przepisywałem na maszynie i załatwiałem druk. Dawałem to do Darka Dybciaka, a później do drugiego kolegi, który wszedł w ten interes – Wiesław Haley. Odbierałem wydrukowany biuletyn i oddawałem Zdziśkowi. Redakcja do końca się nie ujawniła. Ostatni numer wyszedł w 1990 roku. W tej chwili, kiedy patrzę na to, jako dziennikarz, włosy mi stają na głowie. Miejscami szły tam informacje strasznie drażliwe. Zdzicho przynosił takie rzeczy: np. działacz PRON-u się wychylił albo coś ukradł. Albo kręcił własne lody. Ja go opisywałem tak, że facet powinien się powiesić. Ale z drugiej strony czy można było inaczej? Mieliśmy pójść i zapytać: panie związkowcu, czy zarzuty pod pana adresem są prawdziwe? Przecież od razu byłby telefon na bezpieczeństwo. „Biuletyn” był rozchwytywany, bo kolejarze dowiadywali się o różnych machlojkach, tego na kolei nie brakowało przecież. Gdyby ktoś z tym biuletynem „wpadł”, byłby nie tylko proces karny, ale i cywilny, o zniesławienie. W tej chwili jest to nie do pomyślenia. „Biuletyn” ukazywał się raz na dwa, trzy miesiącu, czasami raz na pół roku, kiedy Zdzichowi udało się zebrać materiały.

W 1984 roku rzuciłem te studia na filozofii i musiałem pójść do pracy. Zaczęliśmy pracować, razem z moją obecną żoną, w szkole podstawowej w Wirkowicach (gmina Izbica, ówczesne województwo Zamojskie). Oczywiście od czasu do czasu przyjeżdżałem do Radomia i złapałem kontakt z drukarnią. To była Spółdzielnia „Opakowanie” przy ul. Żeromskiego, stara przedwojenna drukarnia Trzebińskiego. Moja żona twierdzi, że to było w ten sposób, że chciałem załatwić farbę drukarską i poszedłem, żeby mi ją wynieśli za opłatą. Skontaktowałem się z Wiesławem Dyznarowskim. Był to chłopak z przeszłością kryminalną, nie stronił od alkoholu, ale miał coś wspólnego i z „Solidarnością”. Był dobrym kolegą młodego chłopaka, też pracownika „Opakowania”, który w 1983 lub 1984 r. oblał się benzyną pod pomnikiem Czerwca 1976 r. w Radomiu i podpalił. Bardzo ciężko poparzony trafił do szpitala w Siemianowicach Śląskich i tam zmarł. Jego historię opisywałem w 1991 r. w radomskim dodatku do „Gazety Wyborczej”, artykuł miał tytuł „Płomień „Solidarności”. W drukarni wszyscy pamiętali tamten wypadek i może dlatego łatwo tam było o pewne rzeczy. Tamtego dnia rzeczywiście kupiłem farbę i przy okazji zapytałem czy nie można by u nich czegoś wydrukować. Zgodzili się bez oporu, mówili, że i tak kombinują, robią „na lewo” druki. Na pytanie o książkę Wiesiek troszkę się złapał za głowę, ale zgodził się. Oczywiście nie chcieli papieru. Pierwszą książką, którą w ten sposób zrobiliśmy był „Folwark zwierzęcy” Orwella. Ja im przywoziłem książkę, oni fotografowali, szycowali blachę i drukowali to na drugiej zmianie. Ten Wiesiek był zaopatrzeniowcem, miał do dyspozycji „żuka” i miał prawo się tam kręcić po południu, kiedy nie było już żadnego dozoru. Problem był z wyjazdem z zakładu, gdyż ulica Żeromskiego to deptak w Radomiu i jest zamknięta dla ruchu. Zawsze tam się sporo milicji kręciło, bo wielu kierowców usiłowało tam wjeżdżać, milicja mogła mandat wlepić albo łapówkę wziąć. Trzeba było wywieźć to z drukarni przez bramę, kawałek ul. Żeromskiego, a potem w ul. Witolda i dopiero wtedy można było poczuć się bezpiecznie. Zawsze było ryzyko, że gdzieś jest zaczajony w bramie milicjant, który może człowieka złapać.

Tę pierwszą książkę razem z okładkami wpakowali do „żuka”, wywieźli, umówiłem się wieczorem na ul. Witolda, stałem tam swoim „maluchem” i przerzuciliśmy to na nieoświetlonym parkingu i przewiozłem do swojego garażu, a potem przewiozłem do

Lublina. Organizowałem to z Wieśkiem Ruchlickim. Był to koniec 1984 roku. Osobą, która bardzo wiele nam pomogła był Piotr Mordel. Kolportował „bibułę”, miał talent graficzny – projektował okładki, pomagał i miał gilotynę. Wpadł w 1987 roku i dzięki temu miał „kwity”, które pozwoliły mu na opuszczenie Polski i wyjazd do Berlina Zachodniego.

Później wydrukowaliśmy „Opowiadania” Mrożka, sam do niej okładkę zaprojektowałem. Następną książką był Woźniaka „Zapluty karzeł reakcji”, był to pomysł Wieśka Ruchlickiego i żeby zmniejszyć koszty postanowiliśmy ją zrobić w formacie A-6.

Ostatnią pozycją, którą w drukarni w Radomiu robiłem, były jakieś „Opowiadania”, chyba ciąg dalszy opowiadań Mrożka. Wydruk był okropny, białe plamy i ja im wtedy nie zapłaciłem. Był to rok 1985 lub 1986, potem się to wszystko rozlało.

Potem pomagałem tylko Piotrkowi Mordelowi, który z kolei współpracował z Krzyśkiem Wasilewskim. Wasilewski miał drukarnię we Wrocławiu i nie bawił się w jakieś przewożenie samochodem, tylko nadawali mu wydruki, jako przesyłkę kolejową. Moja pomoc ograniczała się do pomocy Piotrkowi, od czasu do czasu, przy składaniu. Był to zupełnie inny poziom edytorski, to były profesjonalne książki.

My przez ten cały czas nie mieliśmy żadnej pomocy ze strony jakiejś zorganizowanej struktury np. „Solidarności”, to było wszystko robione na zasadzie improwizacji i kombinowania. W 1985 roku skończyła mi się praca w Wirkowicach i musiałem wrócić do Radomia, miałem jeszcze problemy z wojskiem i ukrywałem się po szpitalach. Zacząłem pracować w „Radoskórze”, był to 1985 lub 1986 rok, człowiek wszedł w kierat i nie było czasu czymkolwiek się zajmować. Zajmowałem się tylko kolportażem „bibuły”. Z Radomia, Wrocławia, Warszawy woziłem to do Lublina, Wrocławia, Warszawy i robiłem „Biuletyn Kolarzy”. Później pomagałem przy redagowaniu radomskiego biuletynu „Wolny Robotnik”. Napisałem dla nich parę tekstów, ale na szczęście, nie związałem się z nimi organizacyjnie, bo pewnie by mnie złapali, tak jak tutaj większość w Radomiu wyłapali.

Radom był zupełnie innym miastem niż Lublin, śmiałem się nawet, kiedy człowiek tu przyjeżdża to mu się chce spać. Wysiadało się na dworcu, szło się jak najszybciej do domu i spać. Jak się jechało do Lublina, spotykało znajomych, to się człowiekowi coś chciało robić. Pod koniec lat osiemdziesiątych byliśmy znużeni. Widać było, że są środowiska, które produkują książki profesjonalnie i nie było motywacji.

Z pieniędzmi było okropnie, zdarzali się nieuczciwi ludzie w kolportażu. Kolportaż prowadzili studenci, więc jeśli ktoś nie zwrócił im pieniędzy za książkę, to nie mieli, z czego dołożyć. Pieniądze to był temat wstydlawy. Mało kto chciał przyznać, że jest to praca, za którą należy się wynagrodzenie, zwłaszcza drukarzom i dziewczynom, które przy składaniu pracowały. Odbywało się to na tej zasadzie, że każdy dostał po kilka lub kilkanaście książek, żeby miał z tego jakieś pieniądze. Dziewczyny, które kolportowały książki ciągle miały debet, więc kiedy otrzymywały te kilka lub kilkanaście książek, to było wielkie święto, bo można było wyrównać ten minus. Do wszystkiego, co się robiło trzeba było dokładać – benzyna, papier, jazdy autobusami. Z drugiej strony koszty nie były wysokie. Papier, benzyna, jeśli były, to były tanie, jednak byli to ludzie, którzy nie zarabiali pieniędzy.

Papier szedł w ilościach o wiele większych, niż przy normalnej produkcji, było dużo

odrzutów. Moja babcia ze Zwolenia paliła tym długi czas i nie mogła „przepalić” tych stosów papieru. Po wydrukowaniu jednej z pozycji – chyba Orwella - postanowiłem zafundować sobie plecak, poza tym nie było mowy o zarobieniu jakichkolwiek pieniędzy. Nie pamiętam czy Wieśkowi Haleyowi się jakieś pieniądze płaciło czy dawało mu się książki. Później Tomek Grudzień z Wieśkiem Haleyem mieli powielacz offsetowy, drukowali na nim „Biuletyn Kolejarzy”. O pieniądzach głupio było wtedy rozmawiać. Kiedy został wydrukowany Orwell, był kolportowany na UMCS i wtedy były jakieś dodatkowe pieniądze, za które kupiliśmy papier lub matryce. Kiedyś chciałem te sprawy uporządkować, przywiozłem bibułę z Wrocławia i zacząłem podliczać, ile to tych pieniędzy będzie. Słowem jakaś mała księgowość. Ale po paru dniach przeraziłem się, że może to być świetny dowód dla bezpieki w razie wpadki i całą księgowość spaliłem. Uznałem, że lepiej mieć bałagan i tego wszystkiego nie wiedzieć, niż ryzykować. Przypominam sobie, że jeszcze w grudniu 1982 roku po wyjściu z internowania wezwwała nas bezpieka, słynny Karpow, choć nie wiem, jak on się naprawdę nazywał. W środowisku studenckim miał pseudonim „Wyłupiaste oczko”. Był grzeczny, ubolewał, że zostałem internowany, ale powiedziałem mu, że nie czuję się szykanowany. Wręcz stracił mowę. Ja mu zresztą prawdę powiedziałem: nie czułem się specjalnie prześladowany. Mówiłem, że miałem dobre towarzystwo, środowisko uniwersyteckie, wielu rzeczy się dowiedziałem. Karpow na koniec zasugerował mi, że gdybym coś wiedział, to mógłbym z nim podzielić się swoją wiedzą. Było to owinięte w jakąś ideologię, nie pamiętam, jaką. Odpowiedziałem mu, że mam dobrych kolegów i jak miałbym się czuć, gdybym przychodził do nich z takimi informacjami. Musi mnie zrozumieć, na moim miejscu pewnie rozumowałby podobnie.

Karpowa ani kogokolwiek z lubelskiej bezpieki już nigdy potem nie spotkałem. Natomiast, kiedy złapali Piotrka Mordela, to wygarnęli mnie z pracy w „Radoskórze”, ale byłem uprzedzony o wpadce, przez teścia Piotrka, i zdołałem mieszkanie wyczyścić. Na komendzie w Radomiu nie zaprzeczyłem, że znam Piotrka, ale nie wiem, czym się zajmuje. Potem była rozmowa polityczna właściwie o niczym. Z ich strony żadnego większego zaangażowania, żadnej sugestii o współpracy. Chyba stracili ochotę do pracy i zwyczajnie odwalali robotę. Był to dla mnie mały szok. Chyba po raz pierwszy wtedy zaświtało mi, że PRL długo nie pociągnie. Pamiętam, że poprosili mnie o wydanie czterech znaczków poczty „Solidarność”, które znaleźli w czasie rewizji w moim mieszkaniu, pod moją nieobecność a w obecności mojej mamy. Nie zabrali ich wtedy, ale naczelnik kazał je zarekwirować – tak to tłumaczyli. Zgodziłem się, nawet nie chcieli wchodzić mieszkania, bo miałem dużego psa pudła, którego się bali. Kiedy wyruszali spod mojego bloku, stanął im samochód. Wrócili do mnie pożyczyć benzyny. Słowem groteska, a nie policja polityczna. Do końca się mnie już nie czepiali.

Kiedy byliśmy w obozie dla internowanych, przyjechał do nas taki stary esbek i mówi do mnie – Panie Kutkowski, odmawia pan współpracy z nami i odmówił pan składania zeznań, przecież wie pan, co my robimy. A ja mu na to: - Ponieważ wiem, co wy robicie, dlatego odmawiam składania zeznań, chyba nie powie pan, że ta służba działa w interesie Polski, wie pan, co działo się w latach 50-tych i 60-tych. On obruszył się strasznie, że uważam go za takiego stalinowca i bandziora, nawet żał mi się go zrobiło, bo widać w nim było autentyczną emocję. To chyba był jedyny „ideowy” esbek, jakiego spotkałem.

Aneks 10

Jan Magierski

„Informator „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni”

Relacja z 12 czerwca 2000 r.

(zapis autoryzowany,

przygotowany dla Ośrodka KARTA)

„Informator „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni Lublin” ukazał się w pierwszych dniach stanu wojennego. „Informator” nie było kontynuacją pisma o tym samym tytule ukazującego się przed 13 grudnia 1981 r., będącego organem Zarządu Regionu. Było to pismo nowe, niezależne od instancji związkowych ani jakichkolwiek organizacji. Zostało stworzone przez studentów UMCS: Krzysztofa Hariasza, Arkadiusza Kutkowskiego, Wiesława Ruchlickiego i Emila Wardę i początkowo adresowane też do studentów. Później było ono jedynym, niezależnym pismem informacyjnym w regionie, które przetrwało do 1989 roku, tj. do ponownej rejestracji „Solidarności”.

Pierwszy zespół działał do 16 lutego 1982, kiedy to przez przypadek został aresztowany. Zdążył wydać 10 numerów pisma.

Wydawanie „Informatora” przejęli wówczas trzej pracownicy Akademii Rolniczej: Krzysztof Grudzień, Andrzej Pleszczyński i Jan Magierski. Obowiązki redaktora naczelnego pełnił przez cały czas Andrzej Pleszczyński zaś wydawcą i szefem kolportażu był Jan Magierski. W zespole redakcyjnym pracowali też: Józef Krzyżanowski, Wanda Baj, Barbara Pleszczyńska, Ewa Różycka i Grażyna Ziółkowska. Stałymi współpracownikami dostarczającymi teksty byli: Waclaw Biały, Waclaw Oszejca, Zdzisław Kowalski i inni. Obowiązki wydawcy podejmował też okresowo Wojciech Guz.

„Informator „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni” miał formę druku powielaczowego lub sitodruku. W 1984 roku zastosowano offset, który dawał lepszą jakość. Nakład „Informatora” wahał się od początkowych 1500 do 8000 egzemplarzy.

Zgodnie ze swoją nazwą „Informator” starał się być pismem przede wszystkim informacyjnym, przyjmując za swój pierwszy obowiązek publikowanie wiadomości o uwięzionych i represjonowanych. Podawał też komunikaty władz lokalnych „Solidarności” a także Komisji Krajowej. Serwis informacyjny zbierany był i dostarczany poprzez sieć kolporterów – tych samych, którzy co tydzień rozprawdzali gazetę. Z redakcją współpracowało stale niezależne Biuro Informacyjne prowadzone przez Annę Truskolaską pracowniczkę Biblioteki Głównej KUL. Przez pewien czas sięgano również do opracowań zespołu kierowanego przez Radosława Drwala, który dostarczał głównie ekspertyz, opinii, recenzji, nasłuchów radiowych itp. Z czasem, więc na ten skromny numer „Informatora” formatu A4 składała się praca wielu osób, najczęściej nieznanymi sobie wzajemnie, ale działającymi zgodnie z zasadami konspiracji.

Poprzez kolportaż spływały też dobrowolne wpłaty czytelników i sympatyków, które „Informator” zawsze kwitował w odpowiedniej rubryce. Z uzyskiwanych tą drogą funduszy pokrywane były koszty papieru, druku, transportu itp.

W czasie siedmiu lat 1982-1989 ukazało się 180 numerów „Informatora”, z czego 44 – w jednym 1982 roku. Uwzględnivszy jeszcze inne druki – pisma, ulotki i inne edycje, daje to kilkanaście ton papieru w ciągu roku. Wszystko to przeniesione w torbach raz jako papier, potem już jako wydruk do kolportażu. Najczęściej pracę tą wykonywała jedna lub dwie osoby. Ze zrozumiałych powodów unikano pracy w większych zespołach. Poza wymienionymi wydawcami „Informator” drukowali również Andrzej W, Janusz Ruciński, Jan Pleszczyński, ... i inni, których nazwisk obecnie nie sposób ustalić.

Kolportaż zatrudniał wiele anonimowych osób. Cały jego system powstawał spontanicznie, wykorzystując kontakty prywatne. Jego pogmatwanych ścieżek nie znał nikt i nikt nigdy nie próbował tego kontrolować. Mimo to działał on sprawnie i szybko w obu kierunkach.

Siłą rzeczy kolporterzy byli najbardziej narażeni na dekonspirację i aresztowanie. W 1985 roku zostali złapani i uwięzieni Waław Wasilewski oraz Franciszek Bujak – kolporterzy tzw. „górnego piętra”. Obaj przytłacili swoją działalność wyrokiem i przesiedzieli w więzieniu półtora roku. Wasilewski dodatkowo stracił samochód. Spośród wielu odważnych i bezinteresownych osób zajmujących się kolportażem należy wspomnieć tu niezujących już: Jana Szyszkę, Stanisława Dąbrowskiego, Wiesława Hofmana.

Niezależnie od „Informatora” od 1983 roku wydawano pozycje książkowe tworząc tzw. „Bibliotekę Informatora”. Zajmujące się tym wydawnictwo pod nazwą BIN prowadzone było przez Wojciecha Guza. Wydano 10 pozycji w nakładach od 200 do 1500 egzemplarzy.

„Informator” inicjował i sponsorował kolportaż innych niezależnych wydawnictw – głównie warszawskich – rozprowadzanych w całym regionie. Osoba odpowiedzialną za tę funkcję był Jacek Szymona.

„Miesięcznik – opinie, komentarze, analizy” był pismem adresowanym do środowiska akademickiego i inteligencji. Pierwszy numer ukazał się w maju 1982 r. Redakcję stanowili: Krzysztof Stefaniuk, Bogusława Kaczyńska i Jan Magierski. Stałymi współpracownikami byli też Andrzej Kaczyński, Sabina Magierska i Halina Zygo. Po artykuły i ekspertyzy zwracano się w pierwszej kolejności do pracowników lubelskich uczelni.

„Miesięcznik” wykorzystywał bazę techniczną i kolportaż „Informatora”. Wydano 20 numerów w 17 zeszytach w nakładzie ok. 1500 egzemplarzy.

Aneks 11

Jan Magierski

„Informator „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni”

Relacja z 18.11.2002

(zapis nieautoryzowany)

Jeśli idzie o „Spotkania” to mogę przytoczyć tylko niektóre fakty. Włączyłem się do kolportażu książek z Warszawy. Miałem samochód, wykonywałem kursy Lublin-Warszawa-Lublin z książkami z podziemia, nie tylko „Spotkań”, w tej chwili nie przypominę sobie nawet tytułów. I to był początek. Oczywiście byłem też pierwszym klientem do kupowania tych książek. To był pierwszy sprawdzian, któremu zostałem poddany. Kiedy przyszła pora na wydanie nowego numeru „Spotkań”, był drukowany nr 5, kiedy się w to włączyłem, to był rok 1978. Brałem udział w technicznej obsłudze tego wydawnictwa, trzeba było obsłużyć powielacz, przywieźć papier, zabrać wydruki. Oni mieli dziwny i uciążliwy styl pracy, że drukowanie to były akcje zawsze bardzo skomplikowane, drukarnia była umiejscowiona zawsze na wsi, wszystkie czynności były z powodu odległości bardzo utrudnione.

Pamiętam, że jeden z takich wydruków spotkaniowych odbywał się w zimie, w chałupie chłopskiej, gdzieś daleko na prowincji, gdzie z wielkim trudem udawało się uruchomić powielacz. W jednej izbie był chłop z żoną i dziećmi, pod stołem stało pudełko z ćwierkającymi kurczakami, była ciemna noc, gospodarze się pospali, a myśmy drukowali. Była to sceneria dosyć śmieszna. Innym razem druk odbywał się w chałupie pod Izbicą. Chałupa stała samotnie za wsią, jak można konspirować, kiedy każdy samochód jest widoczny. Chata należała do jednej z naszych koleżanek, dojazd był makabryczny, po błocie, dokonywaliśmy karkołomnych wyczynów, żeby przywieźć papier, a potem zabrać całą ekipę z wydrukiem. Taka była moja rola w „Spotkaniach”. Nie brałem udziału w żadnych pracach redakcyjnych, ani tym bardziej ustalaniu profilu tematycznego następnych numerów. Brałem żywy udział we wszystkich problemach technicznych, zastosowaniach nowatorskich rozwiązań. Na początku miałem kontakt z Wojtkiem Samolińskim, który był szefem, zwoływał nas, zlecał roboty i wyznaczał terminy. Później Wojtek został zastąpiony przez Jaśka Stepka, Stepek był spokojny i bardzo życiowy. Żywy był kontakt z Piotrem Jeglińskim, kiedy czegoś brakowało były telefony do Francji. Najpierw gadali szyfrem, a potem otwartym tekstem, bo nie mogli się porozumieć.

Później, kiedy przyszła „Solidarność”, jak już byłem przygotowany, znałem techniki dające możliwości szybkiego wydrukowania, to było bardzo przydatne wtedy. W „Solidarności” już nie oglądaliśmy się na to, czy to jest legalne czy nie, brało się ramkę, rakiel i się drukowało. Już kto inny się martwił czy można to opublikować czy nie. Byłem też już trochę zaprawiony w kolportażu, więc wiedziałem co i jak, miałem kontakty z ludźmi, którzy zajmowali się kolportażem i oni też funkcjonowali w „Solidarności”. To były sprawy bardzo istotne, tak przeszedłem z tymi umiejętnościami do „Solidarności”.

Na początku w 1980 r. działaliśmy w MKZ-ecie na ul. Okopowej, jako pomoc dla Komitetu Strajkowego, tam była grupa amatorów, ludzi dobrej woli, którzy chcieli

pomagać i ja byłem jednym z nich. Pierwszą rzeczą, za którą się brałem było drukowanie. Było zawsze coś do wydrukowania, technika była fatalna – rozpięte matryce białkowe na ramkach oraz metoda podobna do sitodruku, farbę się przetłaczało wałkiem na papier.

W listopadzie 1981 r., kiedy miał miejsce strajk na uczelniach trzeba było drukować mnóstwo materiałów potrzebnych komitetom strajkowym, ale wtedy drukowało się już prawie legalnie. Ostro działałem na powielaczu, który mi przydzielono na uczelni, w Akademii Rolniczej.

W momencie nastania stanu wojennego, moją żonę zamknęli 14 grudnia w czasie strajku na UMCS-ie, ja zostałem jakby na zewnątrz, dlatego, że u mnie w uczelni nie było takiego strajku okupacyjnego, kto chciał to poszedł na UMCS. Wydawało mi się wtedy, że nie bardzo mam po co siedzieć i czekać, aż przyjdą i spacyfikują. Lepiej żebym został i zaczął organizować znowu jakiś powielacz czy jakąś siatkę kolportażu. Przyjąłem taki wariant i on się okazał przydatny, aczkolwiek dla mnie dosyć kosztowny moralnie, bo jak mnie w końcu wzięli, jeszcze w grudniu 1981, to ja już byłem tak „umoczony” w robotę konspiracyjną, że za wszelką cenę nie chciałem iść do internowania. Musiałem podpisać to, co mi dali, tam nie było nic przeciw „Solidarności”, więc to wszyscy podpisywali, ale mówiono o tym „lojalka”. Później dali mi spokój, a ja miałem rozkręconą robotę. Miałem połapano kontakty z ludźmi, którzy chcieli coś robić. Jeszcze nie wiedzieliśmy, co, ani jaką techniką, ale to była nieprzeparata chęć działania. Wiedzieliśmy, że dużo ryzykujemy, ale to były takie czasy.

Wybraliśmy sobie taką pozycję, którą musimy koniecznie wydać, wszystko jedno jak, to była wstrząsająca relacja górnika z Kopalni „Wujek”, prostego człowieka, który umiał skonkludować to wszystko. Robiłem to z Andrzejem Pleszczyńskim i Krzysztofem Grudniem. Gdyby nie to, że wpadła redakcja „Informatora” może nasze losy potoczyłyby się inaczej. Okazało się, że trzeba koniecznie działać, by ten „Informator” mógł się dalej ukazywać, trzeba zrobić pierwszy krok, żeby ochronić ludzi, dać następny numer. Zrobiliśmy to w terminie i byliśmy szczęśliwi, że daliśmy im osłonę.

Później wydawanie „Informatora” zaczęło się rozwijać, przygarnęliśmy jeszcze dwie dziewczyny, które były dla nas cenne, ponieważ były pracownicami Wydawnictwa Akademii Rolniczej, a także pracowały w biuletynie związkowym AR – wypróbowane, fachowe. Te cztery osoby stanowiły redakcję, a ja byłem wydawcą, czyli zająłem się sprawami technicznymi. Przejmowałem od redakcji tekst, łącałem go, rozmieszczałem na stronie, dodawałem winietę i drukowałem – na początku wyłącznie sam. Miejsca na druk miałem wyłącznie w Lublinie, złamałem formułę spotkaniową, że wydruk należy robić poza miastem. Wprost przeciwnie, najlepiej jest w blokowisku, gdzie jest gęsto, gdzie nie budzi podejrzeń facet z paczką czy z dużą torbą, gdzie hałas jest tak duży, że można puścić powielacz, byle nie za późno, a i tak nie będzie słyszany. Ta formuła sprawdziła się, do końca drukarnia była w Śródmieściu, w różnych miejscach. Szczytem była drukarnia Wojtka Guza w maszynowni windy w wieżowcu. Często zachodziła potrzeba drukowania nie tylko „Informatora”, drukowałem pisma studenckie, dla rolników, którym trzeba było zredagować gazetkę, udawać, że to jest redakcja chłopska. Na początek, żeby kogoś

osłonić, a potem żeby pismo utrzymać, nie dać mu zginać, żeby zostawić ludziom nadzieję, że choć w postaci pojedynczych kartek, ale te gazetki jeszcze się ukazują. Taka to była na początku działalność wydawnicza, drukowanie w stylu rozpaczliwym.

W pierwszym roku, 1982, od kiedy przejęliśmy „Informator” po studentach, wydaliśmy 44 numery, praktycznie, co tydzień był wydawany numer, chodziłem do pracy odpocząć, bo poza pracą miałem tyle obowiązków, utrudnionych jeszcze przez chorobę wyobraźnię - człowiek się bał, że ktoś śledzi, że trzeba zachować bezpieczeństwo, wiecznie jakieś obawy. Później się człowiek do tego przyzwyczaił już, że nie należy się bać nawet jak samochód za mną jedzie, dopiero jak jedzie samochód pięcioma ludźmi w środku, to można się zacząć obawiać, ale też nie zawsze.

W „Informatorze” przyjęliśmy jako święty obowiązek informowanie o represjach i o ludziach, którzy siedzą w więzieniach powodów politycznych. Dopiero później pojawiły się ambicje, aby zamieszczać publicystykę, wypowiedzi będące świadectwem czasów, z refleksją. To nie jest łatwe, trafiło na amatorów, którzy nie ze wszystkim sobie dawali radę, napisanie takiego tekstu wymaga pewnych umiejętności. Krzysztof Grudzień wprawdzie pisywał teksty polityczne, ale nie zawsze był gotów to robić. Zaczęliśmy korzystać z naszych kontaktów, pozyskaliśmy kilku autorów-fachowców, którzy mogli nam dawać ciekawszy materiał. Waclaw Biały dawał regularne relacje o filmach, które warto obejrzeć. Waclaw Oszejca, ksiądz o dziennikarskim temperamencie i umiejętnościach. Zdzisław Kowalski, pracownik UMCS, UMCS ostrym, dosadnym sposobie wyrażania się i dużych umiejętnościach literackich. „Informator” pozostał do końca taki: troszkę publicystki, troszkę relacji mających charakter materiału dokumentalnego i wiadomości o represjonowanych.

Korzystaliśmy z datków przychodzących przez kolportaż drogą zwrotną, nie było tego mało, zawsze wystarczyło na papier, na podstawowe materiały, nawet później mieliśmy trochę na benzynę.

Drukowaliśmy na początku na powielaczu, w różnych wariantach. Najpierw jakiś czeski, który był ukryty. Drugi miał piękna naklejkę „Dar z Francji dla młodych katolików”, był to „gestetner”, doskonały powielacz angielski. Z tymi powielaczami przemieszczałem się z miejsca na miejsce, w zależności od tego, gdzie była drukarnia. Na „gestetnerze” udało się zrobić taką modyfikację, rotosito. Był to wynalazek nasz polegający na tym, że rozpinano się nie matrycę białkową, ale gotowe sito, co dawało możliwość zmniejszenia i zagęszczenia liter, co oszczędzało papier, natomiast farbę piło strasznie.

Później dostaliśmy maszynę offsetową, trzeba było znaleźć ludzi, którzy umieliby tę maszynę obsłużyć. Był to offset, który dostaliśmy po linii związkowej, był to przechowywany w garażu, pod słomą, prawdopodobnie tę maszynę zdołał ktoś uratować z Zarządu Regionu w pierwszych godzinach stanu wojennego. Przez długi czas nie było problemów z wydrukiem, ale to było już około roku 1986.

Chciałem, żebym nie tylko ja pracował przy druku, zresztą męczyło mnie to bardzo. Pojawiali się ludzie, którzy przynajmniej okresowo mnie zastępowali. Wtedy zawsze była trudność, gdzie urządzić drukarnię. Mieliśmy różne miejsca, mniejsza o

adresy, ale np. na ul. Lubartowskiej w bardzo ruchliwym miejscu, w kamienicy zasiedlonej przez biedotę, gdzie było duże zagęszczenie, powielacz był na poddaszu; „gestetner” działał w mojej rodzinie, w mieszkaniu w Śródmieściu.

Szukałem następcy do wydruku „Informatora”, ponieważ sam się zająłem „Miesięcznikiem”, który wprawdzie w mniejszym nakładzie, ale za to w większej objętości się ukazywał. Mieliśmy dużo tekstów, z wyprzedzeniem na 3-5 numerów, materiały były bardzo interesujące i korciło mnie, żeby ten miesięcznik zacząć wydawać. Pismo nazywało się „Miesięcznik. Opinie - komentarze - analizy” podobne w nazwie do „Miesiący”, które były wydawane legalnie w Zarządzie Regionu. Chcieliśmy stworzyć czasopismo ambitne, z głęboką refleksją, sięgające nie po wielkie nazwiska w Warszawie, tylko żeby było robione tutaj, siłami miejscowymi, uniwersyteckimi i to doskonale zagrało. Kilka numerów było naprawdę świetnych.

Na początku „Miesięcznik” był robiony metodą powielaczową razem z „Informatorem”, ciężko było się „wyrobić” w cyklu miesięcznym, często spóźnialiśmy się, często były podwójne numery, ale wyszło 17 numerów w 20 zeszytach, ostatnie były robione już na offsecie, natomiast jeden numer był robiony na sicie, co jest swego rodzaju wyczynem, zrobić tak 30-40 stronicową broszurę.

Były momenty, że mieliśmy 2, a nawet trzy drukarnie, to było budujące, że to się mogło tak rozwinąć. Później okazało się, że ta trzecia drukarnia, silnie zakonspirowana nie poradziła sobie z drukiem, brali od nas klisze sitodrukowe do każdego numeru „Informatora” i nie drukowali, wstyd im było się do tego przyznać. Niestety w końcu wpadli z naszym wydrukiem i rozpiską kolporterską, trzeba było przebudować strukturę kolportażu, przynajmniej w części, która się zazębiała z działalnością tamtej grupy. Takich alarmów było wiele i to strasznie dużo kosztowało, trzeba było zmienić adresy, hasła, stworzyć zabezpieczenia dla ludzi, którzy kolportowali.

Papier kupowaliśmy w sklepie, po jednej ryzie, dziewczyny z redakcji i żona Andrzeja Pleszczyńskiego. Kiedy nakład wzrósł, początkowo drukowaliśmy 1500 egz., później było 5-6-8 tysięcy, nawet był numer, którego zrobiliśmy 10.000 egzemplarzy. Zważywszy, że jeden człowiek musi zanieść to do drukarni, zadrukować, a potem dostarczyć tym, którzy to rozkolportują. Czasem papier dostawaliśmy z kolportażu, wystarczyło podać razem z numerem „Informatora” hasło „potrzebny jest papier” i zwrotnie przychodziło po kilka ryz. Bywało tak, że ktoś miał lepsze możliwości i była wiadomość, że jest papier, trzeba przyjechać. Okazywało się, że jest cała paleta papieru, ale wtedy trzeba było poznać ludzi, a to było ryzykowne. Miewaliśmy transporty papieru z Warszawy, dzięki Andrzejowi Kaczyńskiemu, którego poznałem dopiero po latach, kiedy odbierałem medal od Ministra Kultury. Dla podziemia organizował ogromne ilości papieru, np. cały „żuk”, nie wiem, jak on to robił, nazywaliśmy go Mafiozo Papierozo*.

Z farbami było bardzo trudno, przychodziła przez kolportaż jakaś farba, ale rzadko była taka, jakiej potrzebowaliśmy. Dopóki były techniki sitowe stosowało się,

wynalezioną przez prof. Adama Kerstena, formułę farby z dodatkiem pasty komfort, zresztą Profesor miał pseudonim „Lord Komfort”. Farba była wrażliwa na wilgoć, druk się rozmazywał, ale z małej ilości farby można było z tą domieszką uzyskać bardzo dużo farby sitodrukowej. Niestety pasta komfort jest agresywna chemicznie, powodowała korozję części powielaczy i zatykała je.

Pierwsze numery „Informatora” wychodziły w nakładzie 1500 egz., mieściło się to w jednej torbie. Później nakłady były dużo większe, a i redakcja dążyła, żeby objętość była większa. Jeden numer wydaliśmy w nakładzie 10.000 egz. i postanowiliśmy rozrzucić w mieście jako ulotkę. Było to rozrzutnością, ale chodziło o to, żeby pokazać, że „Informator” jest, żeby doszedł nie tylko tam gdzie dochodzi kolportaż, ale żeby trafił do przygodnych ludzi.

Kolportaż to była cała struktura, rozgałęziona, skomplikowana, pokręcona wręcz, zagmatwana. Nie sposób było tego kontrolować, gdyż rozwijało się to spontanicznie. Pamiętam, że kiedyś udało mi się stwierdzić, że w „Informator” noszony na Czechów jest zasilana FSC, natomiast z paczki noszonej na Osiedle Motor jest zasilana EDA w Poniatowej. Stymulowało się tylko wysokość nakładów, im więcej tym lepiej.

Górne piętro kolportażu, czyli osoby, które dostawały pismo bezpośrednio z drukarni, to było kilkanaście osób. Był nie tylko „Informator”, były książki lubelskie i przywożone z Warszawy, były inne gazetki. Byli to ludzie najbardziej narażeni na wpadkę. Dwa razy się zdarzyło, że taki kolporter wpadł, było to w sposób przypadkowy. Mąż kobiety, która odbierała bibułę, uzależniony od alkoholu, poszedł w chwili złości i doniósł o tym. W ten sposób wpadł w 1985 roku Wacław Wasilewski. Ponieważ nie zorientowaliśmy się, gdzie była wpadka poszedł drugi, Franciszek Bujak i też wpadł. Obaj poszli do więzienia, Wasilewski stracił samochód, siedzieli półtora roku. Nie działało się to, dlatego, że fachowo zadziałało SB, bo z ich profesjonalizmu nigdy nic nie wynikło.

W drugim przypadku wpadła nam maszyna offsetowa, która świeżo przyjechała z Belgii, ale ona była namierzona w Belgii przez agentów działających za granicą i ciężarówka, która ją przewoziła była prowadzona do Lublina już od granicy. Wpadł przy tym nieżyjący już kolporter „górnego piętra”, a także Stanisław Machnik, przez pewien czas szef „Solidarności” podziemnej. Poszli siedzieć, potem zelżało i nie siedzieli długo. Maszynę nam zabrali.

Na potrzeby redakcji musiałem zapewnić lokal, żeby nie musieli przenosić materiałów ani brać ich do domów. Był okres względnego prosperity w „Informatorze” i postanowiliśmy rozszerzyć działalność o kolportaż książek. Został upoważniony do tego człowiek – Jacek Szymona, który miał kontakty z większymi wydawnictwami w Warszawie, został wyposażony w gotówkę, bardzo skrupulatnie się rozliczał. Nie było z tego wielkich dochodów, prawdę mówiąc częściej były straty. Książki były kolportowane po liniach „Informatora”, bywało tak, że skrzynka przestała funkcjonować, nie rozliczywszy się. Zdarzało się też tak, że ktoś się przestraszył i przestał nam drzwi otwierać, a nie rozliczył się. Paczka czy torba książek to była spora suma. Szczytem wszystkiego była wpadka magazynu z książkami w Warszawie, mieliśmy zapłacone książki, ale trzeba było czym prędzej uciekać. Datki, które otrzymywaliśmy były przeznaczane na papier i inne koszty związane z wydawaniem. Po 1989 zdecydowaliśmy się to oddać (wymieniając złotówki na dolary,

by uciec przed dewaluacją) Fundacji „Solidarności” Regionu Środkowo-Wschodniego. Mam zaświadczenie, że oddaliśmy 3175 dolarów USA, 165 dolarów kanadyjskich, 165 marek RFN i 4 bony PeKaO. Niestety chciało, że następnej nocy ktoś rozbił kasę i te pieniądze zabrał. My możemy nieć czyste sumienie, w porę oddaliśmy te pieniądze i wzięliśmy pokwitowanie.

W tym krótkim okresie prosperity myśleliśmy nawet o ufundowaniu stypendium dla historyka, który opracowałby wydarzenia w Wąwolnicy w 1947 roku, którą UB spacyfikowało. Były też pomysły, aby stworzyć Bibliotekę Informatora, wtedy pojawił się Wojtek Guz, który chętnie podjął ten pomysł i on zaczął funkcjonować tworząc wydawnictwo przy „Informatorze”, działające na zlecenie „Informatora” i czasami drukujące „Informator”. Chcieliśmy wydać coś, co da szybki dochód abyśmy mogli działać dalej. Nasza pierwsza publikacja to była broszurka z dowcipami Mleczki pt. „Junta juje”, były to śmieszne rysunki dotyczące WRON-y, reżimu, takie do śmiechu, na tamtą chwilę. Później chcieliśmy koniecznie Herlinga-Grudzińskiego wydać, został wydany, ale w ilości 200 egz. Wojtek Guz z pozycji na pozycje usamodzielniał się. Odkąd mieliśmy offset, służył on wyłącznie do druku „Informatora”, rzadko drukowało się pozycje książkowe, bo maszyna często się psuła. Ale kiedy trzeba było to chłopcy drukowali „Informator” i książki i „Miesięcznik” i jeszcze brali zlecenia, m.in. dla FIS. W pewnym momencie „Informatorowi” zabrakło papieru, to zadrukowaliśmy papier FIS-u, straszna awantura była, oczywiście papier im oddaliśmy.

Aneks 12

Bernard Nowak

Relacja z 27 listopada 2002 r.

(zapis autoryzowany)

Wydawnictwa podziemne, w pracach których uczestniczyłem, to były raczej efemerydy, które często, ze względów konspiracyjnych, zmieniały nazwę.

Do listopada 1981 nie było mnie w Polsce, przebywałem w Niemczech i we Francji. Z dniem 1 grudnia zostałem zatrudniony w Zarządzie Regionu Środkowo-Wschodniego. To, co działo się potem, było oczywiście efektem postawy, ale także tego, że pracowałem przez owe dwa tygodnie w Regionie, blisko poligrafii. Zajmowałem się „Biuletynem Informacyjnym Rolników Indywidualnych”, razem ze mną pracowali Krzysztof Wasilewski, Paweł Nowacki i Danuta Winiarska; ja temu szefowałem.

Gdy wprowadzono stan wojenny rozdzieliliśmy się. Danuta Winiarska pojechała na strajk w FSC, a my pozostali, pojechaliliśmy większą grupą wraz ze sprzętem poligraficznym do Świdnika. Gdy strajk w Świdniku padł, nie byliśmy w stanie nic stamtąd wynieść. Danką w cztery czy pięć dni po wprowadzeniu stanu wojennego przywiozła do mnie do domu, na Rogatkę Lubartowską, wyniesiony z FSC powielacz. Pierwszy informator, jaki powstał w Lublinie w stanie wojennym, był drukowany w moim domu przez Dankę Winiarską i przeze mnie. To był początek działalności wydawniczej, chociaż w tym momencie dotyczyło to tylko prasy. Działalność wydawnicza sensu stricto to była broszura Alana Besançona, wydana w wydawnictwie AUT, wydrukowana oczywiście na powielaczu, w pierwszych dniach stycznia 1982. Wtedy związany byłem z ludźmi, którzy nie wywodzili się bezpośrednio z „Solidarności” – bo gros z tamtych zostało zatrzymanych i uwięzionych – tylko z ludźmi, którzy włączyli się, bardzo często na zasadzie spontanicznego odruchu, do działalności. To było dwóch ludzi z UMCS-u, z Wydział Prawa, jeden miał na imię Wiesiek, a co do drugiego, to – poza twarzą – nie pamiętam ani imienia, ani nazwiska.

W dość krótkim czasie zaczęliśmy w jakimś mieszkaniu na Czechowie drukować różne rzeczy. Z tytułów, które pamiętam, może najważniejsza była książka Sołżenicyna „Lenin w Zurychu”, przy której pomagał nam też Andrzej Jaroszyński (obecny ambasador RP w Norwegii), a którą tłumaczył ktoś z anglistyki UMCS; to nazwisko później padało, ale nie jestem w stanie go sobie teraz przypomnieć. Niestety, kiedy książkę kończyliśmy, musiałem wyjechać na krótko do Paryża, a kiedy wróciłem, rzecz została już wydana i rozprowadzona – tak, że nie mam żadnego egzemplarza. Andrzej Jaroszyński, bodajże w 1982 lub 1983 roku, wydał dobrą antologię poezji podziemnej; był to maszynopis w nakładzie 6-8 egzemplarzy; tego wydawnictwa także, niestety, nie mam. Nie posiada go też – co nie było w podziemiu czymś wyjątkowym – i sam autor antologii.

Na początku nie robiliśmy zbyt wielu książek. Nie było ani papieru, ani farby, ani miejsca, gdzie można by książki robić. Wtedy, zresztą dość szybko i sprawnie, zacząłem współpracować z Markiem Gorlińskim, u którego w wiejskim domu

drukowaliśmy gazety, a dokładnie „Biuletyn Zarządu Regionu” oraz „Biuletyn FSC”. Marka znałem ze studiów na KUL, a potem z Regionu, z którym sympatyzował i coś dla niego pisał, nie było, więc żadnego ryzyka. Nakłady były przywożone autobusem do Lublina i rozprowadzane po całym Regionie. Można by powiedzieć, że głównym redaktorem tej gazety była jego mama, starsza pani, która – biorąc do ręki świeży egzemplarz, zakładała okulary po mężu, czytała i mówiła: „No dobre, może iść do ludzi”.

Trzeba tu powiedzieć od razu o jednej, zupełnie zasadniczej, a umykającej uwadze nie tyle historyków, co w ogóle nieobecnej w świadomości społecznej sprawie. O tym, że zmiany, które nastąpiły w Polsce, są efektem działań osób, na różne sposoby związanych z KUL. Ci ludzie byli właściwie wszędzie. I w ROPCzIO, i w KOR, w „Spotkaniach” i KPN. A potem, szczególnie w Lublinie, we wszystkich strukturach i podziemnych wydawnictwach. Nie sposób oczywiście nie pamiętać, że także Papież, który przecież podniósł nas z kolan, był profesorem KUL. To jest podstawowy – tak samo, jak obecność Kościoła, zawsze konsekwentnego, choć bardzo ostrożnego – historyczny fakt.

Gdzieś w roku 1983 związałem się bliżej z Komisją Zakładową NSZZ „Solidarność” Fabryki Samochodów Ciężarowych. Byłem tzw. Koordynatorem Komisji – i tam, w ramach tego zupełnie nowego dla mnie doświadczenia – przez sześć lat wydawałem „Biuletyn FSC”. Książek – poza chyba jedną broszurą – nie wydawaliśmy. Były rozprowadzane w tym środowisku te, które drukowano gdzie indziej. Podobnie z akcydensami – ze znaczkami, ulotkami, medalami (np. wałęsowski, po otrzymaniu Nagrody Nobla czy papieski). Tak powoli wytwarzało się coś w rodzaju sieci dystrybucyjnej, działającej na zasadzie pączkowania, z zastosowaniem – nazwijmy to tak – systemu zero-jedynkowego.

Co do mojego wydawnictwa, to bodajże już w roku 1985, a może 1986 (były to kooperacje: z Krzysiem Wasilewskim, czyli z Komitywą) wydaliśmy m.in. razem „Dwa komitety” Żenczykowskiego, a zaraz potem „Mówi Józef Światło” i „Polskę z oddali” Nowaka-Jeziorańskiego. W tym też okresie z jakimiś ludźmi z Wrocławia, których zupełnie nie znałem, a z którymi był kontakt też przez Krzysia Wasilewskiego, wydaliśmy „Poezje” W. Iwaniuka, na bibliofilskim – oczywiście jak na podziemne warunki – poziomie. Trochę później wyszedł u Krzysia pierwszy polski przekład „Steps” („Kroków”) Jerzego Kosińskiego, wówczas zupełnie w Polsce nieznanego.

Gdy mówię „moje wydawnictwo”, to nie należy rozumieć tego jako mojej, odrębnej działalności. Taka działalność nie byłaby możliwa – nie jest możliwe, by jedna osoba prowadziła coś takiego sama. Nawet dzisiaj, gdy ma się do dyspozycji wielofunkcyjny komputer, nie jest to do końca realne. Te wydawnictwa były „moje” tylko o tyle, o ile inicjatywa, siła sprawcza należała do mnie, była efektem mojej energii. W praktyce wyglądało to tak, że do każdego tytułu organizowało się trochę inną grupę ludzi i się nią do pewnego stopnia kierowało. Ale zdobywanie materiałów drukarskich, papieru, a potem dystrybucja – tego przecież nie mógł robić jeden człowiek. W którymś momencie te aktywność uzupełniła inna, dotycząca „Informatora Regionu Środkowo-Wschodniego” – i od tego momentu można by mówić o pewnej instytucjonalizacji działań, oczywiście tylko w tym zakresie. Sporo rzeczy robiliśmy przez Warszawę, w ośrodku doświadczalnym drukarni „Dom Słowa Polskiego”, gdzie

pracowali prawie sami „czerwoni” był pewien świetny człowiek o nazwisku Kudrewicz, który robił różne rzeczy dla podziemia, począwszy od nowych sposobów drukowania na polimerach, poprzez znaczki, emblematy, pieczątki, które jako rzeczy małą z łatwością wyносił. Często bywało tak, że dawaliśmy jakiemuś wydawnictwu przygotowaną już książkę, najczęściej na płytach offsetowych, którą oni sami dla siebie drukowali i rozprowadzali.

Poprzez Danutę Winiarską związaliśmy się dość szybko, już w 1982 roku, z Regionem i wydawaliśmy „Informator” Regionu. Robili to: Andrzej W, Lech Klimkowski, Janusz Ruciński i ja. Właśnie u Janusza, w domu na Nowogrodzkiej przez 8 lat znajdowała się drukarnia. We czterech pracowaliśmy właściwie „etatowo”, pięć czy nawet sześć dni (albo częściej nocy) w tygodniu. Trzy czy cztery razy otarłem się o Wojtka Guza, w tym sensie, że korzystaliśmy z załatwianych przez niego dostaw papieru. Nie wiedziałem wtedy oczywiście ani tego, jak się nazywa, ani co tak naprawdę robi. U Janusza na Nowogrodzkiej wydawaliśmy też książki. Jak pamiętam, jedna z pierwszych była wydana książka Kuśmierka, z dużych rzeczy był Heller i Niekricz „Utopia u władzy”, Anders „Bez ostatniego rozdziału”, Cornelius Castoriadis, antykomunista greckiego pochodzenia, mieszkający we Francji oraz znowu doskonały Alan Becançon. Te książki wydaliśmy jakby mimochodem, bo naszym głównym zadaniem był druk „Informatora”, który wychodził regularnie, co tydzień- dziesięć dni. Przychodziły pewne dodatkowe rzeczy z Regionu, z prośbą o wydrukowanie, ale tego nie było wiele. Bardzo często było tak, że ktoś przywoził książkę wartą powielenia i myśmy tę książkę robili. Pamiętam, że gdy przywoziłem z Paryża „Na nieludzkiej ziemi” Józefa Czapskiego, to myśmy to natychmiast zrobili.

Ze względów konspiracyjnych nazwy wydawnictwa były zmieniane. Przy jednej nazwie nie trwaliśmy dłużej niż pół roku, były to nazwy: „Biblioteka Informatora”, „AUT”, „Komitywa”, ABC „Gdzieś w Polsce” i inne, co, do których pamiętam, że miały czasem w swej nazwie jakiś mylący, odsyłający np. do Warszawy czy Rzeszowa, wyróżnik. W pewnym momencie były jakby trzy-cztery podgrupy, o których ja wiedziałem - byłem poniekąd ich organizatorem i ogniwem łączącym - zaś pozostali o sobie już nie. Każda z nich miała inny lokal. Ja znałem tylko dwa - jeden na Czechowie, u dziewczyny tego prawnika, drugi na Al. NKWD. Potem zacząłem też bywać u Krzysia Wasilewskiego, na jego pięknie urządzonego stryszku przy ul. J. Kossaka. Otrzymywaliśmy pieniądze za druk książek, niewielkie, ale zawsze. Było to o tyle ważne, że praca ta stanowiła główne źródło naszego utrzymania. Poza Andrzejem Wem, który pracował w Wydawnictwie Lubelskim, pozostałe osoby nie pracowały nigdzie, a przecież musiały z czegoś żyć.

Jeśli inicjatywa była nasza, to sprzedawaliśmy te książki i pieniądze były do podziału. Za druk „Informatorów”, za prasę nie otrzymywaliśmy pieniędzy, była to działalność społeczna. Czasami dostawaliśmy jakieś dary, pojawiała się na przykład kawa, co było wielką rewelacją. W FSC, gdzie byłem koordynatorem Komisji Zakładowej, podlegały mi także magazyny z darami, które znajdowały się w będącym wówczas w budowie kościele. Tym przy nieczynnym już dziś dworcu PKP i PKS. Ze względów oczywistych nie mogłem z tego korzystać. Pieniądzy nie było wiele, więcej można było uzyskać, gdy się wiozło książki i sprzedawało je gdzieś dalej. W Lublinie wymieniało się książki za książki. Ja wozilem do Warszawy, do Krakowa i trochę do Rzeszowa, byłem też ze dwa razy w Szczecinie i w Gdańsku, wtedy można powiedzieć, że były jakieś, nigdy przecież wielkie, pieniądze.

Na początku drukowaliśmy na powielaczach, ja osobiście nigdy nie drukowałem na sitodruku, potem były offsety, pierwszy z nich, „gestetner 104”, był już chyba w roku 1983, był w fatalnym stanie. Ten „gestetne”r był wydobyty skądś przez Andrzeja Wa. Ja w 1986 roku przywoziłem z Paryża od Mirka Chojeckiego offset. To była cała, nadająca się na dłuższe opowiadanie, historia. Przywoziłem go pociągiem, że tak powiem na „żywca”, w wielkiej drewnianej skrzyni. Łączyło się to z niezłym stresem. Przez Francję i Niemcy bagaż przejechał bez kłopotu, atrakcje zaczęły się w Polsce. By wydostać paczkę z pociągu, zaproponowałem łapówkę konduktorowi. Ten zawołał kierownika, który miał wpiętą w krawacie główkę Lenina. Wziął ode mnie 500 franków, które mi dał Mirek Chojecki. Nie miałem drobniejszych pieniędzy, więc on, zobaczywszy tę sumę zbaraniał. Spytał mnie wtedy – „To, co pan właściwie wiezie – i ile pan musi na tym mieć?!...”. W Warszawie musiałem podpisać kierownikowi pociągu protokół, w którym mówiłem, że... mi to wszystko zginęło – i że nie mam o to do kolei żadnych pretensji!... Musiałem dać mu paszport, z którego on najpierw mnie spisał i który później wsadził do swojej kieszeni mówiąc, że odda mi w Warszawie. Był więc taki moment, że nie miałem ani paszportu, ani pieniędzy, ani innych dokumentów – ani też tego sprzętu. Wszystko opierało się na zaufaniu do tych kolejarzy, którzy oprócz protokołu zaginięcia dali mi do podpisania zobowiązanie, że nie będę się upominał o zaginiony towar!... Było to tym śmieszniejsze, surrealistyczne i absurdalne, że tym pociągiem, relacji Frankfurt nad Menem – Warszawa, jechała tylko ta jedna paczka – i ona właśnie „zaginęła”!...

To nie był koniec tej przygody. W pociągu z Warszawy do Lublina nie było przedziału towarowego, więc musiałem wtarmosić tę olbrzymią skrzynię do przedziału. Skrzynia nie mieściła się jednak, więc, oczywiście, stanęła na korytarzu. Przybiegł natychmiast kolejarz z sokistą i wlepili mi mandat za przewożenie towaru niegabarytowego, a tym samym zakłócanie porządku na kolei. Mimo tych perturbacji skrzynia szczęśliwie przyjechała do Lublina, gdzie z Krzysiem Wasilewskim, jego maluchem, o czwartej rano dotransportowaliśmy ją do mojego garażu. Było to oczywiście lekkomyślne, wieść taki prezent do siebie, ale cóż – nie bardzo było gdzie i jak. Przechować kilka książek, czasem matryce – tak, na to się ludzie godzili, ale żeby trzymać w kuchni powielacz... No, na to nie było zbyt wielu chętnych. Zresztą z tymi książkami i innymi drobiazgami też nie było to proste. To potem, w książkach i podręcznikach, odnosi się wrażenie, że cały naród stawiał okupantowi opór, a tak naprawdę to jest to zawsze garstka. Jeśli idzie o Krzysia, to większość rzeczy była robiona we Wrocławiu. Krzyś – jako prawdziwy geniusz organizacyjny – wymyślił, że nie ma powodu, aby tutaj robić drukarnię, skoro są drukarnie w... Polsce. Wynalazł skądś człowieka, który robił to we Wrocławiu. Który po prostu pracował w drukarni – i on drukował nam to wszystko w drukarni, w której pracował. Na swojej nocnej zmianie. Paczki z wydrukami przesyłał ranną pocztą towarową do Lublina i myśmy z poczty bagażowej np. czterdzieści paczek, samochodem, małym fiatem, przywozili do domu i tam książkę zbierali. zajmowało to trzy, cztery wieczory. Dlatego właśnie niektóre książki, jak np. Żencykowskiego i Światły, są na tak dobrym poziomie poligraficznym. Ale to było już później, chyba gdzieś w okolicach 1985 lub nawet 1986 roku.

Mały fiat powinien mieć swój pomnik. Jego główną zaletą było oczywiście to, że w ogóle był. Drugą, że nie był to samochód strasznie drogi – szczególnie te

zdezelowane, pracujące w podziemiu niczym łysek z pokładu Idy – egzemplarze. W razie wpadki i rekwizycji taka strata była do przeżycia. No i nie był drogi w eksploatacji. A ponieważ kursy transportowe wykonywała zazwyczaj jedna osoba, więc był on w sam raz, jak znalazł. I ginął w masie innych maluchów, głównego pojazdu najpierw rosnącego w siłę, a potem zdychającego peerelu.

Farbę drukarską przechowywałem w domu. W puszkach, nierzadko w lodówce, jak konserwy. W czasie jednej z rewizji ubek otworzył wszystkie konserwy – z tuńczykiem, zielonym groszkiem, korniszonami – a na końcu, w ostatniej była farba. Nie chciał wierzyć, że to karmel. Ani lepik do smarowania dachu..., no i musiałem pojechać na 48 godzin. Była to, pamiętam, farba gdzieś z północy. Kiedy ostatnio rozmawiałem z Andrzejem Jaroszyńskim, mówił, że przygotowuje książeczkę o tym, jak Norwegowie i w ogóle Skandynawowie pomagali Polakom w czasie stanu wojennego. Poza takimi transportami kupowałem farbę od dwóch pracowników Urzędu Miejskiego (mieścił się na ul. Przystankowej), był też człowiek, który pracował w Lubelskiej Fabryce Wag na ul. Mełgiewskiej, nazywał się Bernat, także od niego kupowało się farbę, matryce i chyba jeszcze jakieś odczynniki. Zazwyczaj za gotówkę, czasem – w cięższych okresach, za wódkę. Pojawiała się też od czasu do czasu farba przesyłana właśnie z zagranicy. Dużo lepsza, niż ta enerdowska czy czeska, nie mówiąc już o wynalazkach rodzimych. Przydawał się każdy rodzaj i każda ilość papieru. Akcydensy na przykład robiło się na wszystkim, na czym było można. Większe ilości papieru zdobywaliśmy, a raczej otrzymywaliśmy dzięki świetnie działającej sieci, w której brało udział kilkanaście starszych pań. Oczywiście, nazwisk nie tyle, że nie pamiętam, co ich po prostu nie znałem. Zbierały ten papier, skupowały, wydobywały skąd się dało, tak, że te ryzy wyglądały dosyć dziwnie, jak przekładane ciasteczka. Szefem „siatki” była pani pracująca w przedsiębiorstwie komunalnym. Mała za sobą kilka lat pobytu na Syberii, a po powrocie znalazła dość makabryczną pracę. Zajmowała się ni mniej, ni więcej myciem, ubieraniem i przygotowywaniem zwłok... Dzięki temu miała rozliczne kontakty. Jej wiek, a z drugiej strony spora aktywność nie budziła żadnych podejrzeń, mogła swobodnie koordynować prace siatki i realizować dość spore zakupy. Panie te nazywano potem kąśliwie „ciotkami rewolucji”, nie należy jednak zapominać, że była to grupa może najbardziej ofiarnych osób.

Dwukrotnie odbierałem papier po prostu na umówionym parkingu. Wieczorem, od jakiegoś potężnego brodacza. Dużo później, chyba już jednak po 1989 roku, poznałem tego brodacza bliżej. Był to pan Stanisław Bałdyga, artysta-plastyk, dziś lubelski prezes ZPAP.

To wszystko, te zdobywanie materiałów drukarskich, pochłaniało olbrzymią ilość czasu. Nie tylko dlatego, że było niebezpieczne i trzeba było na każdym kroku uważać, ale także z tej prostej przyczyny, że był to towar absolutnie deficytowy. Brakowało wszystkiego innego – dlaczego nie miałyby brakować papieru, matryc i farby?

Drukarnie, punkty składania i introligatornia były zazwyczaj w jednym miejscu, ale bywało i tak, że zadrukowane arkusze, zwłaszcza, jeśli idzie o książki, przewożono do innego miejsca, gdzie je składano. Pamiętam mieszkanie na Al. PKWN (lub dokładniej: Al. NKWD) należące do pana, który był przyjacielem tego łobuza Bieruta. Mieszkanie stało wolne, pan już nie żył, ale jego portret i powieszony obok Bierut

przyglądali się bezsilnie naszej robocie przez dobrych kilkanaście miesięcy.

Jeśli chodzi o lokale, to zawsze były to mieszkania prywatne, zazwyczaj albo stojące pusto albo zamieszkiwane przez jedną osobę. Było takie mieszkanie na Czechowie, u dziewczyny – studentki z Akademii Rolniczej, pochodząca z rodziny drobnomieszczańsko-rzemieślniczej, osób jak najdalszych od takich spraw, którzy tutaj – a może tylko ich córka – poszli „na całość”. A przecież trzeba pamiętać, że mówiono wtedy, iż za takie sprawy można stracić nie tylko mieszkanie, ale i cały dom. Dziewczyna interesowała się roślinami i we wszystkich pokojach było ich mnóstwo. Kiedy przechodziliśmy z pokoju do pokoju, to ciągle spadały na nas jakieś pnącza. Potem zamieszkał tam chłopak, który był w sprawach roślinno-kwiatowych tak wielkim pasjonatem, że na drukarnię nie starczyło już miejsca.

Wyjątkiem, jak już mówiłem, było to, co wymyślił Krzyś. To podnosiło jakość, czytelność książek, niestety także koszt i cenę, ale wymagało dodatkowej roboty organizacyjnej, dobrych kontaktów itd. Zazwyczaj drukowaliśmy nakłady w wys. około 500 egz., ale pod koniec wydawniczej podziemnej działalności, w 1988 roku, nakłady były większe, nawet do 1000 egz. Dziś, w wolnej Polsce, takie nakłady osiągną, o ironio, książki o ogólnokrajowym zasięgu.

Kolportaż odbywał się kanałami regionalnymi. Olbrzymią robotę, jeśli idzie o dystrybucję „Informatora” wykonywał, nieżyjący już Marek Łoś. W głównym pokoju swojego mieszkania rozdelał nakład na paczki, odbierane stamtąd błyskawicznie przez kilkanaście osób. Z całą świadomością wykorzystywał to, że był ciężko chory i wiedział, że tak naprawdę nie mogą mu nic zrobić. Oczywiście nie muszę mówić, że takie pójście *va banque* to była jego igraszka ze śmiercią.

Spero książek rozwoziło się po całym kraju. Właściwie od samego początku, od lata 1982, kiedy to po raz pierwszy pojechałem do Krakowa, do ojca Małgosi Labiś, koleżanki ze studiów, który – prowadząc na Tynieckiej duże gospodarstwo ogrodnicze – działał jednocześnie w podziemiu. To było pięknie położone miejsce, gdzie na kilku hektarach chowało się niemal w rabatkach bibułę i materiały drukarskie. Myślę, że UB, nawet gdyby wiedziało, byłoby w tym przypadku bezsilne. Potem była wyprawa aż do Szczecina, gdzie miałem pracującą w Stoczni rodzinę, wreszcie do Gdańska – na chrzciny Wiktorii Wałęsówny. Ten wyjazd był oczywiście bardziej symboliczny, niż oparty o sprawy wydawniczo-kolportażowe – tak samo, jak kiedyś na Śląsk, do kopalni „Wujek”, by złożyć od Komisji Zakładowej FSC kwiaty.

Część pieniędzy szła na utrzymanie rodziny, ale gros przeznaczaliśmy na dalszą działalność – na papier, farbę, na matryce. Wytworzył się rynek, będący z jednej strony podobnym do rynku z czasów okupacji, a z drugiej stanowiący przedsmak wolnego rynku. Ale w porównaniu z sytuacją dzisiejszą, niestłuchanie zbiurokratyzowaną, miało to pewne, wysoce pozytywne strony. Choćby ze względów bezpieczeństwa nie była przecież prowadzona żadna księgowość, wszystko zawierała jakaś maleńka, łatwa do połknięcia karteczka. Oczywiście, patrząc z pozycji historyka, jest to spora niewygoda, bo dziś odtworzyć tego już nie sposób. Nie tyle nawet odtworzyć listę tytułów, co strukturę i podziemne powiązania, a także ich ekonomiczny aspekt. To, ile co kosztowało, jaki był narzut zysku, gdzie, w jakie rejony czy środowiska książka docierała. Owszem, z grubsza wiadomo, ale gdyby chcieć uprawiać historię w stylu szkoły francuskiej, opartej na analizie różnych drobiazgów, to w tym przypadku byłoby to niezmiernie trudne.

Byłem w momencie, jak 13 grudnia 1981 rozwalano Region, jedną z trzech czy czterech osób, które znajdowały się w budynku. Uszło mi na sucho, ponieważ na krótko przed wejściem ZOMO-wców wyszedłem, żeby zadzwonić do domu, że tego dnia będę później. To mnie uratowało. Ponieważ telefon nie działał zszedłem do pana portiera, ale okazało się, że u niego telefon też nie działa. Poszedłem na Plac Katedralny, gdzie koło kiosku są także i dziś dwa automaty, ale one ku mojemu zdziwieniu też nie działały. W tym właśnie momencie podjechali ZOMO-wcy. Ja, szczęśliwym zbiegiem okoliczności, stałem na zewnątrz i widziałem, jak to wyglądało. Jak rozwalili te drewniane, oszklone drzwi, jak wywlekli do suki Bogu ducha winnego portiera, jak wbiegali na piętra, by wyłapać ludzi i, oczywiście, zniszczyć różnej maści sprzęt. Tak, jakby i on był w ich oczach winien. Właśnie dlatego mnie nie złapano w tę pierwszą noc. Potem nie złapano mnie w Świdniku, ponieważ, mimo, że wydawaliśmy Biuletyn Strajkowy i nawet podpisaliśmy się pod nim (co podniosło morale wśród strajkujących, ale ułatwiło robotę UB), nie znano mnie, gdyż byłem przez niemal lata za granicą; byłem dla służb kimś nieznanym, a co najmniej nowym. Nie stara, zahartowaną w boju i groźną dla „socjalistycznej ojczyzny” ekstremą. Nie sprawdzali wychodzących z dowodami osobistymi, ale łapali tylko tych, których znali z twarzy – dlatego złapano w Świdniku Wieśka Lipca, Krzyśka Michałkiewicza i parę innych osób. Mnie jedynie potwornie pobito – bo z racji wzrostu „wystawałem” z tłumu i byłem dość dogodnym celem – tak, że kilka dni przeleżałem w Świdniku, w ukryciu, w mieszkaniu państwa Kudelskich. To była bardzo aktywna politycznie rodzina, szczególnie dwie córki i syn. Na osobne przypomnienie zasługuje ich tato, wieloletni pracownik zakładu, który mitygował nasz zapał, chłodził gorące głowy zimną wodą pozbawionego złudzeń realizmu.

Myślałem, że ktoś z ubecji będzie mnie usilniej poszukiwał, bo podano w kościołach, że jestem aresztowany, ale nic takiego nie miało miejsca. Przyszedł ktoś, ksiądz z parafii, żeby spytać czy mojej rodzinie czegoś nie potrzeba. Na szczęście dzięki teściom byliśmy dość dobrze sytuowani i nie było takiej potrzeby. Trzeba, więc tu dodać, że w dużym stopniu mogłem to wszystko robić dzięki dobrej sytuacji finansowej rodziny mojej żony.

Większych represji nie było, próbowano mnie dwa czy trzy razy zatrzymać w roku 1982 i 1983, potem jeszcze chyba w 1985 albo 1986. Dwa razy uciekłem, wcześniej rano, kiedy przyszli do domu. Mieszkałem w domku, co także pod tym względem zostawia większe pole manewru, niż mieszkanie w bloku. U mnie musieli dzwonić do furtki, potem do drzwi, a to dawało sporo czasu na ucieczkę. Zatrzymano mnie dwukrotnie przewencyjnie, po 48 godzin, zazwyczaj przed 11 listopada lub przed 3 Maja w roku 1983 lub 1984. Chyba także przed rocznicą wprowadzenia stanu wojennego – ale, co oczywiste, nie mogę mieć co do dat pewności, bo przecież nigdzie tego nie odnotowywałem. Może gdzieś tam jest jeszcze stosowny protokół przesłuchania czy zatrzymania, choć wiemy, że to mało prawdopodobne. To nie działało tak sprawnie, jak carska Ochrańa – a jeśli nawet i działało, to zostało – w ramach zacierania śladów – zniszczone.

W czasie tych przesłuchań i zatrzymań przyjmowałem taką trochę wschodnią zasadę – że nigdy z nimi nic na siłę. Oni byli tylko funkcjonariuszami, nie wydawali tych rozkazów, choć oczywiście to oni sami wybierali taki sposób życia – oni

podejmowali decyzję, że będą milicjantami czy więziennymi strażnikami. Dzięki takiej taktyce pobyty w aresztach nie były dla mnie czymś strasznym, zaprzyjaźniałem się z kryminalistami i byłem lubiany przez klawiszy, bo wszystko odbywało się w konwencji żartu.

Nie znajdowano przeciwko mnie żadnych konkretnych dowodów, więc nie miałem żadnej sprawy. Zresztą oni nigdy nie widzieli, jak to ze mną jest, czy ja mówię prawdę, czy żartuję. A ja sobie dość często z nich żartowałem – bo to przecież była groteska, ten peerel. Czarna, ale groteska. Największą represją było już życie w tym kraju; reszta, nawet taka, jak aresztowanie, to był – przynajmniej w moim przypadku – drobiazg. Opisałem to, owe krótkie odsiadki, dość realistycznie w moich, wydanych u Giedroycia „Czterech dniach Łazarza”.

Z ważniejszych tytułów, które pamiętam to I. Berlina, F. Hayeka i H. Arendt „Trzy eseje o wolności”. Nazwa firmy to była jakaś efemeryda, robiliśmy to w kooperacji z Warszawą, z Bieleckim, czyli Maciejem Poleskim z CDN, pieniądze na to zdobył w Paryżu Seweryn Blumsztajn. Wtedy, chyba właściwie po raz pierwszy, przyzwocie nam zapłacono. Wtedy też poczułem, czym jest Warszawa, jak tam to wszystko działa w sprawach wydawniczych. Tu jednak była amatorszczyzna, a oni tam i sprzętowo, i materiałowo, i finansowo byli mocno ustawieni.

Aneks 13

Andrzej Peciak

Wydawnictwo FIS

Relacja z 15 grudnia 2002 r.

(zapis autoryzowany)

Byliśmy, wszyscy trzej – Tomek Pietrasiewicz, Paweł Bryłowski i ja, zaangażowani w ruch niezależny i w pewnym momencie doszliśmy do wniosku, że możemy nie tylko kolportować czyjeś rzeczy, ale samemu być wydawcą. Stwierdziliśmy, że jesteśmy w stanie zorganizować wydawnictwo podziemne, prowadzić je i nadać mu jakiś profil.

Nazwa, Fundusz Inicjatyw Społecznych, mieściła się w formule nie tylko wydawniczej, ale i funduszu, czyli instytucji, która oprócz podstawowej działalności - wydawniczej zajmuje się wspieraniem różnych inicjatyw niezależnych. Stwierdziliśmy, że jeżeli uda nam się wypracować jakieś pieniądze, to możemy je przeznaczyć na współfinansowanie czy finansowanie inicjatyw niezależnych.

W momencie powołania w 1985 roku FIS-u powiedzieliśmy sobie, że przyjmujemy żelazne zasady - jeżeli wydajemy znaczki, to połowa czy 2/3 z ich wartości idzie w formie dotacji do instytucji niezależnych. Przez instytucje niezależne rozumiem i te, które istniały w Regionie - inicjatywy takie, jak Wakacje z Bogiem, jak również wszystkie rodzaje redakcji czasopism, które ukazywały się w Lublinie i poza Lublinem - „Solidarności Nauczycielskiej”, „Solidarności Walczącej Lublin”, „Informatorowi”, „Grotowi”, „Roztoczu”. Mieliśmy też dobre kontakty zewnątrz, wspieraliśmy też takich tuzów podziemia w Warszawie, jak „Karta”, „Przegląd Wiadomości Agencyjnych”, „Tygodnik Mazowsze”. Zasada była taka, że wszystkie dotacje, w postaci znaczków (były też dotacje pieniężne, ale nie pamiętam jakie), były potwierdzane w tych czasopismach przy użyciu jednego czy dwóch haseł, byliśmy wtedy pewni, że znaczki dotarły. Instytucja, która dostawała znaczki, mając własny kolportaż, była w stanie skasować sporo pieniędzy. Pomagaliśmy wszystkim, niezależnie od poglądów politycznych. Uważaliśmy, że każda rzecz zrobiona przeciwko komunie jest dobra. Polityka w znaczeniu partyjności nie interesowała nas zupełnie.

Sam brałem książki do kolportażu od Zygmunta Kozickiego, od Tomka Pietrasiewicza, który miał swoje kanały w Warszawie, od Anny Truskolaskiej, która pracowała w wypożyczalni Biblioteki KUL i miała tam punkt kolportażu, na KUL-u od Maćka Sobieraja, Wojtka Samolińskiego, Andrzeja Zegzdryna, Elżbiety Struś i sam dawałem do kolportażu inne.

Nasza działalność wydawnicza była na ten czas nietypowa, większość wydawnictw w kraju, to były powielarnie. Albo dostawali gotowe matryce z Zachodu, albo fotografowali książki wydane na Zachodzie i je drukowali. My, jak niewiele firm warszawskich, krakowskich czy gdańskich, musieliśmy przejść cały cykl wydawniczy. Trzeba było książkę złożyć, zrobić blachy i wydrukować.

Na początku byliśmy we trzech: Paweł Bryłowski, Tomek Pietrasiewicz i ja. Później

dołączyli do nas Tomek Grudzień i Wiesław Ruchlicki, ale praktycznie, do końca wszystkie decyzje zapadały wśród nas trzech. Podział zadań był bardzo różny i zmieniał się, zależało to od tego, kto ile miał czasu, nie było ścisłego podziału obowiązków.

W pierwszym okresie, od 1985 do 1987 roku, dawaliśmy cały druk na zlecenie, głównie na sitodruk, nie pamiętam komu, jeden raz wydrukowaliśmy książkę w Radomiu na offsecie, pomógł nam Kutkowski.

Prowadziliśmy własną politykę wydawniczą polegającą na wydawaniu tytułów oryginalnych, a jeżeli przedruki, to rzeczy wartościowych. Tomek Pietrasiewicz miał bardzo dobre rozeznanie w literaturze emigracyjnej i on sugerował nam tytuły, czasami wpadaliśmy wspólnie na jakieś pomysły, według naszych zainteresowań.

Znaczki były formą, która pozwalała nam zgromadzić pieniądze na poszczególne tytuły (oprócz roli dotowania). Seria „Polskie Lato 1980-1985” pierwsza seria, która wydał FIS, czteroznaczkowa, dostała nagrodę Komisji Krajowej w dziedzinie kultury podziemnej za szatę graficzną i jakość wykonania. W 1985 roku wydaliśmy dwuznaczkową serię afgańską, była szósta rocznica inwazji na Afganistan, a my wydaliśmy w Polsce, w podziemiu znaczek - terytorium Afganistanu, jako krater - wydaliśmy wersję polską i angielską tego znaczka. Połowa nakładu została przemycona, chyba przez dyr. Biblioteki KUL Andrzeja Paluchowskiego, do Afgańczyków na Zachodzie, sprzedawali to na ulicach, w swoich organizacjach i podobno kupili za to broń. Później widziałem te znaczki reprodukowane w czasopiśmie Time razem z artykułem, że polskie podziemie pamięta o Afganistanie i pomaga mu.

Trzecia seria wyszła na 40-lecie Instytutu Literackiego w Paryżu, wysłaliśmy połowę nakładu Jerzemu Giedroycowi i stąd kontakt z „Kulturą” paryską i układy, bo zobaczył, że jest ktoś w Lublinie, kto nie wydaje znaczków „cierpiętnicznych” i to mu się bardzo spodobało. Dostaliśmy zaproszenie i w 1986 roku pojechaliśmy z Tomkiem Pietrasiewiczem do Paryża. Tam mieliśmy pierwszy kontakt z Redaktorem Giedroyciem, który to kontakt zaowocował ciągłą współpracą, także po odzyskaniu niepodległości. Tam też pierwszy raz spotkałem Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, którego Tomek znał wcześniej z wyjazdów Teatru „Grupa Chwilowa” na Zachód. Herling odegrała dużą rolę w historii FIS-u. W czasie tego wyjazdu odwiedziliśmy Mirosława Chojeckiego, szefa paryskiego „Kontakt”, który okazał się pomocny w czasie kolejnych pobytów w Paryżu. W ramach poznawania „polskiego” Paryża poznałem wtedy Jakuba Karpińskiego, który mieszkał w Paryżu z Ireną Lasotą. FIS zawsze mógł liczyć na ich pomoc. Odnowiłem również kontakty z Janem Stepkiem i Piotrem Jeglińskim, którzy kierowali wtedy Editions Spotkania.

W 1987 roku na wizytę Papieża znowu wydaliśmy serię dwu czy trzyznaczkową, wszyscy wydawali wtedy znaczki na przyjazd Papieża. Ostatnia seria, to był 1988 rok, schyłek, przypomnieliśmy żołnierzy wyklętych, czyli dowódców AK-owskich Lubelszczyzny - Zaporę i wielu, których gnębiła komuna, i o których nie można było mówić. Ale głównie wydawaliśmy książki. Także przedruki: „Donosy” Mrożka, „Huragan” Sieriebriakowej, reprint 1 numeru „Kultury” wydany z okazji pięćsetnego numeru pisma, seria Biblioteki Literatury Emigracyjnej pod naszym patronatem: „Turyści z bocianich gniazd” Straszewicza (wydanie wspólnie z wydawnictwem CiS) i

„Pierścień z papieru” Haupta. Książki, którymi mogliśmy się chwalić to wydania oryginalne: eseje Skalskiego „Jałta 40 lat później” (1986), „Anatomia smaku” Żakowskiego (1986) wydana wspólnie z Biblioteką Informatora; praca zbiorowa pod redakcją A. Drawicza „Oblicza Rosji” (1987), wybór wierszy A. Galicza „Kocham Was ludzie” (1986), powieść B. Hrabala „Obsługiwałem angielskiego króla” (1988), „Utworky zebrane” Leo Lipskiego (1988) – debiut krajowy, „Wybór opowiadań” E. Kiszona (1988), „Leksykon polskiej literatury emigracyjnej” Jana Zielińskiego (1989) – 100 haseł, które przybliżały literaturę emigracyjną, wydany już na offsecie. Przed „rewolucją” zdążyliśmy jeszcze wydać reprint „Wojny polskiej” Moczulskiego, której egzemplarze Tomek sprzedawał jeszcze za wolności. Rzec dwutomowa, zrobiona na offsecie, ze wstępem Moczulskiego do wydania krajowego. Robiliśmy dużo rzeczy oryginalnych, to nas wyróżniało, byliśmy „widoczni” w Lublinie, ale i na Zachodzie – w Paryżu, w Londynie czy w Rzymie, byliśmy uważani za firmę oryginalną, która zasługuje na poparcie.

Jeśli idzie o finanse, to zaczynaliśmy od zera. Później kolejne książki i znaczki pozwalały finansować następne inwestycje. Dostaliśmy dotację w wysokości 500 dolarów od Marzysa ze Szwajcarii, przez warszawskie kontakty Tomka. Później powstało w Warszawie Konsorcjum Wydawnictw Niezależnych, Wacek Cholewiński z Pomostu z rekomendacji Włodka Blajerskiego, wyznaczył mi rolę koordynatora na Region Środkowo-Wschodni. Jeździłem do Warszawy i załatwiałem sprzęt dla Regionu – gilotyny, papier, pieniądze. My sami dotacji nie braliśmy, chociaż przez moje ręce przeszło kilka dotacji i trochę sprzętu. Dla FIS-u załatwiłem gilotynę. W Warszawie były olbrzymie pieniądze, które na prowincję raczej nie docierały, była to raczej asekuracja, że coś robią niż działalność.

Dostawaliśmy też w Paryżu pieniądze od Ireny Lasoty i Jakuba Karpińskiego – zawsze jakieś 100 dolarów. Od Jerzego Giedroycia dostaliśmy też raz czy dwa 100 lub 200 dolarów. Ja byłem na stypendium Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze, załatwił to Mirosław Chojecki, 2000 franków to była na te czasy olbrzymia suma, mogłem chodzić po księgarniach, szukać książek, czytać.

Druk, to było przede wszystkim sito. Sami nie drukowaliśmy, choć Tomek raz „bawił się” w drukowanie. Ja, ani Paweł nie drukowaliśmy nigdy. Stanowiliśmy mózg, redakcję, a wykonanie odbywało się gdzie indziej. Kiedy zebraliśmy pieniądze, stwierdziliśmy, że powinniśmy mieć offset, bo to da nam niezależność i lepszą jakość druku. Wstawiliśmy maszynę do Grudniów, zdając sobie sprawę, że Tomek Grudzień będzie go wykorzystywał do swoich celów, zarabiał na utrzymanie i robił dla innych, potrzebne były ulotki, czasopisma, kilka razy „Informator” Regionu, nam to nie przeszkadzało. Papier, farby, blachy – to wszystko odkupywaliśmy od pracowników drukarni KUL-u.

Nakłady były bardzo różne od 400 egz. do 1000. „Wojny polskiej” Moczulskiego zrobiliśmy 1500 egz., to zostało to na wolne czasy, już nikt się tym nie interesował. „Leksykonu polskiej literatury emigracyjnej” zrobiliśmy 2000 egz. i poszło. Później legalny FIS wydał to w nakładzie 20.000 egz. i też się szybko sprzedało, wtedy takich wydawnictw jeszcze nie było.

Kolportaż był dość łatwy, każdy z nas miał jakieś kontakty. Wystarczyło mieć 5 kontaktów i wrzucić po 50 egz. Ja często, wbrew oczywistym zasadom konspiracji, wozłem książki FIS-u jeżdżąc z wykładami lubelskiej Wszechnicy Związkowej do Świdnika, Opola, Puław czy Stalowej Woli. Paweł oprócz tego robił duże przerzuty do Warszawy, to 800 czy 1000 egz. książki nie stanowiło problemu, czasami okazywało się, że zrobiliśmy zbyt mało. Dodruków nie robiliśmy. Każdy z nas brał książki i znaczki i raz w miesiącu rozliczaliśmy się. Były wtedy pieniądze na inwestycje. Honorariów nigdy nie dostawaliśmy. Paweł gromadził wszystkie potwierdzenia i papiery na czasy wolności, żeby się rozliczyć. Oczywiście nikt od nas tego nigdy nie wymagał. Działalność podziemną skończyliśmy na niedużym plusie, co wystarczyło na założenie legalnego FIS-u.

Nie było w stosunku do nas żadnych wielkich represji, najwyżej zatrzymanie, rozmowa ostrzegawcza, ale w sumie nic nie widzieli.

Aneks 14

Tomasz Pietrasiewicz
Wydawnictwo FIS
Relacja z 21.11.2002 r.
(zapis nieautoryzowany)

Moje pierwsze kontakty z drugim obiegiem, to jest drugi rok studiów: literatura z paryskiej „Kultury” i „bibuła” czyli konkretnie biuletyny: KOR-owskie i formułujące się wtedy Niezależnego Zrzeszenia Studentów. To wszystko dostawałem poprzez środowisko skupione wokół teatrów alternatywnych: Grupa Chwilowa, Teatr Provisorium, Scena 6. Osoby, które w głównej mierze dostarczały tę literaturę z Warszawy, to Jan Bryłowski, Roman Lonc. To był 1977 rok. W tamtym okresie miałem kontakt z wydawnictwami „Spotkań” poprzez Zygmunta Kozickiego. Przed sierpniem 1980 dużo „bibuły” przekazywałem Sławkowi Smykowi - szło to do środowisk robotniczych).

W okresie „Solidarności” trudno mówić o drugim obiegu, można było to kupić wszędzie. Nie byłem w tym okresie związany z żadną grupą.

W stanie wojennym bardzo szybko odtworzyły się wszystkie kontakty, znowu trafiała do mnie bibuła i z Warszawy i z Lublina - poprzez Jana Bryłowskiego, formułujące się środowisko „Karty”, następnie środowisko wrocławskiej „Solidarności Walczącej” i punkt kolporterski prowadzony przez Zbyszka Krawczyka na ul. Weteranów u niego w domu. Z Solidarnością Walcząca kontakt miałem przez Krzyśka Duszkiewicza i Andrzeja Patyrę, ze środowiskiem Karty kontaktowałem się głównie przez Zbyszka Gluzę.

Po 2-3 latach powstał pomysł, żeby samemu założyć wydawnictwo i mieć wpływ na to, co się wydaje. Z Andrzejem Peciakiem miałem kontakt przez cały czas, wymienialiśmy się bibułą, przez Janka Bryłowskiego poznałem jego brata Pawła Bryłowskiego.

W 1984 lub 1985 roku ja, Paweł Bryłowski i Andrzej Peciak postanowiliśmy założyć wydawnictwo. Pierwszą rzeczą, jaką wydaliśmy były „Donosy” Mrożka drukowane przy udziale Jurka Lakutowicza. Wydrukowane były na papierze kratkowanym, ponieważ taki był dostępny. Drukowaliśmy w altance na działce u Jurka. Przygotowaliśmy mieliśmy na Starym Mieście w mieszkaniu jego znajomego Pawła Borucha. Po południu szykowaliśmy sita, a rano jechaliśmy na działkę drukować. Trwało to ponad miesiąc, to była udręka, uczyliśmy się dopiero. To był jedyny raz, kiedy uczestniczyłem w drukowaniu i miałem już tego dosyć.

Powstał też pomysł, żeby robić znaczki pocztowe, tematem był i Afganistan i paryska „Kultura”, „Lubelski Lipiec”, projektantem tych znaczków był Jurek Lakutowicz.

Wydawnictwo rozwijało się i przyszedł moment, żeby robić nie tylko przedruki, ale samemu mieć jakąś inicjatywę wydawniczą. Ktoś z Wrocławia przetłumaczył dla nas Hrabala „Jak obsługiwałem angielskiego króla”. Potem „Leksykon literatury

emigracyjnej”, zbiór tekstów poświęconych paryskiej „Kulturze”. Tak naprawdę byliśmy w to zaangażowani we trzej: Andrzej Peciak, Paweł Bryłowski i ja.

Nazwa wydawnictwa ustaliła się w wyniku naszych rozmów - Fundusz Inicjatyw Społecznych. Mieliśmy ideę, romantyczne marzenie, żeby wspierać i pomagać innym, gdybyśmy mieli jakieś pieniądze. W roku 1986 dostaliśmy stypendium w Paryżu, skąd przywieźliśmy mnóstwo książek, złapaliśmy kontakt z emigracją przez Krzysztofa Lubowieckiego mieszkającego w Danii, któremu przysyłałem rzeczy wydawane w kraju - wklejałem je w inne okładki. Korzystając z wyjazdów z teatrem Grupa Chwilowa wywoziłem informacje, materiały, książki z kraju, przywoziłem sita i inne materiały.

Siłą rzeczy każda działalność nielegalna była polityczna, bo była przeciwko reżimowi, ale to nie było definiowanie siebie poprzez ideologię, a raczej poprzez wartości. Wszyscy wydawali wtedy książki historyczne, ideologiczne, dla mnie najważniejsza była literatura. Czas pokazał, że to się oparło jego upływowi. Odkrywaliśmy wtedy autorów, których inni odkryli i fascynowali się dopiero po 10 latach: Haupt, Leo Lipski, literatura rosyjska. To były nasze oryginalne działania.

Pieniądze płynęły ze sprzedaży książek i znaczków, pierwsze z druku Mrożka, co dało kapitał wyjściowy. Spływały do nas też pieniądze kanałami solidarnościowymi, nie jestem w stanie sobie przypomnieć, chyba przez Jana Bryłowskiego, może z „Tygodnika Mazowsze”, Andrzej Peciak załatwiał coś z Regionu. Raz dostaliśmy pieniądze ze Szwajcarii od Zygmunta Marzysa.

Raz tylko drukowaliśmy na sicie. Do 1989 (1987) roku nie mieliśmy własnych maszyn i druk zamawialiśmy u Ruchlickiego, mieli drukarnię w domu Grudniów. Potem w Warszawie kupiliśmy offset, który obsługiwał Wiesiek Ruchlicki razem z Tomkiem Grudniem. Przywieźliśmy go razem z Pawłem Bryłowskim pociągiem z Warszawy.

Materiały zdobywał swoimi kontaktami Andrzej Peciak.

Dużo książek kolportowaliśmy przez Pawła Skokowskiego, system był taki, że jedni drugim kolportowali książki i bibułę. W ramach sieci kolporterskiej FIS-u miałem stały kontakt z Ryśkiem Galasem.

Zyski przeznaczaliśmy na następne publikacje.

Odróżniało nas to, że spełnialiśmy nasze ambicje wydawnicze, drukowaliśmy literaturę. Mam satysfakcję, że robiliśmy coś, co miało sens, byliśmy częścią tego wielkiego ruchu.

Aneks 15

Andrzej i Barbara Pleszczyńscy

Redakcja „Informatora NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni Lublin”

Relacja złożona 5 listopada 2002 r.

(zapis autoryzowany)

Myśmy nie tyle założyli wydawnictwo, co kontynuowaliśmy wydawnictwo już istniejące, bo „Informator” w podziemiu zaczęły wydawać osoby ze środowiska UMCS: Krzysztof Hariasz, Arkadiusz Kutkowski, Wiesław Ruchlicki i Emil Warda. Oni bardzo szybko po 13 grudnia zaczęli publikować takie piśmiśko, które nawiązywało do legalnego „Informatora”, wydawanego przed 13 grudnia przez Zarząd Regionu.

Nasza grupa uformowała się następująco: po 13 grudnia chcieliśmy działać w ruchu wydawniczym, mieliśmy różne koncepcje, na przykład myśleliśmy o wydawnictwie książkowym. Poprzez Jana Magierskiego skontaktowaliśmy się z jednym z przedstawicieli działającego w podziemiu Związku, który nam zasugerował, żebyśmy utworzyli redakcję Biuletynu podziemnego Zarządu Regionu. Jednak zanim zaczęliśmy to realizować, dowiedzieliśmy się o aresztowaniu redaktorów „Informatora”, którzy wydali już dziesięć numerów pisma. Stwierdziliśmy wtedy, że musimy wydać następny numer, by dostarczyć im alibi. Okazało się, że redaktorzy „Informatora” zostali aresztowani, a potem internowani z zupełnie innego powodu; SB chyba nigdy się nie dowiedziało, że to oni wydawali „Informator”, niemniej myśmy to czasopismo przejęli i od 11 numeru zaczęliśmy je wydawać. Troszkę przez przypadek robiliśmy to, a nie co innego. Początkowo staraliśmy się naśladować tę formę czasopisma, którą nasi poprzednicy wymyślili, a potem stopniowo zmienialiśmy je według naszych koncepcji.

Ideowe założenia były takie, żeby kontynuować działalność „Solidarności” w podziemiu, a uważaliśmy, że działalność wydawnicza i ogólnie informacja, w tamtych warunkach to było coś, czym najlepiej można było służyć niezależnej działalności.

Jeśli idzie o finansowanie poczynań redakcji, to znaczy wydatków związanych z maszynami do pisania, przygotowaniem makiety, częściowo papieru itp. (nie potrafię dokładnie powiedzieć, jak było z finansowaniem druku) to generalnie pieniądze napływały zwykle przez kanały kolportażowe, od ludzi, którzy otrzymywali to czasopismo i chcieli dać pieniądze na tę działalność. Zwykle było to tak, że ktoś nadsyłał pieniądze z pseudonimem i zwyczajowo, w każdym numerze na końcu zamieszczało się pokwitowania.

Działalność była zakonspirowana. Redakcja kontaktowała się w zasadzie z jedną osobą, której przekazywała makietę, tą osobą był Jan Magierski, on przekazywał to dalej do drukarni, w zasadzie nie mieliśmy pojęcia gdzie się drukarnia znajduje, ani kto to robi. Z tego, co wiem i mogę powiedzieć, to przez pewien czas drukował sam Jan Magierski, jednym z naszych drukarzy był Wojtek Guz, było kilku innych i w różnych czasach było różnie. W roku 1988, kiedy już właściwie, zwłaszcza w czasie strajków sierpniowych, było widać, że to zmierza do jawnej działalności, nasza konspiracja mocno się rozprzegła i wtedy ja się kontaktowałem z Wojtkiem bezpośrednio, wozilem mu do drukarni materiały.

Od czasu do czasu także zdobywaliśmy papier. „Informator” miał różne nakłady, nawet do 8 tysięcy egzemplarzy, wtedy na jeden numer potrzeba było 16 ryz papieru i czasami była taka sytuacja, że Jan Magierski mówił, że niestety nie ma na czym wydrukować. Nam jednak zależało na tym, żeby numer wyszedł i zwykle mieliśmy jakiś „zachomikowany” papier, kupowany w sklepach po kilka ryz przez różne osoby i to było właśnie finansowane z tych składek, które do nas napływały od indywidualnych osób.

W kolportażu uczestniczyłem sporadycznie i niechętnie. Ta niechęć wyływała nie tyle z mojej strony, co ze strony organizatorów kolportażu, ponieważ chcieliśmy, żeby różne części konspiracyjnej działalności były oddzielone i żeby przez redakcję nie można było trafić do kolportażu, do drukarni itd. Generalnie kolportaż odbywał się tak, że ktoś wynosił cały nakład z drukarni, później to było przekazywane po kawałku do kilku punktów, tamte punkty przekazywały do następnych punktów itd. i właśnie ja przez pewien czas znajdowałem się w takim łańcuszku, ale z powodu wspomnianych zasad przekazałem tę działalność innej osobie.

„Informator” z numerem 11 (czyli pierwszy przez nas zredagowany) wyszedł w drugiej połowie lutego 1982 i wydawaliśmy go aż do roku 1989, do relegalizacji „Solidarności”, kiedy ukazał się numer 180. Przez te wszystkie lata „Informator” ukazywał się z różną częstotliwością: początkowo, w roku 1982, częściej, potem rzadziej, ale za to w większej objętości i w większych nakładach, no i przy użyciu lepszej techniki.

Zespół redakcyjny także się zmieniał. W samym zespole redakcyjnym ja byłem od początku do końca. W relacji Jana Magierskiego jest napisane, że pełniłem rolę redaktora naczelnego – formalnie takiej funkcji nie było, prędzej by to należało nazwać: sekretarza redakcji, ale niemniej byłem od początku do końca i trzymałem to organizacyjnie. W pierwszej grupie, która to zaczęła w lutym 1982 roku byli: Krzysztof Grudzień, Wanda Baj i Ewa Różycka - wszyscy czworo byliśmy pracownikami Akademii Rolniczej w Lublinie i w czasie legalnej „Solidarności” byliśmy redaktorami „Biuletynu „Solidarności” Akademii Rolniczej”.

Moja żona, Basia (wtedy pracownik Politechniki Lubelskiej), początkowo nie uczestniczyła w redakcji. Dość szybko zaczęła się zajmować pracami technicznymi związanymi z wykonywaniem makiety, a potem weszła w skład redakcji, chyba jeszcze w roku 1982. Pod koniec roku 1982 dołączył do nas Józef Krzyżanowski, który formalnie został nam przedstawiony jako przedstawiciel podziemnego Zarządu Regionu „Solidarności” do współpracy z „Informatorem”, potem praktycznie wszedł w skład redakcji i jest autorem wielu tekstów. Krótco potem z redakcji odeszła Wanda Baj, potem Ewa Różycka, natomiast doszła Grażyna Ziółkowska, także pracownik Akademii Rolniczej. Koło roku 1987 odszedł także Krzysztof Grudzień. Do końca w składzie redakcji byliśmy: ja, moja żona Basia, Grażyna Ziółkowska i pan Józef Krzyżanowski. W „Informatorze” były zamieszczane oficjalne dokumenty związku, czasami przedruki z innych tytułów (np. Tygodnik Mazowsze). Ale przede wszystkim staraliśmy się zamieszczać, jak najwięcej informacji lokalnych.

Te informacje zdobywaliśmy różnie, trochę spływało kanałami kolportażu, aczkolwiek tutaj często były problemy z wiarygodnością, nie zawsze mogliśmy z nich z zaufaniem skorzystać. Było także Biuro Informacyjne. Początkowo była to po prostu

skrzynka kontaktowa, gdzie wrzucano nam informacje podpisywane Lubelskie Biuro Informacji (nie wiem, kto to robił); był tam serwis informacyjny z różnych zakładów regionu, nie wiem, jakimi kanałami osiągnęto, ale to trwało krótko. Później - przez wiele lat - takie Biuro Informacji prowadziła Ania Truskolaska, wówczas pracownik Biblioteki KUL. Dostarczała nam wydawnictwa i prasę z całej Polski, które jej przywozili księża, studenci i inne osoby z różnych regionów. Miała wiele różnych kontaktów w zakładach pracy na Lubelszczyźnie. Zbierała i opracowywała dla nas informacje. Staraliśmy się je wykorzystywać, jeśli ich wiarygodność nie budziła naszych poważniejszych zastrzeżeń. Przydatne materiały i analizy otrzymywaliśmy też od „Wikarego” (Radosława Drwala z UMCS).

Od czasu do czasu sami pisaliśmy artykuły. Autorem mógł być każdy z członków redakcji, choć pewnie najwięcej ich napisał Józef Krzyżanowski. Jednak autorstwo tych tekstów często było w pewnym sensie zbiorowe, ponieważ ich treść kształtowała się w trakcie redakcyjnej dyskusji, a potem ktoś to po prostu musiał napisać. Mieliśmy też różnych autorów zewnętrznych, którzy nam dostarczali gotowe teksty i tutaj naszym stałym współpracownikiem był autor, który się podpisywał BB (mówiło się, że to znaczy: „Bij Bolszewika”). Tenże autor przez długi czas, nawet po 89 roku, nie zgadzał się, żeby ujawnić jego tożsamość, ale teraz już można powiedzieć, że to był pan Zdzisław Kowalski, pracownik UMCS. Przez pewien czas, krótkie teksty o moralności pisywał dla nas ks. Wacław Oszejca podpisujący się JaNad, (był to skrót pseudonimu Jakub Nadbystrzycki, pod którym ks. Oszejca wydał książkę ze swoimi wierszami). W późniejszym okresie Wacław Biały pisywał recenzje z różnych niezależnych filmów video. Oprócz tego, od czasu do czasu, dostawaliśmy rozmaite teksty - podpisane lub nie, często nieznanego dla nas pochodzenia, które także zamieszczaliśmy, lub nie.

Jeśli idzie o redakcję, to nie było żadnej wpadki i żadnych represji z tym bezpośrednio związanych, od początku do końca. Może dlatego, że przestrzegając zasad konspiracji, nie kontaktowaliśmy się ani z kolportażem ani z drukarnią, tylko przez cały czas z jedną osobą - Janem Magierskim. Jeśli idzie o represje wobec bliższych lub dalszych współpracowników, to dotknęły one naszych kolporterów „górnego piętra” - Wacław Wasilewski (aresztowany w 1985 roku) i Franciszek Bujak przyplacili swoją działalność półtorarocznym więzieniem, a Wacław Wasilewski dodatkowo przepadkiem samochodu (potem Związek mu ten samochód odkupił). Represje dotknęły także jedną z naszych współpracownic, która była w więzieniu z powodu „Informatora”, choć być może SB nie połączyło jej osoby z naszym pismem. Przez pierwsze lata staraliśmy się w domach mieć jak najmniej materiałów i na przykład nie mieć maszyn do pisania. „Informator” był wtedy drukowany na powielaczu białkowym, do którego przygotowywaliśmy makietę na specjalnych matrycach. Makietę sporządzaliśmy w domach ludzi, którzy nam użyczali swojego mieszkania na ten czas. Przez pewien czas korzystaliśmy z mieszkania pani Ewy Stobnickiej (wówczas pracownika AR), od którego mieliśmy klucze. Tam była maszyna, zapas czystych matryc i jeśli ktoś potrzebował, to przychodził, pisał, a napisane makiety często tam zostawiał i dopiero po pewnym czasie się je zabierało. W pewnym momencie była tam rewizja, akurat w dniu, kiedy zwykle zostawały tam zapisane matryce z „Informatorem”, ale akurat tak się szczęśliwie złożyło, że tym razem ich tam nie było. Znalaziono tylko elektroniczną maszynę do pisania IBM, nawet bez głowic (te głowice mam do dzisiaj), i czyste matryce. To zostało

skonfiskowane, a Ewa Stobnicka została aresztowana, otrzymała sankcję prokuratorską na trzy miesiące, potem przedłużoną. Był to rok 1983 i na mocy amnestii na 22 lipca Ewa została zwolniona - żadnych zarzutów jej nie postawiono, ale około pięciu miesięcy przesiedziała w więzieniu. Było wiele osób, które użyczały mieszkań, a także przechowywały materiały do druku, makiety, które w przypadku ich znalezienia byłyby bardzo obciążające.

„Informator” był kolportowany za darmo. W zasadzie nie było wynagrodzeń dla autorów, ale w ostatnich latach uznaliśmy, że dla niektórych ludzi jest to źródło utrzymania i niektórym osobom płaciło się za teksty.

Z biegiem lat konspiracja się rozluźniała i wiele prac wykonywaliśmy w domu, wnosiliśmy tylko z domu maszynę do pisania, kiedy nie była potrzebna.

Z naszego osobistego punktu widzenia było to 7 lat życia pod znakiem „Informatora”; choć obydwójce pracowaliśmy zawodowo, codzienność była podporządkowana „Informatorowi”.

Aneks 16

Paweł Skokowski

Relacja z 2 kwietnia 2003 r.

Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość”

(zapis nieautoryzowany)

W 1983 roku, przy okazji wizyty Papieża w Polsce, doszło do pierwszego przypadkowego spotkania z ludźmi, którzy w Warszawie założyli Liberalno-Demokratyczną Partię „Niepodległość”. Wówczas nie miało to jeszcze w swojej nazwie słowa „partia” (były to jakieś inne słowo, którego nie pamiętam), partią stało się po roku lub po dwóch latach. Natomiast wydawano już wówczas miesięcznik „Niepodległość” i praktycznie była to próba zaangażowania mnie do współpracy z miesięcznikiem. Wówczas padła propozycja, by zorganizować w Lublinie grupę, która mogłaby na początek zająć się przynajmniej kolportażem, a potem drukiem tego pisma na lokalne potrzeby i ewentualnie jakimś rozwojem, który byłby możliwy lokalnie.

W 1981 roku stan wojenny zastał mnie z paszportem, wybierałem się na dwuletnie stypendium na Zachodzie i nie udało mi się wyjechać. Żona była w tym czasie na Zachodzie. Nie byłem w nic zaangażowany, nie byłem niczym obciążony, nie miałem, co prawda, magisterium, ale miałem ukończone studia. Chciałem się w coś zaangażować, a zaangażowałem się LDP”N”, ponieważ zawsze miałem takie poglądy. To, co mi na spotkaniu kontaktowym przedstawił szef grupki warszawskiej, odpowiadało moim poglądom i w związku z tym nie było żadnej przeszkody, żeby się zaangażować. Były to na owe czasy kuriozalne poglądy, a nawet czasem uważane za ubeckie. Składały się one z kilku prostych założeń, jeżeli ma być coś nowego w Polsce, to musi to być wolny rynek, bez żadnych „trzecich dróg” i jakichkolwiek innych odchyleń, nie może Polska pozostać w jakikolwiek sposób w orbicie wpływów Rosji.

Zakładaliśmy, że przemiana dokona się - i to się sprawdziło - przez rozpad Związku Radzieckiego. Założenie było takie, że będzie to jedyny moment, kiedy będzie można coś takiego zrobić. I założeniem było, że dojdzie do rozpadu z powodów ekonomicznych. Następnym założeniem, było coś, co było powodem największych sporów w podziemiu wokół pisma „Niepodległość”, był to też powód, dla którego uważano nas za grupę ubecką - uważaliśmy, że Ukraina oderwie się od Związku Radzieckiego, co traktowano, jako kompletną fantasmagorię. I, że warunkiem osłabienia Rosji jest oderwanie się Ukrainy, jakiegokolwiek, byleby ona się oderwała. Następne założenie było takie, że jednoznacznie musimy się „podłączyć”, w jakikolwiek sposób do Zachodu, w tym do bloku NATO - i to też było jednym z powodów, dla którego uznawano nas za grupę ubecką. W roku 1982, kiedy powstały tezy programowe, środowisko warszawskie uznało grupę „Niepodległość” za ugrupowanie sterowane przez ubecję warszawską, ponieważ były to tak radykalne tezy. Ponieważ mnie to odpowiadało, gdyż uważałem, że realnie rzecz biorąc, nie ma żadnej możliwości dogadania się ze Związkiem Radzieckim, jeśli chodzi o system ekonomiczny, uważałem, że nie ma żadnej szansy na jakiegokolwiek „trzecie drogi”, bo takiej „trzeciej drogi” w świecie nie ma - można podejść w sposób wyłącznie

praktyczny. Jeśli Polska ma wygrać swój moment historyczny, to kopiując coś sprawdzonego. Nigdy nie będzie czasu na to, żeby eksperymentować, bo eksperymenty są kosztowne.

Uważaliśmy, że jedynym sensownym rozwiązaniem jest demokracja. W sensie politycznym i militarnym nigdy Polska nie uzyska choćby minimum samodzielności, jeżeli się nie oderwie od jakkolwiek nazywającej się Rosji – czy to będzie Związek Radziecki czy nowa Rosja, musi to zostać historycznie przerwane. Większość uważała to za mrzonki, bo po pierwsze Rosja nigdy się na to nie zgodzi, a po drugie, że Zachód nie bierze tego w swoich kalkulacjach pod rozwagę.

Wychodziliśmy z założenia, że nieważne, w jakim momencie się to dokona. Istotne jest to, żeby ci, którzy dożyją tego momentu byli myślowo przygotowani na wdrożenie tego planu. Zakładaliśmy, że największą wadą wszystkich ugrupowań politycznych jest brak przygotowania do wdrożenia planu politycznego w życie – jeżeli człowiek nie jest gotowy do oderwania się, to się nie oderwie. Przytoczę tu pewną anegdotkę – w 1989 roku rozmawiałem z Jackiem Kuroniem na parę chwil przed wywróceniem się wszystkiego. Było to spotkanie ludzi ze wszystkich stron opozycji, spotkały się ugrupowania niepodległościowe z KOR-owskimi, żeby się dogadać, kto kogo będzie reprezentował przy „okrągłym stole”. Generalnie tamta strona była przeciwna udziałowi ugrupowań niepodległościowych przy „okrągłym stole” i próbowała nas zmarginalizować. Spotkanie to pokazało przyszły konflikt na scenie politycznej, jedna część opozycji próbowała zawładnąć wszystkim. Rozmawiałem potem z sześć godzin w mieszkaniu Jacka z nim o polityce. Pamiętam, jak zadałem mu pytanie a propos założeń teoretycznych – czy gdyby zaistniała sytuacja wyboru – opowiedziałby się za wolnym rynkiem czy socjalizmem, sugerowałem, że Kuroń z pewnością znajdzie się „na świeczniku”. Kuroń był pewien, że Rosjanie na to nie pozwolą. Drażyłem, co stałoby się, gdyby sytuacja wymknęła się spod kontroli Rosji i musiałyby wybierać. Odpowiedział mi w taki sposób, który dominuje w życiu politycznym do chwili obecnej i jest w zasadzie główną trucizną w życiu gospodarczym Polski, odpowiedział - ostatecznie tak. Uważam, że do dzisiaj jest w Polsce kapitalizm w wersji „ostatecznie tak” i jest i go nie ma, bo to ugrupowanie praktycznie zadecydowało o ukształtowaniu praw rządzących wolnym rynkiem, a właściwie o braku tych praw. Jest to miara ewolucji, jaką przeszły opozycyjne siły polityczne w Polsce. W 1980 roku nikt nie dopuszczał w zasadzie kapitalizmu do głosu, a gdzieś pod koniec były przebłyski, że coś z tym fantem trzeba zrobić, a „trzeciej drogi” nie ma – coś trzeba wybrać.

Wcześniej miałem w Lublinie kontakt z całym podziemiem i nie byłem w stanie tego tolerować, uważałem tych ludzi, przepraszam za ostrość sformułowania, za zwykłych głupków politycznych. Uważałem, że nie ma sensu zajmować się jakąkolwiek robotą polityczną w warunkach, gdy „Solidarność” została zlikwidowana i jacyś faceci z zakładów pracy są zdania, że pewnego dnia wyskoczą z garnkami na ulicę, sekretarz ustąpi i coś im tam da. Bo to się w sumie sprowadzało do takiego dyrdymalenia, że coś się uda uzyskać, nikt nie wiedział, co, na zasadzie zima wasza, wiosna nasza. Wydawało mi się, że gdyby nawet miało to być dwadzieścia lat. Czy ja będę siedział 5 czy 10 lat, to niezależnie od skali trudności przedsięwzięcia, uważałem, że polityka nie rozgrywa się na zasadzie, że prowadzi się pertraktacje - bo nie ma z kim. Dobrze, jeśli w polityce są różne opcje, one są ujawnieniem tego, co

ludzie myślą i nawet, jeśli jest taka opcja „na dogadanie się” nie wychodzi, to wtedy na scenę wychodzi opcja na „niedogadanie się”. Jeśli chodzi o nasze ugrupowanie, to byłem po tej stronie, która nie była przeciwna użyciu siły. Ja w pewnym momencie byłbym za tym, żeby przejść do walki zbrojnej, bardzo wielu ludzi miało na to ochotę. Było to do zorganizowania, jeśli miałbym wywalić w powietrze komitet partii, to bym go wywalił, pewnie nikt by mnie nie powstrzymał. Mieliśmy oczywiście zdrowy rozsądek i nie myśleliśmy, żeby organizować tego typu opór, ponieważ sytuacja była tego rodzaju, że w polityce europejskiej nie było to przyjęte, a myśmy próbowali „podłączyć się” po obieg europejski i amerykańskie źródła finansowania. Nie mogliśmy być postrzegani, jako ludzie, z którymi nie ma, o czym rozmawiać, bo nie uprawiamy polityki według dopuszczalnego kanonu. Dążyliśmy do takiego sposobu zaistnienia, żeby ktoś w Niemczech, we Francji, w Stanach Zjednoczonych, dostrzegął, że wprawdzie jest to 50 czy 100 osób, ale są to ludzie myślący zdroworozsądkowo i można im pomóc.

Myśmy zdawali sobie sprawę, że gdyby komuś przyszło do głowy rzucić granatem w komitet, to byłoby po nas. W tym sensie zawsze odpowiadała mi teza Piłsudskiego, że przychodzi taki moment, że lepiej jest zginąć niż żyć w wychodku. W moim przypadku sprowadzało się to do rozumowania, że jeżeli ktoś bierze się za politykę świadomie, to musi liczyć się z tym, że może zginąć – może dostać w łeb, może zostać poturbowany, spałowany, może zostać inwalidą, musi zdawać sobie sprawę z konsekwencji. Wiedziałem, że statystyka jest nieubłagana i w którymś momencie wpadnę. Parę razy uciekałem w taki sposób, że miałem milicję „na tyłku”. W Warszawie kiedyś udało mi się uciec na zasadzie, że gonili mnie tajniacy i ja, ku ich zaskoczeniu, wszedłem przez ulicę pod samochody, to ich zgubiło, bo nie mieli odwagi tak przejść, wskoczyłem do tramwaju, przejechałem jeden przystanek i wszedłem między bloki – już było po wszystkim. Mój kolega postąpił ze mną idiotycznie, umówił się ze mną na dworcu w Warszawie. Nie wiedziałem, że ubecja jest przyzwyczajona do lenistwa opozycjonistów, którzy się spotykają na Dworcu Centralnym. Chcieli nas tam zgarnąć, to on był obstawiany, nie ja. Są to sytuacje, że możesz sobie różne rzeczy myśleć, a i tak wpadniesz.

W Lublinie miałem takie sytuacje, że właściwie tylko cud mnie uratował. Miałem takie śmieszne historie, że wiozłem bibułę z oficerem ubecji z Warszawy. Zabrał mnie „na stop” oficer z Warszawy, który meldował Komendzie Wojewódzkiej, po drodze, że jedzie. Myślę, że Jacek Kuroń był tego samego zdania. Ci ludzie zaczęli swoją opozycję od stalinizmu, myślę, że mieli więcej lęków. Nigdy nie byłem zwolennikiem socjalizmu, taki się urodziłem. Od początku, od kiedy „załapałem”, o co chodzi, byłem przekonany, że jest to szczyt głupoty ludzkiej i nie wyniosłem tego z wychowania w rodzinie – człowiek się taki rodzi, po prostu. Pierwsze swoje interesy w socjalizmie zarobiłem, kiedy miałem 12 lat. Mieszkałem na wsi, nie miałem pieniędzy, nie miałem ich jak zarobić. Poszedłem do sąsiada, który był szefem jednego z działów gminnej spółdzielni. Zaproponował mi, żebym przebierał ziemniaki na eksport. Po jednym dniu doszedłem do wniosku, że niewiele na tym zarobię, ile mogę przebrać ziemniaków? Pozwolił mi zorganizować pracę po swojemu. Poszedłem do chłopów, którzy stali w kolejce i namówiłem ich, żeby, jeśli chcą szybciej jechać do domu, posortowali ziemniaki sami. Szybko wszystko przesortowali i odjechali dwadzieścia parę godzin wcześniej, byli bardzo zadowoleni, a ja zarobiłem górę pieniędzy, choć tylko przynosiłem worki. Nie byłem nigdy zwolennikiem tego, co

nazywało się „socjalizmem” i jestem przekonany, że gdyby nie było takiego zbiegu okoliczności, to bym z całą pewnością z Polski wyjechał po skończeniu studiów. Ani tego nie tolerowałem, ani tu nie chciałem żyć, poza tym skończyłem filozofię i miałem to, od strony teoretycznej, „przeorane” od góry do dołu. Nie było powodów, żebym nie zaakceptował takich poglądów, poza tym uważałem, że w życiu sprawdzają się tylko rozwiązania zdroworozsądkowe, więc jeżeli mi ktoś mówi, że jakiś I sekretarz jest tak mądry, że ma o czymś decydować, jest to dla mnie przejaw debilizmu. Mechanizmy decyzyjne są całkiem inne i nie są związane z I sekretarzem, kiedy się skończy filozofię, to się to wie.

Nazwa była wspólna dla całej Polski. Pismo centralnie wydawane nazywało się „Niepodległość”, na dole miało nadruk: Liberalno-Demokratyczna Partia „Niepodległość”. Umowa była taka, że dopóki tu, na miejscu nie powstanie wystarczająco liczna grupa ludzi, nie będziemy robić wersji lokalnej, bo to spowoduje wpadkę. Podziemie zawsze cierpiało na to samo – słaby mechanizm selekcji. Jeśli ktoś się czegoś nauczył i wpadł, to była katastrofa. Programowo nie uczestniczyliśmy w żadnych manifestacjach i widowiskowych przedstawieniach, gdzie można było zostać aresztowanym. Na początku uczestniczyłem w czymś takim, wpadłem i dałem sobie spokój. Na co dzień było i tak dużo ryzyka ze sprzętem, papierem, więc mnożenie ryzyka było bezsensowne.

Z czasem powstawały pisma regionalne. Próbowaliśmy tu utworzyć takie pismo, w 1985 roku, które nazywało się „Gazeta Polityczna”, nie miało ono zbyt długiego żywota, ponieważ poszedłem siedzieć. Miała to być jednokartkówka z wiadomościami regionalnymi i próbami dyskusji o sprawach merytorycznych. Była to próba stworzenia pisma, gdzie chciałem namówić ludzi z „Solidarności”, „Solidarności Walczącej” i nie tylko, na dyskusję o tym, co w przyszłości w Polsce powinno być, a nie o tym, jak kto teraz cierpi. Nie za bardzo się to udawało, bo okazywało się, że większość ludzi, z którymi rozmawiałem nie miała żadnych poglądów. Udawałem się do wielu ludzi, o dużym potencjale umysłowym i większość z nich nie miała żadnych poglądów. Nie było, o czym dyskutować, odnosiło się wrażenie, że większość ludzi boi się mieć jakiegokolwiek poglądy. Był to dla mnie spory wstrząs. Wydawałem potem, gdzieś około roku 1984, pismo, które nazywało się „ABC” – pierwsze litery pochodziły od nazw trzech mórz: Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne. Był to kwartalnik poświęcony analizie tego makroregionu, założony przez Bronisława Komorowskiego. Ja mu to pismo wydawałem. Było to pismo historyczno-teoretyczne na bardzo wysokim poziomie, skupione na tym, aby od strony historycznej pokazać możliwość zaistnienia sytuacji historycznej, która spowoduje, że ten region uzyska samodzielność polityczną. Redakcji nie znałem, raz umówiliśmy się z Komorowskim na technikę przekazywania w jedną i drugą stronę, to nigdy to nie nawałało. Spotykałem się z nim potem wyłącznie w kwestiach technicznych.

Generalną myślą ludzi z „Niepodległości” były działania, aby powstawało zaplecze intelektualne. Miał być program, praca w oparciu o program i konstruowanie poszczególnych myśli politycznych, a potem, żeby z tym przebić się na Zachód i mieć kontakty z tą częścią, która chce finansować opozycję tutaj. Była to prosta, ale jednocześnie klarowna, konstrukcja myślowa – było wiadomo, po co się to robi. Jeśli coś robimy, to nie po to, żeby czerwonego „szczypnąć w tyłek”, bo to generalnie mało nas interesowało, co ubeka, który mnie przesłuchiwał bardzo zdziwiło.

Powiedziałem, że nie mam mu nic do powiedzenia, bo nie jest dla mnie partnerem, nie ma żadnych poglądów – więcej się nie pokazał.

W roku 1989, na skutek mojego wyjazdu do Paryża, gdzie nawiązałem kontakt - przy pomocy ludzi z „Solidarności”, którzy wyemigrowali wcześniej - z opozycją ukraińską. Grupa lubelska miała swojego przedstawiciela w Stanach Zjednoczonych, który nawiązał kontakty z tamtejszymi środowiskami ukraińskimi. Wydawaliśmy tu dwa pisma przygotowywane przez opozycję ukraińską - najpierw w Stanach, a potem zaczęliśmy angażować Ukraińców przebywających w Polsce. Był to serwis informacyjny dla Ukraińców, pismo dwujęzyczne, ukraińsko-polskie. Zgodnie z umową przykazywaliśmy to Ukraińcom, którzy mieli to rozprowadzić między sobą. Inicjatywa ta wzięła się z fragmentu planu politycznego, że liczymy na Ukraińców, że oderwą się i podejmą z Polską regionalną współpracę, która będzie stanowić siłę będącą przeciwagą dla Rosji.

Jeśli chodzi o wybór tytułów - pamiętam tylko największe przedsięwzięcia. Próbowaliśmy wydać „Historię Związku Radzieckiego” Michaiła Hellera, historyka rosyjskiego, który wyemigrował przez Polskę do Francji.

Czasami drukowaliśmy też „Informator” Regionu Środkowo-Wschodniego, bo mieliśmy duże moce przerobowe.

Drukowaliśmy wszystko na sitach. Nie mieliśmy takich kontaktów, żeby mieć maszyny. Miałem pojęcie o maszynach i wiedziałem, że nie każdą warto brać. Większość maszyn musi być ulokowana w miejscach specjalnych, bo wydaje takie odgłosy, że trudno to ukryć. Metoda sitodrukowa dawała możliwości druku w każdym miejscu i bez śladu, a wydruk był gotowy. Ustawialiśmy dwa stanowiska sitodrukowe, przychodziliśmy z gotowymi matrycami, inna ekipa wносиła papier, inna wносиła arkusze. Było to tak zorganizowane, że szło szybko i sprawnie, a także tanie. Jedyna potrzebna rzecz, to była sama siatka, którą kupowaliśmy, bez problemu, z przemytu z Zachodu, a reszta, to była pasta komfort i plakatówki. Trzeba było zdobyć papier, co w Polsce nie sprawiało większych trudności. Koszty były minimalne. Zebrałem wokół siebie dużą grupę ludzi, ponad 15 osób, stale współpracujących, na różnych poziomach, mogących praktycznie wydrukować wszystko, o każdej porze dnia i nocy. Prawda o podziemiu też jest taka, że tak naprawdę robotnicy niewiele robili i nie mieli ochoty nic robić. Większość osób, która cokolwiek robiła, to byli ludzie z wyższym wykształceniem - studenci czy po studiach. Nawet do ciężkiej, fizycznej roboty, systematycznej - nie byłeś w stanie zagonić żadnego robotnika. Była to miara kultury pracy robotnika polskiego. Na początku tego próbowałem, ale to się nigdy nie udało. Owszem, ci ludzie byli fajni, ale nigdy niczego nie zrobili punktualnie, nigdy niczego nie zrobili do końca, wszystko to były niedoróbki. Nie było, co na nich liczyć, a ponieważ tu obowiązywała jakość, więc oni z tego wypadali. Tak naprawdę było, przepytawałem potem ludzi z innych wydawnictw - wszystko robili ludzie z wyższym wykształceniem, nie było żadnych robotników. To tak a propos „Solidarności” i tego motywu robotniczego.

Na początku wszystko finansowałem ze swoich pieniędzy. Dopiero po dwóch latach dostałem jakieś 100 dolarów, zdobyte przez ludzi z Centrali, nie wiem, jakimi kanałami. Myśmy mieli grosze, po latach pojawiły się jakieś groszowe pieniądze. Zasada była taka, że musimy zdobyć sami pieniądze, za te pieniądze kupić papier i

sprzedać te gazety za tyle, żeby mieć potem na sito, papier, farby. Nie było stałych źródeł finansowania. Dopiero, kiedy kończyła się komuna, wyjechałem do Paryża i tam nawiązałem kontakty przy pomocy ludzi z „Niepodległości” siedzących w Paryżu, pojawiły się realne możliwości finansowania z Zachodu. Na przykład pojechałem do Chojeckiego, który wtedy robił „Kontakt” i zapytałem go wprost czy da forszę, oczywiście odmówił, dlatego, że to nie była „ta strona”. Oni mieli pieniądze, bibuły owszem mógł mi trochę dać, papieru, ale jak chciałem pieniędzy i sprzętu. Obszedłem najlepsze firmy poligraficzne w Paryżu, więc wiedziałem, czego chcę. Powiedziałem Chojeckiemu, że chcę sprzętu, który mógłby mi drukować na zwołanie, co chcę. Potrzebowałem 15.000 dolarów, żeby kupić w Paryżu maszynę, a drogi przemytu miałem w Paryżu załatwione, nie siedziałem tam na próżno.

Nie mogłem zdobyć takich dużych pieniędzy, jednym z obrotniejszych ludzi, których spotkałem w Paryżu był Piotr Jegliński, ale wtedy był już bardzo leniwy. Emigracja w Paryżu stawała się po pewnym czasie emigracją leniwą. Nie można już powiedzieć, że była to emigracja polityczna, moim zdaniem oni nie robili już nic. Ludzi na miarę Giedroycia tam nie było. Z osób, które tam spotkałem niesamowicie obrotna była Irena Lasota, była to gwiazda pierwszej wielkości, ale nie współpracowałem z nią na tyle, żeby zrozumieć, na czym się potykała. Była po stronie prostych wartości – niepodległości, wolnego rynku. Kiedy wyjechałem po raz pierwszy na Zachód zorientowałem się, że bez prawidłowo ukształtowanej struktury na Zachodzie trudno myśleć o zbudowaniu czegoś w kraju. W czasie moich licznych rozmów na Zachodzie rozmawiałem z wieloma ludźmi, między innymi z Aleksandrem Smolarem. Ja go rozbawiłem i on mnie rozbawił. Był bardzo ciekawy, jakie są moje refleksje na temat aktualnej sytuacji w Polsce. Opowiedziałem mu o niedawnym spotkaniu z Jackiem Kuroniem i innymi osobami oraz moich przeczuciach, że to wszystko się niedługo „wywróci”. Spytał mnie, kto po przewrocie będzie odgrywał w Polsce główną rolę, na co odpowiedziałem mu, że mamy czwórkę: Geremka, Mazowieckiego, Kuronia i Michnika, a poza nimi nikogo więcej nie widzę. Uznał Jacka Kuronia za zbyt słabego intelektualnie. Powiedziałem, że nie docenia Kuronia. Potem żałował tego, co palnął.

Smolar uświadomił mi, jak KOR miał rozbudowane struktury na Zachodzie i jak przechwytywali wszystko. Mieli gigantyczny, i do dzisiaj mają, monopol na informację. Jeśli ktoś o coś pytał, to ich pytał. Z drugiej strony ta część niepodległościowa miała słabych przedstawicieli na Zachodzie. Kolega siedział tam przez wiele lat i niczego wielkiego nie zwojował. Ja posiedziałem tam przez kilka miesięcy i miałem taką propozycję ze strony ludzi o orientacji prawicowej, którzy chcieli dać mi 500 tysięcy dolarów, pod warunkiem założenia prawicowego dziennika w Polsce. Postanowiłem po powrocie do kraju znaleźć chętnych. Przyjechałem do Lublina i obszedłem znajomych, nie znalazłem ani jednej chętnej osoby. Ci ludzie mieliby pracę, teoretycznie byli zainteresowani dziennikarstwem. Postawiłem warunek, że podpisujemy umowę – jeżeli weźmiemy pieniądze, to razem za to odpowiadamy. Ponieważ zajmowałem się drukowaniem, wiedziałem, że 500 tys. dolarów, to jest dla prasy niewiele. Można stracić pieniądze i nic nie zrobić. Musiałem odmówić, wywołało to szok po drugiej stronie.

Tamta strona sceny politycznej przechwytywała wszystko, co się dało, mają dzisiaj „Gazetę”, fundacje, są zakorzenieni. Nasza strona sceny politycznej nie ma nic, nie

nauczyli się tego. Siedziałem w więzieniu z Leszkiem Moczulskim i w trakcie wielu dyskusji uznałem, że nie ma poglądów, był oburzony. Nie miał poglądów ekonomicznych, ani na temat zorganizowania się po uzyskaniu niepodległości, chociaż KOR-owcy mieli pewien „dryg” do organizacji i spore poczucie lojalności wobec siebie. Natomiast po prawej stronie, „pod ziemią”, zawsze były wyskoki i tak jest po dziś dzień. Bierze się to z nieumiejętności wypracowania jednego programu.

Drukowaliśmy tylko techniką sitodruku. Nie mieliśmy stałych miejsc. Z reguły było tak, że jeśli mogliśmy gdzieś dłużej drukować to robiliśmy to, ale zasadniczo te miejsca zmienialiśmy. Maszyn nie używaliśmy w ogóle, bo ich nie posiadaliśmy. Materiałem było sito, które kupowaliśmy z przemytu, albo z kontaktów. W późniejszym okresie miałem rozbudowane kontakty i najczęściej z Warszawy, a także trochę z Regionu sita dostawałem. Robiłem sporo usług, dostawałem, więc gumę na rakle. Szkolenie sitodrukowe robił mi Wojtek Guz, a ja potem szkoliłem następnych, tak było bezpiecznie. Wojtek nie musiał poznawać innych ludzi. Zabezpieczyło mnie to przed typową dezynwoltura solidarnościową, że jeśli ktoś raz się poznał, to potem go w domu wizytował. „Solidarność” nie przestrzegała żadnych zasad konspiracji, w zasadzie można przyjąć, że ubecja znała ich wszystkich, od góry do dołu. Pracowałem z nimi, to wiem, że niemalże w tramwaju wymieniali się bibułą. Farba to była pasta komfort odciedzona na damskiej pończosze, żeby nie miała zabrudzeń, zmieszana z farbą plakatową. Kosztowało to grosze. Najgorszą rzeczą był papier. Ja miałem swoje kontakty w sklepach papierniczych. Na początek Wojtek Guz trochę papieru mi dał, to znaczy zapłacił mi papierem za wykonaną robotę. Drukować samodzielnie zacząłem natychmiast, był to koniec 1983 albo początek 1984 roku. Miejsce do druku mieliśmy zwykle w blokach. Blok był najlepszym miejscem, mnóstwo ludzi, jeśli wejdzie do bloku, niesie plecaki, wynosi plecaki – nikt na to nie zwróci uwagi.

Nakłady były duże, ponieważ, w zależności od możliwości, robiliśmy druk na potrzeby lokalne i na potrzeby Warszawy. Dostawaliśmy materiały z Warszawy, a wszystko inne robiliśmy na miejscu. Czasami nakłady sięgały 3000 egz. Objętość była w granicach około 30 stron formatu A-4. Stosowaliśmy duży druk, żeby mogły to czytać wszystkie grupy wiekowe.

Lokalnie kolportaż odbywał się tak, jak u wszystkich. Mieliśmy troszkę swoich wejść do rozmaitych środowisk. Generalnie korzystaliśmy z tej sieci niezależnych kolporterów, bo nie był to kolportaż wyłącznie Regionu. Nigdy nie było tak, żeby to był kolportaż lokalny - Lublinianie dostarczali „Niepodległość” do Warszawy, bo mieli kontakty, a Warszawiaci dostarczali ją do Lublina, bo mieli kontakty. Robiłem to zawsze „pod zamówienie”, wiedziałem, że konkretni kolporterzy wezmą jakąś ilość i potem mi za to zapłacą, żebyśmy mieli potem, z czego przeżyć.

Nigdy nie było wpadek drukarni, wpadkę miałem tylko ja sam. Była to wpadka przy przewozie. Wpadka była śmieszna, gdyż z rozmów milicjantów, którzy mnie zaaresztowali, wnioskowałem, że oni polowali na rąbankę. To była niedziela i rutynowa kontrola, podobno ci, którzy handlowali mięsem, robi li to w niedzielę, bo wtedy mieli czas i robili to rano. Gdybym jechał po południu prawdopodobnie bym nie wpadł. Kiedy milicjanci zobaczyli taksówkę z Lublina pod Warszawą, to wzbudziło ich niepokój, a ja po prostu nie miałem tego, czym zawieźć i wynająłem taksówkę, co prawda taksówkarz nie był przypadkowy, o tyle, że go znałem, ale nie miał wiedzy o

tym, co robię i w mojej sprawie nie odpowiadał, bo nie był w stanie nic powiedzieć. Miałem, niestety, przy sobie receptę od Krzyska Wróblewskiego, bo byłem wtedy zakatarzony. Powinienem był sprawdzić przed wyjazdem, żebym nie miał przy sobie żadnej notatki, ani adresu, ale ta recepta leżała złożona w kosteczkę w kieszeni. Zabrali mnie do Otwocka, gdzie osadzili mnie w sądzie rejonowym i pojechałem do Białołęki. Odsiedziałem 9 miesięcy.

Druk książek to był dla mnie dodatek, głównie interesował mnie druk pisma.

Z ciekawszych spostrzeżeń doszedłem, że poprzez kontakty ze Stanami Zjednoczonymi, które nastąpiły pod koniec działalności, mogliśmy spodziewać się, że w perspektywie dwóch, trzech lat przyniosłyby efekty w postaci sporego dofinansowania i zmiany usytuowania naszego ugrupowania na scenie politycznej. Poprzez swoich znajomych dotarłem do samego Zbigniewa Brzezińskiego i prowadziłem przez nich rozmowy z Brzezińskim. Wszystko to „rozeszło” się w tradycyjny sposób. Kiedy zobaczyłem „okrągły stół”, a byłem wtedy w Paryżu, zrozumiałem, że to koniec tego typu działalności, trzeba wyjść na powierzchnię i zacząć tworzyć normalną partię polityczną. Dokonałem podsumowania na „nie”, gdyż nie mieliśmy żadnego zaplecza finansowego, osobiście byłem w takiej sytuacji, że nie posiadałem nic, ani mieszkania, ani rodziny, ani pracy. Byłem człowiekiem stojącym z plecakiem na ulicy. Zdałem sobie sprawę, że jeżeli w polityce mam coś znaczyć, to nie mogę tak żyć, ponieważ byłem człowiekiem ciągle zależnym od huśtawki politycznej, od tego czy jakaś partia zechce mi coś dać. Na takim stanowisku można coś robić, jeśli się jest człowiekiem niezależnym, nikt cię nie może zmusić do robienia czegoś z powodów czysto materialnych, życiowych – nie muszę się sprzedawać komukolwiek. Doszedłem do wniosku, że zaangażowanie się w politykę jest z tego powodu niemożliwe.

Potem przez dwa, trzy lata byłem nagabywany. Moi koledzy dzwoniли do mnie z biura Wałęsy, czy bym się nie „podłączył” do różnych rzeczy, miałem propozycje w Lublinie: z Urzędu Wojewódzkiego, z Urzędu Miasta. Nie chciałem przyjąć żadnego stanowiska, bo nie chciałem być administratorem, urzędnikiem, to mnie nie interesowało, interesowała mnie czysta polityka. Presja, żeby się włączyć była wielka. Miałem wtedy też na głowie tę masę pieniędzy, o której wspominałem i postanowiłem przeanalizować, co w takiej sytuacji robili inni ludzie. Kim bym się nie posłużył, z jakiegokolwiek części świata, to każdy miał jakieś zaplecze – a to hrabia, a to szlachcic, a to bogaty chłop – nikt nie startował z próżni. Taki człowiek, jak ja, zawieszony w próżni, jest bardzo łatwy do wywrócenia, do zeszmacenia również. Siedząc w polityce podziemnej przez wiele lat, mogę powiedzieć, że ciśnienie wywierane na człowieka jest gigantyczne i jaką scedowuje się na niego odpowiedzialność.

To było moje pierwsze zdumienie, jak człowiek szedł na demonstrację, to sobie pokrzyczał, wracał i na tym się kończyła odpowiedzialność. Kiedy trafiałem do kogoś i prosiłem o papier i inne rzeczy, okazywało się, że jestem po drugiej stronie. Mam przed sobą obywatela, a ja jestem politykiem, mam objaśniać świat, gwarantować, obiecywać i odpowiadać, dlaczego tu nic się nie dzieje, opozycja nie protestuje, ludzie intuicyjnie tak samo rozumowali i czegoś od ciebie oczekiwali. Tylko, co może człowiek, który nie ma nic. Kiedy pojechałem do Warszawy, to oglądałem sobie życie różnych opozycjonistów. Tacy ludzie, jak Geremek, czy Kuroń, oni wbrew

destabilizacji życiowej, byli ustabilizowani. Niezależnie od ilości „wywrotek” Kuroń miał mieszkanie, nikt go z niego nie wyrzucił, zawsze miał zaplecze finansowe, towarzyskie i rodzinne. Nigdy nie miał sytuacji tak potwornej, że ktoś go wystawił na ulicę, a ja miałem taką sytuację. Wyszedłem w Lublinie z więzienia, wystawiono mnie za bramę, był to rok 1986 i ja wtedy po raz pierwszy otrzeźwiałem. Stałem za bramą więzienia i za bramą czekała na mnie Małgosia Nalikowska, mój adwokat, bo nie miał, kto stanąć. Nie miałem nawet, dokąd pójść, to było pierwsze otrzeźwienie, drugie przyszło w roku 1989. Wtedy, kiedy się dostaje w tyłek i ma się kłopoty, można na palcach u jednej ręki policzyć tych, którzy ci pomogą, jest to najprawdziwsza weryfikacja. Jak się znajdzie jedna taka osoba czy dwie, to jesteś szczęśliwy. To daje do myślenia.

Po dwóch, trzech latach ze zdumieniem zrozumiałem, że pozycję numer 1 zajęła opcja socjalistyczna, że wszystkimi konsekwencjami, na długie lata nie zaistnieje opcja prorynkowa. Prawa strona została tak zniszczona, zglajszachtowana, że jedynie zostały po prawej stronie jasełka, coś, co jest mi duchowo i mentalnie obce. Niezależnie od tego, co Michnik wypisuje w „Gazecie”, nie jest to żadna opcja prawicowa tylko folklor polityczny. Spowodowało to, że z wszystkiego się na amen wyłączyłem. O tym, że zostałem w Polsce zdecydował przypadek, bo byłem w Paryżu, zapisałem się na studia, przyjechałem tu na chwilę i zostałem.

Z moich współpracowników pamiętam Huberta Pietrasa z Biologii UMCS, Zbyszka Krawczyka, małżeństwo Czubków, i koleżankę Andrzeja Czubka – Renatę.

Aneks 17

Krzysztof Wasilewski

Wolna Spółka Wydawnicza vel Medium, Reset, Komitywa

21 maja 2003 r.

(zapis autoryzowany)

Nazwałem swoje wydawnictwo "Gdzieś w Polsce", ponieważ nie było jednego miejsca, w którym mogłem go prowadzić, ani nie byłem związany z jednym miejscem. Wydawnictwo miałem w głowie i w domu, oczywiście, ale ponieważ drukarnię mieliśmy daleko, w odległości 400 km od Lublina (we Wrocławiu), wszystko działo się w drodze i po drodze.

Wymyśliłem taki sposób, że każdą książkę wydawać pod inną firmą, żeby nie można było prosto dojść, kim ja jestem i gdzie to jest wydawane. Skądinąd wiedzieliśmy, że безпеka zakłada teczki dla każdego tytułu i dla każdego wydawnictwa, więc jeżeli będę wydawał pod różnymi nazwami, będą musieli utworzyć kilkanaście teczek, będzie zabawniej i będą mieli z tym więcej roboty. Drugi stały element tytułu, to było "WSW", co było żartem językowym, bo dla nas to znaczyło Wolna Spółka Wydawnicza, a w oficjalnym rozumieniu rozwinięciem tego skrótu były Wojskowe Służby Wewnętrzne. Dolepialiśmy do tego jakieś kolejne nazwy, jak np. "Reset" (w rozumieniu "jeszcze raz złożone"), "Komitywa" (zespół przyjaciół), "Radiator" (czyli coś, co promieniuje, rozprzestrzenia się) czy "Medium" (środek przekazu); wymyślaliśmy takie nazwy-hasła wciąż od nowa.

Od lat siedemdziesiątych pracowałem w niezależnym wydawnictwie "Spotkania" i kiedy latem 1982 r. wyszedłem z półrocznego pobytu w więzieniu (skazany za "kontynuację działalności związkowej", a w rzeczywistości za wydawanie prasy w strajkujących zakładach pracy Lublina - FSC, LZNS - w grudniu 1981 r.) było dla mnie jasne, że będę robił książki i gazety. Już nie studiowałem, nie miałem pracy (jako etatowy redaktor wydawnictw NSZZ "Solidarność" RI zostałem przez komisarza wojskowego wyrzucony, jak wszyscy, z pracy w styczniu 1982 r.) i żadnych szans na jakieś sensowne zajęcie. Wznowiłem "Spotkania" i przez dwa lata zajmowałem się nimi, ale równolegle starałem się robić własne projekty. "Spotkania" ciągnąłem do roku 1984 (wsparty nagrodą Fundacji Pol-Cul), a potem staraliśmy się z Jolą, moją żoną, robić coś sami. Z nikim nie można było wiązać się na stałe, więc związki rodzinne były najprostsze. Działalność opierała się na mnie i mojej żonie, a zapraszaliśmy do współpracy różne osoby, stosownie do potrzeb. Trudno mi podać określony ich krąg, bo każdy tytuł miał zespół ludzi, którzy przy nim pracowali, a potem rozchodzili się w naturalny sposób.

Na początek były znaczki, robione z grafiką Jurkiem Lakutowiczem (pamiętam serię znaczków z Piłsudskim), wydawaliśmy też pocztówki i ulotki. Nie dokumentowałem tego zbyt dokładnie. Brałem też udział w projektach przyjaciół, kiedy ktoś prosił mnie o pomoc edytorską. Przy wielu inicjatywach byłem zaangażowany, ale nie interesowałem się szczegółami - czasy były takie, że nie należało się o zbyt wiele dopytywać.

Moja właściwa działalność wydawnicza zaczęła się w roku 1985 albo dopiero na początku 1986, bo wcześniej nie mieliśmy na to pieniędzy. Postanowiliśmy wydawać książki historyczne: ludzie chcieli czytać o historii, historia była zafałszowana. Nie było w tym żadnej wielkiej idei, po prostu pomyślałem, że trzeba, żeby prawdziwa historia była wśród ludzi, tym bardziej, że ją przed ludźmi ukrywają. W porozumieniu z oryginalnymi wydawcami lub autorami - np. z p. Janem Nowakiem-Jeziorańskim, który dał zgodę na swoje książki i jeszcze 100 dolarów przysłał na dobry początek - i za ich zgodą, robiliśmy polskie wydania-reedycje. Staraliśmy się, żeby nie były to wydania pirackie. To, że nie było to legalne w kraju nie znaczyło, że będę kradł prawa autorskie.

Wybór tytułów był trochę spontaniczny (to, co ceniliśmy), trochę naturalny (to, co było technicznie możliwe), trochę podpowiadał i pomagał mi Janek Stepek, który wyemigrował przymusowo do Francji i pracował w paryskich "Spotkaniach". Nie było planu, ani założenia, że ten czy tamten tytuł koniecznie. Było zawsze kilka tytułów na horyzoncie, i który był możliwy do wydania, wchodził do produkcji. Wybór był, więc trochę przypadkowy, choć w większości są to książki historyczne. Starłem się nie angażować w politykę, czy publicystkę bieżącą, tylko pokazywać historię.

W finansowanie wydawnictwa angażowaliśmy własne środki, które po opłaceniu kosztów pracy oraz materiałów nie przynosiły zarobku, ale zwracały się i mogliśmy za to przeżyć, a i kilka osób zarabiała jakieś "niezależne" pieniądze. Poważniejszym "zastrzykiem" gotówki, który pozwolił nam wydawać książki częściej niż raz na dwa miesiące, była pożyczka z Funduszu Wydawnictw Niezależnych. Uzyskaliśmy ją w Warszawie od Grzegorza Boguty; odbyło się kilka rozmów, rekomendowało mnie parę osób (np. Czesław Bielecki, ps. Maciej Poleski). Pokazałem dotychczas wydane samodzielnie książki i pożyczka okazała się możliwa: dostaliśmy 100 tysięcy złotych (to była dobra roczna pensja wtedy, równowartość tysiąca dolarów USA). Po pewnym czasie (po wydaniu kilku kolejnych tytułów) pożyczka została umorzona. Była to bardzo istotna pomoc, gdyż dzięki temu mogliśmy utrzymać dość niskie ceny i szybciej pracować. Zwykle musiałem czekać, aż spłyną pieniądze z kolportażu, żeby móc zainwestować w następną publikację - teraz prace szły równolegle.

Mogłem nawet zrealizować wariacki projekt wydania książki Jerzego Kosińskiego "Steps" po polsku, we własnym tłumaczeniu. Tłumaczem był mój przyjaciel, anglista, ale cały przekład zredagowaliśmy we dwóch. Wiele polskich sformułowań znalazłem ja, czuję się, więc współtłumaczem i redaktorem. Skład (komputerowy! na Atari) zrobiłem dzięki pomocy Mirka Chojeckiego w paryskim "Kontaktie", przez niego też miałem zgodę Autora. Był bardzo zadowolony, że jego akces do polskiej literatury nastąpił z "podziemia"; poprosił o egzemplarze autorskie i wysłałem mu do Nowego Jorku kilka paczek. Było to dla nas duże wyzwanie; nie wiem czy mu do końca sprostaliśmy, ale nie wstydzę się tej pracy. Przedstawiłem się Kosińskiemu, gdy odwiedził potem Lublin, i dostałem gratulacje. Ale dalszego ciągu nie było... Z drukiem była ciekawa historia; miałem zaprzyjaźnioną drukarnię we Wrocławiu, ale mój drukarz nie chce do dziś się ujawnić, więc nie mogę o nim opowiedzieć. Ale "procedury" mogę zdradzić. Przygotowywałem gotową podstawę do zdjęć - rozbierałem książkę, dodawałem elementy graficzne i okładkę, dopisywaliśmy jakieś postowie lub wstęp, montowaliśmy wszystko w makiety arkuszy drukarskich i to jechało do Wrocławia. Tam robiono blachy i drukowano w technice offsetowej.

Jechałem do Wrocławia, odbierałem to z drukarni i woziłem (taksówkami!) na spedycję kolejową, gdzie nadawałem do Lublina (na siebie albo na kogoś, kto się zgodził użyczyć nazwiska i pomoc) te ciężkie paki w kartonach, wpisując w dokumentach spedycyjnych w rubrykę "zawartość" - "gipsol". Nie było takiej substancji, ale nazwa miała budowlane konotacje i brzmiała prawdopodobnie. Mimo, że SOK-iści chodzili po terenach kolejowych z karabinami, nikt nie sprawdzał, co jest wewnątrz przesyłek! Paczki wysyłane przez pocztę należało pakować w obecności urzędniczki pocztowej - a PKP nie pytały o nic. Często wracałem do domu tym samym pociągiem, co mój "towar"... Był pewien problem z odbieraniem tego w Lublinie. Miałem obawy, że zwracają uwagę na punkty spedycyjne, ale okazało się, że niespecjalnie. Raz czy dwa ktoś za nami jechał, ale mieliśmy taki sposób, że moja żona jechała pierwsza "czystym" samochodem i gdyby coś się działo albo była kontrola drogowa (zawsze połączona z rodzajem rewizji: "Co wieziemy, panie kierowco?"), miała udawać niewprawnego (albo wręcz nietrzeźwego) kierowcę. To się sprawdziło w praktyce: jadący zygzakiem samochód był zatrzymywany, a drugi, pełen "bibuły", mógł spokojnie ominąć niebezpieczeństwo.

W Lublinie miałem specjalne mieszkanie wynajęte do składania i oprawiania książek. Była to właściwie pracownia artystyczna, taka dobudówka na dachu bloku. Mieściła się przy ul. Lwowskiej i nazywaliśmy ją "Górką". Minus tej lokalizacji był taki, że było wysoko (piąte piętro) i ciężki papier trzeba było tam wnieść, a potem znieść. Ale był i plus - nikt się nie dziwił, że przewijało się tam dowolne towarzystwo o różnych porach (wiadomo, artyści), albo, że jakieś odgłosy dobiegały po nocy (wiadomo, "balanga"). Czasami, jeśli mijalem kogoś na klatce schodowej, to musiałem udawać, że to, co niosę jest lekkie (czasami nawet wbiegaliśmy z tymi paczkami, żeby było widać, że nic nie ważą, może to wręcz puste kartony?). Tam zbieraliśmy taką grupę, jaka była potrzebna do konkretnej publikacji; jeśli książka była mała, robiliśmy ją we dwójkę z żoną. Nie byłem w stanie utrzymać na stałe pracowników, ale doraźnie płaciłem osobom, które wykonywały konkretne czynności. Przyjąłem zasadę, która wydała mi się uczciwa - płacę za pracę. Płaciłem także sobie, czasami godzinowo, a czasami za umiejętności (jeżeli ktoś np. robił oprawę, to od sztuki). Kiedy pojawił się Piotr Mordel zainteresowany introligatorstwem jako sztuką, to dostawał pieniądze za oprawę. Nie miałem kłopotów z papierem, ponieważ jeździłem małym fiatem po województwie i skupowałem go. Sklepy GS dostawały po kilka ryz, a na wsi ten papier najczęściej nie był nikomu potrzebny (w "terenie" ceniono papier tzw. kancelaryjny, czyli w kratkę). Ekspedientki miały zakaz sprzedaży większych ilości, ale dwie ryzy? Po chwili wchodziła do sklepu Jola i też prosiła o dwie. Wysyłałem papier Wrocławia, drukarz albo korzystał z arkuszy A-4, albo zamieniał na papier w innym formacie. Nie musiałem korumpować magazynów państwowych ani kraść, ani specjalnych dojeść nie miałem. Farbą też się nie zajmowałem - zapewniał ją mój drukarz.

Technika druku była głównie offsetowa, ja dbałem jedynie o to, żeby jakość była wysoka. W powodzi tych słabych, brudnych, niewyraźnych druków chciałem, żeby nasze książki się wyróżniały - i tak było. One nawet były ładne. Wszyscy wtedy oszczędzali, dopuszczali nawet egzemplarze słabo czytelne. My wyznaczaliśmy sobie pewną granicę, od której zaczynały się odrzuty, nakład był trochę mniejszy, ale jakość - gwarantowana. Nakłady wahały się od tysiąca do trzech tysięcy, średnio 1000 - 1500 egzemplarzy. Jedną z książek - tomik poezji Wacława Iwaniuka -

wydaliśmy w technice typograficznej, w numerowanym nakładzie 500 egzemplarzy.

Kolportażem zajmowałem się sam. Miałem miejsca, do których woziłem książki. Bardzo dobrym punktem było mieszkanie państwa Hołdów, którzy mieli bardzo wielu znajomych. Tam można było zostawić kilkadziesiąt książek (nawet bez umawiania się) i być pewnym, że za kilka dni będzie czekała koperta z pieniędzmi, bo każdy, kto ich odwiedzi kupi książkę. Świetnym punktem był (w tym samym wielkim domu przy ul. Pana Balcera 1), dom otwarty państwa Winiarskich. Tam się takie ilości ludzi przewijały, że były nawet specjalne reguły "ruchu": szło się do nich klatką wcześniej przez strych, a wychodziło - klatką następną (oprócz względów "konspiracyjnych" chodziło też o to, żeby nie tworzyć zatorów na schodach i w windzie). Janusz i Maryla Bazydło, mimo że nieustannie inwigilowani, też dzielnie rozprowadzali nasze książki. Miałem kilka takich domów, do których mogłem wpaść bez zapowiedzi i zostawić paczkę. Dużą pomocą służył też pan Andrzej Paluchowski, ówczesny dyrektor Biblioteki Uniwersyteckiej KUL (nawet zatrudnił nas w intrologatorni i o nic nie pytał). Kolportaż odbywał się w kręgu osób zaprzyjaźnionych. Oprócz tego wysyłałem (lub woziłem kurierskim szlakiem wzdłuż Wisły) książki do Warszawy, w ramach współpracy z Funduszem Wydawnictw Niezależnych. Utrzymywałem zasadę, żeby moje książki nie wracały do Wrocławia, żeby kółko się za szybko nie zamknęło.

Przychody to był obieg zamknięty (poza pożyczką-dotacją z FWN), jedna książka finansowała drugą. Za to przeżyliśmy kilka lat, mogłem dzięki temu pracować (w bibliotece, jako intrologator) na pół etatu, a moja żona przez dłuższy czas w ogóle etatowo nie pracowała. Mogliśmy za to utrzymać rodzinę (trójka dzieci!), jednocześnie nie angażując się w żadną pracę "ideowo niemożliwą", albo byle jaką. Tak przetrwaliśmy cały stan wojenny (który dla mnie trwał aż do "okrągłego stołu"). Historia tego wydawnictwa to moja historia, spory kawałek mojego życia.

Oboje z żoną mieliśmy w SB założone teczki, jako dawni współpracownicy "Spotkań", byliśmy, więc przez cały czas w kręgu ich zainteresowań, ale nie doświadczyliśmy specjalnych represji, może ze względu na moją ostrożność, a może przez szczęśliwe przypadki. Oczywiście, regularnie mieliśmy rewizje, wezwania, przesłuchania, odmawiano nam paszportów, nawet nas przymusowo "ujawniano". Ale wpadki nie było.

Na dłużej i bliżej byliśmy związani z Piotrem Mordelem, który interesował się intrologatorstwem. Założył w swoim domu warsztatik intrologatorski, częściowo artystyczny, a częściowo dla potrzeb naszego podziemnego wydawnictwa. Niestety on miał wpadkę, był przesłuchiwany i aresztowany. Po tym wszystkim wyjechał do Berlina (wtedy - Zachodniego) i tam pozostał. Wydarzenie to nie miało dla mnie żadnych reperkusji, nawet nie zostałem wezwany. Wiem, że dopytywano się o mnie. Poza tym nie mogę powiedzieć, że ktoś był z nami związany na stałe, bardziej odpowiadała mi sytuacja niezależnych zespołów - jeżeli z kimś współpracowałem, szanowałem jego inicjatywy i pomysły, ale nie dopytywałem się, co robi, zapraszałem go do jednego projektu, a potem nasze drogi się rozchodziły lub pozostawały kontakty towarzyskie. Była to też typowa firma rodzinna - moja żona była równoprawną osobą w wydawnictwie. Mimo różnych sytuacji rodzinnych, domowych i życiowych musieliśmy to wszystko przejść naprawdę razem.

Aneks 18

Zestawienie publikacji wydanych w Lublinie w latach 1980-1989 dokonane na podstawie publikacji: Bibliografia podziemnych druków zwartych z lat 1976-1989. Opracowały Grażyna Federowicz, Krystyna Gromadzińska, Maria Kaczyńska. Biblioteka Narodowa. Instytut Bibliograficzny. Warszawa 1995

1. Rudolf Adamczyk. Czyściec, **Biblioteka Spotkań, Spotkania**, Lublin 1986, s. 15, poz. 12.
2. W. M. Alexander. Agentura: państwo policyjne, **Wydawnictwo Lubelskie NZS**, Lublin 1988, s. 16, poz. 31
3. Władysław Anders. Bez ostatniego rozdziału, **Biblioteka Informatora, BIN**, Lublin 1988, s. 17 poz. 50
4. Władysław Anders. Bez ostatniego rozdziału, **Informator Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność”**, Lublin 1988, s. 18 poz. 55
5. Raymond Aron, Isaiah Berlin, Hannah Arendt. Trzy głosy o wolności, **Komitywa**, Lublin (i Warszawa CDN), 1987, s. 20, poz. 105
6. Raymond Aron, Isaiah Berlin, Hannah Arendt. Trzy głosy o wolności, **Komitywa**, Lublin (przy współpracy z Warszawa CDN), 1987, s. 20, poz. 106
7. Artykuły usunięte przez cenzurę ze „Znaku” nr 367 z czerwca 1985 r., **Respublica**, Lublin 1988, s. 21, poz. 110
8. Avtorchanov Abdurachman. Od Andropowa do Gorbaczowa, **Antyk**, Lublin 1989, s. 21 poz. 118
9. Avtorchanov Abdurachman. Zagadka śmierci Stalina (spisek Berii). **Biblioteka Spotkań, Spotkania**, Lublin, Warszawa 1985, s. 22, poz. 123
- 10.. Avtorchanov Abdurachman. Zagadka śmierci Stalina (spisek Berii). **Biblioteka Spotkań, Spotkania**, Lublin, Warszawa 1983, s. 22, poz. 124
11. Stanisław Barańczak. Ja wiem, że to niesłuszne, **Aut 82**, Lublin 1982, s. 24, poz. 160
12. Władysław Bartoszewski. Jesień nadziei: warto być przyzwoitym, **Spotkania**, Lublin 1988, s. 26, poz. 198
13. Władysław Bartoszewski. Jesień nadziei: warto być przyzwoitym, **Spotkania**, Lublin 1984, s. 26, poz. 199
14. Władysław Bartoszewski. Polskie Państwo Podziemne 1939-1945, Biblioteczka SW, **Solidarność Walcząca**, Lublin 1985, s. 27 poz. 208
15. Władysław Bartoszewski. Syndykat zbrodni: kartki z dziejów UB i SB w czterdziestoleciu PRL, **Spotkania**, Lublin 1986, s. 27, poz. 216
16. Peter Berger, Alain Besancon. Sowiecka teraźniejszość i rosyjska przeszłość. **Aut 82**, Lublin 1983, s. 30, poz. 253
17. Alain Besancon. Nacjonalizm i bolszewizm w ZSRR, Biblioteka Konserwatysty, **Antyk**, Lublin 1988, s. 31, poz. 270
18. Stanisław Bieniasz. Ostry dyżur. **Respublica**. Lublin 1988, s. 33, poz. 315
19. Jan Biński, Pieśni nagminne, **Wolny Warsztat Wydawniczy**, Lublin 1984, s. 34, poz. 333
20. Zbigniew Błazyński, Józef Światło. Mówi Józef Światło, słowo wst. Jan Nowak, **Komitywa**, Lublin 1986, s. 35, poz. 349

21. Innocenty Maria Bocheński. Katastrofa pacyfizmu, nakł. Piotra Surazyńskiego, Biblioteka Konserwatysty, **Antyk**, Lublin 1989, s. 36, poz. 363
22. Innocenty Maria Bocheński, Marksizm-leninizm: nauka czy wiara? Wyd. 2. **Antyk**, Lublin 1988, s. 36, poz. 364
23. Innocenty Maria Bocheński, Markzizm-leninizm: nauka czy wiara? Nakł. Piotra Surazyńskiego, **Antyk**, Lublin 1988, s. 36, poz. 365
24. Tomasz Bogusławski, Polityka, etyka i wyzwolenie czyli Rzecz o politycznym myśleniu na dziś i na jutro, **brak wydawcy**, Lublin 1984, s. 38, poz. 385
25. Adam Boniecki, Budowa kościołów w diecezji przemyskiej, wyd. 2 krajowe, **Spotkania**, Lublin 1980, s. 38, poz. 401
26. Marian Brandys, Od dzwonka do dzwonka, **Nauczycielska Oficyna Solidarności**, Lublin 1988, s. 40, poz. 429
27. Marian Brandys, Z dwóch stron drzwi, **Biblioteka Informatora Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność”**, Lublin 1984, s. 40, poz. 436
28. Zbigniew Brzeziński, Przyszłość Jałty, **Siglum**, Lublin 1987, s. 48, poz. 569
29. Stanisław Buczyński, Jan Poczek. I miłość i przymierze: Janowi Pawłowi II chłopi polscy, **Wydawnictwo Wiejskie im. Wincentego Witosa, współpr. Komitywa**, Lublin 1987, s. 49, poz. 580
30. Vladimir Bukovskij, Pacyfiści kontra pokój, **Spotkania**, Lublin 1983, s. 51, poz. 613
31. Vladimir Bukovskij, Pacyfiści kontra pokój, **Vademecum**, Szczecin (właśc. m. wydania Lublin) 1984, s. 51, poz. 618
32. Vladimir Bukovskij, Pacyfiści przeciwko pokojowi, **Spotkania**, Lublin 1986, s. 52, poz. 625
33. Władysław Bukowiński, Wspomnienia z Kazachstanu, wyd. 3, **Spotkania**, Lublin 1980, s. 52, poz. 630
34. Maria Byrska, Ucieczka z zesłania, **Biblioteka Informatora**, Lublin 1987, s. 54, poz. 662
35. Albert Camus, Człowiek zbuntowany, **Zakład Edytorstwa Kontrowersyjnego „Chatka Żaka”**, Lublin 1981, s. 55, poz. 668
36. Cernovil Vjaceslav, Penson Boris (Czornowił, Penson. Spotkanie w łagrze) Dialog za drutem kolczastym, **Vedemecum**, Lublin 1984, s. 56, poz. 685
37. Cernovil Vjaceslav, Penson Boris (Czornowił, Penson. Spotkanie w łagrze) Dialog za drutem kolczastym, **Respublica**, Lublin 1989, s. 56, poz. 686
38. Cernovil Vjaceslav, Penson Boris (Czornowił, Penson. Spotkanie w łagrze) Dialog za drutem kolczastym, wyd. 2, **Vedemecum**, Lublin 1986, s. 56, poz. 687
39. Michael Charlton. O źródłach zimnej wojny, **Respublica**, Lublin 1987, s. 56, poz. 694
40. Michael Charlton. O źródłach zimnej wojny, **Vademecum**, Lublin 1986, s. 56, poz. 694
41. Wojciech Chudy. Filozofie wieczyste w czas przełomu: gdańskie wykłady z filozofii klasycznej z roku 1981, **Spotkania**, Lublin, Warszawa 1986, s. 58, poz. 720
42. Jan Ciechanowski. O genezie i upadku II Rzeczypospolitej, **CiS**, Lublin 1986, s. 58, poz. 727
43. Józef Czapski, Wspomnienia starobielskie. Prawda o Katyniu, Biblioteka Spotkań, **Spotkania**, Lublin 1985, s. 64, poz. 817
44. Czechosłowacja 1968, **NZS**, Lublin 1981, s. 64, poz. 831
45. Łukasz Czuma. Dwa znaczenia praworządności. Kodeks karny a trzy kategorie obywateli PRL, **Wydawnictwo Wywrotowca**, Lublin 1981, s. 66, poz. 858
46. Łukasz Czuma. Poprawiajmy podręczniki historii. **Lubelska Oficyna Studentów**

, Lublin 1981, s. 66, poz. 860

47. Deklaracja ideowo-programowa Ruchu Ludowego, Wszechnica Ludowa,

Biblioteczka Solidarności Walczącej, SW, Lublin 1986, s. 68, poz. 902

48. Galic (Galicz) Aleksandr (Aleksander), Kocham was, ludzie, **FIS**. Lublin 1986, s. 85, poz. 1211

49. Geller Michail (Michał Heller). Technika władzy. **Respublica**. Lublin 1988, s. 87, poz. 1259

50. Geller Michail, Nekric Aleksandr (Michał Heller, Aleksander Niekricz). Historia ZSRR. Biblioteka ABC - Adriatyk, Bałtyk, Morze Czarne. **Wydawnictwo Liberalno-Demokratycznej Partii „Niepodległość“**, Lublin 1987, s. 87, poz. 1260

51. Geller Michail, Nekric Aleksandr (Michał Heller, Aleksander Niekricz). Utopia u władzy, **Respublica**, Lublin 1988, s. 88, poz. 1270

52. Geller Michail, Nekric Aleksandr (Michał Heller, Aleksander Niekricz). Utopia u władzy, **Respublica**, Lublin 1986, s. 88, poz. 1271

53. Golomstok Igor (Igor Gołomszok). Język artystyczny w warunkach totalitarnych, **Vademecum**, Lublin 1985, s. 93, poz. 1368

54. Witold Gombrowicz, Varia, cz. 3. **Respublica**, Lublin 1989, s. 96, poz. 1425

55. Witold Gombrowicz, Varia, cz. 2. **Respublica**, Lublin 1989, s. 96, poz. 1426

56. Witold Gombrowicz, Varia, cz. 1. **Respublica**, Lublin 1989, s. 97, poz. 1427

57. Graham David, Clarke Peter. Śmierć socjalizmu, Biblioteka Konserwatysty, nakł. Piotra Surażyńskiego, **Antyk**, Lublin 1988 (?), s. 98, poz. 1456

58. Wiktor Grotowicz. Gorbazm, **Respublica**, Lublin 1989, s. 100, poz. 1480

59. Zygmunt Haupt, Pierścień z papieru, **Respublica**, Warszawa (?) 1988, s. 103, poz. 1553

60. Friedrich August von Hayek. Wielka utopia. Wolność ekonomiczna i rząd reprezentatywny, nakł. Piotra Surażyńskiego, Biblioteka Konserwatysty, **Antyk**, Lublin 1989, s. 105, poz. 1573

61. Zbigniew Herbert. Raport z oblężonego miasta i inne wiersze. **Wydaw. Lubelskie NZS**, Lublin 1988, s. 105, poz. 1582

62. G. Herling Grudziński. Inny świat: zapiski sowieckie. **Wydawnictwo Niezależne BIN**, Lublin 1987, s. 107, poz. 1609

63. G. Herling-Grudziński. Pamiętnik pisany nocą, **Aut 82**, Lublin 1983, s. 107, poz. 161864. Marek Hłasko, Piękni dwudziestoletni, **CiS**, Utwory wybrane. Lublin 1988, s. 109, poz. 1659

65. Marek Hłasko, Sowa córka piekarza, Utwory Niewybrane, 6, **CiS**, Lublin 1988, s. 110, poz. 1669

66. Marek Hłasko. W dzień śmierci Jego. Opowiem wam o Esther, **brak wydawcy**, Lublin 1983, s. 110, poz. 1671

67. Bohumil Hrabal. Obsługiwałem angielskiego króla, **FIS**, Lublin 1988, s. 111, poz. 1690

68. Waclaw Iwaniuk. Kartagina i inne wiersze, **Komitywa**, Lublin 1987, s. 114, poz. 1746

69. Gleb Jakunin. O aktualnym stanie Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego i perspektywach religijnego odrodzenia Rosji: referat przedłożony Chrześcijańskiemu Komitetowi Obrony Praw Wierzących w Rosji, **Biblioteka Spotkań, Spotkania**, Lublin 1981, s. 115, poz. 1764

70. Gleb Jakunin. Rosyjski Kościół Prawosławny: perspektywy religijnego odrodzenia Rosji, **Vademecum**, Lublin 1985, s. 115, poz. 1765

71. Jan Paweł II. Stan wojenny w Polsce: słowa Papieża 13 XII 1981 – 11 VIII 1982, **Ścigana**, Lublin 1982, s. 117, poz. 1803
72. Aleksander Kamiński, Antoni Wasilewski. Józef Grzesiak „Czarny”, **Spotkania**, Lublin 1980, s. 127, poz. 1985
73. Aleksander Kamiński, Antoni Wasilewski. Józef Grzesiak „Czarny”, **Reduta**, Lublin 1989, s. 127, poz. 1988
74. Jakub Karpiński, Mowa do ludu: szkice o języku polityki, **Vademecum**, Lublin 1985, s. 128, poz. 2012
75. Jakub Karpiński, Tatarnictwo nizinne, **Respublica**, Lublin 1988, s. 130-131, poz. 2050
76. Nina Karsov, Szymon Szechter. Nie kocha się pomników, cz. 1-2, **Oficyna im. Józefa Mackiewicza**, Lublin 1987, s. 132, poz. 2079
77. Kazimierz C. Pierwsze godziny, dni, miesiące po wpadce, Biblioteczka SW, **Agencja Informacyjna SW**, Lublin 1986, s. 136, poz. 2153
78. Krystyna Kersten. Historia polityczna PRL, **Aut 82**, Lublin 1983, s. 137, poz. 2177
79. Krystyna Kersten. Narodziny systemu władzy, brak wydawcy, Lublin 1989, s. 137, poz. 2179
80. Ephraim Kishon. Wybór opowiadań. **FIS**. Lublin 1988, s. 139, poz. 2210
81. Kontakt 87, wybór artykułów z numerów 1-2, 3. **Respublica**, Lublin 1987, s. 152, poz. 2438
82. Kontakt 87, wybór artykułów z numerów 4, 5, 6. **Respublica**, Lublin 1987, s. 152, poz. 2439
83. Stefan Korboński. Polskie państwo podziemne: przewodnik po podziemiu z lat 1939-1945, **Radiator**, Lublin 1986, s. 156, poz. 2497
84. Bohdan Korzeniewski. Powrót, **Siglum**, Lublin 1988, s. 158, poz. 2542
85. Jerzy Kosiński. Stopnie, **Wolna Spółka Wydawnicza**, Lublin 1989, s. 158, poz. 2547
86. Jerzy Kosiński, Stopnie, **Wolna Spółka Wydawnicza**, Lublin 1988, s. 159, poz. 2549
87. Paweł Księski. Wiersze i rysunki, **Vademecum**, Lublin 1984, s. 167, poz. 2715
88. Ryszard Kukliński. Uczestniczyłem w przygotowaniu stanu wojennego (mówi Ryszard Kukliński). **Biblioteka Informatora**, Lublin 1987, s. 170, poz. 2750
89. Jacek Kuroń. Polityka i odpowiedzialność, **CiS**, Lublin 1986, s. 174, poz. 2835
90. Leo Lipski, Opowiadania zebrane, **FIS**, Lublin 1988, s. 186, poz. 303091. Zdzisław Łapiński. Między [Między] polityką a metafizyką: o poezji Czesława Miłosza. **Vademecum**, Lublin 1985, s. 188, poz. 3072
92. Jerzy Łojek (Łukasz Jodko pseud.). Orientacja rosyjska w polskiej walce niepodległościowej, **Antyk**, Lublin 1985, s. 190, poz. 3103
93. Jadwiga Machowska (siostra). Moje wspomnienia z lat łask i cierpień, **Spotkania**, Lublin, Kraków 1987, s. 192, poz. 3140
94. Józef Mackiewicz. „mówi Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa”, **Oficyna im. Józefa Mackiewicza**, Lublin 1988, s. 194, poz. 3171
95. Józef Mackiewicz, W cieniu krzyża: kabel Opatrzności, **Oficyna im. Józefa Mackiewicza**, Lublin 1987, s. 195, poz. 3185
96. J. Mackiewicz. Watykan w cieniu czerwonej gwiazdy, Biblioteczka SW, **Agencja Informacyjna SW**, Lublin 1986, s. 195, poz. 3191
97. J. Mackiewicz. Zbrodnia w dolinie rzeki Drawy, **Biblioteka Informatora**, Lublin 1986, s. 195, poz. 3194
98. J. Mackiewicz. Zwycięstwo prowokacji, **Oficyna im. Józefa Mackiewicza**, Lublin

1987, s. 196, poz. 3199

99. J. Mackiewicz, B. Toporska, Droga pani, **Oficyna im. Józefa Mackiewicza**,

Lublin 1988, s. 196, poz. 3204

100. Bogdan Madej. Polska w orbicie Związku Radzieckiego, **Biblioteka Spotkań, Spotkania**, Lublin 1978, s. 197, poz. 3223

101. Jadwiga Malkiewiczowa. Wspomnienia więzienne. Biblioteka „Antyk”, **Antyk**, Lublin 1987, s. 198, poz. 3238

102. Mały konspirator: poradnik dla dorosłych i młodzieży, **Biblioteka Informatora**, Lublin 1983, s. 199, poz. 3257

103. Zbigniew Markowski. Od realizmu do zwątpienia: pięć szkiców z najnowszej historii Czechosłowacji, Biblioteka ABC, **Antyk**, Lublin 1986, s. 201, poz. 3295

104. Sławomir Mrozek, Donosy, **CiS**, Lublin 1984, s. 226, poz. 3742

105. Sławomir Mrozek, Donosy, **Miś**, Lublin 1984, s. 226, poz. 3743

106. Sławomir Mrozek, Opowiadania, **brak wydawcy**, Lublin 1985, s. 227, poz. 3756

107. Sławomir Mrozek, Opowiadania, **wyd. XXX**, Lublin 1985, s. 227, poz. 3757

108. Myślenie polityczne w cieniu Józefa Mackiewicza, **Oficyna im. J. Mackiewicza**, Lublin 1988, s. 228, poz. 3778

109. Nieładnie, nieładnie panie Surdykowski, po prostu obrzydliwie, **Oficyna im. J. Mackiewicza**, Lublin 1988, s. 232, poz. 3856

110. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”. Krajowy Zjazd Delegatów Program NSZZ „Solidarność” uchwalony przez Krajowy Zjazd Delegatów, **Biblioteka Informatora**, Lublin 1983, s. 236, poz. 3911

111. Jan Nowak-Jeziorański, Wojna w eterze: wspomnienia, t. 1: 1948-1956, **Komitywa**, Lublin 1987, s. 242, poz. 4012

112. Oblicza Rosji, FIS, Lublin 1987, s. 245, poz. 4076

113. Ojczyzno ma!: zbiór pieśni patriotycznych, **Biblioteka Informatora**, Lublin 1987, s. 247, poz. 4102

114. George Orwell, Folwark zwierzęcy, **brak wydawcy**, Lublin 1984, s. 249, poz. 4144

115. Polityka i świat, red. I. Lasota, **Respublica**, Lublin 1988, s. 264, poz. 4421

116. Prawda i wspólnota drogą do wyzwolenia narodu. **Biblioteka Informatora**, Lublin 1985, s. 274, poz. 4595

117. Propozycje programowe dla kół samokształceniowych. Edukacja niepokornych, **Spotkania**, Kraków. Lublin 1982, s. 276, poz. 4630

118. Kazimierz Pużak, Wspomnienia 1939-1945. **CiS**, Lublin 1987, s. 279, poz. 4692

119. Marian Radwan, Ile kościołów brakuje w miastach: urbanizacja a sieć parafialna, Polska 1980, Biblioteka Spotkań, **Spotkania**, Lublin 1981, s. 280, poz. 4707120.

Jean-Francois Revel. Czy demokracje zdołają przetrwać, Biblioteczka SW, **Agencja Informacyjna SW**, Lublin 1985, s. 284, poz. 4791

121. Zbigniew Romaszewski. Jak Polak z Polakiem. „Rozdroży” ciąg dalszy, X: **BIN**, Lublin 1987, s. 286, poz. 4815

122. Tomasz Rostworowski. Zaraz po wojnie, Biblioteka Spotkań, **Spotkania**, Lublin 1982, s. 287, poz. 4842

123. Tomasz Rostworowski. Zaraz po wojnie, Biblioteka Spotkań, **Spotkania**, Lublin 1985, s. 287, poz. 4843

124. Tomasz Rostworowski. Zaraz po wojnie, Biblioteka Spotkań, **Spotkania**, Kraków, Lublin 1982, s. 287, poz. 4844

125. Czesław Leopold, Krzysztof Lechicki [pseud.] (Arkadiusz Rybicki, Antoni Wręga). Więźniowie polityczni w Polsce: 1945-1956, **Respublica**, Lublin 1986, s. 291, poz.

4919

126. Nijole Sadunaite. Płomień w ciemności, **Lithuana**, Lublin 1986
127. Satyra stanu wojennego, **NN**, Lublin 1983, s. 295, poz. 4984
128. Serebrjakova Galina. Huragan, **Vademecum**, Lublin 1986, s. 297, poz. 5012
129. Isaac Bashevis Singer. Ostatni demon, **Respublica**, Lublin 1989, s. 299, poz. 5054
130. Ernest Skalski, Jałta 40 lat później, **Vademecum**, **FIS**, Lublin 1985, s. 299, poz. 5064
131. Jan Skorusa, Byłem sześćioletnim przestępcą, Biblioteka „Gazety”, **Witryna**, Lublin 1987, s. 301, poz. 5092
132. Andrzej Słowakiewicz. Koncepcje programowe Polskiego Stronnictwa Ludowego w latach 1945-1947, nakł. Autora, Biblioteka Antyku, **Antyk**, Lublin 1989, s. 302, poz. 5110
133. Smuta najnowszych czasów czyli Zadziwiające przypadki Wani Czmotanowa, Biblioteka Antyku, **Antyk**, Lublin 1989, s. 304, poz. 5133
134. Sow show czyli Dwa obrazki z życia ludzi radzieckich, **Spotkania**, Lublin 1986, s. 311, poz. 5244
135. Michał Spis, Trzeba głośno mówić czyli o Józefie Mackiewiczu piórem antykomunisty, **Oficyna im. J. Mackiewicza**, Lublin 1989, s. 312, poz. 5257
136. Tadeusz Sroka, Dziennik izraelski czyli religijny wymiar ludzkiego losu, Biblioteka Spotkań, **Spotkania**, Lublin 1985, s. 314, poz. 5293
137. Aniela Steinsbergowa, Widziane z ławy obrończej, **Biblioteka Informatora**, Lublin 1984, s. 315, poz. 5325
138. Czesław Straszewicz, Turyści z bocianich gniazd, CiS, Lublin 1987, s. 317, poz. 5350
139. Tomasz Strzembosz, Refleksje o Polsce i podziemiu(1939-1945), Biblioteka Spotkań, **Spotkania**, Lublin 1987, s. 317, poz. 5361
140. Zbigniew Stypułkowski, Zaproszenie do Moskwy, **Spotkania**, Lublin 1981, s. 318, poz. 5371
141. Karol Liszewski [pseud.], Ryszard Szawłowski, Wojna polsko-sowiecka 1939 roku, **Komitywa**, Lublin 1987, s. 321, poz. 5424
142. Karol Liszewski [pseud.], Ryszard Szawłowski, Wojna polsko-sowiecka 1939 roku, cz. 2 +mapy, **Komitywa**, Lublin 1987, s. 321, poz. 5425
143. Szymon Szechter. Szechterezada, Oficyna im. J. Mackiewicza, Lublin 1987, s. 322, poz. 5441
144. Mieczysław Szerer, Memoriał w sprawie odpowiedzialności za łamanie praworządności w sądownictwie wojskowym, **Biblioteka Informatora**, Lublin 1985, s. 323, poz. 5454
145. Śpiewnik z wojny polsko-jaruzelskiej, cz. 1-7, **Druk. Polowa KOS 44 WL**, cz. 1-5 Lublin 1982, cz. 6 1983, cz. 7 1984, s. 327, poz. 5535-5541
146. Strobe Talbott, Komunizm, **Ścigana**, Lublin 1983, s. 329, poz. 5570
147. Tadeusz Teslar, Propaganda bolszewicka podczas wojny polsko-rosyjskiej 1920 roku, **Wena**, Lublin 1984, s. 330, poz. 5601
148. Trybuna: kwartalnik polityczny, Londyn: wybór artykułów z nr 50-56 z lat 1985-1987, **CiS**, Lublin 1988, s. 333, poz. 5654
149. Michał Tymowski, Jan Kieniewicz, Jerzy Holzer, Historia Polski, **Medium**, Lublin 1987, s. 335, poz. 5698150. Wojnovic Vladimir (Włodzimierz Wojnowicz). Opowiadania, **Respublica**, Lublin 1989, s. 340, poz. 5784
151. Walka bez przemocy = Non violence active, **wydawca nieznany**, Lublin 1982,

s. 343, poz. 5833

152. Lech Wałęsa. Droga nadziei, Biblioteka Spotkań, **Spotkania**, Kraków 1988, s. 343, poz. 5836

153. Melchior Wańkowicz, Szpital w Cichiniczach: opowiadanie wg pamiętnika Zofii z Wańkowiczów Romerowej, Biblioteka „Gazety”, **Witryna**, Lublin 1986, s. 345, poz. 5864

154. Wojciech Wasiutyński, Źródła niepodległości, Biblioteka „Polityki Polskiej”, **Wydawnictwo Niezależne BIN**, Lublin 1988, s. 346, poz. 5884

155. Wezwania, przesłuchania i rewizje w świetle prawa, **Biblioteka Informatora**, Lublin 1984, s. 349, poz. 5927

156. Bronisław Wildstein, Jakiej prawicy Polacy potrzebują. **Oficyna im. J. Mackiewicza**, Lublin 1987, s. 353, poz. 6005

157. Franciszek Witkowski. Wspomnienia z lat 1939-1947, **Biblioteka Informatora**, Lublin 1984, s. 355, poz. 6044

158. Sprawozdanie cenzora WL, **Biblioteka Informatora**, Lublin 1986, s. 355, poz. 6047

159. Piotr Woźniak. Zapluty karzeł reakcji, Biblioteka Spotkań, **Spotkania**, Lublin 1982, s. 358, poz. 6106

160. Piotr Woźniak. Zapluty karzeł reakcji, **Spotkania**, Lublin 1983, s. 358, poz. 6107

161. Zginęli z rak władzy ludowej: druga rocznica rejestracji NSZZ „Solidarność”, **wydawca nieznany**, Lublin 31.VIII.82, s. 371, poz. 6338

162. Jan Kowalski [pseud.], Jan Zieliński, Leksykon polskiej literatury emigracyjnej, **FIS**, Lublin 1989, s. 371, poz. 6339

163. Jacek Żakowski. Anatomia smaku czyli O losach Tygodnika Powszechnego, staraniem FIS, **FIS, Biblioteka Informatora**, Lublin 1986, s. 376, poz. 6429

164. Tadeusz Żenczykowski, Dwa komitety 1920, 1944: Polska w planach Lenina i Stalina: szkic historyczny, **Komitywa**, Lublin 1986, s. 377, poz. 6443

165. Tadeusz Żenczykowski, Dwa komitety 1920, 1944: Polska w planach Lenina i Stalina: szkic historyczny, **Wydaw. „Biuletynu FSC Lublin”**, Lublin 1986, s. 377, poz. 6444

166. Tadeusz Żenczykowski. Polska lubelska, Biblioteka Spotkań, **Spotkania**, Lublin 1988, s. 378, poz. 6457

167. Tadeusz Żenczykowski Samotny bój Warszawy, **CiS**, Lublin 1987, s. 378, poz. 6459

168. Żydzi jako polski problem (aut. Jakub Karpiński, częściowo tł. z ang.), **Komitywa**, Lublin 1987, s. 380, poz. 6505

BIBLIOGRAFIA

I. Źródła archiwalne

ZESPOŁY AKT ODDZIAŁU LUBELSKIEGO INSTYTUTU PAMIĘCI NARODOWEJ

Sygnatura	Nazwa zespołu akt
0112	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Wydział C WUSW w Lublinie 1986. Teczki: 0112/4, 0112/5
0113	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Wydział C WUSW w Lublinie 1987. Teczki: 0113/1, 0113/2, 0113/3, 0113/7, 0113/8
011	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Inspektorat Kierownictwa SB KWMO 1963-1983. Teczka 011/407
0135	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie. Inspektorat Kierownictwa SB KWMO w Lublinie 1963-1983. Teczki: 0135/26, 0135/27, 0135/28, 0135/29, 0135/30, 0135/31, 0135/32, 0135/33, 0135/34, 0135/35, 0135/36
0137	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Wydział II SB WUSW w Lublinie 1973-1982. Teczki 0137/4, 0137/5, 0137/7
0139	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych Lublin - materiały administracyjne. Wydział C WUSW w Lublinie. 1984. Teczki: 0139/1, 0139/2
0141	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Wydział C WUSW w Lublinie -1985. Teczki: 0141/1, 0141/2, 0141/3, 0141/4, 0141/5, 0141/8, 0141/9, 0141/10
0143	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Kierownictwo SB WUSW w Lublinie 1983-1987. Teczki: 0143/1, 0143/3, 0143/4, 0143/5, 0143/6, 0143/7, 0143/8, 0143/9, 0143/10, 0143/11, 0143/12, 0143/13, 0143/14, 0143/15, 0143/16

0156	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Wydział II SB WUSW w Lublinie. Teczka 0156/3
0176	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Wydział II SB WUSW w Lublinie 1984-1986. Teczki: 0176/1, 0176/2, 0176/3, 0176/4, 0176/5
0192	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Wydział Śledczy WUSW w Lublinie 1962-1990. Teczki: 0192/13, 0192/14, 0192/15
020	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie. Materiały operacyjne 1944-1990. Teczki: 020/638 t. 6, 020/638 t. 7, 020/638 t. 8
0204	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Wydział II KWMO w Lublinie 1973-1983. Teczki: 0204/14, 0204/15, 0204/16
023	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie. Materiały śledcze 1944-1990. Teczki: 023/271 Hariasz, 023/271, 023/295 Szyszko
0264	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie. Akta operacyjne WUSW w Lublinie. Teczka 0264/12 Langusta
0276	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie. Materiały administracyjne WUSW w Lublinie 1959-1990. Teczki: 0276/117, 0276/118, 0276/129, 0276/148, 0276/151, 0276/208, 0276/209, 0276/224
0316	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Wydział II 1983. Teczka: 0316/1
0319	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie - materiały administracyjne. Kierownictwo SB WUSW w Lublinie 1986-1987. Teczka 0319/2
0220	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie. Akta śledcze WUSW w Lublinie 1944-1990 (mikrofilmy) - 0220/369
0229	Wojewódzki Urząd Spraw Wewnętrznych w Lublinie. Akta operacyjne WUSW w

Lublinie (mikrofilmy): 0229/1052, 0229/1188, 0229/1189, 0229/708, 0229/798, 0229/1009 Papyrus, 0220/986 Matryca, 0229/987 Przesyłka
--

II. Relacje

1. Janusz Bazydło. Relacja z 25.01.2003 r.
2. Paweł Bryłowski. Relacja z 15.12.2002 r.
3. Franciszek Bujak. Relacja z 6.02.2003 r.
4. Marek Gorliński. Relacja z 5.02.2003 r.
5. Wiktor Tomasz Grudzień. Relacja z 10.12.2002 r.
6. Wojciech Guz. Relacja z 7.11.2002 r.
7. Zygmunt Kozicki. Relacja z 9.11..2002 r.
8. Janusz Krupski. Relacja z 10.01.2003 r.
9. Arkadiusz Kutkowski. Relacja z 14.03.2003 r.
10. Jan Magierski. Relacja z 12.06.2000 r.
11. Jan Magierski. Relacja z 18.11.2002 r.
12. Bernard Nowak. Relacja z 27.11.2002 r.
13. Andrzej Peciak. Relacja z 15.12.2002 r.
14. Tomasz Pietrasiewicz. Relacja z 21.11.2002 r.
15. Andrzej i Barbara Pleszczyńscy. Relacja z 5.11.2002 r.
16. Paweł Skokowski. Relacja z 2.04.2003 r.
17. Krzysztof Wasilewski. Relacja z 21.05.2003 r.

III. Źródła drukowane

1. „*Biblia*” Służby Bezpieczeństwa: *Instrukcja 006/70*, [w]: *Arcana. Kultura – Historia – Polityka*, nr 46-47, lipiec – październik 2002. Kraków
2. *Cenzura w PRL. Relacje historyków*. oprac. Zbigniew Romek. Wydawnictwo Neriton Instytut Historii PAN. Warszawa 2000
3. Maciej Łopiński, Marcin Moskit, Mariusz Wilk. *Konspira. Rzecz o podziemnej*

„Solidarności”. Modem sp. z o. o., Oficyna Wydawnicza Polski Dom Wydawniczy sp. z o. o. Gdańsk – Warszawa 1989

4. *Stan wojenny w dokumentach władz PRL (1980-1983)*. Wybór wstęp i opracowanie Bogusław Konopka Grzegorz Majchrzak. Seria: Dokumenty, tom 6. Instytut Pamięci Narodowej. Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu. Warszawa 2001

5. *Stan wojenny w Polsce. Dokumenty i materiały archiwalne 1981-1983*. Praca zespołowa pod kierunkiem naukowym prof. zwyczaj. Dr. Hab. Tadeusza Walichnowskiego. Wydawnictwo Comandor. Warszawa 2001

6. *Świadectwa stanu wojennego*. Wstęp Janusz Krupski. Oprac. Antoni Dudek, Krzysztof Madej. Seria: Relacje i wspomnienia, tom 2. Instytut Pamięci Narodowej. Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu. Warszawa 2001

IV. Monografie i opracowania

1. *Bibliografia podziemnych druków zwartych z lat 1976-1989*. Opracowały Grażyna Federowicz, Krystyna Gromadzińska, Maria Kaczyńska. Biblioteka Narodowa. Instytut Bibliograficzny. Warszawa 1995

2. Dariusz Cecuda. *Leksykon opozycji politycznej 1976-1989*. Wydawnictwo Bis, Wydawnictwo Trust. Warszawa 1989

3. Marcin Dąbrowski. *Lubelski Lipiec 1980*. Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność”. Lublin 2000

4. Dorota Grzechocińska. *Kwartalnik „Spotkania” 1977-1988. Redakcja, środowisko, program ideowy*. Praca magisterska napisana na Wydziale Kościelnych Nauk Historycznych i Społecznych Akademii Teologii Katolickiej. Warszawa 1998

5. Józefa Kamińska (właśc. W. i W. Chojnaccy). *Bibliografia publikacji podziemnych w Polsce 13 XII 1981 – VI 1986*. Editions Spotkania. Paryż 1988

6. Stanisław Adam Kondek. *Władza i wydawcy*. Biblioteka Narodowa. Warszawa 1993

7. Adam Konderak. *Bibliografia prasy opozycyjnej w PRL do wprowadzenia stanu wojennego*. Wydawnictwo UMCS. Lublin 1998

8. *Kto był kim w drugim obiegu. Słownik pseudonimów pisarzy i dziennikarzy 1976-1999*. Wydawnictwo IBL. Warszawa 1995

9. Marcin Kula. *Nośniki pamięci historycznej*. Wydawnictwo DiG. Warszawa 2002

10. Krzysztof Łabędź. *Spory wokół zagadnień programowych w publikacjach opozycji politycznej w Polsce 1981-89*. Kraków 1997

11. *Opozycja w PRL. Słownik biograficzny do 1989*. Tom 1-2. Red. J. Skórzyński. Ośrodek KARTA. Warszawa 2000

12. Andrzej Paczkowski. *Droga do mniejszego zła. Strategia i taktyka obozu władzy*. Kraków 2002

13. *Polska 1986-1989: koniec systemu. Materiały międzynarodowej konferencji, Miedzeszyn, 21-23 października 1999*. Tom 1 Referaty, redaktor P. Machcewicz, Tom 2 Dyskusja redaktor A. Paczkowski, Tom 3 Dokumenty redaktorzy A. Dudek, A. Friszke. Wydawnictwo Trio. Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk. Warszawa 2002

14. *Stan wojenny w Polsce 1981-1983*. Pod redakcją Antoniego Dudka. Seria: Monografie, tom 6. Instytut Pamięci Narodowej. Komisja Ścigania Zbrodni Przeciwko Narodowi Polskiemu. Warszawa 2003

15. Szczepan Rudka. *Poza cenzurą. Wrocławska prasa bezdebitowa 1973-1989*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa – Wrocław 2001
16. *Słownik wydawcy*. Oprac. Barbara Kalisz. Wydawnictwa Naukowo-Techniczne. Warszawa 1997
17. Zbysław Wojtkowiak. *Nauki pomocnicze historii najnowszej. Źródłoznawstwo. Źródła narracyjne. Pamiętnik, tekst literacki*. Wydawnictwo Poznańskie. Poznań 2001
18. *Współczesne polskie drukarstwo i grafika książki. Mały słownik encyklopedyczny*. Ossolineum. Wrocław 1982

V. Artykuły

1. *Archiwum opozycji*, [w]: „Rzeczpospolita” nr 127, 2.06.2003 r.
2. Janusz Krupski. *Jak doszło do „Spotkań”*, [w]: „Rzeczpospolita” nr 127, 2.06.2003 r.
3. *O obiegu informacji i polityce informacyjnej w PRL z Łukaszem Kamińskim i Krzysztofem Madejem rozmawia Barbara Polak*, [w]: „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej”, nr 5(28) maj 2003
4. Andrzej Paczkowski. *Drugi obieg*, [w]: „Rzeczpospolita” nr 127, 2.06.2003 r.
5. Andrzej Peciak. *Biblioteka Informatora (Wydawnictwo Niezależne BIN)*, [w]: „Biuletyn „Solidarności” Region Środkowo-Wschodni”, Lublin – Zamość, nr 12, 2.08.1989 r.
6. Józef Piłsudski. *Bibuła*, [w]: „Rzeczpospolita” nr 127, 2.06.2003 r.
7. *Przewodnik po bibule*, oprac. AKA, [w]: „Rzeczpospolita” nr 127, 2.06.2003 r.
8. Szczepan Rudka. *Na tropie wolnego słowa*, [w]: „Rzeczpospolita” nr 127, 2.06.2003 r.
9. *Skrawki i ścinki. Anegdoty zebrał Jan Strękowski*, [w]: „Rzeczpospolita” nr 127, 2.06.2003 r.
10. Jan Walc. *My, wolna wałkowa*, [w]: „Rzeczpospolita” nr 127, 2.06.2003 r.
11. Małgorzata Zaremba, Jan Strękowski. *Kalendarium wydawnictw i prasy podziemnej*, [w]: „Rzeczpospolita” nr 127, 2.06.2003 r.

Słowniczek wydawniczo-poligraficzny

Big - rowek wciśnięty w miejscu zagięcia kartonu lub tektury, bigowanie - wyciskanie tychże rowków

Blok książki - sfalcowane arkusze książki, zebrane według kolejności, zszyte i obcięte, gotowe do dalszej oprawy

Broszura - niewielka książka, do 64 stron, w miękkiej oprawie

Debit - prawo rozpowszechniania druku na obszarze kraju

Diapozytyw - pozytyw wykonany na przezroczystym, światłoczułym materiale fotograficznym, stosowany w reprodukcji poligraficznej do wykonania formy kopiowej

Dodruk - dodatkowe egzemplarze publikacji sporządzone z matryc lub zatrzymanego składu w ramach tego samego wydania

Falc - zagięcie zadrukowanego arkusza, powstające przy składaniu go dla uzyskania zamierzonego formatu druku, falcowanie - proces składania arkuszy

Farba drukarska - mieszanina barwników, pigmentów, środków wiążących oraz różnorodnych substancji nadających właściwości odpowiednie do danych technik druku

Forma drukowa, forma drukarska, płyta (blacha) drukowa - zestaw elementów drukujących i niedrukujących umieszczony na wspólnym nośniku, przystosowany do przenoszenia w procesie druku farby drukowej na odpowiedni materiał, np. papier

Forma kopiowa - negatyw, diapozytyw, wydruk komputerowy umieszczony na przezroczystym podłożu, przeznaczony do wykonania formy drukowej

Fotografia reprodukcyjna, fotoreprodukcja - kopia oryginału reprodukcyjnego wykonana metoda fotograficzną na materiałach światłoczułych dla potrzeb poligrafii

Fotoskład, skład fotograficzny - skład wykonany na materiale światłoczułym na fotoskładarce (np. komputerze), naświetlany na błonie i skierowany do kopiowania na płyty fotopolimerowe lub blachy offsetowe

Gilotyna - patrz: krajarka

Hektografia - patrz: powielanie spirytusowe

Introligatorstwo - ręczny lub maszynowy proces wykończeniowy arkuszy druków przeprowadzony w celu nadania im ostatecznego kształtu, np. książki, czasopisma, broszury

Kolportaż – rozprowadzanie książek i czasopism wśród czytelników, odbywające się w formie sprzedaży bezpośredniej lub wysyłkowej oraz prenumeraty i subskrypcji

Krajarka, gilotyna – maszyna używana w introligatorstwie w do cięcia, krajania, przekrawania zadrukowanych i niezadrukowanych arkuszy papieru

Łamanie – formowanie kolumn ze składu zecerskiego lub komputerowego i klisz zgodnie ze wskazówkami zawartymi w maszynopisie lub makiecie wydawniczej

Makieta – dokładny plan układu graficznego druku sporządzony w postaci zbioru kart rozrysowanych lub wyklejonych z odbitek korektorskich składu oraz ilustracji

Maszyna offsetowa – maszyna do druku offsetem

Matryca – nośnik pisma drukarskiego w postaci formy służącej do wykonania druku

Matryca powielaczowa – forma drukowa dostosowana do powielacza

Nakład – liczba wydanych jednorazowo egzemplarzy książki

Naświetlanie tekstu – przetwarzanie tekstu polegające na uzyskiwaniu utajonego obrazu składu na materiale światłoczułym w naświetlarkach lub fotoskładarkach

Negatyw – obraz fotograficzny o odwrotnym w stosunku do oryginału oddaniu jasności, uzyskany na papierze lub błonie fotograficznej

Offset, druk offsetowy, płaskodruk – odmiana techniki druku płaskiego, polegająca na dwukrotnym przenoszeniu obrazu (z formy drukowej na gumowy cylinder, a z niego na zadrukowywane podłoże) oraz zwilżaniu formy drukowej specjalnym roztworem; formy drukowe offsetowe mają tak przygotowaną fotochemicznie powierzchnię, że znajdujące się na jednakowej płaszczyźnie elementy drukujące stają się – po zwilżeniu – oleofilowe (hydrofobowe) i przenoszą farbę drukową, elementy niedrukujące stają się oleofobowe (hydrofilowe) i nie przenoszą farby

Płyta offsetowa (blacha offsetowa) – forma drukowa aluminiowa, cynkowa lub wielometalowa stosowana w technice offsetowej

Powielacz – urządzenie do powielania dokumentów w niewielkich nakładach

Powielanie – (1) wykonywanie większej liczby odbitek z oryginału jakąkolwiek techniką, (2) wykonywanie odbitek za pomocą powielacza

Powielanie białkowe – jego nazwa pochodzi od matrycy powleczonej nośnikiem białkowym (wadą tych matryc było szybkie rozkładanie się warstwy białkowej, szczególnie, jeśli były to matryce produkcji polskiej, w omawianym okresie występowały też matryce amerykańskie, duńskie, francuskie i chińskie – bardzo cenione). Tekst do powielenia przepisywano na pojedynczą matrycę, używając maszyny bez taśmy, na matrycy powstawały otwory w kształcie liter, przez które farba przesączała się na papier. Stosowano podkładkę z papieru, która oderwana od matrycy stanowiła podstawę do korekty tekstu. Do powielania stosowano (1)

powielacze płaskie i (2) powielacze bębnowe.

(1) Powielacz płaski, tzw. ramkę, można było zbudować samemu, składała się z ciężkiej deski o grubości kilku centymetrów, niewiele większej od kartki papieru i drewnianej ramki. Pod spód deski przyklejano gumę, a na wierzchu filc, przy krótszych bokach deski mocowano zawiasy, a na nich ramkę, na której rozpinano na flaneli tkaninę stilonową lub jedwabną. Pod spodem ramki mocowano matrycę. Na desce pod ramkę układano do 150 kartek papieru. Na flaneli rozsmarowywano równą warstwę farby. Ramkę dociskano do papieru, przejeżdżano wałkiem po flaneli, farba przez matrycę przesączała się na papier. Ramkę podnoszono i wyciągano kartkę, po czym ramkę ponownie opuszczano w dół, aby zadrukować następną kartkę. Zamiast wałka stosowano też raklę (właśc. rakiel, patrz: Słowniczek) – podłużny kawałek gumy w drewnianej oprawce, niekiedy dorabiano do niego rączkę. Na jednej matrycy można było zadrukować od 500 do 4000 egz. papieru.

(2) Powielanie elektryczne, bębnowe – produkowane fabrycznie ręczne lub elektryczne urządzenia do powielania (np. cyklosy, gestetnery). Miały wydajność kilkakrotnie większą niż ramki, ale wydawały hałas, co zmuszało do szukania dla nich specjalnych pomieszczeń lub wyciszania. W powielaczach elektrycznych, oprócz matryc białkowych, można było stosować matryce z tworzyw sztucznych.

Powielanie spirytusowe (hektografia) – kalkę hektograficzną (bibułka powleczona cienką warstwą wosku lub inną tłustą substancją połączoną z barwnikiem anilinowym, była możliwa do kupienia w sklepach papierniczych) wkładano w maszynę do pisania razem ze sztywną kartką papieru, np. półkredowego. Kalka przylegała do kartki tuszem. Czcionki maszyny uderzały w papier, co dawało na klacie obraz lustrzany – była to matryca, z której powielano tekst za pomocą (1) szyby lub (2) powielacza hektograficznego. (1) Matrycę należało przykleić na szybie tekstem do góry, na nią kładziono kartkę, na której wcześniej rozprowadzano spirytus (najczęściej denaturat), który rozpuszczał tusz hektograficzny, następnie papier dociskano wałkiem, tekst matrycy odbijał się na kartce. (2) Powielacz miał dwa przylegające do siebie wałki. Napisaną matrycę napinano na jednym z nich, pomiędzy wałki wkładano nasączony spirytusem papier. Kręcenie wałkami powodowało odbijanie się tekstu na nasączonej kartce. Metoda ta pozwalała na wykonanie 50-100 egz. odbitek. Odbity druk był gruby i nierównomierny, miał charakterystyczny, granatowy kolor. Metoda ta była stosowana rzadko – w latach 70-tych i w czasie stanu wojennego. **Przedruk** – powtórny druk niezmienionego tekstu dzieła lub jego fragmentu na podstawie wcześniejszego wydania

Rakiel – urządzenie w prasie sitodrukowej służące do przeciskania farby przez siatkę na zadrukowywane podłoże

Ramka – oprawka do matryc

Reprodukcja – odtwarzane metodą powielania bądź druku obrazu, tekstu, odbitki fotograficznej

Ryza – miara papieru równa 500 arkuszom

Sekretarz redakcji – członek kierownictwa redakcji czasopisma odpowiedzialny za

całokształt spraw organizacyjnych związanych z gromadzeniem i oceną materiału oraz redagowaniem i wydawaniem czasopisma

Sitodruk, druk sitowy, serigrafia, filmdruk - technika drukowania bezpośredniego, w której używa się form drukowych z siatki (np. tkaniny z jedwabiu naturalnego, z tworzywa sztucznego); elementami drukującymi są oczka siatki przepuszczające farbę drukową. W sitodruku używano ramki identycznej, jak przy powielaniu białkowym. Na siatkę nakładano w ciemni emulsję światłoczułą (np. ulano). Tekst przeznaczony do powielania fotografowano, by otrzymać na błonie obraz pozytywowy. Taką kliszę przykładano do emulsji i przyciskano szybą, następnie naświetlano emulsję żarówką 500 lub 1000 W. Uczuloną emulsję wypłukiwano wodą i siatkę suszono, po czym wykonywano retusz. Gotową matrycę przymocowywano do ramki i przystępowano do drukowania. Przez wypłukane z emulsji miejsca farba dostawała się na papier. Tym sposobem można było zadrukować do kilkudziesięciu tysięcy sztuk papieru. Sito można było zmyć przy pomocy nadmanganianu potasu, pirosiarczynu sodu i wody i mogło służyć do nowej pracy.

Skład- zestaw jednolitych wierszy tekstu, może być naświetlony na materiałach światłoczułych (fotoskład) bądź mieć postać wydruku z drukarki komputerowej, maszynopisu

Składka, arkusz sfalcowany, lega- zadrukowany bądź czysty arkusz papieru złożony (sfalcowany) jedno - lub wielokrotnie na dany format

Szycie - łączenie za pomocą nici lub drutu arkuszy lub poszczególnych kartek w blok książki, potrzebny do umocowania okładki

Wydawca - osoba fizyczna lub prawna uprawniona do wydawania książek lub czasopism, wyspecjalizowany pracownik wydawnictwa

Wykrojnik, sztanca - narzędzie do wyciskania bądź wycinania na skórze, bądź w innym materiale przeznaczonym na okładkę linii, ornamentów

Zaciąganie - oklejanie okładką miękką wydrukowanych i zszytych arkuszy

Zbieranie - ręczne lub maszynowe składanie sfalcowanych arkuszy według ich kolejności

Zszywki - klamra z drutu łącząca (spinająca) kartki w składce

„Słowniczek” sporządzono na podstawie publikacji „Słownik wydawcy”, Warszawa 1997. Hasła „powielanie białkowe”, „powielanie elektryczne, bębnowe”, „powielanie spirytusowe” sporządzono na podstawie publikacji Szczepan Rudka „Poza cenzurą. Wrocławska prasa bezdebitowa 1973-1989”, Warszawa - Wrocław 2001.